CÓRKA TUŚKI.


Wileńskie Stowarz. Rzem.
BIBLJOTEKA
100.
Rzemieślniczo-Przemysłowe

B 724

GABRYELA ZAPOLSKA.

CÓRKA TUŚKI

POWIEŚĆ

Wileńskie Stowarzyszenie Handlowo-Przemysłowe
BIBLJOTEKA
100.

WARSZAWA
Druk T-wa Akc. S. Orgelbranda S-ów.
Skład główny w księgarni E. WENDE i S-ka.

1907.

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
268946



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0145764
W/162/03

WSTĘP.

Tanagra?—

Nie. Jeszcze nie Tanagra, ale już prawie.

Takie to delikatne linją, rysunkiem, wszystkiem.

A serce? a dusza?

Harfa, raczej widmo harfy, a na niej rozpięte anielskie włosy, złote, cieniuchne, drżące za lada wichru powiewem.

Tanagra?—

Nie. Ale już prawie.

I harfa.

. . . . . .

Pita ma lat czternaście.

Rozwija się.

Tak mówi lekarz, tak mówią także ogrodnicy, gdy wczesnym rankiem pochylają się nad grzędami kwiecia, które z po za osłony liści ciekawie patrzą ku słońcu.

Pita ma małe ręce, małe nóżki, nie jest jeszcze bardzo wysoka, ale czasem ma pozór dorastającej panny. Nosi sznurówkę i ma plecy zakute w rodzaj pancerza. Bo niema co ukrywać—Pita ma fatalne przyzwyczajenie.

Pita się garbi—i słyszy ciągle:

— Pito, trzymaj się prosto!

Lecz Picie trudno się wyprostować. Coś ją zawsze w prawym boku boli. Nie mówi o tem, bo Pita nie lubi, aby się nią zajmowano. Czasem miałaby ochotę, gdy zejdzie ze służącą po drzewo do piwnicy, pozostać tam na zawsze sama i w ciemności. Są bowiem dziwne chwile w istnieniu Pity. Oto wszystko się ku niej tłoczy. Wszystko, co jest na świecie i wogóle w życiu. Wszystko co ludzie przeżyli i wyżyli z siebie, a zwłaszcza co pozostawili po sobie, odchodząc. To są całe tysiące, całe wieki — cały ocean życia. I to wszystko rzuca się, ciśnie i tłoczy dokoła Pity, wciska się w drobniuchną klatkę jej duszy. A ona zmęczona już przed wchłonięciem w siebie choćby tych najpotrzebniejszych objawów życia, pragnie wniknąć w siebie — obliczyć, co ma, a co jej jeszcze konieczne... co odrzucić należy, przed czem się bronić, do czego dążyć.

Na to dziecko potrzebuje także ciszy, potrzebuje pozostać same, potrzebuje pozwolić sobie przemówić do siebie.

Lecz Pita ciszy tej nigdy nie ma.

Ciągle, ciągle kotłuje się w mieszkaniu na ulicy Wareckiej. Ach! nie kłótnia, bo tam ciągle grzecznie i uprzejmie życie płynie sznureczkiem zwykłym, lecz teraz Pita potrąca się ciągle o dominującą nad wszystko indywidualność matki i co chwila słyszy:

— Pito, trzymaj się prosto!
— Pito, czy ćwiczyłaś się na fortepianie?
— Pito, przerób szwedzką gimnastykę!
— Pito, idź zobacz, jak się robi zasmażkę.
— Pito, idź na lekcyę literatury.

I znów:

— Patrz na mnie... trzymaj się, jak ja.

A potem:

— Patrz na mnie: czy ja nie jestem wiecznie czemś zajęta?

I nabyte niedawno zdanie:

— Rozprózniaczenie podsuwa kobiecie złe myśli. Ty musisz mieć zdrową duszę i zdrowe ciało.

I znów:

— Patrz na mnie i trzymaj się prosto!

. . . . . .

Ach! jak hygienicznie, jak uczciwie, jak starannie jest hodowana Pita!

. . . . . .

Z tej Pity „laleczki," o szarych pończoszkach i białych bucikach, powierzchownie pozostało wiele. Niby to jest *wiek niewdzięczny*, tak przynajmniej mówią. Dystyngowaniej to brzmi *l'âge ingrant*. Znaczy — brak wdzięku. A przecież tak nie jest. Pita jest właśnie, pomimo wypukłych plecków i płaskich piersi—*wdzięczna*.

Gdzie tylko się ruszy, wdzięczność ją sprawuje
I wszędy niewidoma za nią postępuje. *)

Cóż to znowu?

Szesnasty wiek.

Szumi lipa—szumi, strząsa wonne kwiecie i woń płynie wzdłuż chlebnych pól nad taflą stawu, co go Dzbukiem zwą.

Szesnasty wiek!

Orły białe, srebrne orły białe w złotym wieku kąpią się z poszumem rozłożystych skrzydeł.

I wypływa gracyi pełne widzenie.

Idzie łąką kwietną, liliową od dzwonków, z chmurą błękitnych motylków nad morzem kwiecia—idzie wydeptaną steczką dziewczę czternastoletnie. Giezłeczko białe, krezka u szyi, płaską pierś kabacik niebieski obciska. Dziewczątko ma drobne ręce, drobne nogi i trzyma się pochyło. Idzie w łąkę kwietną pomiędzy dzwonki i motyle, idzie samo rozwiewne i ciche, bo zalękłe jest bardzo wobec tej potęgi

*) Kochanowski.

życiowej, która ku niej się ciśnie i do wrót jej duszy puka.

I chce pozostać sama, chce pozwolić sobie przemówić do siebie—obliczyć się, zrozumieć, skupić się w sobie...

Dlatego idzie w dal jasną i czystą, w poszum mistyczny rozmodlonych łąk, w tęczę motyli.

I za nią sunie, jakby smuga wdzięku, smuga uroku, który mają w sobie pąki liliowych bławatków, ranną rosą skropionych.

A przecież trzyma się bardzo pochyło.

I nie gra na fortepianie, nie chodzi na lekcye literatury, nie przerabia gimnastyki.

Idzie z opuszczonemi rączkami i oczy rozszerzone śle w dal bezczynnie napozór.

Za nią żaden głos nie woła:

— Trzymaj się prosto!

Ani nie podsuwa jej myśli:

— Gdy kobieta nie zajęta, mają do niej przystęp pokusy...

Bo to dziewczę z opuszczonemi rękoma pracuje teraz ciężko i nad siły. Ona stanęła nagle nad brzegiem, poza którym już rozpoczyna się kraina domyślań. Do tej chwili nieopatrzna jej młodość mówiła: „Jestem pewna!"...

A teraz—nagle zamąciło się przed nią i czuje, że musi pójść naprzód, a tam już nic pewnego niema, nic, nic...

I z wytężeniem dziewczynka chce znaleźć to coś pewnego.

Siły traci w tej pracy.

W tej bezowocnej pracy.

W tej tragicznej pracy.

I przeczuwa, że już zaczyna się rozpacz.

Rozpacz domyślań.

Błądzeń...

Zwątpień...

Nicości...

. . . . . .

Dziewczyna idzie łąką coraz dalej i coraz więcej jest sama.

A za błękitną jej postacią, która przecina błękitną chmurę drobniuchnych motylków — płynie myśl ojca-poety:

Gdzie tylko się ruszy, wdzięczność ją sprawuje
I wszędy niewidoma za nią postępuje.

Nie woła więc nikt:

— Trzymaj się prosto, zajmij się czem...

Wdzięczność wysłano w ślad za nią. Wiosenne, ciche, puchowe zjawisko. Gracyi pełne i smukłe. To jest właśnie ta smuga, która po za nią płynie. W fałdy jej szat motyle się garną, a dzwonki głowy chylą.

I zda się słychać w poszumie traw:

— Nieświadome piękno płynie...

. . . . . .

Pita z ogarkiem świecy idzie do piwnicy.

— Możesz mnie zastąpić!—mówi matka cierpko, wręczając jej klucz.—A licz dobrze, żeby ci z pod ręki drzewa nie kradła. Pamiętaj: trzydzieści siedem kawałków.

— Tak.

— Nie zamyślajże się o czem innem.

— Nie, proszę mamy.

Idzie Pita po ciemnych, wilgotnych schodach. Za nią ironiczna i zła służąca. Ładne państwo, które drzewo wydają, jak cynamon! Ohydne, piwniczne powietrze owiewa Pitę. Za chwilę już siedzi na stosie drzewa. Świeca tli się na ziemi, gdzie pełno leży trzasek. Przez zamarzłe okienko wpada dziwna, ukośna struga światła. Pita z początku usiłuje liczyć polana, które sługa wybiera, lecz po chwili wzrok jej za tą strugą wędruje. Nie na ulicę wszakże, bo tej Pita nie ciekawa. Lecz to coś, ten lęk, to pragnienie — tęsknota, aby pozostać samą, ogarnia Pitę. Niech bierze co chce... i już tłoczy się ku Picie kraina Domyślań, rozpacz domyślań.

Rozpacz zwątpień.

Nicości...

Świeca się dopala, roztapia, zagasa.

Dziwna struga światła w ohydną woń gnijących kartofli się ściele.

Pita siedzi milcząca, smutna.

Sługa kradnie drzewo i oddaje czyhającemu w ciemni kurytarza stróżowi.

. . . . . .

A przecież i za Pitą idzie owa Wdzięczność.

Bo już tak od wieków—za dziewczętami, które wchodzą w życie, które się garbią, które zdają się nie myśleć o niczem, które są nieświadomem Pięknem i Lękiem przed światem, a Bielą porannego nieba nad łąką rozmodlonych kwiatów — od wieków za takiemi dziewczętami idzie zjawa lekka gracyi pełna.

Idzie Wdzięczność.

Otula je, prowadzi, rozwiewa ich zbyt krótkie sukienki, rozświetla delikatne na karku włoski, w oczy kładzie całe światy.

Wdzięczne są—wdzięczne.

. . . . . .

Mimo to wszystko, z Pity się ciągle w domu śmieją.

Bracia zwłaszcza. Mundek i Edek. Mundek, starszy, wzgardliwie. Dla niego Pita jest *głupia* i nic więcej. Edek, młodszy, nie zgłębia jej moralnej istoty. Bierze tylko te rzeczy powierzchownie. Nazywa Pitę „miss Pastrana.“ Czytał niegdyś w komplecie *Kłosów*, który znalazł w paczce na strychu, że był potwór kobiecy o długich rękach, płaski i niezgrabny. Potwór ten nazywał się „Pastrana.“

Zaraz, tego samego wieczora cicho, grzecznie napozór przywitał Pitę, siadającą przy stole:

— *Good evening, miss Pastrano!*

Pita otworzyła szeroko oczy.

Wzrok ten pochwycił Mundek, który właśnie wchodził do pokoju.

— Pito!—wyrzekł oschle—czas już, ażebyś starała się nadać więcej inteligencyi swoim oczom. Chwilami robisz wrażenie cielęcia, które patrzy na nowe wrota. Wstyd mi za ciebie. Koledzy moi to zauważyli.

Pita nie mówi ani słowa. Coś tam z dawnego ironicznego uśmieszku jakby się przemknęło po jej buzi. Ale w gruncie rzeczy Picie jest to obojętne. Zresztą jej dziwnie wszystko jest obojętne. Zdaje się jej już od dawna, że jest ciągle widzem musowym, widzem na jakiemś przedstawieniu, które ją nie interesuje. Dopiero coś się zacznie...

Coś nadzwyczajnego.

A reszta, to, co jest teraz dla niej widzialne i przystępne, przechodzi mimo niej.

Więc błękitne jej oczy patrzą obojętnie na Edka, który powitał ją „Pastraną.“

I tak samo patrzą na Mundka, który porównał ją do „cielęcia.“

Bo w tem wszystkiem jest ona tylko widzem.

I to widzem, który czeka.

. . . . . .

Mundek mówi, że Pita *śpi*.

— Co z nią gadać, ona śpi!

Pita przygryza usta. Coś, jakby się zakołatało chwileczkę w jej piersi, lecz rzeczywiście i to coś usypia.

Może rzeczywiście ona śpi.

Jak królewna z bajki.

Pita przypomina sobie, że był czas, gdy ulubionem jej zajęciem było snuć w myśli bajeczne historye, w których ona była bohaterką. Całe tragedye, oblężenia, brania w jasyr, topienia się, napady zbójców... Coś bajecznego. Gdy położyła się spać, modliła się cicho: „Daj, Panie Boże, ażebym prędko nie zasnęła,“ a to jedynie dlatego, aby módz dużo, dużo snuć pięknych bajek, w których ona będzie

grała główną rolę. To było jednak dawno. Pita miała wtedy lat siedem, osiem. Od tej chwili zmieniła się wiele. Pita zasypia zaraz, albo leży nieruchoma, patrząc szeroko otwartemi oczyma i zdaje się nie myśleć o niczem. Nawet o tem, co się przez dzień uczyła. To ją nie interesuje. Ona wie, że wszystkie dziewczęta się uczą to samo i że wybrano dla nich jakąś plewkę, która nie stanowi milionowej części prawdziwej wiedzy. Pita już dawno osądziła system swej edukacyi. „Nauczą mnie tego, co inne“ — i usteczka jej wydęły się wzgardliwie. Płócze więc sobie mózg tą trochą wiedzy, jak płócze zęby rano i wieczorem. Ona wie, że życie wpisze ją na swoją Wszechnicę, i że tam Potęga cała czeka na nią, czeka niecierpliwie.

. . . . . .

I dlatego to Pita obojętnie patrzy na Edka i Mundka, i dlatego stróż w ciemnym kurytarzu piwnicznym bierze całe naręcza pięknego, suchego, krótko rąbanego bukowego drzewa...

I tysiące innych „dlatego“—całe niezmierzone tysiące, które stanowią obecnie senne życie Pity.

I.

Komplecik. —

Na Wareckiej, u Żebrowskich, sześć panienek z „dobrych domów“ uczy się tańczyć.

Pousuwano palmy i figusy, pozdejmowano chodniki. Lampa zapalona stoi na pianinie. Światło białe, mleczne. Ponad lampą zawieszony oleodruk w złotych ramach, a poniżej jakaś akwarelka, kupiona przez Żebrowskiego „wypadkowo“ i „wcale tanio.“

Trochę chłodno; na dworze mroźno, choć koniec lutego. Panienki w lakierowanych pantofelkach; jedna w atłasowych błękitnych. Stoją rzędem, jak młode gęsi. Mają miny zakłopotane i nieszczęśliwe. Są niezgrabne i *pas* jest trudne. Szczególniej — *pliéz*. Nogi ich są sztywne, jak z drzewa. Sukienki opięte przy *pliéz* odznaczają szpiczaste kolanka. Dwie się buntują. Stanowczo za trudne. A potem ogarnia je jakiś wstyd. To przysiadanie jest nieprzyzwoite. Niuta szepnęła o tem Jaśce. I natychmiast obie strapione, nie wiedzą, jak sobie poradzić z tą sprawą. Patrzą na siebie, uśmiechają się dziwnie. Metr tańca, młody, przystojny baletnik, o bladej cerze i czarnych jak atrament wąsach, powtarza nieustannie:

— *Pliéz*, *pliéz*—głębiej, głębiej.

Pita stoi na samym brzegu i wykonywa ruch wskazany z łatwością. Napozór drewniana figurka, lecz w grun-

cie rzeczy elastyczna. Sukienkę ma granatową, drobno plisowaną. Gdy przysiądzie na ziemi, rozłożone fałdy sukni przybierają kształt olbrzymiego fijołka. Luźna bluzka okrywa smukły tors. Z wysokiego kołnierza wykwita głowa, opleciona dwoma warkoczami, opiętemi w formie wianka, prostym wiejskim sposobem. I wykwint sukienki, przybranej aksamitem, dziwnym kontrastem łączy się harmonijnie z prostotą tej fryzury.

Pita z pewną nonszalancyą patrzy na przystojnego baletnika. Jego opięty strój, filigranowa postać nie imponują jej. Przytem, skacząc, jest śmieszny, tupie nogami, uśmiecha się. Pita wzrusza ramionami. Nie może pojąć, jak Jaśka mogła *zakochać* się w tym człowieku. Bo fakt—faktem. Jaśka się zakochała, i wszystkie panienki o tem wiedzą. Niby ona zwierza się tylko Picie, ale Pita podejrzewa, że Jaśka każdej pod przysięgą powierza swoją tajemnicę.

Bo ostatecznie, zkądże się to rozeszło? Prawda, że Jaśka strasznie się *nastawia*, zmienia wstążki na szyi, karbuje włosy, ma ciągłe wypieki na twarzy i śmieje się głupio, gdy baletnik do niej mówi. To bije w oczy. Nawet mogłaby tak się nie zdradzać, bo to przecież (według Pity) niema się znów z czem tak chwalić. Ten Schern jest porządnie trywialny. Pita podpatrzyła, jak w przedpokoju nos wycierał. Zupełnie ordynarnie. I gdy się odezwie, powie coś tak trywialnie, bez żadnej subtelności. Wszak spytał się na pierwszej lekcyi, zwracając się do Tuśki.

— Czy to wszystko pani konsolacya?

Pita widziała, jak matka skrzywiła się pogardliwie. Co za trywialność! Sześć dziewczyn ma być wszystko „mamine córki.“ Jak u stróżów? A potem to słowo: „konsolacya.“ Gdzie on to wyczytał? Kto teraz tak mówi?

Tymczasem, lekcya idzie dalej swym trybem. Baletnik zmienił rozkaz dzienny i zaordynował *chassés*. Panienki odetchnęły. To już łatwiejsze. I sześć nóżek wyciągnęło się na lśniącej posadzce. W ślad za nóżkami poruszają się chude bioderka.

— Raz, dwa, trzy—raz, dwa, trzy...

Otworzyły się drzwi od stołowego pokoju i weszła Żebrowska. Miała również granatową suknię, jak córka, splisowaną od pasa i rozścielającą się na posadzce, jak fijołek. Złote włosy aż oślepiały w jasnem świetle lampy. Lecz twarz straciła wdzięk swój dawny. Usta zacięły się, jakby w ciągłem niezadowoleniu. Broda wypełniła się miękką masą tłuszczu. I gors zwieszał się cięższy pod fałdami spiętej na guziczki bluzki.

Tuśka przeszła przez salon pod ścianami i usiadła na kanapie. Natychmiast wbiła oczy w szereg dziewcząt, które miała przed sobą. One zaczęły się mieszać. Czuły, że w tym wzroku jest *kobieta*, która krytykuje i ocenia *kobietę*. One nawzajem nieufne, pełne były ironii i jakiejś pogardy, z której nie zdawały sobie sprawy, jakby gardziły czemś, co na rannej zorzy stara się znaleźć ciemne plamy.

— *Chassés* wkoło, jedna pani za drugą!...—komenderuje baletnik.

Jak w cyrku młode, świeżo w tresurę podane źrebaki, tak panienki zaczynają obiegać wkoło salonu. Drzwi się otwierają. W mundurku, smukły, o ślicznych kształtach dorastającego chłopca, przesuwa się przez salon do jadalnego pokoju Mundek. Nawet nie patrzy w stronę dziewcząt. Jedna z nich, Niutka, blondyneczka z zadartym noskiem, znalazła się na jego drodze. Spłoszyła się, jak kuropatwa. Dziewczęta wiedzą, że ten „starszy“ niemi pogardza. Czują dla niego szacunek, choć, prawdę mówiąc, nie ma się znów czego tak stawiać. Sam jeszcze młokos i nic więcej. Nie lubią jednak, gdy tak przesunie się przez pokój. Długi czas nie mogą otrząsnąć się z wrażenia, iż wydały mu się śmieszne. Wiedzą, że nazwał je raz *skaczące sroki*. To przecież nieprzyjemnie. Czy sądzi, że one tak skaczą z własnej woli? Może wolałyby pozostać w spokoju i nie męczyć się tak dwa razy na tydzień.

Jedna Jaśka...

Ale ona się kocha!

Wreszcie odpoczynek. Baletnik usiadł z gracyą, nogi ułożył, usta w ciup i siedzi, jak panna na wydaniu. Dziewczęta posiadały i używają na garbieniu się do woli. Cisza panuje senna i zupełna. Pod piecem usiadła Pita, a zaraz do niej przysunęła się Jaśka. Pita się odsuwa, bo znieść nie może kontaktu obcego ciała. Czuje dziwny wstręt. A Jaśka ma manię czepiania się ciągle kogoś.

I teraz leży na ramieniu Pity, która drugim bokiem aż przylgnęła do pieca.

— Powiem ci coś...—szepce Jaśka.

— !!!

— Ale, jak się przysięgniesz, że nikomu nie powiesz.

— !!!

— Bo pamiętaj! to coś bardzo, bardzo...

— ???

— Przysięgasz?

— No, dobrze, dobrze.

— Wiesz, *on* mnie za rękę uścisnął.

Jaśka formalnie dusi Pitę.

— Kiedy to zrobił?

— Jak mnie przy *pliéz* poprawiał.

Pita wydyma usta.

— Widzisz, widzisz — mówi z wymówką — do czego cię twoje kokieterye doprowadziły. Ośmieliłaś go...

Lecz Jaśka aż cała płomienieje. Policzki ma tak czerwone, jak aksamitka na szyi.

— Żebyś wiedziała, jak to przyjemnie!

Tego już nadto! Dobry smak Pity czuje się strasznie obrażony. Nie dość, że wyzwano tego ordynusa na jakieś poufałości, ale te poufałości sprawiają przyjemność...

— No, moja droga—zaczyna—muszę ci się przyznać, że jesteś trochę... nie tego...

— E! co ty wiesz — mówi Jaśka i przymyka oczy,

jak kura troszkę senna — co ty wiesz... to coś bajecznego, no! pycha...

Baletnik, znudzony, wstał i podchodzi do pianina, aby się przyjrzeć oleodrukowi. Pianino stoi na jednej linii z piecem.

Jaśka chwyta za rękę Pitę.

— Idzie tu!

I nagle bez przyczyny zaczyna namiętnie całować Pitę, która się broni.

— Jaśka! dajże spokój!

Baletnik zatrzymał się i patrzy na tę scenę. Uśmiecha się, wreszcie cedzi:

— Niech się panie nie całują, bo będzie deszcz!

Jakby kto podciął Pitę. Co za trywialność!

Lecz Schern już odszedł, aby przejrzeć nieśmiertelne album, leżące na stole. Pita, oburzona, rzuca za nim w ślad:

— A to ordynus!

Jaśka jest mocno zdziwiona.

— Dlaczego? Jaki ma śliczny smocking. Mógłby przychodzić w kurtce, a on w smockingu. Co ty chcesz od niego?

Pita wzrusza ramionami.

— Nie cierpię mężczyzn niesubtelnych.

— Ależ on jest bardzo subtelny...

— E! dla ciebie.

— A cóż ty rozumiesz pod subtelnością?

Pita jest coraz więcej ironiczna.

— Nie smocking i nie takie odzywanie się. Zresztą, daj mi spokój, ty mnie nie rozumiesz.

Jaśka czuje się obrażona.

— Och! jaka z ciebie przemądra Zofia.

Lecz już Tuśka powstała i mówi coś pocichu do Scherna. Ten słucha uważnie i pochyla głowę.

— Jak pani dobrodziejka sobie życzy!

Zwraca się do panien:

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA GŁÓWNA

— Panienki, proszę do ukłonów! Zaczniemy od dworskiego. Za chwilę, panienki: raz, dwa; na lewej nodze się oprzeć, a prawą zakreślić wielkie koło, tak... raz, dwa.

I Pita, córka skromnego urzędnika, kłania się nizko, kłania się ślicznie, kłania się dworsko, niby przed tronem, niby na pokojach dworskich.

— Raz, dwa—tak—a teraz trzy—nogą szerokie koło...

. . . . . .

A czas mija, leci, i szelestu jego skrzydeł nawet nie słychać.

A zbliża się dla tych dziewcząt chwila wielkich tajemnic, wielkich abnegacyj, wielkich posłannictw. Zbliża się dziwna, surowa i nieunikniona.

One zaś zwinęły swe skrzydła, które je niosły po przecudnych ogrodach, pełnych dziecięcych pragnień.

Zwinęły skrzydła, a dokoła nich aureola dziecięcego szczęścia gaśnie. Straciły pierwotną świeżość pierwszych wrażeń i idą, pchane tragiczną siłą swych przeznaczeń. Serca ich drżą, bo nie wiedzą, w jaki takt uderzyć, aby starczyło im siły i ciepła na całe istnienie. A przecież z tych serc należy jeszcze zostawić coś, gdy się trumna nad nami zamyka. Więc na to choćby mały balecik musi być powoli przygotowywany—na to i na wiele innych rzeczy.

Tymczasem, dziewczęta rzędem, w salonie oświetlonym mlecznym blaskiem, studyują pilnie... dworskie ukłony.

— Raz, dwa—tak... a teraz niżej, niżej, cały korpus... Jeszcze niżej.

II.

Dziewczęta się rozeszły. Oprócz dwóch sióstr Rościszewskich, wszystkie zamieszkują tę samą kamienicę. Cztery oficyny, więc dużo takich Żebrowskich pomieścić się

może. Jaśka jest córką urzędniczki z telegrafu i jest ze wszystkich najuboższa. Ale i tu matka się zmogła i każe córkę uczyć tańczyć.

Tuśka po odejściu wszystkich zgasiła natychmiast lampę.

— Idę się położyć—wyrzekła do córki. — Ty przypilnuj pieca. Marysia jest w maglu.

— Dobrze, proszę mamy.

Tuśka wyszła, a Pita pozostała wreszcie na chwilę sama.

Wie, że to nie na długo, bo za chwilę wróci do domu Edek i zajmie stół w pokoju stołowym, gdzie się rozłoży ze swemi książkami. Wtedy do salonu sprowadzi się Mundek, który zasiądzie pod piecem, obłoży się także książkami i „kuć“ zacznie. Edek wrzeszczy, ucząc się z zatkanemi uszami; Mundek przeciwnie, milczy, zatnie usta i wtopi się cały w książkę. Wtedy dla niej, dla Pity, niema właściwie nigdzie miejsca. Idzie do pokoju stołowego i siada na sofce, na której sypia Edek. Bierze „robotę“ i zaczyna szydełkiem produkować nadzwyczaj potrzebne w życiu gwiazdki bawełniane i dobrze brudne. Lecz nim to ją spotka, ma jeszcze chwileczkę przed sobą. I z prawdziwą ulgą i radością przyklęka przed piecem, w którym dopalają się owe śliczne, wyschłe, bukowe polana.

Pita uklękła, wydobyła z kieszeni jabłko, trzy kawałki drutu, wbiła je w jabłko i postawiła delikatnie w piecu. Robi to uważnie, mieląc przytem językiem w buzi. Gdy jabłko już zaczyna się piec na swych trzech drucianych nóżkach, Pita pozostaje przed piecem w dziwnej pozycyi jakiejś pra-Ewy, patrzącej ciekawie w tajemnice przypadkowo roznieconego ogniska. Różowy blask oblewa jej twarzyczkę, wydobywając na jaw niezmierną delikatność rysów i linijki jej owalu.

Zdaje się w tej chwili czemś tak wątłem, nieziemskiem, wysubtelnionem, iż lada dotknięcie może ją skruszyć, jak porcelankę saską z epoki doskonalszej maniery.

Pita po raz pierwszy dzisiaj doznaje niepokoju z powodu zwierzeń Jaśki.

— Jaka głupia—myśli—mówi, że gdy ją ten... (usta Pity wydęły się po dawnemu) uściśnie za rękę, to coś się z nią dzieje. Nie uwierzę nigdy. Co się ma dziać?

Pita ujmuje swoją rękę lewą — prawą ręką i ściska mocno.

— To musi być takie wrażenie... więc niby co to ma być?

Lecz nagle, jakby ktoś leciuchno zastukał jej pomiędzy łopatkami.

— *A może to co innego?*

Takie nic. Taka, ledwie sformułowana myśl, jakby błyskawica. Niepokój, wstrząśnienie całego organizmu. Pita przycichła cała. Chwileczkę przestała myśleć. Nic, nic. Siedzi strwożona, jak młody ptak, który nagle po raz pierwszy posłyszał wystrzał. Stulił głowę i zdrętwiał. Tak samo i Pita.

— A może to co innego?...

Drzwi od przedpokoju otwierają się. Ciężko wpada Edek. Jego twarz, młodego orangutanga, pokryta pryszczami; na rękach całe kolonie kurzajek. Jest rozpaczą matki. Nagle zbrzydł tak strasznie, że niktby się w nim nie domacał owego pazia długowłosego, w czarnej aksamitnej bluzce. I te buty, wiecznie zabłocone, ten mundur poobrywany, zapięty krzywo i całe „wzięcie," pełne jakiejś nagle wyrosłej przekory, którą Tuśka tępi, jak chwast szkodliwy i wstrętny.

Wpadł i zaraz dostrzegł Pitę, która ciągle klęczy przed piecem i ręce sobie ściska.

— Co rob sz Pastrańciu? Już po pląsach? Cóż twoje meluzyny? Dobrze tańczą kaczken-kadryl?

Rozstawił nogi i zaczął iść ku Picie, kołysząc się, jak kaczka.

— Taś, taś, taś, tasiuchny... a Pastrańcia na czele.

Nagle urwał.

Dostrzegł jabłko.

Przykucnął i zmienił ton mowy. Stał się miły i układny.

— Daj mi to jabłko.

Pita wykonała grzeczny gest:

— Proszę cię, bierz!

Wyciągnął długą, dziwaczną rękę i ze zręcznością małpy schwycił jabłko. Rzucił je na ziemię, rozpalone druty zaczęły palić posadzkę.

— Zniszczysz podłogę.

Wzruszył ramionami.

— Cóż to? moje? Niech ten podły kamienicznik ma jakieś zniszczenie.

Z kieszeni od spodni, dobrze naładowanej przerozmaitemi tajemniczemi przedmiotami, wyciągnął chłopski kozik i kawałek bibuły. Roztasował się na ziemi i odepchnął od pieca Pitę.

— Posuń się, panno Pastrano!

Rozwijał się w nim prawdziwy mężczyzna. Układny i miły, gdy o coś prosił, z chwilą ustępstwa ze strony kobiety, zaznaczał swą pogardę i podwajał swą brutalność.

Był to jednak najlepszy chłopiec, z dobrem sercem, pełen sentymentu i posiadający w wysokim stopniu kult pamiątek.

Pod jego sofką, gdzie sypiał w pokoju stołowym, stała wązka długa paczka, przezwana przez inne dzieci „trumną." W tej trumnie Edek chował wszystko, co od kogo dostał, co mu przypominało jakąś ważniejszą chwilę, która się zaznaczyła w jego życiu.

Poowijane w kolorowe bibuły, w pudełka od lekarstw, w koperty — leżały rozmaite najróżnorodniejsze przedmioty owego krótkiego życia, opatrzone etykietami, napisami, kokardami, polakowane, popieczętowane — to znów w pudełeczkach szklanych, aby je dojrzeć było można. To było całe dotychczasowe życie Edka od lat najmłodszych, cały grobowiec i zarazem źródło najżywszych wspomnień, do których się zwracał ciągle i z któremi się nie rozstawał.

Tulił się do rzeczy martwych, on, pełen pragnień uczuciowych, zamarzły w tej martwocie grzecznej i „dobrze wychowanej."

— To są konsekwencye przestawania z byle kim — mówi z ironią Tuśka, patrząc na syna.

— Rzeczywiście... Edku... my cię nie poznajemy—dodaje z po za *Kuryera* Żebrowski.

Och! Edek sam siebie nie poznaje. Tak go coś gna, tak go pędzi, tak go roznosi. Jakaś siła, jakaś buta, a potem nagle dziecięce, głupie porywy. Jakże naprzykład teraz chętnie „sprałby" Pitę, pobił się z nią, ale tak, no!... a potem przeprosił ją, wycałował, za rękę porwał i poleciał na dziedziniec, gdzie dokoła klombu wyślizgali taką pyszną ślizgawkę. I Pastrancia by się zabawiła. Pożyczyłby jej jednej łyżwy, którą wydostał od kolegi Smoglewicza za dwie lepsze marki i nowy jeszcze wiszorek.

Bo w gruncie rzeczy, choć nazywa Pitę Pastraną i dokucza jej, wie, że ona jest dobra dziewczyna i zawsze to jego siostra...

Lecz Pita przylepiła się do ściany, niewyraźne oczy utkwiła w ciemną przestrzeń pokoju i tak bije od niej jakiś chłód i senność, że Edka aż wszyscy dyabli biorą.

— Ty... zaspana dolo!—mówi—czy *rabin* jest?

— Jest.

(Rabinem Edek nazywa swego starszego brata, ze względu na jego takt, rozum i wyniosłość).

— Nie masz więcej jabłek?

— Nie.

— No to... gryźnij się!

Pita aż się wyprostowała. Edek zebrał porozrzucane książki i podniósł się ociężale z ziemi. Widocznie wyładowywał swą energię za domem, a w mieszkaniu poruszał się jak niedźwiedź.

— Bywaj zdrowa, Dyndowa, bo mnie boli głowa! — zadeklamował, odchodząc do jadalni.

Na progu natknął się na brata, który przeszedł przez salon, trzymając czapkę w ręku.

— Wychodzisz?—zapytał.

Lecz Mundek nic nie odpowiedział, jakby nie słyszał nawet zapytania.

. . . . . .

I znowu Pita pozostała sama.

Delikatnie, wystygłym już drutem poprawia w piecu i wpatruje się ciekawie w rubinowe, z szafirowemi żyłkami węgle, które się rozsypują za dotknięciem.

— Jakie to śliczne! — myśli — suknia na bal w tym kolorze byłaby przecudna!...

I zaraz przychodzi jej na myśl:

— Gdzie ten Mundek poszedł?

Ona nigdy nie chodzi sama i rzadko wieczorami.

— Ja bym się bała—myśli — ale on, chłopiec, on się niczego nie boi. Tylko... gdzie on chodzi?

Jakieś całe światy zakryte, niepokojące i dziwne przesuwają się przed nią. Światy owe mieszczą się w ogromnej kamiennej budowli, do której drzwi są silnie zaryglowane. Ona nawet nie próbuje zbliżyć się do tych drzwi. Tylko tak zdaleka, w myśli patrzy, dziwi się.

— Tam się muszą dziać dziwne rzeczy—kombinuje—dziwne i straszne. Nie pragnę wiedzieć, jakie, ale przecież tam właściwie musi być świat żyjący i czynny. Mundek mówi zawsze, że idzie „do kolegów." Idzie po to, aby razem z nimi się uczyć.

Tak. Więc ten świat czynu i życia—to nauka...

Tak, tak.

Coś zapukało lekko, ale teraz nie w pochylone plecy Pity, lecz jakoś w piersi, w okolice serca.

— *A może to co innego?*

Przemknęła taka myśl, jak błyskawica, już po raz drugi. Niby ta sama, co poprzednio. Ale, nie. To coś innego. To coś wielkiego, przeogromnego, jakby wołanie

tysięcy... Łkanie, krzyk, przekleństwa i nawoływania do wspólnego, silnego, wytrwałego oporu. Jest to tak wyniosłe w swym tragizmie, tak płynie z całej ziemi, z całego kraju i przepaja powietrze, że Pita na chwilę w poczuciu dziwnem nie wie, czy to nie ona sama krzyczy, łka, skarży się, nawołuje do oporu...

— Nie wiem, nie wiem...

Powoli jednak uspakaja się i powraca do dawnej równowagi.

— Co się ze mną dziś dzieje?—myśli—to nic, tylko ta głupia Jaśka zirytowała mnie swoją głupotą. Z takiem ordynarnem czemś za ręce się ściskać! Teraz jest skompromitowana. Powinna iść za niego. Winszuję! Już ja tam nie będę na jej weselu. Taki pan młody...

Mimowoli Pita zaczyna się zagłębiać w jakieś pogmatwane ścieżki.

— Pan młody musi być chudy, wysoki, cienki w pasie, mieć blond brodę i włosy, niebieskie oczy, śliczny anglez (fraki niemodne do ślubu) i nosić szpilkę z perłą. Musi cicho mówić, cicho chodzić i być strasznie dy-styngo-wa-ny. No... powinien być taki, jak... Ketling.

(Pita uznaje tylko Pana Wołodyjowskiego i to z powodu dystynkcyi Ketlinga. To, co mówi Zagłoba, sprawia jej nudności. Lecz Ketling! o!)

. . . . . .

Drzwi od przedpokoju otwierają się cichutko i wsuwa się przez nie jakaś wysoka, ciemno odziana postać.

W przedpokoju pali się lampka, i tak po strudze mdłego światła, płynącego z wpół otwartych drzwi, zjawia się przed Pitą coś nadzwyczajnego.

Jest to mężczyzna chudy, wysoki, cienki w pasie, w długim czarnym surducie. Ma blond brodę i blond włosy, a takie blond i delikatne, że aż drżą, jak te włosy aniołków na choince wigilijnej. Oczu nie widać, tylko dwie ciemne plamy, ale Pita czuje, że muszą być niebieskie.

Wszedł cicho i stoi tak nieruchomy, zakłopotany. W Picie coś aż zaszumiało:

Ketling! jak Bozię kocham, Ketling!

Zkąd się wziął? Czego chce? Czy ona śni?

Właśnie myślała, że *taki* powinien być „pan młody.“ I oto stoi przed nią nieruchomy, piękny, zagadkowy, tajemniczy.

Ni to człowiek, ni widmo.

Przywiało go coś, jakaś moc tajemnicza w ten wieczór zimowy.

I Pita powoli podnosi się z klęczek i zdaje się jej nagle, że to jakieś skrzydła u jej ramion wytrysły niespodzianie i tak niosą ją w górę.

A patrzy, patrzy na te złote włosy, na tę ciemną postać.

Wreszcie jakiś nizki, pełny głos męzki mówi:

— Czy mogę się widzieć z panem Żebrowskim?

Pita natychmiast odpowiada, przełykając ślinę, gdyż w gardle zaschło jej zupełnie.

— Tatki niema.

— A... a pani Żebrowska? Służąca mówiła, że jest w domu.

— Mamcia śpi... ale ją zbudzę...

— Nie, nie. To zbyteczne. Ja przyjdę jutro.

Lecz Pita przesuwa się przez pokój.

To dziwne. Ona zawsze taka pewna siebie, a tu nogi pod nią drżą. Idzie, jak przez rózgi.

— Mamcia zaraz będzie służyła.

— Pani się trudzi.

Och! jaki głos cichy i słodki. Potem ten sposób nazywania ją, Pitę, „panią,“ jak zupełnie dorosłą osobę. Wprawdzie i baletnik mówi „pani,“ ale co to za różnica!

Pita wbiega do sypialni rodziców. Mała lampka, nazwana przez dzieci „smarkatą“ dla drobnych rozmiarów, pali się na tualecie. Na łóżku, okryta pledem, leży Tuśka. Na odgłos otwieranych drzwi podnosi się natychmiast.

Tuśka nie śpi, lecz lubi tak leżeć bezczynnie w półcieniu.

— Czego?—pyta córki.

— Proszę mamy, jakiś pan — mówi Pita, a głos jej zmieniony—jakiś pan... w salonie.

— Czego chce?

— Mamusi.

— Jak? co?

— Mamci. Chce się widzieć.

— Cóż to za figura?

— Nie wiem. Taki wysoki.

Tuśka leniwo wstaje z łóżka. Przechodząc, spogląda na córkę.

— Dlaczego jesteś taka zmieszana?—pyta, wpatrując się uważnie w Pitę.

— Ja?

— Tak. Masz nienaturalną minę.

Pita pod wrażeniem tych słów czuje, iż rzeczywiście miesza się i serce jej bić zaczyna nie na żarty.

— Ja nie wiem... może biegłam.

Lecz Tuśka, poprawiając włosy w lustrze, ma taką sceptyczną minę, iż Picie aż słów brak. Wreszcie Żebrowska wychodzi. Pita zbliża się do okna i opiera czoło o szybę.

— Dlaczego mama mówiła, że ja jestem nienaturalna? — myśli. — Rzeczywiście, że się ze mną coś dzieje... Jakie to przykre. Czego on może tu chcieć? Czy to jaki znajomy tatki? Po co on przyszedł?... Byle mnie mama nie zawołała do salonu. Boże... Boże... jeszcze się więcej zmieszam... Ketling nie był nawet taki wysoki i nie miał takich włosów... a jaki dystyngowany... Boże... jak mi serce bije... Jakie to głupie... Nie trzeba myśleć...

Pita usiłuje zająć się tem, co się dzieje na dziedzińcu i w innych mieszkaniach.

. . . . . .

Bo jak dziwna, ogromna oszklona latarnia jest ten cały czworobok, obstawiony oficynami. I wszędzie, wszędzie pozamykało się w małych pudełkach życie ludzkie, skromne i ciche napozór. Przez okna, szczelnie przed zimnem zamknięte, widać tu i owdzie wnętrza czyste i starania pełne. Pozwłóczone do gniazd sprzęty—duma tych, którzy niebawem, może dziś, może jutro odejść mają, przybierają powoli postać istot, należących do życia i biorących w niem udział. Pomiędzy tą częścią nieruchomą snują się cienie ludzi i gesty ich w oddali i w sztucznem oświetleniu mają gesty tych, którzy powrócili z zaświatów i śpieszą się znów do nich. Ponieważ słów tych ludzi nie słychać, a widać tylko gesty, jest w ich ruchach pewna dostojność i harmonia. Młode dziewczęta siedzą przy fortepianach, a senne ich ręce głaszczą nieme klawisze. Oto wszedł stary człowiek i usiadł spokojnie pod lampą, a białe światło oblało hojnie jego srebrne włosy i twarz znużoną. Do niego podchodzi małe dziecko i tuli się do jego rąk zmęczonych. Wreszcie wdrapuje się na kolana starca i zasypia. Miejsce dziecka zajmuje biały łagodny pies, który położył łeb na ręku mężczyzny. Przez inne okna widać, jak nad pudłami, pełnemi róż pochylają się czarno ubrane kobiety. Białe ich ręce biegają, jak motyle po gałęziach kwiecia, układają je, jakby do snu lub na płytach grobowych. A teraz ktoś otworzył w głębi drzwi i widać jak w kuchni biała para przesłania wnętrze, rozjaśnione lampą. Po klatce wschodowej idzie na górę jakiś studencik i czyta, idąc, książkę. Przystaje na przystankach pod lampami i Pita śledzi go, mimowoli zainteresowana tą drobną postacią w zbyt dużym szynelu i płaskiej czapce na ostrzyżonej głowie. I wszędzie, wszędzie dzieci—ten drobny świat, usuwający na drugi plan tych, którzy sądzili, iż to oni staną się wreszcie w życiu głównym punktem, koło którego raczej wszystko obracać się będzie. W tym ulu otwartym i oszklonym rośnie cały klomb, cała grzęda drobnego kwiecia, drobnych ciał, drobnych serc, drobnych dusz. I oto tragedya Skoń-

czonych Istnień samoistnych, dla samych siebie! Abnegacya musowa, teror serdeczny i pieszczot pełen! Te wszystkie studenciki w zbyt długich szynelach, te pensyonarki, uciekające z sukienek, które widać majaczące przez szyby— to armia groźna i niezwalczona. Idą zwartym szeregiem ku tym, którzy jeszcze nic z życia dobrego nie wzięli, krom walki ciężkiej o to, aby coś wreszcie wziąć mogli.

I słychać wielki krzyk:

— Ustąpcie!

— *My* idziemy!...

I jeszcze:

— Oddajcie nam wszystko. Pracujcie dla nas, jedynie dla nas. Pielęgnujcie nas i oddajcie nam miejsce w słońcu. Wy idźcie w cień—

My idziemy!...

Och! drobne małe dziewczęta, o jasnych lub ciemnych warkoczach, och! smukli chłopcy, strzyżeni na jeża, odziani w wiecznie zniszczone mundurki, jakąż potęgą nieubłaganą wy jesteście w życiu!...

. . . . . .

Pita o tem nie wie.

Przeciwnie, jej się zdaje, że ona jest krzywdzona, usunięta w cień, że jest w tym domu niczem, tak samo, jak w innych domach te inne dziewczęta.

Patrzy znów na Jaśkę, która przylgnęła do szyby, tam w górze, na trzeciem piętrze, urządziwszy matce scenę o nową kremową sukienkę i białą książkę do nabożeństwa.

Pita nie urządza scen, ale za to potrafi „nadąć się"— i cały dzień nic nie mówić.

Tak już się zaprawiają i trenują te małe kobietki.

Pita myśli:

— Kto to może być? Tak mało mamy znajomych. Od powrotu z Zakopanego mamcia nie chce nigdzie bywać, ani nikogo przyjmować. Kto więc to być może? Bardzo dystyngowany, bardzo...

Aż się uśmiecha do szyby i z pogardą patrzy na Jaśkę.

— No... niechby go ta głupia Jaśka porównała z takim baletnikiem. Zrozumiałaby wreszcie, co to jest dystynkcya.

Drzwi od sypialni skrzypnęły.

Tuśka weszła do pokoju. Pita szybko od okna odskoczyła. Matka zakazywała jej surowo „wystawania przy oknach."

— Powiedzą, że ze studentami kokietujesz — rzuciła raz niebacznie.

Picie wydało się to tylko zabawne. Przyglądała się czasem studentom, ale tak, jak panienkom. Bawili ją swoją niezgrabnością i arogancyą, z jaką traktowali ją i jej przyjaciółki.

— Takie fąfle!—decydowała.

(U Pity „mężczyzna" zaczynał się liczyć dopiero od lat trzydziestu kilku. Łysina napawała ją szacunkiem, a szpakowate włosy wprawiały w ekstazę).

— Moja Pito!—zaczęła kwaśno Tuśka — na drugi raz nie wpadaj tutaj i nie budź mnie bez potrzeby.

— Kiedy proszę mamusi, ten pan...

Tuśka ramionami wzruszyła.

— To nie żaden pan!—wyrzekła, układając się znów na łóżko—to jest *nowy rządca*.

— Ach!...—wyszeptała Pita.

— Co?

— Nic, proszę mamusi.

— Idź już. A weź gorset i wszyj sobie nową bryklę, kupiłam ci taką twardą, że jej nie złamiesz, bo się nie będziesz mogła w niej zgiąć w żaden sposób.

. . . . . .

Pita siedzi na sofce w jadalni i wytęża oczy, aby zahaczyć szydełkiem we właściwe oczko. Wszyła bryklę

w gorset, teraz wzięła się do szydełka. Jeden, dwa, trzy słupki—sześć, łańcuszka zahaczyć.

I znów:

— Jeden, dwa, trzy słupki...

Przed nią, na stole do jedzenia, rozłożył się z całym „kramem“ Edek. Jak chłop w karczmie do wódki, tak on rozsiadł się do owej „nauki.“ Już zdążył wylać atrament, (szczęściem jest klasyczna cerata) i porozrzucał dokoła pełno zmaczanej bibuły. Sam urządził lejek z papieru i wciąga ustami atrament w lejek, poczem wydmuchuje go do kałamarza. Opija się atramentu, ale to nic nie znaczy. Parsknął, rzucił lejek na suknię Pity. Wreszcie siadł, zatknął uszy i krzyczy całe szeregi imion książąt rosyjskich... całe szeregi!

Pita jest tak oswojona z tym wrzaskiem, że nic sobie z tego nie robi. Edek wrzeszczy swoją drogą, Pita myśli swoją drogą.

— Rządca... Mama chyba tak umyślnie powiedziała. Czy możliwe, aby rządca był tak dystyngowany?! Szkoda, to wszystko psuje. Już chciała imponować Jaśce i powiedzieć jej: „Zobacz *tego*...“ Jaśka z niej wyśmiałaby się z pewnością i wyżej postawiłaby swego baletnika. Zresztą, tu nie chodzi „o kochanie się,“ tu chodzi tylko o to, że mężczyzna powinien być dystyngowany. To powinna Jaśka zrozumieć... Taki Porzycki, ten z Zakopanego, przecież także z teatru, a umiał być bardzo dystyngowany. Choć to już dawno, ale Pita go nie może zapomnieć. Na samą myśl o nim, ogarnia ją jakiś niepokój. Nie ze względu na siebie, ale taki niepokój, jaki czuje do tej chwili, gdy przypomni sobie, jak raz, w lecie, wieczorną godziną wpadł tu, do ich mieszkania, nietoperz i tłukł się czarny, dziwny, tajemniczy... Ojciec urządził na niego formalne polowanie i ona, Pita, zacisnąwszy dokoła siebie spódniczki, bała się, bała, a mimo to doznawała jakiejś dziwnej rozkoszy. I prawie jej żal było, gdy wreszcie ojciec złapał przez ręcznik owego nietoperza i wyrzucał go z domu, rad, że dopełnił

czynu bohaterskiego. Potem mówiło się o nietoperzu kilka dni, a Pita ciągle pozostawała pod urokiem tego rozkosznego niepokoju...

To samo doświadczyła z Porzyckim. Gdy wreszcie pozostał w Krakowie, a ona z mamą jechały koleją ku granicy, Pita miała wrażenie, że ktoś wygnał z koła jej życia istotę, mogącą sprawić dużo złego nietylko jej, ale i jej najbliższym, lecz jednocześnie zagasło coś, przełamało się w jej egzystencyi, pozostało za nią...

Porzycki... a potem ten rządca... jakoś razem się to splata... Picie oczy się kleją. Ogarnia ją senność. Teraz często ogarnia ją senność. Jest anemiczna. Mama ciągle mówi, że zaprowadzi ją do doktora... Raz, dwa, trzy słupki... ciepło od tej dużej lampy i ten monotonny głos Edka... a potem Mundek i jego świat daleki, tajemniczy, i następnie to wszystko, co jest po za ścianami, pomalowanemi na blado perłowy kolor i duże zielone bukiety—jakieś mrowie całe zdarzeń — już postanowionych, utwierdzonych przez jakąś ogromną Siłę, cisnącą i ją w to mrowie.

Szydełko wypada z rąk Pity, główka jej pochyla się na poręcz sofy. Z całą mocą uchyla powieki, patrzy na Edka, podziwia go.

— Jaki on szkaradny... a potem, że też mu się chce tak kuć. Mężczyzna — musi... jakże potem? powinien być kimś, żeby się módz ożenić. Lepiej, że jestem dziewczyną! Choć nie—może nie. Sama nie wiem. Czasem mi się zdaje, że jestem jak królowa, czasem znów, że mi się stała krzywda. Taki mężczyzna to się nie martwi tak, jak ja, żeby coś wiedzieć... on wie wszystko... Chciałabym być mężczyzną. Nie nosiłabym gorsetu...

Przypatruje się przez rzęsy Edkowi, który powalany atramentem, z przymkniętemi oczyma, z głową orangutanga, robi odrażajace wrażenie.

— Takim, jak Edek? Nie, ani takim jak baletnik, ani jak ojciec, ani... chyba jak ten... z tą blond brodą w czarnym tużurku.

Już Pita zasypia na dobre, kłębuszek z bawełną wolniutko po sukience ku ziemi się toczy.

— I chociażby *rządcą*...

III.

— Powiem ci coś ciekawego! — mówi Jaśka do Pity, spotkawszy się z nią na dziedzińcu.

Jaśka idzie na kurs stenografii, Pita powraca z kursu malowania na porcelanie. Niema do tego najmniejszych zdolności, ale niewiadomo, co może kobietę spotkać; niech będzie *uzbrojoną*.

Tak mówi Tuśka.

— Powiem ci coś ciekawego!—powtarza Jaśka.

— Co?

— Albo, nie.

— No, to nie.

— E! taka jesteś... Czy ty nie jesteś ciekawa? Ja bo muszę wszystko wiedzieć. Już teraz wiem *wszystko*. Tylko się przysuń, bo to trzeba na ucho...

Po Picie przebiega płomień i jakiś lęk, jakaś odraza.

— Czy to co nieprzyzwoitego? — pyta, nieufnie patrząc na Jaśkę.

— No... spodziewam się. Mówiła mi to nasza służąca.

— To ja nie chcę nic wiedzieć.

Jakiś instynkt, coś, co każe kwiatom zamykać kielichy, gdy chłód wieczorny idzie, otula Pitę.

— Nie chcę...

— Powiadam ci, nie pożałujesz.

— Daj mi spokój, będę potem musiała mówić księdzu na spowiedzi.

Jaśka wydyma wargi:

— Ja zawsze mówię ogólnikowo. Mówiłam o rzeczach nieprzyzwoitych...

— A jak ksiądz się spyta: o jakich?

— To się mówi „o takich tam“ i zaraz się miele prędko inne grzechy...

— Nie, nie, ja nie chcę.

— Bo jesteś głupia.

— Może...

Przez dziedziniec idzie wolno służąca, ubogo odziana i niesie na ręku małą dziewczynkę, ubraną w szary, skromny płaszczyk i takiż kapturek. Chłopczyk, może czteroletni, w zniszczonem futerku, jakby zjedzonem przez mole i nowych kamaszkach, drepce obok sługi, trzymając się jej fartucha.

Pita mimowoli tę grupę wzrokiem ściga.

— Czyje to? nie wiesz?—pyta Jaśki.

— E! to takie tam biedoty. Nowego rządcy.

— A!...

— Tak, wdowiec. Mówiła mi sługa. Stary już. To dziwne, że ma takie małe dzieci.

— To *jego* dzieci...

I Pita patrzy, jak służąca z dziećmi znika w bramie.

— Więc nic nie chcesz wiedzieć?

— Nie. Bądź zdrowa.

— Bądź zdrowa... Ale... nie powiesz nikomu, że ja coś wiem i że ci to chciałam powiedzieć?

— Nie powiem.

— Przysięgnij się! Bo gdybyś powiedziała, to ja będę się gniewała na ciebie do śmierci...

— Ach, dobrze!

Pita powraca do domu. Idąc po wschodach, cieszy się, że nie pozwoliła Jaśce powiedzieć sobie to coś „nieprzyzwoitego.“ Skoro to zakazane, więc musi być brzydkie, a jeżeli brzydkie, to może i szkodliwe.

Małe dreszczyki przebiegają Pitę. Ta Jaśka ma dziwny dar budzenia w niej niepokoju. Już z tym uściskiem ręki, który jest podobno taki przyjemny, teraz znów z tem

czemś nieprzyzwoitem. Wogóle Pita uważa, iż w życiu jest dużo jakichś rzeczy nieprzyzwoitych i niepokojących. Myślą zwraca się ku dzieciom rządcy. To chyba nie niepokoi. Takie biedaki, ubrane biedniusio. Zresztą ten rządca nie jest zwyczajny rządca. To podobno podupadły obywatel i „coś lepszego.“ Powiedział tak ojciec, a mama zaraz dodała:

— No... to będzie ładna historya. Znów dyletant.

Pita to wszystko sobie zanotowała i jest rada, że ten rządca jest „coś lepszego.“ Dlaczego — nie wie, ale to zawsze lepiej. Nie spotkała go więcej, ale często o nim myśli. Wie, że jest wdowcem. W pierwszej chwili ją to „speszyło,“ jak mówi Jaśka. Nie wyobrażała sobie, żeby taki *on* mógł być żonatym i wdowcem. Ale potem pogodziła się trochę z tą myślą, i nawet to mu dodało uroku.

— Musi chodzić na grób i nosić kwiaty — myśli.— Opiera się o krzyż i patrzy na kamień grobowy. Jaki on wtedy musi być piękny...

Pita wchodzi do domu. Tuśki jeszcze niema. Lada chwila powróci. Pita musi nakryć do stołu, pokrajać chleb, nalać wodę w karafkę. Zdejmuje żakiecik i kapelusik. Na delikatną jej buzię zimno wypędziło rumieńce. Przy kominie krząta się sługa o fryzowanych, rudawych włosach. Ma pozór wszystkiego innego, tylko nie sługi. Pita podchodzi ku niej i nad blachą zaczyna grzać sobie ręce.

Woń gotowanych w rosole jarzyn rozchodzi się dokoła. Na patelni leży nieudatny naleśnik, który się „przyswędził.“ Pita, elegancka, smukła, pochyla się nad garnkami, odsuwając się, o ile możności, z obawy spalenia sukienki.

— Panienka niech się nie grzeje zaraz z zimna, bo to nie dobrze—mówi Marcysia.

Picie nagle przychodzi do głowy, że Jaśka wszystkie „nieprzyzwoitości“ wie od sługi, i powoli odchodzi od komina, nie patrząc na Marcysię. Matka również zakazuje jej rozmawiać ze służącą, bo może się od niej „Bóg wie co

nauczyć...“ I Pita znów jest zmieszana i niepewna. Marcysia wydaje się jej jak źródło jakieś mętne i trujące...

— Ach! dlaczego to jest tak? — myśli, idąc do pokoju. — Dlaczego ciągle przed czemś bronić się muszę? Jeżeli rzeczywiście to, co nie wiem, jest tak złe, dlaczego tolerują to na świecie? Dlaczego nie wyplenią, nie zakażą? Panienki wtedy mogłyby żyć spokojnie, a nie ciągle się przed czemś chronić.

Pita wiesza swój żakiecik, chowa kapelusik, zdejmuje granatową sukienkę i wdziewa starą spódniczkę i bluzkę szkocką, przerobioną z sukni Tuśki. Porusza się wdzięcznie, choć leniwie. Nakrywa do stołu cicho, nie znosząc sama hałasu i krzyku.

Żebrowski zjawia się pierwszy, i Pita słyszy, jak ojciec oddycha ciężko w przedpokoju. Lecz nie wychodzi na jego spotkanie. Stosunek ojca i córki jest zawsze na jednej stopie. Żebrowski całuje Pitę cztery razy do roku: Na imieniny, przy opłatku, przy święconem i w dzień swoich urodzin. Po za tem nie zamienia z nią prawie nigdy żadnych słów, ani gestów. Pita wie, że ojciec od pewnego czasu cierpi na jakąś duszność, lecz to jest wszystko.

Żebrowski wchodzi do pokoju i zaraz idzie do stołu, aby napić się wody. Pita całuje go w rękaw, a on szepce:

— Jak się masz!...

Poczem siada na sofie, przymyka oczy i pozostaje tak martwy, milczący z rękoma sztywnie złożonemi na wychudłych kolanach. Jest mu niewygodnie w tej pozycyi, ale Żebrowski nie ma właściwie na czem odpocząć we dnie. Tuśka, która całe popołudnia wyleguje się na łóżku, gniewa się, gdy mąż położy się na zasłanej i kapą klasyczną okrytej pościeli. W salonie kanapa, obita adamaszkiem szafirowym, kanapa z czarnego drzewa, kanapa, mogąca przynieść zaszczyt poczekalni dentystycznej, nie jest do tego aby domowi siadali na niej, a tem więcej się kładli. Żebrowski więc nie ma swojego kąta. Zresztą tu nikt nie ma swojego kąta. Wszyscy się ciągle ze swoją pracą, ze

swemi myślami przenoszą z pokoju do pokoju, jedni uciekają przed drugimi. Robi to wrażenie chwilowego popasu, pomimo, że to jest właściwie życie. Zaledwie myśl poczynie się przyzwyczajać do otoczenia i układać w warstwy, już podrywa się ją, przenosząc w inne środowisko. Rozproszone, jak stado ptaków, ściąga się z trudem, co wymaga dużego wysiłku.

— Proszę cię, Edek,—mówi Tuśka—idź teraz do salonu uczyć się; trzeba nakryć do herbaty.

Za chwilę:

— Proszę cię, Mundek, wyjdź ztąd. Pita będzie się ćwiczyć na fortepianie. Możesz iść do mego pokoju...

. . . . . .

Nie rozumie słodka dusza, że to nietylko „książki i zeszyty“ przenieść trzeba z sobą, lecz powlec z sobą coś więcej, coś ponad to, coś, co w takiej ciągłej tułaczce zagubić może właśnie najcenniejsze objawienia, jakiś blask, który mógł rozjaśnić mrok...

I to bezpowrotnie...

Gdy Tuśka tak komenderuje i przerzuca uczącemi się dziećmi, zdaje się jej, że właśnie wypełnia swoje obowiązki.

A w żardinierce ma rośliny, których broń Boże! nie powinno się ruszać z miejsca, bo tego nie zniosą... I chroni je, i stoją nieporuszone, bo zginą.

O Tuśko—wytrawna ogrodniczko!...

Czy znasz ty słowo — bezpowrotnie? Czy wiesz, co ręka twoja biała i pełna, wskazująca dziecku przerwanie nauki, rozprasza w tej chwili?

O Tuśko—dbająca o kwiaty!

. . . . . .

Żebrowski wreszcie oczy otworzył.

— Pito! — wyrzekł powoli — tam w palcie mojem, w kieszeni, jest flaszka. To syrop, dla ciebie, syrop Egera.

Jeden mój kolega daje go swojej córce i bardzo jej dobrze robi. Spróbuj. Kupiłem pół flaszki na próbę.

— Dziękuję tatusiowi!—mówi Pita.

Z hałasem wchodzi Edek. Wali koło ojca swój tornister. Po twarzy Żebrowskiego przebiegł nerwowy dreszcz. Zaciął usta. Edek zbliża się do ojca i natychmiast zaczyna:

— Prosiłbym ojca na podręcznik fizyki.

Przerażenie prawie odbija się na twarzy Żebrowskiego:

— Kupiłem ci przecież wszystkie książki przed zaczęciem roku.

Edek zaczyna przestępować z nogi na nogę.

— Tak... ale mi ktoś wziął...

Przybrał minę płaczliwą. Pita nie patrzy na brata. Czuje, że kłamie, że on sprzedaje książki, aby mieć kilka kopiejek w kieszeni. Ogarnia ją wstyd i wstręt.

— Szkaradny chłopak... — myśli — na co mu te pieniądze potrzebne? Ja nie mam grosza, a żyję.

Wchodzi Tuśka. Jest zdenerwowana, podniecona. To już czuć od progu. Chodziła z wizytą konieczną i do kościoła, i tak po mieście.

Dostrzega męża. Przygryza usta, które jej latają.

Przechodząc, rzuca:

— Dawno już jesteś?

— Chwilę.

— Cóż dziś tak prędko z biura?

Jakaś intencya jest w jej słowach. Pita doznaje nerwowego ściśnienia w piersiach. Ona zna ten ton matki i wie, o co jej chodzi. Tuśka wchodzi do sypialni. Słychać, jak z łoskotem otwiera i zasuwa szuflady. Żebrowski siedzi wciąż na sofie, jakby w oczekiwaniu jakiejś katastrofy. Edek podszedł do kredensu i pożera chleb, na który cichaczem posmarował trochę musztardy.

— Nie jedz musztardy — szepce Pita: —będziesz miał jeszcze więcej pryszczów.

— Co ci do tego?—Będę miał, to ja—a nie ty...

Nagle drzwi od sypialni się uchylają, ukazuje się w nich Tuśka.

— Proszę cię—mówi do męża—na słówko!

On się podnosi wolno.

— Służę ci...—mówi z niepokojem.

Idąc, nie śmie spojrzeć na dzieci.

Za chwilę przez przymknięte drzwi słychać urywane frazesy:

— A ja cię proszę, aby coś podobnego w moim domu nie było!

— Ależ zaręczam ci.

— Nie zaręczaj; ja wiem co mówię. Ja mam przeczucie. Każda uczciwa żona ma przeczucie w takich razach. Rób, co chcesz, po za domem... Na to już jestem zrezygnowana... ale tu... obok żony, obok dzieci...

— Daję ci słowo honoru...

— Och! wasze słowo honoru! Wy, mężczyźni, zawsze w takich razach dajecie słowo honoru!... Wstydź się! Ze sługą!

— Cicho! proszę cię!... dzieci słuchają.

— To dla nich nie nowina. One dawno to już widzą. Zresztą synkowie pewnie wstępują w ślady ojca. Może także... och!...

I tak dalej, dalej trwa ten ton podniesiony, a wyrazy padają dziwnie, walą poprostu we drzwi, jakby ktoś polanami w nie ciskał.

W jadalni Pita skurczyła ramiona i stoi nieruchoma przy stole. Wbiła oczy w obrus i przysłoniła je rzęsą. Czegoś się wstydzi za matkę, za ojca, sama nie wie, co się z nią dzieje. Edek je swój chleb coraz wolniej, wreszcie zasuwa się w kąt i przylega do ściany.

I pozostają tak oboje nieruchomi, przygnieceni, z nerwami, drżącemi dziwnem, nieznośnem uczuciem.

A potem ten smutek! ten straszny smutek, który się na nich wali i którego odeprzeć nie mogą...

Bo tam—znów *scena*.

. . . . . .

To jest niby nic, najczęściej wymiana zdań, ulga dla naprężonych nerwów, rozrzucanie słów, w które się nie wierzy; ot, poprostu dlatego, aby zająć dominujące stanowisko, aby *gnębić*.

I to jest... scena.

Spada zwykle nagle, nieoczekiwana, w chwili, gdy słońce zaświeci, gdy dzieci się śmieją, gdy jakaś uroczystość rodzinna stoi na progu.

Inicyatywę jej daje zwykle kobieta. Robi wtedy wrażenie kogoś, kto chwycił nóż wyostrzony i kaleczy się nim, krwią bryzga i czyni to dla niezrozumiałych przyczyn. Pod ścianami stoją nieruchomie i kurczą się drobne istoty. Nic nie zdoła określić wzruszenia, przez jakie przechodzi wówczas takie młodziuchne serce. Jakże ono starzeje, jakże ono rozwija się szybko, pijąc piołun życiowy. Ach! ileż mętów bije wtedy całym prądem w tę wątłą duszyczkę, nieumiejącą rozróżnić jeszcze prawdy od kłamstwa!...

Młodości jasna i czysta...

Dzieciństwo anielskie...

Śnie na kwiatach.

Uśmiechu porannych zórz.

Wiosenny czarze rozkwitających zbóż...

Poszumie młodych kłosów...

Świętości młodych serc...

I tych oczu szeroko rozwartych.

Zdziwieniem i pełnią miłości.

Ty wszystko—młodości o silnej a delikatnej koronce skrzydeł—jakże w ciebie biją bezlitośnie te słowa, te głosy, ta... *scena*.

I tragiczna jest ta twoja bezsilność.

Musisz milczeć, chłonąć w siebie, widzieć, jak się rysują boleśnie kryształy twych świątyń, w których przemieszkuje twa dusza...

Musisz.

I to najtragiczniejsze.

. . . . . .

Nagle z sypialni wysunęła się głowa Żebrowskiego. Był bardzo blady i znużony, powiódł po dzieciach tępym wzrokiem.

— Pito...—wyrzekł—zagraj co na fortepianie!

Pita wyszła do salonu.

Zrozumiała doskonale. Ojciec nie chciał, aby słuchała. I ona wolała także nie słyszeć tego więcej. Woli grać, choć ręce jej drżą i na klawisze natrafić nie może.

To, co rodzice mówili przed chwilą, to także należy do kategoryi tych rzeczy *złych*, przed któremi ona uciekać winna. Więc ciągle to samo. Co matka zarzuca ojcu właściwie? Tak się często to powtarza. Teraz, coraz częściej. Przedtem nigdy tego nie było, lecz mama powoli robi się ciągle czegoś zagniewana. To na ojca, to na nich. A głównie na sługi. Znieść ich mama nie może. I gdy się kłóci z ojcem, ciągle ta „sługa" wraca w rozmowie.

— Wstydź się—ze sługą!

Lub znowu:

— Winszuję gustu, sługa...

Ojciec na to:

— Ależ bój się Boga, takie straszydło.

— Daruj mi, ale nie mogę trzymać sług w innym celu. Sługa mi potrzebna do roboty... a nie do czego innego.

Co mamie się stało!... Pita uczuwa jakiś straszny niesmak i wstyd. A potem żal okropny, bezgraniczny. Zdaje się jej, że ktoś ją porwał za włosy i tarza w błocie, a ona krzyczy...

Z całą szaloną wściekłością zaczyna grać walca Chopina, gra w tempie tanecznem, fałszuje, radaby porwać struny i roztłuc fortepian. Ach! zemścić się za to, co jej czynią, za ten jakiś ból i smutek, który na nią walą.

— Odgródźcie mnie od siebie! — krzyczy w niej rozpacznie dusza — zostawcie mnie w ciszy, nie odkrywajcie przede mną nic. Ja nic nie chcę wiedzieć!...

Do salonu wchodzi Edek i zbliża się do fortepianu.

— Nie graj!...

— Ojciec kazał.

— Nie graj!...

Straszne zdenerwowanie jest także w głosie chłopca. Pita bije pięściami w fortepian.

— Odczep się!

— Nie graj!

Pochwycił pokrycie i opuścił je ciężko na ręce Pity, przytłukując je boleśnie. Ten ból ją opamiętał. Zaczęła płakać i łamać ręce. Edek chwilę patrzył na nią, wreszcie wyrzekł cicho:

— Przepraszam cię!

Wszedł Mundek. Za chwilę siedzieli wszyscy przy stole, każdy z oczyma wbitemi w talerz, z wyrazem twarzy zgnębionym i smutnym. Nieśmiało przekradł się ukośny promień słońca, zamigotał i zaraz uciekł. Tylko Tuśka spojrzała na talerz Pity i nakazała:

— Proszę Pity zjeść wszystek rosół.

Pita wlewać zaczęła żółtą wodę, która sprawiała jej nudności i przed którą jej organizm bronił się instynktownie.

Mundek odepchnął talerz z rosołem i siedział, pogrążony w swoich myślach.

Żebrowski kilkakrotnie zabierał się jakby do zapytania go o coś, lecz spojrzawszy na tę twarz ponurą i już urobioną, cofał swoje zapytanie.

Wnosząc sztukę mięsa, Marcysia pochyliła się ku Mundkowi:

— Proszę panicza, tam kolega czeka.

Po twarzy Tuśki przebiegł płomień.

— Proszę powiedzieć, że teraz obiad!—zawołała.

Mundek porwał się z krzesła.

— To niema nic do rzeczy—wyrzekł i wybiegł szybko.

Tuśka zwróciła się do męża:

— To z pewnością ten z drugiej oficyny. Powinieneś zakazać Mundkowi wdawać się z nim. To jest, Bóg wie co. Ładnych rzeczy się od niego nauczy.

Żebrowski podniósł na żonę wzrok pytający:

— Dlaczego?

— Cóż to? Nie wiesz? Przecież to jest syn tej pijaczki, która niedawno takie wrzaski wyprawiała na dziedzińcu. Teraz znów gdzieś znikła. Te dziewczyny i chłopak mieszkają znów sami. Stanowczo powinieneś zakazać Mundkowi przyjaźnić się z tym drabem.

Właśnie Mundek powrócił. Trzymał w ręku książkę jakąś, zawiniętą w papier i położył ją wysoko, na piecu.

— Proszę, żeby mi nikt tego nie ruszał — wyrzekł stanowczym tonem.

— Nie masz tu nic do rozkazywania — rzuciła mu oschle Tuśka.

— Ja nie rozkazuję, tylko proszę! — odparł Mundek i usiadłszy, pogrążył się znów w zadumę.

Pita doznaje ulgi, gdy ją matka wysyła do kuchni, aby była przy tem, gdy naleśniki będą „wysadzane" z formy.

Gorąco jest w kuchni i Marcysia uchyliła drzwi. Pita podchodzi do nich i chce nabrać trochę powietrza.

. . . . . .

W sieni, przy oknie stoi wysoki, chudy sześcioklasista, bardzo blady i mimo młodości zniszczony. Ten młody chłopak ma już zmarszczki i na twarzy obwisłą skórę. Światło jasne, bijące przez szyby okna, oświetla go bardzo ostro. Oczy duże błękitne, jakby załzawione, spotykają się nagle z oczyma Pity. Mundur na nim zniszczony, szynel za krótki, z rękawami, z których ręce uciekać się zdają. Włosy bujne, dawno niestrzyżone, niewyraźnego koloru, spadają mu aż na kołnierzyk, a z przodu, chłopskim sposobem, zakrywają czoło. Jest niezgrabny i nie sili się, aby być innym. Stoi, jakby wbity w ziemię i czyta coś, pochylony ku oknu. Pita zna go z widzenia. To jest Tarnawicz, ten syn pijaczki z drugiej oficyny. Nigdy jeszcze Pita nie widziała go jednak tak blizko i nigdy jeszcze Pita nie spotkała się tak z nikim bezpośrednio oczyma, jak z tym chłopcem w tej chwili.

Nie zmieszała się przecież. Przeciwnie. Jakieś nieokreślone uczucie spokoju przepłynęło przez nią ciepłym prądem. Te załzawione, błękitne oczy przesłały ku niej dziwnie kojące wrażenie.

— On jeszcze czeka na panicza! — mruknęła od kominka Marcysia.

Pita drzwi przymknęła, poczem wzięła półmisek z leguminą i weszła do pokoju. Gdy usiadła przy stole, Tuśka zapytała ją natychmiast:

— Czy ten pan... kolega, już poszedł?

Pita bez wahania odparła:

— Poszedł, proszę mamci.

Mundek spojrzał na siostrę. Ona wzrok mu ten oddała. Nieznacznie skinieniem głowy dała mu do poznania, że tak nie jest.

I Mundek po raz pierwszy miał dla niej jakieś lepsze, cieplejsze spojrzenie.

Gdy przysunęła mu cukier, podziękował jej grzecznie:

— Dziękuję ci, moja kochana!

To słowo, ten ton były w tem środowisku taką niespodzianką, tak czemś nieznanem, zwłaszcza ze strony Mundka, iż wszyscy podnieśli głowy i spojrzeli na niego.

Lecz on już przybrał swoją obojętną maskę i tylko Picie zakołatało coś w piersiach...

. . . . . .

Na podkładzie kłamstwa rozwijał się leciuchno jakiś kwiat o ciepłej barwie.

Było to niepewne, lękliwe, nieokreślone, ale było...

Może to w piersiach Pity zadrżało.
Lecz dlaczego na kłamstwie?!...
Dlaczego?

IV.

O Tuśko! co się to z tobą stało? ty śliczna, dziwna, pełna sentymentu Tuśko.

Byłaś sfinksem o różowych palcach i gąszczu złotych jak pela jedwabistych włosów.

Oczy twoje lśniły się gwiazdami, kark miał tony różanej jutrzenki. Szłaś w tej drugiej młodości twojej, jak we śnie gwiazdzistym, niosąc zapach twego ciała i srebro twego uśmiechu.

O Tuśko! co się z tobą zrobiło!

Palce twoje są zawsze różowe, włosy jeszcze więcej złote, lecz oto kąciki ust już się nie śmieją. Opadają raczej ku dołowi grymasem zniechęcenia. Czasem wgłębiają się, wciągnięte tajoną złością.

Bo ta miłość, która przesunęła się w tobie, tam, u stóp Gewontu, nie okryła cię płaszczem błękitnego rozmarzenia. Zakipiało w tobie i zaszemrało od huczących fal życiowych objawień, które się walą z potęgą żywiołową, druzgocąc i unosząc z sobą wszystko, co znajdą na drodze. I ze łzami rozpaczy, i z tragedyą twego serca nie spłynęły te fale, niosąc cię w wielką kojącą dolinę Tęsknoty i Piękna wspomnień. Odsunęłaś od siebie Pitę, którą ci jak bukiet kwiecia na piersi umarłej złożył twój sezonowy kochanek, gdy odchodził od ciebie w chwili rozstania. Odsunęłaś to dziecko, bo łzy, któremi, jak brylantami, stroiłaś jej włosy, miały źródło w niedozwolonej i szalonej namiętności. I miałaś w sobie ten instynkt niekalania świętości, a czułaś, że łzy twoje kalają czystą istotę twojej córki, a córka twoja jasna i cicha jest taką świętością...

Serce twoje rozkwitło wtedy wśród dławionego jęku w purpurowy, płomienny kwiat bólu, lecz zamiast nosić go, jak kryształową lampę pełną ciepła i promieniejącą, tyś — zapragnęła doznać jakiejś pociechy i ciepła jedynie dla samej siebie.

— To nic... to nic...—mówiły twoje zacięte usta.

W lustrze, umieszczonem w ścianie wagonu, widziałaś się ciągle piękną, rosłą, złotą, różową. Łzy błyszczały w twych modrych oczach, policzki płonęły.

— Jeszcze jest coś przede mną...

Taka niesformułowana myśl krążyła dokoła ciebie. I pocieszałaś się nią, nie wiedząc jeszcze o niej, jak zwierzęta na pustyni poją się bezwiednie przeczuciem chłodnego źródła.

Byłaś jeszcze tą Tuśką zakopiańską, tą sezonową pięknością z werendy u Płonki.

Byłaś nią *jeszcze*...

Lecz gdy weszłaś w progi swego ubogiego mieszkania, tam na Wareckiej, w oficynie, gdy owiał cię zapach naftaliny, pozostałej, pomimo starannego czyszczenia, w fałdach portyer, gdy zniszczony adamaszek mebli, stary połysk kredensu, wieczysty kurz w rzeźbie małżeńskich łóżek, i ta nieokreślona niczem atmosfera Skończonych Istnień ogarnęła cię na powitanie, zrozumiałaś w jednej chwili, Tuśko, kobieto o atłasowym karku, że i ty jesteś tylko Skończonem Istnieniem, niczem więcej.

— Kazałem nastawić samowar i przygotowałem doskonałą szynkę—mówi do ciebie mąż, ustawiając już parasole w głębi szafy, w przedpokoju.

A ty chciałabyś zapaść się pod ziemię, od razu już w grób, bo czujesz, że idzie powolny skon, skon dni, wlokących się szarością tragiczną, skon nocy bezsennych wlokących się czernią rozpaczy.

I w jednej chwili gaśnie i twoja uroda.

W lustrze „orzechowej“ tualetki, stojącej urzędowo pomiędzy dwoma łożami, twoje złote włosy mają krzykli-

wość i brzydotę fryzur, odpowiednich dla lalek woskowych. Taka, jaką siebie przywiozłaś od hal, od Tatr nie jesteś odpowiednią dla tych ścian zacieśnionych i brzydkich. Ukryj czemprędzej kark twój, różowy jak jutrzenka, Tuśko!... Ukryj go pod wysoki kołnierz ciemnej barchanowej matinki. Jest ci zupełnie niepotrzebny tak, jak już niepotrzebny ci jest srebrny ton twego głosu i rozkoszny dźwięk twego śmiechu.

Możesz „na rano" donaszać, zamiast pantofli, swoje stare kalosze i mieć czerwone flanelowe spódnice. Będziesz zawsze jednakowo kochana, szanowana, choć twoja Piękność gasnąć będzie codziennie, gasnąć z każdą chwilą.

. . . . . .

Tuśko! twoja piękność jest tu, na Wareckiej, tragicznie zbyteczną pięknością.

Zrezygnuj, Tuśko, zrezygnuj...

. . . . . .

Tak. Tuśka zrezygnowała. Ale nie bez walki. Jeszcze chciała olśnić, pociągnąć oczy ludzi ku sobie. Lecz była za sprytna, aby nie zrozumiała, że *środków* do walki nie ma.

Wśród piękna natury — jej wrodzony czar był owym środkiem. W fatalnej pseudo-estetyce miasta nie krasa i złoto, nie kalinna piękność lic i światło oczu błękitnych, lecz *oprawa*.

Oprawa, Tuśko! Słyszysz?

Szum jedwabnych spodów, strojnych koronkami i aksamitkami, przepyszna linia spódnic, krajanych ręką mistrza, lśniący lakier bucików, wykwintny dobór futer, jedwab i deseń koronek, spadających z mufki, czarujący zespół aksamitu, piór i kwiatów kapelusza, woalka utkana ręką czarodziejki, cały poemat breloków, dzwoniących na łańcuchu, migotliwy blask butonów, nawet puder bajeczny, owiewający twarz chmurą ledwo dostrzegalną...

Oprawa, Tuśko! Tuśko, oprawa!

Niema jej—i nie jesteś piękna.

Ogarnęła cię złość — ta wielka, przemożna Złość kobieca, która z nią wstaje i siada na łożu przyczajona i roześmiana urągliwie. Tego uczucia nie zazna mężczyzna. To drobny, mały zwierz, drapiący się w zanadrzu po za gorsetem, tuż koło serca, biegający po różowym naskórku z dziwną sprawnością i okrucieństwem. Niezadowolenie przerasta w jakąś rozpacz, a ta wylewa się falą ciągłej kłótni i nienawiści do życia, do ludzi, do warunków bytu.

— Nienawidzę! — zdają się mówić charakterystycznie zaciśnięte usta.

— Nienawidzę!

I zjawia się ciemna flaszeczka bromu, lecz i to nie pomaga wiele. Czasem, czasem następuje apatya. Jakaś melancholya — zacięcie ust — zgaśnięcie, jakby wyczerpanie oczu. I jednocześnie wzmożona pogarda dla samej siebie. A potem nienawiść wybucha jeszcze z większą potęgą. Nawet lustro staje się nienawistne. Po co? Po co? Na plecach pojawia się szal i to jego naciągnięcie klasyczne, kryjące kark i linie piersi.

Po co? po co?...

. . . . . .

Mówią wtedy o kobiecie dziwy.

— Czy czasem nie zaczyna się u niej histerya!

. . . . . .

Pita o tem nie wie i nie mówi. Tylko co jakiś czas rzuca ukośne na matkę wejrzenie. To złość kobieca, która się tak dziwnie rozpostarła w małem mieszkaniu, obija się o duszę delikatną dziecka, wywołując w niej jakieś słabiuchne i dalekie echa. Są dnie, w których Pita zaczyna stawać naprzeciwko matki z oczyma otwartemi szeroko i jakby motyl trzepocze się dokoła jej ust i rąk. Patrzą wtedy na siebie obie. Patrzą i Tuśka wzmaga swoje słowa, Pita wzmaga swoje milczenie. Lecz jest to już coś, co wykwita

pomiędzy *temi dwiema kobietami* — coś, jakby lekki płomień dziwny i nieuchwytny.

A prawie bolesny i straszny.

One to czują.

I dlatego rozchodzą się szybko, każda w swoją stronę i na resztę dnia mają w oczach jakby lęk, jakby wstyd.

Boją się siebie i tego, co jest w głębi ich źrenic, w głębi ich dusz.

Bo—choć to jest matka i córka.

To są—dwie kobiety.

Dwie potęgi, dwie Władze—dwie One.

Dwie kobiety!

. . . . . .

Pita nie chodzi już na pensyę, tylko uczy się „w domu."

Tak zadecydowała Tuśka. Pita chodzi na kursa prywatne, gdzie schodzą się panienki w jej wieku, a przytem jakaś nauczycielka dokończa edukacyi.

Tuśka nie ma programu co do linii wykształcenia Pity.

— Nie chcę, aby była w „Przedpieklu"—mówi sznurując usta.

— Nie chcę, aby była przemądrą i emancypantką — krzywi się znacząco.

— A potem... i tak za mąż pójdzie. A na żonę, miły Boże! *szkoda wszystkiego!* Jeżeli zostanie starą panną, to niech!

I następuje wymowne kiwnięcie ręką.

Czasem ogarnia Tuśkę szał praktycznego wychowania Pity. Daje jej do cerowania skarpetki braci, każe jej stać w kuchni i patrzyć, jak Marcysia gniecie ciasto i jednocześnie patrzy w okna sąsiedniego mieszkania. Nie wolno jednak Picie mówić z tą dziewką, która ma jakieś dziwne, impertynenckie uśmiechy i jakby pełno tajemnic w zanadrzu. Zakazy Tuśki jednak są zupełnie zbyteczne: Pita nie mówiłaby nic z Marcysią, oprócz krótkich urywanych rozkazów domowych. I tu Pitę ogarnia lęk rzeczy dziwnych

i niezrozumiałych. Każde poruszenie się Marcysi, każde szarpnięcie się jej sukien przejmuje Pitę niepokojem, ciemnych, głębokich nocy. Te spojrzenia, rzucane przez kucharkę na balkon sąsiedni, gdzie migocą mundurki studenckie, jej podchodzenie do okna, łaszące się i niespokojne, Pitę ogarniają niewysłowionem rozdrażnieniem.

Czuje, że dzieją się tu rzeczy niedozwolone, a przedewszystkiem *brzydkie*. W brzydkich tych rzeczach dominującą i główną nutą jest Marcysia. Sama brzydka, bo grubokoścista, z rękoma czerwonemi i sterczącemi włosami. A przytem subtelna istota Pity potrąca o ciężką istotę moralną tej dziewczyny, którą wyczuwa ciskającą się w siatce życiowej, jakby jakieś płaskie, ociekające zwierzę bezmyślne a złośliwe. To wszystko napawa arystokratyczną duszę dziewczęcia odrazą i niepokojem. Zaciska usta i sukienkę unosi wykwintnie, odsuwając się ładnym ruchem od komina i Marcysi. Gdy wróci do pokoju, czuje się nieszczęśliwą, bo jest cała przepojona wonią kuchni i jakby osypana moralnie brzydką warstwą popiołu. Zaczyna wtedy wgłębiać się w swój światek, stojąc przy szybie, jak te dziewczęta Maeterlincka, czekające tak ładnie na przeznaczenie. Pragnie pozostawić za sobą to wszystko, co ją przez te kilka chwil ściągnęło ku ziemi.

I leciuchno unosi się ponad ziemię. Niewiele, okruszynę. Gdyby ją kto zapytał, powie: kilka centymetrów! Ale i to dosyć. Coś błękitnego ją owiewa. Patrzy, patrzy... Ludzie chodzą po dziedzińcu dokoła klombiku. Tu i owdzie dziewczynka, druga, przylgnęła do szyby; fortepiany płaczą deszczem gam. To także jest życie. Ale dalekie od niej. Ona tylko jest widzem! widzem! I to oddzielone od niej szybami, przestrzenią, milczeniem...

O! środkiem dziedzińca idzie Ketling-rządca. Palto ma nowe. Śliczne! Kapelusz zniszczony, lecz Pita tego nie widzi. Och, Jezu! Jakże się w niej coś targa, to pomiędzy drobnemi, bieluchnemi piersiami. Jakże to dobrze,

że nikt do niej teraz nie mówi. Nie mogłaby nic odpowiedzieć. Żeby tylko *on* tu nie spojrzał. Kolanka jej drżą. Dziwne uczucie.

Jakby się jej pić nagle zachciało.

Ale to strasznie pić.

Ketling-rządca staje na środku dziedzińca. Patrzy do góry. Właśnie naprawiają dachy. Pita odsuwa się szybko od okna. Nie chce, aby ją dostrzegł w oknie. Dlatego, tłumaczy sobie, że dobrze wychowane panienki nie wyglądają przez okna. Dlatego jedynie. A może i dlatego, że nagle w drobnej, płaskiej jeszcze piersi brakuje oddechu... może.

Z drugiego pokoju, gdzie słychać przestawianie w kredensie naczynia, rozlega się głos:

— Pito! dlaczego nie siadasz do fortepianu?

A potem:

— Już jedenasta.

Martwo odrywa się Pita od ściany, do której się przytuliła. Podchodzi do pianina. Tak. Już jedenasta. A więc nie powinno nic tam łopotać w piersi, jak oślepły motyl. Już jedenasta! Litania gam powiększy się jeszcze o jeden głos. Litania chorobliwych gam. Na dziedzińcu rządca-Ketling śledzi żydowskich czeladników, uczepionych w powietrzu na dachu. Szafirowy cień palta podnosi piękne złoto brody. Wyniosły jest i smukły. Pita gra gamy chromatyczne w tercyach i widzi go, choć jest daleko od okna i plecami do światła. Ona go widzi dokładnie, przeczysto, jakby przez kryształową szybę jakiejś czarującej świątyni. Widzi go długo, ciągle.

Drobne usteczka różowe rozchyliły się. Jakby róża w promieniu słońca.

— Dziś proszę ćwiczyć Impromptu, pierwszą część... Pamiętaj, że źle dzielisz. Nie możesz wpaść.

Tak. Pita wie. Nie może „wpaść." Ale i to wie, że zawsze Impromptu grać źle będzie i że tam dziś u niej jakaś żałość śpiewa. Śpiewa, jakby wiatr nagle zaszlochał

po świeżo zoranych ugorach. Ach! jak to drży i rwie się w przestrzeni! Gamy chromatyczne jęczą, jęczą. I Pita poddaje się cała tym jękom, które wichrem biegą. Słyszy, że matka wyszła do kuchni. Urywa nagle. Nie może już dłużej. Głowa jej opadła na klawisze. Co z nią? Co z nią?... Boże wielki!

Dzwonek.

— Pito! otwórz!...

Zrywa się, biegnie do przedpokoju.

Odkłada łańcuch. Jakaś drobna postać kobieca.

— Pani sobie życzy?

Milczenie.

Dwie pary oczu toną w sobie chwilkę. Pita cofa się, prawie jakby zalękniona. I zostaje tak nieruchoma w ciemni przedpokoju. Tamta nie wchodzi. Stoi także nieruchoma. Patrzy. Zmrużyła teraz oczy. Pita wchłania w siebie linię szerokiej szczęki i dość zmysłowo rozwiniętych ust. To uderza na pierwszy rzut oka. Te usta jakby podane naprzód, jakby na coś czekające. Reszta, mało znacząca. Cera szarawa, włosy mysie, gładko przyczesane.

Tylko te usta.

. . . . . .

I od nich wieje coś dziwnego.

Są układne i zuchwałe. Są głupie i inteligentne. Jest w nich cała kobiecość i to co jawne i to ukryte. Śmieją się, choć się nie uśmiechają. Płaczą, choć kąciki równe i nie skrzywione bólem. Wabią, a przecież prawie są surowe. Jest w nich zwiędnięcie kwiatu i delikatność akacyowego listka. Tak pachnie od rosy porannej i tak odtrąca woń zaułków małego miasteczka.

Bije od nich coś dziwnego.

. . . . . .

— Pani sobie życzy?—pyta wreszcie Pita.

— Ja do szycia... Zamówiła mnie pani Żebrowska...

— A tak!

I Pita stwierdza, że jest bardzo głupia. Cóż znowu? Zalękła się tej szwaczki.

— Proszę. Zaraz mamci powiem.

Szwaczka wchodzi krokiem kota. Pita zauważa, iż ta dziewczyna, ubogo odziana, ma śliczne, szpiczaste lakierowane buciki.

— Może od kogo dostała—myśli Pita.

Tuśka idzie już naprzeciw szwaczki. Zaraz ją obejmuje w swoje posiadanie. Chodzi o przerobienie sukni Tuśki na Pitę. A potem o szlafrok, a potem...

— Szyć panna będzie tu, w jadalnym rano, a po południu to tam, gdzie się panowie nie będą uczyli.

„Panna" z pod oka rzuca szybki wzrok na całe umeblowanie i już rozebrana z kapelusza i żakieta siada przy maszynie.

— Dobrze, proszę pani!

Tuśka zajmuje się objaśnieniem, jak i co zrobić należy. Od pierwszej chwili widać, że „panna" jej się podobała.

— Jak imię?

— Władysława.

— Dobrze. Panna Władzia. Przedewszystkiem należy spróć. A potem zobaczymy.

— Dobrze, proszę pani.

Widocznie dobrze usposabiają Tuśkę ślady ospy na twarzy panny Władzi. Pita patrzy ciekawie. Nie widziała nigdy tak blizko ospowatej twarzy. Bezwiednie posuwa rączką po swoich gładziutkich, jak atłas policzkach.

Panna Władzia pochyla się nad szarym stanikiem i zaczyna nadzwyczaj zręcznie odprówać taśmę, naszytą w gzygzaki. Pracując, wysuwa język, czerwony, mięsisty i przyciska nim kąciki ust. Tuśka wychodzi do swego pokoju. Pita przez chwilę zajęta tą obcą istotą, wprowadzoną tak nagle do ich wnętrza, zapomina o rządcy-Ketlingu. Lecz nagle jakby ją coś schwyciło pod gardło. On jest

tam na dole i niepokój ją szarpie. Gdyby zbliżyć się do okna. Ale nie—nie. To niemożliwe. Przez kuchnię wchodzi Jaśka. Ma na sobie nową, turkusową flanelową bluzkę. Jest jej do twarzy. Wie o tem i uśmiecha się zwycięsko. Przyszła grać na cztery ręce z Pitą waryacye z „Hugonotów." Pita aż zaciska usta, tak jej ciężko w tej chwili mówić z kimkolwiek. Panna Władzia pokornie podnosi się i kłania Jaśce, a jednocześnie obrzuca z pod brwi krój turkusowej bluzki. Jaśka nawzajem otaksowała całą Władzię.

Pociąga Pitę do salonu.

— Chodź, będziemy grały.

Idą do pianina i siadają na taboretach. Śliczne wzięcia drobnych figurek i zaokrąglenia bardzo ładną linią na podstawie czerwonych taboretów. Z ramion spadają włosy jedwabne, dziewczęce, pachnące. Położyły ręce na klawiszach. Uderzyły w nie. Harmonijnie, równo.

Chwilę milczą. Wreszcie pierwsza mówi:

Jaśka: Cóż to za coś szyje?

Pita: To nowa szwaczka.

Jaśka: Szkaradna.

Pita: E!...

Jaśka: Tylko ma zmysłowe usta.

Pita: !!!

Jaśka: Ja na miejscu twojej mamy nie brałabym coś takiego do domu.

Pita: ?

Jaśka: Ja to rozumiem, co mówię.

Uwertura skończona. Rozpoczyna się błogosławieństwo sztyletów. Pita znów myślą wybiega za okno, tam gdzie koło sztachet złoci się dziwna, jedwabista broda. Chciałaby zapytać Jaśkę, czy spotkała na dziedzińcu rządcę, ale lęka się czegoś, boi. I nagle Jaśka sama mówić zaczyna:

— Widziałam rządcę. Ma komiczny nos.

Picie ręce drżą. Chce ująć się, odeprzeć podobny zarzut, ale nie może wymówić słowa. Tylko z serca jej jakby płynęła jakaś fala gorąca ku twarzy. Płynie, płynie,

oblewa ją całą i pozostaje na szyjce, na uszkach, aż het... do czoła białego.

Jaśka spogląda zdumiona.

— Pita!!!

— Co?

— Czegoś taka czerwona?

— Ja?

— Tak!... a! a!...

Milczenie. Coś padło między te dwie figurki z saskiej porcelany. Wreszcie Jaśka wzrusza ramionami.

— Masz też w kim.

— !!!

— No, no. Ja się znam. Ależ masz gust. On ma krzywe nogi i troje dzieci.

Pita porywa się od pianina·

— Czego ty chcesz? czego ty chcesz? Ja ciebie nie rozumiem.

Łzy jej drżą na ślicznych rzęsach. Przylegla do ściany. Wtula się w obicie, chciałaby zniknąć—zapaść się.

Jaśka nie podnosi się z taboretu.

— Moja kochana!—mówi spokojnie—to przecież chodzi po ludziach. To nawet dziwne, że dopiero teraz na ciebie przyszło.

— Co? co?

Jaśka widocznie jest zirytowana. Pita, cała drżąca, odwraca się ku niej. Patrzą na siebie, jakby nienawidząc się wzajemnie. Nie wiedzą jednak dlaczego. Tylko rzucają ku sobie jakby zatrute strzały—prosto w białe, znaczone stygmatem różowych płatków piersi.

— Słysz...—dysze jakby jedna — ta, która już wie— słysz, idzie ku tobie już ból największy twego życia, idzie to, co cię zszarpie i żywą w mogiły nieprzebranych tęsknot wtłoczy, idzie ku tobie to Straszne, które cię na morze uczuć ciśnie i będziesz po tem morzu szaleć i wyć z rozpaczy, i umierać wielokrotnie, a skonać nie będzie ci z tych śmierci sądzono...

Bo idą na cię śmierci bez skonu!

Idą na cię ogrody trujących kwiatów!

Idą ku cię bagna, na których migocą czarowne motyle.

Płyną ku cię purpury nie królewskie, ale męczeńskie; purpury, którą się już odziała liliowa twarzyczka twoja, mała Pito!

I nie wiesz, jak ją masz nosić, biedne dziecko. Nie wiesz, czy to maska klowna, czy tragiczne piętno cierpienia.

Stoisz bezradna, oczy twe czerwone otwarłaś szeroko, postać twa smukła przywarła się do złotawego tła obicia.

I mówisz:

— Co? co?

A tamta, „która wie“ — która już wpłynęła w mgłę trosk i tęsknot, rzuca ci przez zaciśnięte zęby:

— No, co? Zakochałaś się!...

. . . . . .

O! Pito, czy to być może? Czyś ty naprawdę zakochana, ty złotowłosa Pito?

V.

Pita siedzi i myśli, myśli.

Powiedziała mi: „Zakochałaś się!“ Jakież to straszne. Ona kłamie. Kochać można tylko męża. A przecież ten rządca, to... I Pita ciśnie ręce do piersi, na których jest medalik Matki Boskiej Częstochowskiej i bezwiednie zaczyna szeptać:

— Pomnij, o najmiłosierniejsza Panno Maryo...

Wchodzi Edek. Widział pannę Władzię. Zwraca się do Pity:

— Widziałaś?

Picie się zdaje, że zlatuje ze szczytu góry.

— Co?

— No, tę przy maszynie. Groch jej na twarzy dyabeł młócił.

— Och!

— Co: och?

— Jak można...

— E!... czemu nie idziesz nakrywać? Co tu robisz?

— Ja?

— Ty, masz podejrzaną minę. Musiałaś coś w kredensie złasować.

— Edek!...

Pita wstaje i idzie do jadalni. Jakże ona była teraz daleko od słoików z konfiturami agrestowemi, które dawniej były dla niej tak wielką pokusą. I zdaje się jej, że ją w tej chwili bardzo pokrzywdzono, że ta zbrodnia, przed którą się tak gorąco modliła, jest zarazem jakąś *godnością*, która ją wynosi ponad dawne drobiazgi życiowe.

Zacięła usteczka i nakrywa do stołu. Powoli wchodzi Mundek, następnie ojciec. Obaj spoglądają badawczo na odwróconą ku oknu pannę Władzię. Ona, jakby przeczuła wejście każdego z nich, bo podnosi się i kłania. I wtedy Pita dostrzega, że usta jej, jakby leciuchno, pokornie uśmiechały się. Błyskają dziwną purpurą i całą twarz ospowatą oświetlają, jakby nocna lampa wśród cieni alkowy. Pita odczuwa ten sam niepokój, jaki ogarnął ją tam, w przedpokoju, gdy otwierała drzwi tej dziewczynie.

Lecz to już gaśnie i znów jest martwo i na twarzy Władki i wogóle, w całej atmosferze mieszkania. Lecz niepokój Pity wzrasta. Jakby jakieś prądy nieuchwytne lekko przelatują i odbijają się o nią.

Przygotowuje na tacce blaszanej oddzielne nakrycie. Wie już z poprzednich bytności szwaczek w domu, że jadają wprawdzie w jadalni, ale oddzielnie — na rogu stołu, na którym pod oknem stoi maszyna do szycia. Do stołu familijnego, okrytego ceratą, nie bywają przypuszczane. Za chwilę siedzą wszyscy przy obiedzie i sumiennie pochłaniają zupę. Milczą, jak zawsze. Tylko Mundek jest więcej

jeszcze zamyślony, niż zwykle. Oczy świecą mu się dziwnie. Jakby coś drży mu pod skórą. Widać, że żyje cały w sobie, że przetrawia to coś, co przyniósł ztamtąd, zdaleka. Nikt, oprócz Tuśki, nie patrzy w stronę Władki, która je tak cicho, że zdaje się, iż umarła w swoim kącie. Ale wszyscy czują to coś obcego, nagle wtłoczonego w ich ciasne koło.

Po sztuce mięsa, Władka wstaje i wysuwa się do kuchni. Tuśka wiedzie za nią wzrokiem.

— Bardzo porządna dziewczyna! — mówi nagle apodyktycznym tonem.

Nikt nie przeczy.

— Bardzo mi się podoba! — powtarza dobitnie Tuśka, patrząc prawie wyzywająco na męża.

— Taka dziobata!—wyrywa się Edek.

Tuśka brwi marszczy.

— Cóż ztąd? Ona temu niewinna. A potem, co tobie do tego?

— Nic, tylko, że dziobata.

— To najmniejsza. Ale ma duszę piękną. Z pewnością *ta* się dobrze prowadzi.

Wszyscy milczą. Tuśka nakłada podwójną porcyę jarzyny nieobecnej pannie Władzi, jakoby w nagrodę za jej dobre prowadzenie. Nie czuje nawet, że odezwała się niewłaściwie zupełnie. Ona, która strzeże, aby Pita nie czytała powieści w fejletonach kuryerkowych, „bo może tam co być," ona, która nie tolerowałaby nawet wzmianek o ciąży pani Starościny w naiwnej i prześlicznej powieści Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, nagle wyjeżdża ze słowem dziwnem, wiodącem za sobą całe korowody domysłów, przypuszczeń...

Ze słowem, jakby firanka szczelnie spuszczona na okna, po za któremi w późną noc grają zmęczone jakieś ręce polki, drżące, nerwowo.

I płoną czerwone abażury.

Niby czerwone lampy tajemniczych świątyń...

Tajemniczych, a otwartych gościnnie i z których śmiech zdławiony wybucha.

Zdławiony śmiech.

Czem?

Łzami, wyciem gonionej z trzaskiem łamanych gałęzi i rogów sarny.

To wszystko wiedzie to słowo. I więcej jeszcze. Niepokój jakiś rzeczy przeczuwanych tylko, a takich rzeczy, które burzą, katastrofą w życie się walą.

To odczuwa instynktownie Pita, która oczy ocieniła firanką rzęs i siedzi nieruchoma, jak mały posążek.

Ona nie wie, na czem polega „złe prowadzenie się." Przedtem, dawniej, z tego, co słyszała, myślała, że osoby „złego prowadzenia" przedewszystkiem mają śliczne suknie jedwabne, w których chodzą na codzień, duże pióra białe, piją czekoladę trzy razy dziennie i że dla nich „codzień niedziela." *Za co* im przypada ta jedwabna dola — tego Pita sformułować nie mogła. Wykombinowała jednak, że takie kobiety zrezygnowały z doskonałych rozkoszy niebieskich i wprzeciwstawieniu do zakonnic, które znów umartwiają się w życiu doczesnem, aby opływać we wszystko po śmierci — będą dręczone, smażone, pieczone wieczność całą. Pochop do tego mniemania dał Picie obrazek, ujrzany na straganie w dzień odpustowy przed Wizytkami, gdzie w płomieniach piekielnych gorzała, wykrzywiając się boleśnie, ogromnie wydekoltowana dama z perłami wielkości kartofli na szyi i w silnie trawiasto-zielonej sukni.

Nad damą tą znęcał się z zapałem czarny dyabeł z purpurowym ozorem i kłół widłami obfite wdzięki osoby widocznie „złego prowadzenia się." Lecz... oto w rok później Pita popadła w wątpliwości. W suterenach domu, zamieszkanego przez jej rodziców, zjawiła się jakaś dziewczyna o rudych „pełechach" na głowie, wiecznie zaspana, i ledwo odziana w jakąś zagadkową czerwoną bluzkę. Pita kilkakrotnie spotkała się z tą dziewką w bramie i uczuła dziwny przestrach. Jakby się przesunął koło niej nietoperz, jakby wychudły tygrys, wypuszczony z klatki. Szybko przeszła w swych białych trzewiczkach i jasnym płaszczyku i potem cały dzień miała jakieś dreszcze dziwne wzdłuż krzyża. Uczucie to wzmogło się jeszcze, gdy posłyszała, jak matka mówiła do ojca:

— Ta ruda, to przecież najgorszego prowadzenia. Trzeba ją kazać wypędzić z suteryn.

Pita uczuła zamęt w głowinie.

Przecież „ta ruda" — jest ledwo odziana — lata boso i mieszka kątem w wilgotnej suterynie. Niema ani pereł wielkości kartofla, ani atłasowej sukni.

Znaczy się—dziw...

Ani tu na świecie dobrobytu, ani na tamtym świecie zapewnionego spokoju i szczęścia.

Więc co?

Źle prowadzące się kobiety mogą być bogate i ubogie.

W takim razie, co im pozostaje? Muszą się bawić...

Ale jak?

I tu Pita zapada w zupełną ciemnię. Może... piją.

Ale to nie dobre, bo Pita przypomina sobie, że w Zakopanem piła raz dużo słodkich palących rzeczy z panami i mamusią na werendzie u Płonki. Było jej bardzo miło z początku, ale potem niech Bóg broni. Nudności i tak, jakby się ciągle umierało. Więc tańczą. Tak. To już milsze. I dużo jedzą. I panowie je całują... Po plecach Pity przebiega dreszcz. To wielki grzech! One się nie bronią. Takie wydekoltowane i panowie je całują.

Tu się znów zamąca. Pita doznaje wrażenia, że ktoś zaciągnął przed nią firankę, jakby na te okna, z po za których słychać polki, śmiech, przeciągły wrzask, łkanie i często ciszę.

Tego wszystkiego panna Władzia nie robi. Mama tak mówi. Ale i ona, Pita, nie robi, i mamcia, i Jaśka, i dużo pań. A mama zdaje się za to Władkę chwalić i jakby wynosić ponad wszystkich. Więc ta panna Władzia mogłaby się *źle prowadzić*, ale nie chce...

I to jest widocznie wielka zasługa.

Pita ciekawy wzrok rzuca na Władkę, wracającą z kuchni. Cicho, skromnie przesuwa się w swej czarnej sukience i siada na dawnem miejscu.

Edek pokazuje Picie na policzki i robi gesty młócącego dyabła.

Pitę ogarnia pusta wesołość.

Tuśka dostrzega ten uśmiech i wyprostowuje się z godnością.

— Z czego Pita się śmieje?

Uśmiech Pity gaśnie.

Żebrowski pragnie uczynić jakąś dywersyę w tej „scenie," której mistrzem jest obecnie Tuśka, a którą to scenę przeczuwa w powietrzu. Zwraca się do żony:

— Czy widziałaś nowy szynel Mundka?

— Widziałam!—odpiera pochmurnie Tuśka.

Ten szynel, długo i troskliwie oglądany przez Żebrowskiego, leży w salonie na kanapie.

— Zapłaciłaś?

— Nie.

— Zostawiłem ci pieniądze jeszcze trzy dni temu.

— Wyszły na dom.

— A...

Milczenie.

Wreszcie Edek wyrywa się swoim kogucim głosem:

— Mamciu, ja teraz dostanę szynel Mundka.

Lecz starszy brat podnosi szybko głowę z nad talerza.

— Ja właśnie chciałem prosić, aby mi wolno było szynelem tym rozporządzić.

— Co z nim chcesz zrobić?

— Dam koledze.

— Pewnie Tarnawiczowi.

— To mniejsza. Dość, że potrzebuje. Marznie.

— Mnie też zimno — skomli Edek — ja ze swojego wyrosłem. A potem: taki wytarty.

— Ale masz coś na plecach — rzuca porywczo Mundek — a kolega chodzi teraz, w mrozy, w jednym mundurze.

Przed oczyma Pity przesuwa się sylwetka skurczona, smutna, młodego zziębłego chłopca, idącego w bieli śniegowej, gdzieś, het.

A śnieg na nią prószy..

Bezlitosny śnieg.

Pitę przejmuje dreszcz. Chciałaby z całej duszy zawołać:

— Dajcie mu ten szynel! i wszystko, wszystko... Zimno mu! on siny, śnieg na niego prószy.

Ale w te zimne myśli wpada głos Tuśki:

— To nie może być. Ja muszę stary szynel Edka sprzedać.

Żebrowski próbuje interweniować:

— Co ci handełes da...

— Cokolwiek. Chłopcy potrzebują kaloszy. Zanadto drą dużo butów. Muszę im kalosze kupić...

Nieubłagana, straszna rzeczywistość spada powoli ołowianemi skrzydły na tę garstkę ludzi, cisnących się dokoła stołu.

— Prawda—mówi krótko Żebrowski.

— Muszę...

— Tak, tak.

Mundek piękne czarne swe oczy podnosi znów na matkę.

— Ja będę chodził bez kaloszy.

— Tak—odpiera ironicznie Tuśka—a za miesiąc buty wymówią znów posłuszeństwo. Nie, mój drogi. Nie mamy na sentymenty.

— A więc któż takiemu da?...

Tuśka brwi ściąga.

— A *nam* kto da?—odpiera powoli.

. . . . . .

Wsunęła się do jadalni i stanęła cicho w progu najstraszniejsza z nędz.

Niby *pensya*, która powinna starczyć, a tu paszcze otwarte potrzeb niezliczonych, nieokreślonych.

I to wieczne udawanie, to pokrywanie, aby nawet łat nie dostrzeżono.

Bo to nie wypada.

Bo to urzędnik, córka, żona, syn.

A więc dziurawe buty. Ach! nie, to niepodobna.

Należą do inteligencyi. *Muszą mieć wszystko.*

Lecz kto im to wszystko da?

Więc milczą ciężko i smutno. Na młode głowy wali się ołowiana chmura.

Nie śmią oczu podnieść. Coś ich piętnuje, ciśnie. Taka troska czarna rozwiała całun i szarością powleka twarze.

Jak im tam smutno, jak im tam ciężko dokoła tego stołu!

U drzwi stanęła cicho najstraszniejsza z nędz i czeka u progu...

. . . . . .

W milczeniu wstają od stołu. Dzieci dziękują rodzicom za to pożywienie, które ostatecznie dać im jest tych rodziców obowiązkiem. Żadne bowiem dziecko o to życie nie prosiło. Nie mogło prosić, bo... nie istniało. Ale w każdym domu nie nadto arystokratycznym, dziękują dzieci za pożywienie. Pita składa resztki do kredensu, zbiera obrus, serwety. Tuśka wydziela Władce robotę i zabiera się do zwykłego zapadnięcia w poobiedni letarg w swoim pokoju. Edek przykucnął przy swem pudełku pamiątek, zwanem „trumną“ i chowa skrzętnie jakieś tajemnicze przedmioty. Mundek wyszedł do salonu i stoi tam tajemniczy i zamknięty w sobie koło okna. Nagle Tuśka zwraca się już we drzwiach sypialni do męża:

— Trzeba tego bałwana rządcę zawołać: niech raz obejrzy ten zlew i zobaczy, co się wyprawia.

Pitę, która rozkłada na stole serwetę z juty, ogarnia takie uczucie, jakby ją ktoś z całej siły uderzył w piersi. I z tego ucisku serca wykwita na jej twarzyczkę purpurowy kwiat rumieńca, który zwolna czarującym płomieniem oblewa aż po złoto włosów, bramujących czoło. Pita nie wie, co począć z sobą, a traci zupełnie przytomność, słysząc głos Edka.

— Pita!... proszę patrzeć, jak się zaczerwieniła.

Pita czuje, iż wszystkie pary oczu skierowane są na nią. I drży, i kurczy się i nie ma siły odwrócić się, ani uciec. Przychodzi jej na myśl ukryć twarzyczkę w ręce, ale i te biedne rączki podlotka są czerwone.

Gdyby choć fala rozpuszczonych włosów!

Możnaby niemi, jak złotą kratą, oddzielić się od tych spojrzeń.

Bo ojciec, mama, Edek—ach! nawet Władka nieznacznie patrzy...

Wszyscy.

A ona jedna bezbronna, cała w purpurze dziewiczego rozrumienienia, na progu nowego jakiegoś życia, które się ku niej otwiera...

Kwiatem szkarłatnym wystrzela ku niebu.

Bezbronna.

I taka czysta, taka cudowna w tej zorzy rumieńca.

. . . . . .

To szczęście, że nikt nic nie powiedział. Popatrzyli i, oprócz Edka, wszyscy obojętnie powrócili do swoich zajęć. Mama wyszła do sypialni, panna Władzia dalej szyje, a ojciec usiadł na sofie, obok maszyny. Powoli Pita ostyga, ale czuje, że teraz ciągle będzie popadała w niebezpieczeństwo rumienienia się. To winna Jaśka.

Wszakże ona pierwsza...

Ach, nie. Pita myśleć o tem nie może.

Jakże tak? Czyż to byłoby... dowodem?

Żebrowski siedzi na sofie napozór martwy, pali małe półcygarka. Nie patrzy niby na nic, ale widoczne jest, iż snuje w sobie to, co było przed chwilą. A więc owe nieszczęsne:

— Trzeba na to, i na to, i na to...

Może liczy, może odejmuje sobie, może...

Kto wie zresztą, co się w głowie tego drewnianego napozór dziadka dzieje. Ot, tak siedzi, jak codzień, zmarszczony, zmęczony pośpiesznem połykaniem jedzenia. I żołądek trawi już z trudnością. Więc to wszystko męczy go. Zamyka oczy, ale siedzi wyprostowany i liczy może...

— Trzeba na to...

Nagle jakiś głos łagodny, cichy...

— Może pan dobrodziej pozwoli sobie podać...

Żebrowski otwiera oczy, jakby przerażony. To szwaczka, ta Władzia, przechyliła się od swej maszyny i podsuwa mu delikatnie poduszkę, rzuconą na sofę.

Żebrowski się zrywa.

— Dziękuję, ja zawsze, ja...

— Tak będzie przecież wygodniej.

Purpurowe usta mignęły. Ach! rozwarły się, jak kwiat granatu. Żebrowski doznał jakby olśnienia. Mimowoli usunął się na drugi koniec sofy.

Władka odwróciła się ku oknu, szyje dalej zawzięcie.

Kwiat granatu zbladł, cały jakby zgasły.

Całą tę scenę widzi i chłonie w siebie Pita.

To jest przecież nic; ot... prosta grzeczność, staranność o wygodę pana domu. Ale przedtem nikt nigdy tak się do ojca nie zwracał. Ani nawet matka, ani żadna z poprzednio szyjących szwaczek, ani ona—Pita.

I to coś nieuchwytnego, coś, co w Picie wzbudza jakby wstyd.

Jakie to dziwne. Przecież to nic, to prosta grzeczność, staranność o wygodę pana domu.

Dlaczego Picie wstyd?

Jak cicho dokoła: Musi już być koło jedenastej. A więc to późna noc. W taką noc pisze się takie listy. I ma się gorączkę w duszy. Pita ma gorączkę w duszy i rzeczywiście jest jej jakoś dziwnie. Dreszcze po niej chodzą. Nudzi ją chwilami. Należy się położyć i okryć dobrze, bo tu w saloniku zimnawo. Ale przecież marzyć tak, gdy świeca dogasa i cienie po ścianie tańcują—to miło.

Dawniej Pita kładła się zaraz i naciągała kołderkę aż ponad różowe uszka. Teraz siedzi ledwo okryta.

Gorąco jej.

Gorączkę ma w duszy.

Jak cicho!

Tylko Mundek jeszcze nie wrócił.

Pita wie, dokąd on poszedł. Posłyszała dziś (o, niechcący!) na schodach rozmowę Mundka z Tarnawiczem. Drzwi od kuchni były uchylone, ona prasowała sobie koronkowy kołnierz. Mundek był bardzo wzburzony. Tarnawicz także. Obaj ciągle powtarzali:

— Niepodobna dłużej z nim wytrzymać...

Tarnawicz dodał:

— Może taki zbiorowy protest całej klasy coś pomoże.

Mundek wybuchnął śmiechem.

— Zwaryowałeś? Przedewszystkiem rada szkolna taki protest rzuci do klozetu, a potem, co ty mówisz o zbiorowym? Zawsze się znajdą lizunie i wykręcą się od podpisu.

— A ja ci ręczę, że nie.

— A ja, że tak.

Chwilę milczeli obaj.

— Więc co? więc co?— podjął znów Tarnawicz.—Takiego prześladowania znieść od niego dłużej niepodobna. Trzeba coś z nim zrobić.

Mundek odparł zmienionym głosem:

— Ja wiem co zrobić należy.

— Powiedz mi...

— Powiem niezadługo. Teraz jeszcze nie pora. Teraz jeszcze walczę i nie mam dość sił.

— Mundku!...

— No, no... nic. Masz szynel. A kiedy mi go oddasz?

— Nie mam pojęcia. Mam dwie korepetycye... a potem... znów gdzieś znikła.

— Znów?

— Tak, muszę szukać.

— Tak, tak!

I znów zapanowało milczenie. W sercu Pity, jakby wzrastało wielkie wzruszenie. Sama nie wiedziała dlaczego. Lecz przed nią były jakieś tajemnice mężczyzn, tajemnice dziwne, które ją często niepokoiły. Ktoś znikł Tarnawiczowi. Jakaś kobieta. Szedł szukać ją w zawieje śnieżną. Dokąd? Po co?

Słyszy głos Mundka:

— Poszedłbym z tobą, ale stary szynel matka schowała.

— Może ci ten nowy potrzebny?

— Nie pytaj, bierz. Ja idę do ciebie na górę. Biorę książki, będę się uczył.

— Przykażę siostrom, żeby ci nie przeszkadzały. A zresztą, one, biedaczki, takie pomartwione...

— Tak, tak. Daj im spokój.

I potem kroki słychać rozchodzące się. Tarnawicz idzie szybko w nowym szynelu Mundka na dół, a Mundek biegnie wysoko na trzecie piętro do mieszkania kolegi.

I tam siedzi, siedzi do tej chwili. Widocznie Tarnawicz szuka tej, która znikła, tam gdzieś w ciemni, i śnieg na niego pada.

Ale mu nie zimno. Dobry Mundek dał mu swój szynel.

I Pita czuje jakąś radość, że Tarnawicz nie marznie. Duże, głębokie oczy stają przed oczyma Pity. Patrzą na nią tak spokojnie, tak dobrze. Pitą czuje, że nie umiałaby temu chłopcu sprawić jakiejś przykrości.

Jak dobrze, że on nie marznie.

. . . . . .

Rozłączyć się dziś z tobą muszę,
A żyć bez ciebie już nie mogę...

Zdaleka, jak tony harfy płyną ku niej te słowa. Jakie smutne, jakie rozpaczliwe. Może to pisze mąż do żony, od której musi odjechać, albo lepiej narzeczony do narzeczonej. Tak — pewnie. To narzeczony do narzeczonej. Tylko co znaczy:

Wrosłaś mi w krew, weszłaś w duszę...

Tego Pita już nie pojmuje. To wielka, dziwna moc i tajemnica. Ktoś komuś wchodzi w krew, wrasta w duszę... Jak kwiat, silnie, strasznie. I potem ta krew pulsuje, bije do głowy...

Rumieńcem oblewa twarz...

Jezu! Jezu!

Pita chwyta się za policzki. Od wczoraj czerwieni się ciągle, ile razy ktoś wspomni o rządcy. Czyżby to było? czyżby?

O Jezu!

Złotą głowiną w kaskadzie włosów falujących wali się Pita na poduszkę, jakby zmożona tem odkryciem. Koszulka turkusowa jest blada i bardzo przejrzysta. W niepewnem świetle różowy atłas delikatnego ciałka dziewczęcego cudownie przegląda. Kołderka błękitna zsunęła się i tylko stopki okryte. Wygięcie krzyża znaczy się nadzwyczaj elegancką giętką linią. Pita jest w tej chwili cudem rozwijającego się kwiatu. Zwaliła się na nią burza, do której powierzchownie nie była przygotowana. Oto przyszła *miłość* i garnie ją ku sobie. W głębi istoty Pita już czekała na to przyjście. Lecz teraz za słaba jest, za biedna. I musi się kryć. Musi tak walczyć sama.

Do matki pójść? zwierzyć się?

Jakże—to niemożliwe! Tak daleko Pita jest od tego, ażeby módz przytulić głowę do piersi matki i tam szukać siły, obrony. Boi się, wstydzi. Widzi już zdziwienie i obu-

rzenie matki. Ach nie! Prędzej przed księdzem w konfesyonale, niż przed matką, można mówić *takie* rzeczy.

Boże! Boże! dlaczegoż to na nią przyszło? Co chce od niej mara tego człowieka? Dystyngowana, smukła mara, która ją tak okrutnie prześladuje. Dusza jej zaczyna się tem męczyć. Buntuje się jeszcze, zanim się podda w rezygnacyi zupełnej. Ale już ginie, jak ptak, padający na podłogę klatki, gdy poczuł, że nic nie podoła.

Wrosłeś mi w duszę...

Rzeczywiście, coś w jej duszę wrasta. Silna, potężna żelazna dłoń, uzbrojona szponami. Jakże nią szarpie w tej ciszy, jak strasznie.

Przez kuchnię słychać kroki.

Drzwi do saloniku uchylają się. Staje w nich Mundek. Pita porywa się, odgarnia włosy, podciąga na ramiona koszulkę, okrywa kołdrą. Zdaje się jej, że była gdzieś daleko, daleko, że ją brutalnie strącono z jakiejś krainy, gdzie jest świetlana jaśń i purpurowa męka, w ciasną klatkę rodzicielskiego mieszkania.

Mundek wchodzi do saloniku, patrzy na siostrę zmęczonemi oczyma.

— Dlaczego Pita nie śpi?

— Nie wiem... czesałam się...

Mundek stoi smukły, gibki w narzuconym na plecy szynelu. Pita w jednej chwili przypomina sobie Tarnawicza i to, że ktoś zginął, jakaś kobieta... Mundek ciemne plamy swych cudownych, gorejących oczu utkwił w drzwi, prowadzące do jadalni.

— Nie wiesz... czy matka już śpi? — pyta wreszcie wahająco.

Pita wie, że Mundek boi się wymówek, boi się sceny za to, że późno wrócił do domu.

— Nie wiem!—odpowiada, ale zaraz dodaje:

— Poczekaj... ja zobaczę!

Mundek spogląda na nią zdziwiony. Dlaczego jest taka chętna do usług? Jakaś łagodna — ona, zawsze tak sztywna i tak w sobie zamknięta.

— Proszę cię... idź!

Pita powstaje, owija się szczelnie błękitną kołderką, otula płaszczem złotych włosów. I ze swoim delikatnym a rzeźbionym profilem przypomina zupełnie Anioła ze słynnego Saszy Szneidra „Spotkania.“ Ta sama smukłość linij, równy spadek bioder i zapatrzenie się głębokie oczu, jakby rozżalonych i pełnych dojrzenia tego, co dla innych niezrozumiałe.

— Idę... ty siedź tutaj.

Cichutko szeleszczą bose stopki po posadzce. Mundek usiadł na kanapce, opuszczonej przez Pitę. I on ma dziwne zapatrzenie w głębi swych ciemnych źrenic, lecz jakby to już był smutek świadomy, ogromny, smutek, ogarniający masy i wchłaniający w siebie jakieś olbrzymie cierpienie zbiorowej potężnej niedoli.

I tak cicho dokoła.

Pita przesuwa się przez jadalnię. I tu przy ogarku świecy Edek wpół leży na swej sofce, w spodniach mundurowych i koszuli. Na plecy ma narzuconą chustkę włóczkową Pity i „obkuwa“ — a wyrazy rosyjskie padają świszcząco a miękko cichym szeptem. I tu ogarek podzielonej przez Tuśkę na kawałki świecy dogorywa, a chłopiec wytęża wzrok, wytęża umysł, wytęża martwiejące usta.

Pita przesuwa się ku sypialni rodziców. Cisza tam zupełna. Tuśka, z wyczerpanemi nerwami całodziennem szamotaniem się z samą sobą i innymi, usnęła. Żebrowski leży nieruchomy i stara się nie chrapać. Tuśka bowiem budzi się zaraz i woła głosem, rozpaczy pełnym:

— Ach! z tem chrapaniem!...

On kurczy się, poprawia, przeprasza i leży z otwartemi oczyma, myśląc:

— Boże! już niech nie zasnę... lepiej niech nie zasnę...

Lecz znużony bardzo, z organizmem wyczerpanym nawskroś, zasypia po chwili i chrapie, chrapie...

. . . . . .

To nic.

To głupstwo, to chrapanie w alkowie małżeńskiej.

A przecież...

Zbudzona, zdenerwowana kobieta powoli zaczyna przychodzić do świadomości. Najczęściej jest to właśnie jedno z tych drobnych istnień, materyalnie zgnębionych, fizycznie wyczerpanych, duchowo targających się, jakby w klatce. A więc sen, marzenie... cisza—może nicość, może demony, o wielkich, stulonych skrzydłach i bladych cudownych twarzach rozwierają miłośnie brylantami lśniące oczy i wyciągają ręce...

To wszystko śni kobieta o zżółkłej cerze i pomarszczonej wcześnie szyi, otulona perkalowym kaftanikiem, oszytym szydełkową koronką.

Demony, łąki kwietne, życie bez troski, motyle błękitne i uczciwa, chętna w pracy służąca...

To wszystko.

A może co jeszcze cudniejsze.

Wielkie, bezbrzeżne *nic*. Odpoczynek strudzonej duszy, która kąpie się w ciemni Nirwany.

Biednego małego ducha przeciętnej kobiety.

I z tego spoczynku, z tych snów, w których świecą brylanty oczu demona, z tych dziecięcych wspomnień i altan, oplecionych powojem, wydziera kobietę brutalnie przemocą jakąś okrutną—chrapanie, trywialne proste chrapanie...

Powoli nerwy drżą, nerwy spragnione ukojenia, nerwy biedne, zszarpane rachunkiem ze złodziejką sługą i obliczaniem: „czy starczy."

Drżą, wiją się, modlą o ciszę... Nic nie pomaga. Ciszy tej niema. To zdaje się nic, a to tak wiele! Jakaż to powolna nienawiść wzbiera całą masą w głębi serca ku temu, który sen płoszy!

Te oczy, wpatrzone w ciemnię lub w czerwonawe światełko drobniuchnej lampy, jakąż dziwną mają moc i jaki nieokreślony wyraz!

Wszystkie urazy, kłótnie, przeciwności, zawody wypełzają, jakby z nor i otaczają zbudzoną kobietę. Ona leży cicho, a w niej coś wre, coś się kłębi.

Nigdy sama!

Ciągle, ciągle, nawet w tej krainie ulgi, w tej krainie ciszy...

Jakże powoli rodzi się żal, wstręt, ból...

Mężowie, którzy chrapiecie, idźcie raczej spać do przedpokoju, gdzie chcecie, zapracujcie się do reszty sił na jeden jeszcze pokój, wyłącznie dla siebie, tylko nie płoszcie snu z oczu żony, zostawcie ją w krainie snu, w której dusza człowieka waży się z rozpostartemi skrzydły, jak ptak w powietrzu, ptak milczący, zbolały, nie pragnący już niczego, tylko ciszy i spokoju.

. . . . . .

Pita powraca cichutko ode drzwi sypialni rodziców. I znów spogląda na Edka, który leży nieruchomy z oczyma przyciśniętemi rękoma i powtarza Lermontowskie „Dwa Wielikana."

Na szelest bosych nóg Pity, przerywa swą monotonną litanię i patrzy chwilę na siostrę zmęczonemi oczyma.

Potem z wysiłkiem unosi się na łokciu i macza chustkę do nosa w szklance wody, stojącej na krzesełku, obok sofy. Tą zimną wodą przemywa sobie klejące się do snu oczy. Lecz głowa mimowoli opada. Edek zdobywa się na heroizm. Podnosi się i osuwa na klęczki obok sofy. W tej pozycyi zaczyna znów powtarzać wiersze Lermontowa.

Brzydki jest, biedny jest, zmęczony bardzo. Cała młodość, dławiona bezmyślną torturą, aż jęczy tragicznie i o miłosierdzie prosi.

Pita stoi nieruchoma i patrzy zdziwiona:

— Edek! co robisz?

— Uczę się. Idź sobie!

— Dlaczego klęczysz?

— Bo w ten sposób nie zasnę.

I znów „Wielikany," znów Lermontow, w ciszy nocnej, jakby węzły sznura ktoś przesuwał.

Pita się wsłuchuje:

— Masz złe „udarenje!..."

Edek zwraca się do niej gniewnie:

— Patrzcie ją, będzie mnie krytykowała. A ty może masz lepsze?

— Kobiecie niepotrzebne tak znowu prawidłowe „udarenja"—mówi Pita z powagą—ale mężczyźnie!

Edek rzuca na nią pochmurne wejrzenie:

— Ja pojadę na uniwersytet do Galicyi—mówi jakimś dziwnym, nienaturalnym głosem.

— *I będziesz tam żył?*—pyta po chwili milczenia.

— Spodziewam się. My tak wszyscy zrobimy.

— Kto? wy wszyscy?

— Tacy jak ja... no... my wszyscy... a zresztą idź spać. Czego łazisz? Ja będę dalej kuł.

I rozkrzyżowany, przegięty na swej pościeli, z oczyma ociekłemi wodą, zaczyna znów powtarzać wiersze Lermontowa.

Pita wychodzi z pokoju.

. . . . . .

W saloniku Mundek wciąż w szynelu siedzi na pościeli Pity i czyta porzucone przez nią pismo, czyta erotyk, płonący cały żarem i tchnący zmysłowością.

Pita siada obok niego na krzesełku, na którem porządnie poukładała swe ubranie i bieliznę. Ciągle owinięta w cienką kołderkę, jak statuetka czarująca i jasna. Patrzy na Mundka i myśli, czy mu opowiedzieć o zamiarach Edka. Do Galicyi!... na całe życie. Jakie to straszne powziąć takie postanowienie. I tylu ich! Wszyscy koledzy Edka... Mój Boże!

A może i Mundek także? Kto wie! Kto może wybadać, co on zamierza. Taki milczący, tajemniczy. Tyle ma w sobie jakiegoś smutku, gdy zjawi się w domu.

A przecież Pita go więcej kocha, niż Edka. Pita, naprzykład, w tej chwili pragnęłaby coś dobrego dla niego uczynić—przynajmniej mu powiedzieć, że ma to pragnienie.

Ale się boi.

Czuje, że *świat jego nie jest jej światem.*

Zdobywa się tylko na powiedzenie:

— Rodzice śpią; możesz iść cichutko!

On nie odpowiada jej, czyta wciąż erotyk. Lecz słyszał jej słowa, bo skinął głową. Pita chciałaby się spytać, czy Tarnawicz zdołał odszukać ją, tę tajemniczą, i czy Mundek wie, że Edek... Słowem, tyle pytań ciśnie się jej na usta, lecz Mundek wstaje nagle i zabiera się do odejścia, unosząc owo czasopismo, znalezione obok posłania Pity.

— Dlaczego ty takie duractwa czytasz? — pyta, przeszywając ją ostrem spojrzeniem.

Pita wsuwa głowę w ramionka.

Złote włosy okoliły ją i spadły deszczem na jej szyję, na jej złożone ruchem bizantyjskiego anioła rączki.

I silniej, niż wszystko, pulsuje w niej znów myśl o Ketlingu-rządcy, o jego smukłej postaci, o tym czarze, który go opływa i jakby ponad ziemią niesie.

— Byle się znów nie czerwienić, gdy o nim będzie mowa.

To jest gorączkowe pragnienie Pity.

— Byle tylko!... daj Matko Boska... wszyscy poznają... Ucieczko grzesznych... Pod Twoją obronę... byle się nie czerwienić!

Och, jakie to dziwne, cudowne kwiaty mienią się na szybach w błękicie księżycowych blasków. Cóż to za świat czarowny, jakiś las bajeczny, o srebrnych paprociach, o akacyach, o palmach brylantami osypanych.

— Matko Boska... byle kiedy o *nim* mowa... się nie czerwienić...

Modli się białe dziecko o złotych włosach, całe skąpane w blaskach księżyca.

I jak zmora nagle ku niej pozornie miłe, pozornie łagodne nadpływa:

Z gorączką w duszy—w cichą noc,
Trawiony żarem tęsknych snów,
Piszę do ciebie—muszę, wiedz...
Pomówić z tobą muszę znów...

Serce Pity łopoce — lęka się, trwoży. Rękoma przycisnęła piersi drobniuchne. Oczy szeroko otwarła. Pociemniały, jak dwa czarne bratki, rzucone na biel śnieżną. Cierpi, och! jak cierpi Pita!

Wrosłaś mi w krew, weszłaś mi w duszę,
Choć krótką z tobą dzieliłem drogę.
Rozłączyć się dziś z tobą muszę...

Łzy dławią Pitę. Zdaje się, że jej ktoś w serce stalowe szpony zanurza...

A żyć bez ciebie...

Usta ma zaciśnięte prawie do krwi. Z oczu płyną jej łzy. Srebrne łzy, drżą, srebrzą brózdy na białych policzkach, srebrne, gorące łzy kobiety, która—*kocha!*

O! wielkie święte słowo.
Czaru i bólu pełne.
Wypełzasz jak gad...
Wykwitasz jak kwiat...
Słońcem i ciemnią.
Archaniołem tęczowym.
Demonem żałobnym.
Czarą rubinową.
Welonem tkanym gwiazdami.
Śpiewem „Salve Regina."
I hosanną o królewskiem brzmieniu...

To wszystko otacza biedne małe białe dziecko, leżące w smugach księżyca ze złożonemi rączkami.

Pito! biedna mała Pito!

Sama jesteś dziewczynko ty złotowłosa, sama zmagasz się z tem silnem nieznanem, a dla ciebie strasznem.

Tyś powinna położyć głowę na piersi matczynej i cicho powiedzieć jej twój ból i łzy.

A ona powinna ci odpowiedzieć równie cicho cały sznur słów, które są, jak rosa dla kwiatów.

Tak powinno być, Pito.

Ale tak nie jest nigdy...

. . . . . .

Bo tam, na ulicy Wareckiej dzieje się rzecz na pozór zwyczajna i codzienna w życiu ludzkiem.

Oto *rodzina*.

Troje dzieci i dwoje rodziców pod jednym dachem w ciszy nocnej czynią obrachunki *dusz* własnych.

I każde z tych dzieci zmaga się z jakąś siłą olbrzymią, za ciężką na ich słabe barki.

I ten Mundek smutny, tragiczny, zacięty jakby w jakiemś postanowieniu niezłomnem.

I ten Edek, klęczący z rękami rozpostartemi, z oczyma zalanemi wodą, powtarzający bezmyślnie słowa, od których nic się w jego sercu nie porusza.

I ta Pita, walcząca z tragicznem przeznaczeniem kobiety, z tą siłą miłosną, dławiącą jej drobne istnienie.

To wszystko, ten drobiazg, ten klomb młodego kwiecia, walczy, męczy się samopas, błądzi, cierpi, ciernie w duszę wciska.

Rodzice zaś, albo śpią, zmęczeni pracą, albo, jak Tuśka w tej chwili, kombinują, czy mundurek Mundka przyda się na Edka, czy szewiot na sukienkę Pity ma być granatowy i czy nie wypadałoby zacząć uczyć Pitę trochę śpiewać.

— Zawsze to lepiej, jeżeli panna ma trochę talentów—myśli Tuśka.

Zbudził się Żebrowski. Leży cicho i myśli także o dzieciach:

— Tak! wyjdą *na ludzi*, ale ciężko, bardzo ciężko. Niechby się tylko uczyły...

Zapominają ci rodzice, że są światy, w które wprowadzić trzeba te dzieci, które niepewne i wahające stoją u progu i lękają się, trwożą, olśnione i odwracają się w stronę pierwszej młodości, która od nich umknęła i tylko wichrem wspomnień po ugorach wieje.

Niechby rodzice pamiętali, że nietylko ciała ich dzieci, lecz i *dusze ich rosną.*

Dusze ich rosną.

Niechby to głównie pamiętali.

Niech!—

VI.

Pita jest jakaś chora. Głowa jej cięży. Dreszcze po niej chodzą.

— Zdaje ci się!—mówi Tuśka.—Lepiej nasmaruj chleba z powidłami na podwieczorek dla panny Władzi.

Pita z trudnością przełyka ślinę. I gardło ją boli. Sam widok powideł sprawia jej nudności. Tak jest jej od rana. Poty ją oblewają. Przytem płakać się jej chce. Pragnęłaby zwinąć się w kłębek i tak leżeć, ani się ruszyć, w kąciku. Wykonywa rozkaz matki i zbliża się do panny Władzi z talerzem, który stawia na rogu maszyny.

Matka czyni jej cierpką uwagę:

— Czy chcesz, żeby talerz spadł i stłukł się?

Panna Władzia czemprędzej interweniuje:

— Niech się pani na panienkę nie gniewa.

I w rękę całuje Tuśkę obleśnie.

Tak się ta panna Władzia w domu zaklimatyzowała, tak jakoś dziwnie.

Picie się zdaje, że ktoś wstawił nagle do nich doniczkę z brzydkim kaktusem i że ten kaktus codzień rośnie, choć napozór mało miejsca zabiera.

Panna Władzia umie znaleźć drogę do łaski Tuśki.

O innych zdaje się nie troszczyć. Wie, że dzieci jej nie cierpią i nie dba o to. Jeszcze tylko czasem z Żebrowskim zamieni krótkie słowo. Wtedy twarz jej się dziwnie zmienia. Jest prawie ładna.

Pita z jakąś intuicyą pochwytuje te chwile i wchłania je w siebie i... panna Władzia jednak oprócz owej podsuniętej poduszki i kilku nic nie znaczących przysług, nie manifestuje żadnej zbytecznej uwagi Żebrowskiemu. Lecz co uderza Pitę, iż te drobne usługi, te „pan dobrodziej," zamieniane są zawsze wtedy, gdy Tuśki w pokoju niema. Pita mimowoli ogląda się na drzwi, po za któremi jest matka. Choć przecież nic się nie dzieje, jednak w Picie wzrasta jakiś niepokój. Coś jakby już znanego dawniej tam pod Gewontem, gdy szemrało jej serduszko niewyraźnie, podczas gdy matka i Porzycki przed domem w księżycową noc siedzieli, rozmawiając cicho.

Nie to jednak niepokoi Pitę, nie to jedno. Główne i straszne, co w niej wzrasta, to owe płomienie, oblewające szkarłatem jej śliczną twarzyczkę, gdy kto wspomni o rządcy. Edek odczuł, czem sprowadzić może rumieńce na twarz siostry. I teraz każdy obiad jest torturą Pity. Ona wie, że kilkakrotnie Edek zacznie mówić „coś o rządcy," a ona obleje się krwią różaną, jak jutrzenka miłosna. I wszyscy patrzeć na nią będą z podziwem, matka srogo; nawet od maszyny Władka podniesie swe dziwne źrenice i utkwi je w spłonioną dziewczynę. Jest to tortura, która łączy ją coraz więcej z tym człowiekiem. Mówią o nim „rządca." Ona nazywa go w myśli „on."

I powstaje w niej jakieś inne nieuchwytne uczucie. Te drobne, malutkie dzieci, ciemno ubrane i blade, które

zachmurzona sługa za rączkę prowadzi. Te dzieci zajmują Pitę w dziwny sposób.

— Jego dzieci!

I myśli o tamtej, tej jego żonie, która umarła, podobno niedawno. Na co umarła? Pewnie na suchoty, bo to choroba poetyczna i piękna. I „on“ pozostał sam z sierotami. Chłopczyk i dziewczynka. Bardzo smukłe i arystokratyczne. Picie tych dwoje dzieci nie szkodzi, nie odejmuje czaru, jaki Ketlinga-rządcę otacza. Przeciwnie, coś serdecznego, coś miłego serce jej ogarnia. Chciałaby ucałować te dzieci. Spotkała je raz na schodach. Nie śmiała tego uczynić. Zdawało się jej, że chce popełnić coś złego. Długo patrzyła za niemi, jak się wspinały po wschodach uciążliwie, nie podtrzymywane przez sługę.

I to, co każda z kobiet posiada od dziecka, to uczucie serdecznej miłości, rwącej ją ku dzieciom, trącało o struny rosnącego ducha Pity.

— Dzieci... takie małe, biedne dzieci... *jego* dzieci!

Jeszcze jest jedna troska, która niepokoi Pitę. Oto Mundek. Coraz smutniejszy, coraz więcej zamknięty w sobie. Rodzice tego zdają się nie widzieć, ale ona krąży myślą dokoła tego dużego brata i prosząco na niego spoziera. Często go widzi szepczącego z Tarnawiczem. Kilka razy ostrzegła ich o nadejściu Tuśki. Zrobiła to zmieszana—z pokorą, z uroczym wdziękiem, jakby przeprosić ich chciała za wmieszanie się w ich tajemnicę. Oni, z początku zdziwieni, później przyjmowali tę interwencyę dziewczęcia, jako rzecz zwyczajną i rozchodzili się szybko, nie mówiąc do niej ani słowa. Lecz Pita zauważyła, iż każda taka rozmowa oddziaływała na Mundka gnębiąco, a w oczach Tarnawicza raz nawet Pita dojrzała... łzy.

Tak. Stanowczo. Tarnawicz, mówiąc z Mundkiem, płakał, słyszała jego głos jakby błagalny i gdy wbiegła z kuchni do sieni, wołając: „Mama!“ Tarnawicz spojrzał na nią swemi niezwykłemi, przecudnemi oczyma, w których wyraźnie lśniły... łzy.

Długo Pita nie mogła otrząsnąć się z tego wrażenia. Te łzy w oczach tego chłopca migotały przed nią smutno, rozpaczliwie jakoś. Osunęły się jej potem w serce na dno i tam pozostały, jakby przepowiednia jakiegoś nieszczęścia, które jakby stało po za progiem ich ubogiego mieszkania.

To wszystko razem gnębi Pitę. Znikły z jej ust resztki uśmiechu. Nie śmieje się wcale. Zapomina o tem, że są panienki w jej wieku, które noszą różowe sukienki i śmieją się głośno. Ona nigdy, nawet dzieckiem, nie śmiała się głośno. Uśmiechała się tylko.

Bo są kobiety...

. . . . . .

bo są kobiety, które na całe życie zdają się zatrzymywać ten uśmiech, którym niemowlęta śpiące usta swe zdobią. Mówi się wtedy, że „dziecku śnią się aniołowie...“ I dziecko cichutko uśmiecha się, nawpół smutnie, nawpół radośnie. Taki uśmiech rozpływa się formalnie na wargach i zdaje się wtapiać we wnętrze istoty, która wchłania go w siebie, jakby życiodajną siłę. Przychodzi on z wewnątrz, czy przywiewa go jakiś powiew słodki, jak wicher ciepły, który przebiegł po kępach macierzanki i chabrów liliowych.

Niewiadomo.

Śnią się aniołowie.

Mówią tak ludzie, pochyleni nad kołyską dziecka.

Aniołowie?

Białe, smukłe duchy, zwiewne, o srebrem posypanych brzegach szat długich i wlokących się po smugach chmur.

Aniołowie przeogromnej dobroci.

Szlachetnej tęsknicy.

Przywiązań do wszystkiego, co łzami smutku zroszone.

Aniołowie ofiar codziennych, Golgot, po których krew serdeczna zastyga rubinową wstęgą.

Aniołowie poświęceń pokornych.

Aniołowie idei olbrzymich, które zmurszałe światy z posad walą.

Aniołowie tryumfujący w blasku gwiazd i Aniołowie cisi i pokornego serca, otaczający bielą skrzydeł cały świat drobnych istnień.

Ku tym aniołom uśmiecha się senne dziecko w kołysce.

Ku tym aniołom uśmiechają się niektóre kobiety życie swe całe.

Może zatraciły bezpośrednie wrażenie istnienia tych duchów, które chyliły się kręgiem nad ich kołyską, lecz pozostała w nich dostojność szlachetnych Piękności, które odzwierciadlają czyny ludzkie, natchnione przez krąg Aniołów tryumfujących lub cichych i pokornego serca.

Do czynów takich *uśmiechają się* niektóre kobiety.

Do czynów takich uśmiechała się Pita.

Szpetotę pomijała zaciśnięciem ust.

Lecz to, co wiało dostojnością życiową, wykwitało na jej atłasowych wargach uśmiechem.

. . . . . .

Pita prosi matki, aby jej nie zmuszano zasiadać dziś do obiadu.

— Taka jestem senna! tak mi coś jest...—skarży się słodko.

Matka patrzy w nią badawczo. Ten wzrok przeszywa Pitę do głębi. Rumieńce wybiegają na jej policzki.

— Czemu się czerwienisz? — pyta Tuśka. — Musisz mieć coś na sumieniu. W sobotę zaprowadzę cię do spowiedzi.

W Pitę uderza grom.

Będzie musiała *księdzu* powiedzieć o rządcy Ketlingu, o tem, że myśli tylko ciągle o nim, o...

Och, Boże!

Jakże chętnie przypadłaby w tej chwili do ręki matczynej i całowała ją, oblewała łzami, wołając:

— Mamo! mamo! wysłuchaj *ty* mnie lepiej. U twych kolan, nie u kratek, ja powiem wszystko. Ja spytać się muszę *ciebie*, dlaczego spadło na mnie to urzeczenie, dlaczego? Wszak winy w tem mojej niema. Męczę się! Mamo!... Męczę się! Zrozum. Dopomóż mi odżegnać od siebie ten czar. Ty—ty—nie ksiądz!.!.

Tak pragnie wołać Pita, lecz nie śmie.

Przed nią stoi matka chmurna, zawsze ładna, choć zaniedbana trochę w stroju, a twarz jej biała, różowa, zwrócona ku córce, ma w sobie wyraz tych, którzy w głąb duszy nie patrzą—ślizgając się po powierzchni.

Pita otula się szalem i zgorączkowana kładzie się na kanapę w salonie. Słyszy, jak nakrywają do stołu, jak Marcysia przelatuje, trzaskając drzwiami, jak wracają chłopcy, jak ojciec przesuwa się przez salon, jakby automat.

I zaraz Pita wie, że Władzia odsunie krzesło, pokornie się ukłoni, powie: „Dzień dobry panu dobrodziejowi"— i jeżeli mamy niema w pokoju, usta Władki zabłysną białym rzędem zębów.

Potem siadają wszyscy do stołu. Któż poda Władce na tacy jedzenie? Pita raduje się, że to nie ona musi usługiwać tej dziewczynie. I dalej Pita w rozmarzeniu gorączkowem widzi swoje puste krzesło, i rozrzewnia się na myśl, że może tak zostać zawsze, że ona już nigdy miejsca w tem kole nie zabierze.

— Taka jestem chora...—myśli—mogę umrzeć.

I ta myśl bezwiednie jest dla niej tą sokratesowską boleścią, która jej sprawia pewną rozkosz.

Mogę umrzeć... i nawet wolę — myśli, owijając się z głową szalem — nikt się o mnie nie troszczy. Ojciec, prawda, wszedł i zapytał mnie, czy głowa mnie boli, ale ja wiem, że niktby tu nie płakał po mnie... A stałaby w kościele, na wysokim katafalku, cała biało i ludzieby przy-

chodzili i mówili: „Jaka szkoda... taka młoda... taka śliczna...“ Potem pogrzeb, na Powązki, a daleko szedłby może... *on*, szedłby i mówił tak, jak inni: „Taka młoda, taka śliczna...“ Szedłby bez kapelusza, bo tak się idzie za trumną.

I tu Pita gwałtem usiłuje uprzytomnić sobie, jak będzie *on* wyglądał na jej pogrzebie. Lecz dziw nad dziwy...

Nie *on* to idzie daleko za jej trumną. To idzie drobny, mniejszy jakiś człowiek. I jest odziany ubogo, zmarzły, bo tylko w mundurze. A mundurek ten wytarty, czapka w ręku i oczy dziwne, zwrócone na trumnę Pity.

Ależ to... Tarnawicz. Tak, stanowczo. Nie Ketling-rządca, lecz przyjaciel Mundka.

A te oczy, któremi patrzy w trumnę Pity, są pełne łez.

Dużych, lśniących łez.

Tych łez, które Pita ma w głębi serca, które tam są—ciche, smutne—och! tak bezbrzeżnie smutne...

I serce Pity zaczyna łkać, jęczeć, skarżyć się.

Z jej oczu też płyną łzy, gorące—i wsiąkają w szal.

Pita płacze i widzi tylko tę swoją trumienkę szarą, wieńce białe, bukiety białe... trumienkę o srebrno-złotym krzyżu i dwoje przecudnych oczu, wpatrzonych w tę trumnę, wpatrzonych bezkreśnie i z niemą, cudowną rozpaczą.

. . . . . .

Tam, w jadalni, obiad się kończy. Hałas odsuwanych krzeseł, lecz Pita się nie porusza. Wizya pogrzebu jej znikła, ale wrażenie smutku zostało.

Pita zagłębia się w rozkosz boleści. Dreszcze przeszywają ją coraz więcej, chwilami zdaje się jej, że całe ciało jest z drutów, a te druty drżą całe, wibrują dziwnie, wstrząsając nią. W gardle jej zaschło. Gdy poruszy głową, ma wrażenie, że leci w przepaść. Traci poczucie czasu i przestrzeni. To znów, chwilami, robi jej się dziwnie rozkosznie i błogo, i chciałaby, aby nigdy nikt nie wyrywał jej z tego stanu. Nagle czuje, że ktoś jej ramienia dotyka. To matka, ubrana, jak do wyjścia. Nigdy Tuśka nie wydawała się Picie tak piękna, tak wysoka w swej długiej *etoli* z czarnego futra, spadającej prosto od różowego podbródka aż do ziemi.

— Pito? jakże ci?...

— Nic, nic, dobrze mi...—bełkoce Pita.

— To kataralne. Pewnie wczoraj nie wzięłaś kaloszy. Jak wrócę, dam ci na poty. A nie zapomnij przymierzyć nowej bluzki. Panna Władzia już ją skroiła i za pół godziny będzie musiała przymierzyć.

A w Picie coś dziwnego się dzieje, jakiś strach, lęk, coś chce w niej krzyknąć przeogromnym głosem:

— Mamusiu! widziałam swój pogrzeb, srebrnego Chrystusa, białe hyacenty... widziałam, że Tarnawicz za moją trumną szedł... i miał na sobie jeden wytarty mundurek, a w oczach łzy... i śnieg na białe hyacenty i na niego drżącego padał...

Tak chce wołać Pita i tulić się do czarnego, ciepłego futra, na którem błyszczą dwie srebrne klamry.

A tymczasem matka mówi dalej:

— Idę kupić wstawki do bluzek. Muszę się śpieszyć, bo żydzi zamkną. Jaką chcesz wstawkę, wązką, czy szeroką?

Pita bełkoce:

— Szeroką!

Tuśka wzrusza ramionami:

— Niema sensu. Ja dla siebie wezmę szeroką, bo się wyda. Ale ty jesteś jeszcze płaska, jak deska, więc lepiej zakładki i wązkie ażurki. Co?...

— Dobrze!

— Znów grymasisz? Moja kochana, pozwól matce mieć więcej rozumu od ciebie. Ja wiem lepiej co dla małej dziewczynki przystoi.

— Tak!—myśli Pita—mama jest bardzo, bardzo wysoka, a ja jestem mała, mała dziewczynka... bardzo biedna, bardzo maluśka.

I tuli się do kanapy, tuli się w swój szal, który wydaje się jej niedostatecznem okryciem.

Tuśka przykłada rękę do czoła córki:

— Rzeczywiście... masz głowę rozpaloną. Proszę cię, nie ruszaj się. Wstąpię do apteki i kupię ci aspiryny. Bądź zdrowa.

Wychodzi rosła, silna, pełna życiowej siły, i idzie przez kuchnię, aby upomnieć Marcysię o napalenie powtórne w piecu, w saloniku.

I za chwilę tylko maszyna w jadalni turkoce pod wprawną ręką panny Władzi. Pita widzi jej zgarbioną postać.

— Jaka ona brzydka—myśli.

I nagle niewiadomą asocyacyą wrażeń dostrzega jakby postać ojca obok szwaczki. Ojca przecież niema. Jest w cukierni, na gazetach, zresztą to był cień, myśl tylko...

Marcysia pali w piecu i z łoskotem wali drzewo na podłogę. Pitę głowa jeszcze więcej boli. Chciałaby kazać słudze być cicho, ale się boi. Zresztą ona zawsze lękała się Marcysi. Zdaje się jej naturą dziwnie ordynarną. Przytem ma zawsze uśmiech ironiczny na ustach. Zdaje się mieć głęboką pogardę dla całego domu, a gdy posługuje u stołu, wnosi potrawy z niechęcią i jakby z drwinami. Przytem Pita czuje, że Marcysia słyszy nieraz dziwne wyrazy, jakiemi matka prześladuje ojca, i że jest z tego dumna. A Pitę to boli. I teraz, gdy patrzy na oświetloną dziwacznie głowę dziewki, radaby krzyczeć:

— Precz!... precz!...

Ale Pita wszystko tłumi w sobie. Jej nic nie wolno.

Marcysia wreszcie rozpaliła w piecu i ciężko podnosi się z ziemi. Przechodzi z szelestem koło leżącej Pity.

— Cóż? śpi panienka?

W Picie nerwy grają. Precz! precz! — woła cichutko, sama w sobie i nie porusza się wcale.

Marcysia wychodzi z pokoju i zatrzymuje się w jadalni, koło maszyny, na której terkoce Władka.

— I cóż?—pyta, dłubiąc w uchu szpilką, wyjętą z włosów—cóż? zrobi mi panna moją bluzkę?

Odpowiedzi Władki Pita nie słyszy; pokrywa ją turkot maszyny.

Marcysia nalega:

— E! można w ręku. Zresztą panią znów poniesie gdzie jutro, to panna bez ten czas może szyć dla mnie... Dziura w niebie się nie zrobi.

— Zła, zła dziewczyna—myśli Pita.

Maszyna ustaje terkotać, teraz słychać świszczący szept Władki:

— Może panna nie śpi?

— E! patrzałam, rozwaliła się próżniaczka i chrapie. A czemu to panna niema maszyny?

— Bo niemam.

— Naciągnąć kogo, abo co.

Pita słucha uważnie. Edek także czasem mówił ze złością, że Mundek to „naciąga“ rodziców na te szkolne wydatki.

Więc Marcysia radzi Władce, aby „naciągnęła“. Ale kogo? Władka mówiła, niegdyś, że jest sierotą.

Niebawem słyszy odpowiedź:

— Naciągnij panna jakiego starego durnia.

— E! nie tak łatwo.

— Cóż, że panna dziobata, ale oni tam... niech ich drzwi trzasną. Powiadam pannie, jakiego żonatego i dzieciatego. Ci najpewniejsi, boją się, więc dopuścić do tego ten, a potem grozić, skamlać i wszystko w porządku.

— Ja tam mam swój rozum.

— He! he!... to się wi. Panna wi, jak raki zimują. Ja mam dobry nos. Z panny to numer. No... uszyje panna bluzkę?

Pita widzi dokładnie, jak Marcysia stoi pochylona nad Władką ponad samą lampą, stojącą na skraju maszyny. Żółtawe światło wydobywa dziwne, pomięte rysy Marcysi. Nigdy ta dziewka nie wydała się Picie tak dziwna, ze szczęką jakby dzikiego zwierza; a mimo to piękną w aureoli rozczochranych, kasztanowatych włosów.

— Mogłaby panna choć dzisiaj skrajać—nalega Marcysia — *stara* nie wróci aż za jakie dwie godziny. Ma kręćka. Byle o tiulik, o co zaraz leci... a może ta i do kogo lata...

Władka śmieje się. Marcysia jej wtóruje. Pita jest oburzona do najwyższego stopnia. Dlaczego Marcysia nazywa mamę *starą?* Jej mamę! taką śliczną, że najśliczniejszą z najśliczniejszych! I ta dziobata śmieje się także. O! jakże chętnie Pita rzuciłaby się na nie i kazała im pójść precz! Ale się czegoś boi. Zdaje się jej, że obie rzuciłyby się na nią i zatłukły ją pięściami. Tak jej się zdaje. A potem: nie ma sił.

One rozmawiają dalej:

— Co? pod pantoflem?—mówi Marcysia — to mało. On nie śmie zipnąć. A o mnie to mu robi egipskie awantury. Słyszę dobrze. Na złość nieraz, powiadam pannie, otrę się o niego, abo gadam co, i jak ona wejdzie, to zaraz ucinam, niby my tak se ze sobą gadali.

— A... on?...

— E! dębowa fujara. Co tam! Plewać na nich. Uszyje mi panna bluzkę?

— Niema gwałtu.

— Właśnie, że jest gwałt. W niedzielę mam wychodne i mam tam się widzieć z takim, co mi go rają na męża. A mnie w czerwonym kolorze jak ulał. Panna ma kogo?

Milczenie.

— Ma panna kogo?

Jakiś pomruk niewyraźny ze strony Władki.

— E!... już idę... jeszcze mam naczynie niepozmywane. Pies lepiej się ma, jak ja! Bądź panna zdrowa!...

Marcysia wychodzi, i znów maszyna zaczyna terkotać.

Ach, jak Pita jest zmęczona i chora. To wszystko, co słyszała, takie dziwne, niezrozumiałe. Stary dureń, którego można naciągnąć, potem jej mama ma kręćka, a może lata do kogo... i że Marcysia ociera się umyślnie o jej ojca, i ten ton, ten śmiech tych dwóch, jakby kto błoto rzucał na nią, na nich wszystkich... I za co? Przecież Marcysia ma dobrą pensyę i wychodne, i praczkę biorą do dużego prania, i mama jej kilka razy do teatru na bilet dała, a tej Władzi to już tak, jakby w niebie, bo dostaje nawet na podwieczorek lepszą kawę, niż ona, Pita, a wieczorem ciepłe serdelki. I mama jej tak wierzy! A ona razem z tą ohydną Marcysią się śmieją. Tak szkaradnie... tak szkaradnie...

W piecu drzewo trzeszczy, ciemno-czerwone płomienie rzuca, a Picie zdaje się, że ot... ot... te płomienie spadną na nią ulewnym deszczem i zamęczą ją. Jeszcze jeden wysiłek, aby się podnieść, zrównać się z żyjącymi, spokojnymi ludźmi.

— Nie księdzu... nie księdzu... mamo!... — szepcze Pita.

W masie złotych włosów tarza się jej główka.

— Naciągnę... starego durnia...

A potem.

— Gdzie? do kogo chodzi mama?...

I wreszcie kłąb czerwonych kół, we środku szafirowe punkty, złociste promienie i w to wszystko wpada Pita.

. . . . . .

Pita ma ciało i duszę chorą.

Sprowadzą jej doktora. Zmierzą temperaturę. Zapiszą 38.9, potem będą czekali, co z tego będzie. Szukać

będą na atłasowych piersiach wysypki, poić emulsyą *amygdalini* i będzie ciało otoczone względną opieką.

Ale... razem z ciałem zachorzała dusza twoja, biedna, mała Pito. Dusza, jak gołąb słodka i jak gronostaj dostojnie biała.

Dla niej nie wezwą doktora.

Bo choć jest jedno oszustwo więcej, które się *psychoterapią* nazywa, nikt twej duszy nie wyleczy Pito!

Nikt, nawet czas, który się wielkim lekarzem mieni.

To jest przeciwnie, ty białe, ciche stworzenie.

Ten *czas* wrogiem idzie ku tobie i tyle harpunów wlecze z sobą.

Zatrute są strasznym jadem.

Jadem, który nie przebacza.

Jadem... wspomnienia Pito!

VII.

To nie było nic strasznego, to była zwyczajna wietrzna ospa.

Tylko gorączka była wielka i Pita leży wyczerpana i prawie bezsilna.

Leży w pokoju stołowym, bo najcieplejszy. Leży na sofie, na której sypiał Mundek. Osłoniona jest parawanem, który obito białym perkalem.

Ktoś jeszcze bowiem leży w tym pokoju.

To Edek.

I on położył się we dwa dni po Picie. U niego przebieg jest trochę cięższy. Organizm okazał się wyczerpany zanadto forsowną umysłową pracą.

Mundek objął w posiadanie salonik i tam uczy się teraz, śpi na tej kanapce, na której sypiała Pita. Ona wie

o tem z rozmów, jakie dokoła niej prowadzą matka, ojciec, Władzia, Marcysia. Sama nic nie mówi; gdy kto się do niej zbliży, szybko przymyka oczka i udaje śpiącą. Jeszcze nie może sobie zdać sprawy, czy jest bardzo szczęśliwa, że właściwie nic jej się złego nie stało i że ma żyć w dalszym ciągu, a „niebezpieczeństwa właściwie żadnego niema", jak słyszy dokoła.

Wizya pogrzebu pozostała w niej, mimo wszystko, pozostała na dnie, razem z temi łzami Tarnawicza i całą przeogromną tęsknicą. Zdawało się bowiem chwilami Picie, że była ptakiem i wirując w przestrzeni, jednem skrzydłem potrąciła lekko o jakąś zwiewną, błękitną zasłonę, zasianą gwiazdami. Zasłona ta rozchyliła się i o to przed Pitą rozświetlił się dziwny świat, gdzie rosły róże z rubinów, jaśminy z pereł, maki z korali, a bratki z ametystów. Całe liście i pęki traw szmaragdowych. A na tem wszystkiem rosa brylantowa i w powietrzu pył brylantów, tęcze brylantami tkane.

Pomiędzy klombami kwiatów chodzą wysmukłe, ciche duchy, owiane siedmiobarwną szatą.

I wielki tam jest Spokój.

Ach Spokój tych, którzy cierpieli bardzo i więcej już cierpieć sił nie mają!

I nagle zapadli w brylantowy kraj.

W tęczowy kraj.

W spokojny świat.

Tam na chwilę zajrzał Duch Pity. Chwilkę tylko. Ale to było czarowne widzenie. Te dwa wrażenia. Pogrzebu przez puste, dziwne ulice, jakby wymarłej Warszawy— i brylantowa kraina...

— Ja sądzę, że mogłaby już coś dziś zjeść — mówi za parawanem matka.

— Jajko na miękko—odpowiada głos Władki.

— Ja dałabym panience kaszki do masła—wyrokuje Marcysia.

Pita słucha i dziwi się jednej rzeczy. Nie czuje nienawiści ani do Władki, ani do Marcysi. Tak, pamięta, co mówiły, ale sens właściwy tych słów uleciał jakoś.

Wszak wraca z tak daleka!...

Robi się jakiś ruch, dzwonek, kroki męskie. To lekarz. Zgrabny, dość młody mężczyzna. Ale Pita nie lubi, gdy się do niej zbliża. Wszak on bez żadnego skrępowania obnaża ją, do piersi głowę przytula, obraca nią, jak lalką, łaskocze wąsami tuż pod samem gardłem. Nazywa się to „badaniem", lecz Pitę oblewa pons wstydu, gdy widzi tak obnażone swe drobne piersi, które jej już i tak nawet w sukience wiele kłopotu sprawiają. Marszczy brwi, drży cała, dreszcze po niej biegną. Mama stoi obok, nic nie mówi. Widocznie jest to rzecz naturalna, że lekarze mają prawo obchodzić się w ten sposób z choremi panienkami. Ale doprawdy to tak nie powinno być. Przecież, gdy jedna pani w kamienicy bardzo chorowała, to sprowadzili do niej akuszerkę. Do Pity mogli także sprowadzić, akuszerkę, skoro ona w chorobach paniom pomaga. I nie potrzebowałaby się tak wstydzić, bo to kobieta—i nie łsskotałaby ją wąsami i nie pachniałaby jej głowa tak dymem z cygar i wanilią, czy różą, jak temu doktorowi.

Przeszło jednak znów badanie, lekarz pozwolił na mleko i na „herbatę leciuchną" i na jajko na miękko. Mama zapina kaftaniczek na piersiach Pity i poprawia jej włosy, które podczas choroby spleciono w dwa warkocze. Lekarz jednak nie odchodzi. Z ogromną przyjemnością rozmawia z mamą, która ślicznie wygląda w szlafroku z taniego barchanu błękitnego, uszytym przez Władkę. Pita dostrzega, że mama pobladła, twarz jej zmalała, i że jest jakby młodsza, drobniejsza. Widocznie zmęczyła się doglądając i Pitę i Edka. Pita przypomina sobie, że mama często się pochylała nad nią, podawała jej pić w nocy. Czasem to była Władka. Wtedy Picie było smutno. Ale gdy tak mama odgarniała jej włosy z czoła lub otulała kołdrą, to Pita leżała już potem do rana w tej samej pozycyi, aby nie poruszyć żadnej fałdki, zrobionej ręką Tuśki. W chorej jej istotce budziło się małe dzieciątko i przeogromne uczucie wdzięczności zbliżało ją w tej chorobie do matki. I dziś, gdy ją widzi pobladłą, jakby zmalałą, chciałaby pochwycić ją za rękę, całować i wołać:

— Dziękuję, dziękuję...

Tymczasem mamusia rozmawia z doktorem. On uśmiecha się, poprawia wąsy i opiera policzki bardzo śmiesznie na ogromnie wysokim kołnierzyku. Tuśka, odpowiada mu, jakby zniecierpliwiona i niechętna. Pita nie wie dlaczego, ale jest za to matce bardzo wdzięczna i śmiałaby się chętnie i postrugałaby marchewkę w stronę doktora.

— Chodźmy teraz do drugiego pacjenta!—mówi wreszcie Tuśka.

— Pa... panience!...—odzywa się doktór — proszę się dalej sprawować grzecznie i nie jeść za dużo.

Pita wydyma usta. Nie kiwnęła nawet główką. Cóż on sobie myśli? Gada do niej jakby do dziecka, mającego jakie sześć lat! Głupi... wąsacz...

Jak mama przyjdzie, to Pita ucałuje jej ręce. Tymczasem słyszy, jak Edek kaszle, jak doktór mu każe liczyć: „Raz, dwa, trzy", a potem głęboko odetchnąć, a potem nie oddychać wcale...

Widać Edek jest bardzo chory, przynajmniej więcej chory, niż Pita, bo coś się skarży, swym dziwacznym głosem, co to grubo, to znów cienko się odzywa, jakby ochrypły kogut, albo popsuty gramofon.

Za parawan do Pity wsuwa się Władka. Niesie troszkę herbaty z mlekiem i biszkopcik. Pita jest uderzona pewną we Władce zmianą. Przedewszystkiem jest modnie uczesana z fiokiem nad czołem, w czem jest jej więcej do twarzy. Potem ma biały kołnierzyk wysoki i wyłożony z małą czerwoną krawatką. Dodaje jej to pewnego szyku, i wogóle w całem wzięciu Władka jest teraz jakby inna, bardziej pewna siebie. Siada na łóżku Pity, podaje jej herbatę, wita się z nią poufale. Widocznie przez czas cho-

roby, oddając przysługi, nabrała gruntu w domu pod nogami. Pita dziękuje jej za herbatę i przypatruje się jej z ciekawością. Ona poprawia jej poduszki i zaczyna rozmawiać, jakby chcąc zagłuszyć to, co się w saloniku dzieje. Matka bowiem wyszła już z doktorem z jadalni i rozmawiają tam teraz półgłosem. Drzwi są uchylone. Doktór znów coś mówi wesoło i jakby pochlebnie. Tuśka odpowiada mało. Pita mimowoli szyjkę w tamtą stronę wyciąga. Czy ten doktór nigdy sobie nie pójdzie? A ta Władka umyślnie gada, jak najęta! Ach! gdyby mama wreszcie przyszła. Już wychodzi! Wreszcie. Drzwi się zamykają. Pita czeka, że mama wejdzie do niej za parawan. Lecz mama nie wchodzi, tylko krząta się po pokoju. Władka zabiera szklankę po herbacie i za chwilę Pita słyszy następującą rozmowę:

Panna Władzia (obleśnie). Ten pan doktór to naprawdę, gdy tu przyjdzie, to wyjść mu się ztąd nie chce.

Tuśka. Spodziewam się: dwoje ostukać, opukać...

Panna Władzia. E! jego tu co jenszego trzyma.

Tuśka. Co?

Panna Władzia. Mnie się zdaje... że jemu się tu ktoś strasznie podoba.

Tuśka (śmiejąc się). Może panna Władzia.

Panna Władzia (skromnie a jadowicie). Och! ja!... Boże drogi!...

Tuśka. To może Pita?...

Panna Władzia. Ha! ha! ha!...

Na Pitę uderzają ponsy. Chciałaby udusić w tej chwili doktora, jego wąsy i tę obrzydłą szwaczkę.

Tuśka- A cóż? Może się o Pitę oświadczy!

Panna Władzia. Ha! ha! ha!

Tuśka. Ha! ha! ha!

Niby to jest wszystko cicho mówione, niby półszeptem, ale tak wyraźnie obija się o uszka Pity, o jej osłabione serduszko, o jej mózg, który pracuje ciężko powrotem do normalnego trybu przyjmowania wrażeń.

. . . . . .

Pita głowę tuli w poduszki i już nie ma chęci całowania po rękach matki, nie chce już wołać: Dziękuję, mamo! dziękuję...

. . . . . .

We dwie godziny ogromny rwetes. Stawiają Edkowi bańki na plecach. Osiemnaście powiedział doktór.

Z po za kretonowego parawana (bo Edek jest obstawiony kretonowym, starym, kuchennym parawanem) podnosi się taki krzyk, taki protest, takie sklamrzenie, jakby szło co najmniej o ucięcie nogi bez chloroformowania.

— Nie chcę baniek!—jęczy swym podwójnym sopranowo-basowym głosem—nie chcę baniek.

Interwencya ojca łagodna, ale stanowcza:

— Cóż to znowu za komedye Edek wyprawia? Boisz się?

— Tak.

Żebrowski wzrusza ramionami.

— Także coś! Jesteś przecież prawie dorosłym i jesteś mężczyzną. Powinieneś być przygotowany na najgorsze.

— Dlaczego? — pieje kogut z za kretonowego parawana.

Chwila milczenia.

— Dlatego, że tak!—zdobywa się wreszcie na argument Żebrowski.

I zaraz dodaje, przybierając odważną postawę:

— Ciekaw jestem czy poszedłbyś na wirchy w Tatry, tak, jak ja zrobiłem, na noc, panie tego. W Zakopanem... Tam mogły być niedźwiedzie. A ja poszedłem. I wróciłem jakby nic. Zapytaj twojej matki i twojej siostry, one ci powiedzą...

Gdyby Pita mogła przejrzeć biel swego parawana, dostrzegłaby pewną zmianę w ojcu. Chodzi jakoś elastyczniej, ma także strasznie wysoki kołnierzyk, o który mu się

opierają uszy i skóra policzków. Obciąga kamizelkę i ma oczy jakby większe, jakby je otworzył nagle i wciąż dziwił się czemuś.

Edek sklamrze w dalszym ciągu:

— Ale ja jestem zdrów, ja nie chcę baniek!

Pita wzrusza ramionkami pod kołdrą.

Wielka afera. Bańki! Stawiali jej przecież gdy miała koklusz. Ciągnie, ale znów żeby aż takie awantury wyprawiać!

Podnosi się na łóżku.

— Edek!—woła w stronę parawanu.

— Czego?—chlipie z legowiska Edka.

— Ty jesteś śmieszny. Bańki wcale nie bolą. To tylko ciągnie...

— Głupia jesteś. Co ty wiesz.

— Wiem, bo mi stawiali.

— Aha! pewnie na nosie. Zresztą mężczyzna ma inną skórę, a kobieta inną.

— Właśnie, my mamy cieńszą.

— Głupia jesteś. Nic nie wiesz. My mamy cieńszą i nerwy nasze wrażliwsze. My mamy wszystko w lepszym gatunku, niż wy i doskonalsze.

— Szczególnie ty.

— Szczególnie ja.

Milkną oboje, rozgniewani. Pita myśli ze wzgardą, iż *mężczyźni nie umieją chorować*. Edek chlipie, jak dziecko i wyrywa się nagle:

— Wolałbym pójść do spowiedzi!

W Pitę to słowo uderza jak grom.

Zapomniała prawie o tem, co stanowiło teraz duchową stronę jej istotki. Ciało wracało do życia i oto pochłonęło ją całą. A przecież jakby ktoś tem jednem słowem szarpnął jej serce za sznur, którym silnie omotane było. Do spowiedzi! Tam ma wyznać, iż ani na chwilę chyba nie mogła wyzbyć się myśli o tej smukłej, dystyngowanej

postaci i choć o nim nie myślała, to był tuż przy niej, ciągle, ciągle, ciągle.

Do spowiedzi.

Gdy wstanie, pójdzie, zaprowadzi ją matka. I ksiądz nie da jej rozgrzeszenia, nie da jej, jako kobiecie upadłej... Bo raz Pita słyszała, jak mama mówiła do matki Jaśki o jakiejś pani „zakochała się znów ta upadła kobieta".

Ach! i ona. Pita jest *kobietą upadłą* i będzie tak musiała powiedzieć księdzu. Wszyscy się dowiedzą, że nie dostała rozgrzeszenia.

Co za wstyd! co za hańba! I co jest jej zmartwienie w porównaniu z głupiemi bańkami Edka!

Rozmyślanie Pity przerywa hałas u drzwi kuchennych i chrobot szkła. To Władka niesie miednicę ciepłej wody, a w niej bańki. Lecz już drobnym kroczkiem podchodzi ku niej z sypialni Żebrowski i stara się odebrać jej z rąk miednicę.

— Proszę pozwolić.

— Ależ, proszę pana dobrodzieja...

— To za ciężkie.

— Cóż znowu...

Pita widzi ich przez wązką szparę parawanu, jak się certują, wydzierając sobie miednicę, w której bańki chrobocą, jak dzwoneczki.

Picie wydają się śmieszni. Ta dziobata z czerwonym fontasiem, uśmiechająca się niemile, i ojciec jakiś jakby nienaturalny, drepcący drewnianemi nogami, około których wiewają spodnie.

— Ja zaniosę.

— Nie mogę pozwolić.

Co się też ojcu stało? Jest bardzo, bardzo grzeczny, dla mamy, dla Pity, dla pań znajomych wogóle. Jest nawet grzeczny dla sług, skoro się nie skarży, że się o niego „ocierają" tak, jak mówiła Marcysia. Ale żeby aż wydzierać głupią miednicę z rąk Władki i chcieć samemu nieść dalej, tego Pita się nie spodziewała.

Wreszcie wchodzi i sam cyrulik, nizki blondyn, bez surduta, z zakasanemi rękawami. Niesie potrzebne przybory i świecę—i uśmiecha się stereotypowo.

Za parawanem kretonowym rozlega się wrzask, pianie dziesięciu zakatarzonych kogutów.

— Ja nie chcę... ja jestem zdrów...

Śmiech Władki, potem surowy głos ojca, również trochę kogucikowaty, a potem jęki Edka, jakby go brano na tortury.

Pita myśli, iż przecież mężczyźni, którzy się być mienią tak bardzo silni, są śmieszni i słabi.

— Żeby on miał takie, jak ja, zmartwienie i *musiał się kochać*,—myśli Pita — to z pewnością nie wytrzymałby i gorzej jeszcze krzyczał. A ja co? Zatnę zęby, płaczę i męczę się. I nie mogę nawet nic powiedzieć. Bo komu! komu!...

Operacya z bańkami dopływa do końca.

— Teraz kwadrans proszę leżeć spokojnie—wyrokuje felczer.

— Jezus, Marya!—pieje Edek—skóra mi pęknie!

— Niechże się pan nie kręci. Przez pana jedna bańka pękła.

Z pod kołdry wysuwa się kosmata ręka, pokryta kurzajkami.

— Proszę mi ją dać!

— Po co?

— Schowam sobie na pamiątkę.

Ogromny wybuch śmiechu. Śmieje się felczer, Władka, Marcysia; nawet uśmiecha się Żebrowski.

Tylko Pita nie śmieje się.

Zrobiło się jej jakoś przykro i żal Edka. Cóż on winien, że on jeszcze taki głupkowaty i dziecinny. Wszystko taszczy i chowa na pamiątkę. Potem siedzi nad tem i rozmyśla. Gdyby umarł, co stałoby się z tem wszystkiem, co on już przez swoje krótkie życie pozbierał? Biedny Edek. Tak się żali! Jak małe kocię. I nikt mu nie powie

dobrego słowa. Cóż z tego, że „dorosły“. Ona, Pita, wie, że choć będzie najdoroślejszą, to zawsze będzie tęskniła za tem, żeby jej kto dobre słowo powiedział.

Zwłaszcza, gdy będzie chora.

Zwłaszcza, gdy będzie smutna.

Gdy będzie czuła się taką okruszyną liścia, którą wicher zimny miota.

Gdy będzie szukała bodaj przyjaznego spojrzenia.

I ręki, która obejmie jej dłoń.

I słów, szeptanych ponad jej głową, szukającą oparcia i miotającą się w trwodze...

W trwodze strasznej, nieusprawiedliwionej, ściskającej serca, jakby obręczą stalową i zimną.

Wtedy Pita będzie zawsze biednem, strwożonem dzieckiem, choć będzie duża, duża, w długiej sukni i gorsecie i czesać się będzie modnie, i piec włosy co rano, i będzie martwiła się o to, zkąd wziąć pieniędzy na dom i na dzieci, i mówiła z taką pewnością siebie, i będzie mogła w kościele nie modlić się, tylko patrzyć po wszystkich, i...

Ach, Boże! czy Pita wie, co właściwie stanowi „dorosłość“ kobiecą? Przecież jej się zdaje, że „dorosła“ kobieta nie może już więcej się martwić, jak ona i być smutniejsza, i... kochać się inaczej.

Ach! jakież to straszne dreszcze przeszywają Pitę, gdy w myśli wymówi to słowo. Tam, sklamrze Edek: „Joj! ojoj...“ tam śmieją się dokoła niego, nawet ojciec dopomaga szydzić Władce, a ona tu, oblana warem, zamyka oczy i powtarza:

— Kochać się... kochać się...

Gdyby dokoła niej ścichło choć to życie i ona mogła w milczeniu wsłuchać się w to, co się w niej dzieje, w ten ból.

W ten wstyd.

W tę... rozkosz.

Nadejdzie noc, nadejdzie noc, myśli Pita, — wtedy będzie cicho, cicho. Wtedy ja myśleć będę, jak wielka jest moja zbrodnia, jak grzeszna jest moja dusza i jak słodkie, jak słodkie jest to uczucie, które w tej chwili mnie ogarnia...

Z pokoju wynoszą bańki, miednicę, robią gwałt, hałas, felczer dowcipkuje, opuszcza rękawy kretonowej koszuli, przewraca ktoś krzesło, szarpie parawanem.

Pita leży z zamkniętemi chabrami swych oczu, ręce wychudłe złożyła na piersi i myśli:

— Przyjdzie noc... będzie cicho... przyjdzie noc...

VIII.

Lecz nim przyszła noc, zesunęła się powoli na ziemię szara godzina, z nieuniknionem trzaskaniem w piecu drzewa, z szaremi cieniami, które w małych mieszkankach zdają się być zbyt wielkie i kłębić się po kątach, pełne jakichś niezrozumiałych smutków i niespodziewanych katastrof. O szarej godzinie szczelniej się zamyka drzwi, prowadzące do gniazd, gdzie są ubodzy i pokornego serca. Nocną porą zakraść się może złodziej. Szarą godziną jakby czyha za progiem nieszczęście. I cichy człowiek kryje się w głąb gniazda, zamyka drzwi, zamyka oczy, jeszcze je przysłania dłonią...

Siedzi tak pogrążony w sobie lub szepce cicho do kogoś mu blizkiego słowa, których nigdyby nie wypowiedział może w blasku dziennym lub przy sztucznem świetle wieczornem.

Są to słowa, które przypadły w głąb duszy, w samą najtajniejszą głąb.

Czasem się zdaje, że tam pozostaną tajemnicą wieczystą i zamknie się nad niemi wieko trumny.

A tu jedna szara godzina wydobywa te słowa na wierzch i domaga się często odpowiedzi, które stanowią wiele w życiu człowieka. Czasem jest to nawet zwrot zupełny, a czasem złamanie egzystencyi ludzkiej. Nie są to gwałtowne wybuchy wymiany zdań, padające, jak uderzenie miecza.

Nie, wcale.

Są to ciche słowa, lecące z ust prawie bezwiednie, czasem wskazówka prawdziwej treści tego, co się walką z losem nazywa, czasem poznanie się nagłe kilku dusz, które obok siebie żyły, lecz były dla siebie obce, czasem nagłe zrozumienie, że żyliśmy dotychczas w kłamstwie i fałszu, a w jednej chwili świat inny, czysty, kryształiczny dostrzegliśmy przed sobą.

Cicho, cicho płyną z ust słowa o szarej godzinie w szczelnie zamkniętych, drobnych mieszkaniach, gdzie nie pali się wcześnie światło, bo „nafta droga“, a zapóźno jest, aby dojrzeć litery książki lub ściegi cer na zniszczonej bieliźnie.

. . . . . .

Tuśka wyszła, bo dostrzegła, że koroneczki u kaftaników Pity są bardzo „żelazkiem spalone“.

— Kupię niciane: walansienki nic nie warte — rzuciła na odchodnem.

Przed nią wyszedł Żebrowski na gazety. Została Władka, która obecnie zdawała się obejmować rządy całego domu w swoje ręce. Lecz Władka poszła zaraz do kuchni na rozmowę z Marcysią, bo żyją teraz bardzo poufale z sobą. Zresztą tam stoi teraz maszyna i tam panna Władka szyje i szyje, jakby dziesięć panien miało iść za mąż na ulicy Wareckiej.

Przez pokój, gdzie chrząka, obrażony ciągle i zagniewany za bańki Edek, i cicho leży Pita, przesuwa się smukła postać Mundka. Jest szczuplejszy, bledszy i piękniejszy. Czarujące rysy jego twarzy wydelikatniały i opro-

mieniły się jakąś duchową *nie naszą* pięknością. Coś smugą od niego płynie, gdy idzie tak cicho przez pokój do półki z książkami.

Pita, która całe popołudnie rozmyślała, jakby się pogodzić z Edkiem, a nie śmiała go zaczepiać, bezwiednym ruchem podnosi się na posłaniu i odchyla skrzydło parawanu, ustawione tuż koło wejścia do salonu.

— Mundku! — szepcze do brata, który właśnie próg przestępuje,—*chciałabym się z tobą przywitać*.

Tak bardzo od rana, gdy uczuła się zdrowsza, chciała się z kimś „przywitać", jakby wracała z jakiejś dalekiej drogi, powiedzieć: „Oto jestem; cieszcie się mną", lecz nikt nie miał czasu. Wszyscy spełniali swe obowiązki, radzi, że chodzą zdrowo po świecie, krzątali się koło nich, podawali im jadło, lecz nikt nie podszedł ku nim z otwartemi rękoma i radością na twarzy. Nikt nie powiedział: „Witajcie! jesteście znów z nami!" Dlatego odruch Pity jest nagły i prawie nieobliczalny, a przecież wynikły z duchowej silnej potrzeby.

— Mundku! chciałabym się z tobą przywitać!

Mówi to i natychmiast się lęka, że on ją wyśmieje, zapyta, dokąd jeździła, skoro się z nim witać pragnie.

Lecz dzieje się wręcz przeciwnie.

Mundek zatrzymuje się i mówi do niej dobrym, smutnym głosem:

— Witam cię, Pito!

— Bo widzisz... byłam chora!—tłumaczy się pośpiesznie Pita.

— Wiem o tem. Teraz jesteś zdrowsza i dlatego witam cię, jakbyś powróciła z bardzo daleka.

Pita zwinęła się w kłębek, zwróciła się ku bratu szczęśliwa, że ją zrozumiał.

— Tak, Mundku! Wróciłam z bardzo daleka. Bo kiedy miałam gorączkę i to z samego początku, to ciągle zapadałam jakby w przepaść. Ja myślę, że to się tak umiera, Mundku...

On oparł się o framugę drzwi.

— Tak myślisz, Pito?

— Tak, Mundku!

Patrzą na siebie blizko, oboje delikatni, bladzi tą smutną bladością dzieci, wyrosłych w oficynach, „do których słońce nie dochodzi". On źrenice swe wielkie, ciemne, przepaściste, ocienione rzęsami, z których duch skrzydłami wieje, utkwił w jej błękitne, jasne, czarujące oczy, niosące w sobie całe światy czystości i dziewczęcego uroku.

A ona, myśli w tej chwili, że tak piękne twarze miały owe Cheruby, w szatach, osypanych brylantami, które snuły się po ścieżkach tęczowych, w krainie, o którą skrzydłami Duch jej potrącił.

I raz jeszcze powtarza:

— Tak, Mundku!

— A więc przepaść czarna? nicość? nicość?

Jej twarzyczka rozjaśnia się nagle.

— Och, nie! nie, Mundku.

On stoi chwilę, niepewny, jakby się czegoś wstydził, jakby się wahał o coś pytać.

— Opowiedz mi... wszystko... Pito!

— Ale co? co?...

— Wszystkie wrażenia, jakie odniosłaś, gdy zdawało ci się, że umierasz?

— Och, Mundku!... chcesz wiedzieć?

— Tak!

— Zaraz, zaraz. Gdy o tem myślę, to mi się serce ściska. Takie to było dziwne.

— I... straszne?

— Tak dziwne i straszne. Ale zarazem i... słodkie!

— Słodkie?

— Tak, ja ci nie umiem tego powiedzieć, ale to była rozpacz i zarazem rozkosz ogromna. Zwłaszcza, gdy widziałam pogrzeb.

— Ty widziałaś pogrzeb?

— Tak. Od nas, z Wareckiej ulicy, wynosili trumnę i były białe kwiaty, księża śpiewali, a potem szedł pogrzeb ulicami miasta, które było jakby wymarłe, i bramy były zamknięte... i sklepy... i tylko garstka ludzi za pogrzebem... i Tarnawicz...

— Tarnawicz?

Szary już zupełnie cień owija ich dwoje. Z ust im lecą słowa. Pita przyklękła na łóżku, warkocze jej rozpłynęły się falą. Ma pozór anioła.

Mundek milczy chwilę, wreszcie odzywa się bardzo cicho:

— To był *mój* pogrzeb Pito?

— Nie, nie—szepce Pita—to był mój, mój, mój. Ja byłam w trumnie, a druga ja leciała ponad karawanem i widziała wszystko. Widziała, jak Tarnawicz szedł w jednym mundurku i łzy mu z oczu płynęły, łzy takie, jak wtedy, gdy na schodach tak prosił cię o coś... pamiętasz!

— Nie wiem!... nie mów mi o jego łzach. Ja nic nie powinienem teraz wiedzieć z tego, co odbiera siły. Ja tylko chcę wiedzieć, Pito, czy ta chwila... w której już ma się umrzeć, czy to rozpaczliwe... czy to—rozumiesz mnie?—czy wtedy... żałuje się czegokolwiek... czy chciałoby się... *żyć!*

. . . . . .

To jedno słowo wybiegło nagle prawie krzykiem z piersi Mundka. To „żyć" tryumfalne, i młode, to „żyć", bijące hymnem wszystkich nieziszczonych pragnień i dążeń ku Niebu.

. . . . . .

Lecz Pita wnika nagle w siebie i mówi, zasłaniając oczy rękoma:

— Zaraz, Mundku, zaraz...

Chce przypomnieć sobie, czy żałowała czego, co pozostawiała tutaj. Czy rzeczywiście chciała *żyć* wtedy, gdy unosiła się w przestrzeni i zapadała w przepaść. I doszła

nagle do przekonania, że nie czuła żalu po niczem, że dokoła niej była zlodowaciała pustka — nic więcej, i że, nie wiedząc kiedy, *przeżyła widocznie już wszystko.*

Jednym tchem, jednym przelotem po przestworzach bezkreśnych.

Co przeżyła—nie wie. Ale czuje, że była *istnieniem* ciężkiem, wbitem w masę, a co więcej, że jako to istnienie... cierpiała.

Więc zdaje się jej, że to było całe życie, takie, jakie ją czekało i później. Tak—nic więcej. Więc tego żałować nie mogła, bo choć nic właściwie nie pamiętała, to przecież było to czarne, nie mające żadnych jasnych punktów istnienia.

Więc—czego?

Odrywa rączki od oczu i mówi nizkim, jakimś jej nieznanym głosem.

— Nie, Mundku! nie żałuje się niczego.

Pochylił się nad nią tak, że czuje jego oddech trochę przepojony papierosami.

— Raz jeszcze cię pytam, nie pragnie się żyć?

— Nie, Mundku!

On zasłonił oczy i stoi chwilę nieruchomy.

Pita uklękła zupełnie na posłaniu, wyciągnęła ku niemu ręce.

— Mundku!

Milczenie.

— Mundku, co z tobą?

Milczenie.

Pita niesmiało wyciąga ręce i szuka rąk brata. Znalazła je. Rozpaczliwie do twarzy przyciśnięte.

A co więcej, wśród palców padają wielkie gorące łzy.

Ach! jakie wielkie gorące łzy!...

Pitę łzy te ukłóły gorącem pchnięciem w samo serce.

— Mundku! nad czem ty płaczesz?

Cały drży. Mężczyzna płacze. Boże! Raz tylko widziała, jak ojciec jej płakał, ale cicho, bardzo. I to od-

wrócił się do szyby i tak chciał ukryć ten płacz, aby nikt go nie widział. Było to wkrótce po powrocie z Zakopanego. Mama się gniewała na ojca i wołała:

— Ja tam sobie wszystkiego odmawiałam, kiedy ty po ogródkach...

I wtedy ojciec zapłakał.

Pita te łzy dostrzegła. Tylko była wtedy inna, trochę głupia, trochę obojętna! Nawet zdawało się jej jakieś poniżające, że ojciec płacze. Teraz jednak, lata przyszły i oto ona ma ręce zmoczone męskiemi łzami i te łzy ją palą, przerażają ją.

— Mundku!—prosi cicho—Mundku!

Lecz on się jej wyrywa i ucieka. Wyrywa i zamyka drzwi za sobą. Nie chce, aby go pocieszała.

. . . . . .

Teraz Pita pozostaje sama. Szara godzina ogarnia ją całą. Pita wie, jest pewna, że nieszczęście jakieś jest za progiem ich mieszkania. Ach! ona zawsze w przeczuleniu swojem czuła, że te drzwi, któremi wsuwa się to coś nieprzewidzianego, nie są dobrze zamknięte. Za słabo! za słabo! To wystarczało dawniej, ale teraz, gdy jakieś silne fale zewnątrz biją, te drzwi są zbyt cienkie, zbyt mało oporne. Temi drzwiami wchodzić zacznie cała procesya faktów, przyczyn, konieczności. Wejdą to cicho i podstępnie, to znów z hukiem i wrzaskiem rozszalałych fal. Nie oszczędzą cichych kątów, zacieśnionych mieszkań, gdzie żółkną palmy i pełzną dywany. Im w ich tryumfalnym pochodzie nic oszczędzać nie wolno.

I choć to będą raczej odblaski pożarów, odłamki walących się skał, skraje szumiących fal, choć to będą echa gromów i poświsty błyskawic, to dla świata drobnych istnień będą miały tę samą, a może jeszcze silniejszą wartość.

I zdruzgocą życia.

Połamią egzystencyę.

Pogaszą domowe lampy.
Wyszarpią ochronne okna.
Rozniosą jęk cichy w oddali.
Łzami poigrają przez króciuchną chwilę.
A potem łzy te rozniosą...
Daleko, daleko.
I śladu po nich nie będzie.
Ani po tych łzach krwawych.
Ani po zdruzgotanych życiach.
Ani po jękach sierocych.
Po niczem! po niczem!

IX.

Tuśka śpi na swem orzechowem łóżku, blada i jakaś zmożona.

Ale przez sen prawie się uśmiecha.

Nie dlatego, ażeby ten „doktór“ robił na niej wrażenie. Ale ona widzi, że rzeczywiście, jak mówi panna Władzia, ona jemu „wpadła w oko“.

W tem monotonnem, fatalnem życiu nikt jej po słowach, wyszeptanych tam, w Zakopanem, nie powiedział, że jest „ładna“. Nikt nie spojrzał na nią, jak tamci patrzeli. I ona obnosiła tę gorycz „nieużytecznej piękności“, zwijając czemprędzej złoto swych włosów, jakby lękając się jakiegoś słowa ze strony Żebrowskiego, które uważałaby raczej za obelgę. Wszakże raz jeden, gdy rozpuściła swój czarowny płaszcz Loreley, śpiewającej na brzegu skały, Żebrowski z najzimniejszą krwią powiedział, śmiejąc się:

— A! i mamusia rozpuściła swoje kosmyczki!

I zdawało mu się to tak dowcipne, że śmiał się, śmiał się cieniutko czas długi, a Tuśce ręce chwilę opadły, bo

właśnie myślała, że te złote włosy są tem, co ma najpiękniejszego w całej sobie, że te złote włosy...

Porwała się jak szalona i uwiązała ciasno w węzeł włosy, upięła je nizko na karku. Lecz spojrzenie, jakie rzuciła na męża, było tak wymowne, że on nawet się na niem połapał.

— Cóż to? mamusia się obraziła?

Nie odpowiedziała mu nic. Uklękła do pacierza, aby uniknąć dalszej z nim rozmowy.

Nie modliła się wszakże. Patrzyła tylko na dywanik, który już od lat tylu wisiał nad jej małżeńskiem łóżkiem. Był tam paw', siedzący na balustradzie, wielki paw' na tle chmur, a dokoła niego rosły nasturcye. To był wybór samego Żebrowskiego.

Gdy się pobierali, mieli dwa dywaniki malutkie po trzy ruble, przedstawiające lwy. Lecz powoli Żebrowski zapragnął otoczyć żonę komfortem.

To było w stadyum, gdy kochał Tuśkę miłością nadzwyczajną i zmysłową. Kupił jej na Nalewkach dywan duży, na którym był paw'. Niewiadomo dlaczego, ale w umyśle jego piękność Tuśki doskonale nosić mogła jako emblemat pawia.

Jedynie pawia.

Mała główka, trzymająca się prosto i ciało trochę ciężkie, ważne...

Tak—to była Tuśka.

Dywan ten zawieszono nad łóżkiem Tuśki. Żebrowski pozostał przy swoim lewku. Dla niego to wystarcza. Natomiast lwa dał pod stopy żonie.

— Niech ci służy wiernie...—mówił, mrugając jednem okiem.

Tuśce podobał się nawet wtedy ów *paw'*. Patrzyła z przyjemnością na mnóstwo oczek jego ogona i na kłęby nasturcyi, opadające z balustrady. Podczas swoich słabości miała w tem nawet źródło nieprzeliczonej rozrywki. Lecz... powoli paw' szarzał w oczach Tuśki, coraz więcej, coraz

gwałtowniej. Był czas, gdy zakrywała się przed nim ze wstrętem; był czas, gdy drapała go paznogciami w nocnej ciemni, gryząc usta do krwi i starając się zapanować nad sobą, aby nie wołać pomocy! Był wreszcie czas, gdy z całą rezygnacyą, apatycznie leżała, nie śpiąc i patrzyła, jak przez szarą płócienną roletę nadchodził niemniej szary, smutny świt i budził w jej sercu szary, smutny świat.

I teraz klęcząc, stara się nie patrzyć na ten dywan z pawiem, rozpięty nad jej łożnicą. Na nim wszakże wisi w owalnych ramkach duża twarz Madonny Gwido Reniego. *Ecce homo*, także w fotograficznem zdjęciu, wyziera z płowego lwa nad łóżkiem Żebrowskiego. I ta Madonna, którą Tuśka dostała razem z wyprawą, także dziś już otrzymuje apatyczne spojrzenie klęczącej kobiety. Walka wyczerpała ją do dna. Zanim wznosić się zacznie w niej kaplica dewocyi, zanim tulić się pocznie do kratek ołtarza i konfesyonału, błękitne oczy patrzą blado lub nie patrzą wcale.

Pacierz wcale nie jest mówiony, lub w myśli wirują jakieś słowa.

A na kanapce ceratowej tuż obok orzechowej gotowalni, na której stoi platerowane lusterko i takaż szczotka (duma Żebrowskiego) siedzi mąż i powtarza cienkim głosikiem, podśmiechując się trochę:

— Mamusia się obraziła.

. . . . . .

I o co chodzi? O drobiazg napozór, o głupstwo. Rosa padła na kwiat i oto płatki błyszczą barwami aksamitu. Słowo uwielbienia, słowo odżywcze padło u stóp kobiety, i cera jej nabiera barwy róży, oczy turkusów, włosy palą się pożarem czarujących iskier.

Słowo padło do stóp kobiety i ona w wabnem przegięciu ciała, uśmiecha się do życia i do tego, że istnieje.

Słowo padło u stóp kobiety, pochlebne, pełne za-

chwytu słowo i oto ona smukleje, głowę królewskim ruchem nad piersi podnosi.

— Jestem! jeszcze! jestem!—woła.

Z ciemnej głębi zaniku wchodzi jak jutrzenka.

Wchodzi i—zatrzymuje się.

Tu najczęściej kres jej radości. Nie pójdzie dalej—nie będzie pożądała, aby atłas jej ciała, jak mora przewinął się dreszczami rozkoszy, nie—to dla niej zawiele, to zastygło już w niej i zbudzićby je mogła chyba jakaś straszna katastrofa, która zmysły rozpętać jest zdolna.

Lecz takich katastrof, gdzie zmysły szaleją, nie zna ciche, ubogie mieszkanie. Tam, namiętności przechodzą milczące tragedye i wybuchają rzadko.

Więc i kobieta, gdy padnie we wnętrzu jej domu słowo zachwytu nad jej czarem, słowo jak rosa, zatrzymuje się w swej radości i oto milczy, i oto zapada w zadumę, a powoli zsuwa się jeszcze w większą rozpacz. Jakby dojrzała słońce i znów straciła wzrok. Lecz chwilę miała ułudy, chwilę żyła tą rosą, jak kwiat, i cera jej miała połysk atłasu, a usta mieniły się koralami, włosy sypały się po ramionach, jak jasne, czyste złoto.

I teraz Tuśka pozbierała, jak te krople rosy, słowa młodego doktora. Nie lubi go, gdy mówi, przysuwając się blizko, a przecież z jego słowami zasypia w myśli.

— Od pani bije łuna piękności — powiedział jej niegdyś.

A później:

— Jak chciałbym widzieć rozplecione pani włosy...

To jest śmiałe, zuchwałe—tak. Tuśka marszczy brwi i stara się niepatrzeć na wydęte wargi doktora, na jego dziwne, niesympatyczne włosy. Ale mimo to, zakaz mówienia podobnych słów wydaje jakoś miękko.

— Proszę, proszę pana, to do konsultacyi nie należy!

I jednocześnie przypomina sobie:

— Mamusia rozplotła kosmyczki...

Jakieś znane jej już uczucie przesunęło się jej przez serce.

Ktoś, niegdyś, dawniej we mgłach górskich mówił:

— ... te twoje złote włosy...

Ucieka szybko.

Wieczorem Tuśka klęczy krótko naprzeciw pawia. Nie modli się, stara się jaknajprędzej przestać myśleć.

I szybko kładzie się do łóżka w swym kretonowym kaftaniku, do którego jednak zawsze doszywa koronki. To już ostatnie, czego się pozbyć nie może.

I śpiąc, uśmiecha się tak, jak ta przed której stopami zaszeleściało rozkoszne słowo, jak śmieje się wdzięcznie kwiat, na który padła kropla brylantowej rosy.

. . . . . .

W następnych dwóch pokojach cisza.

W saloniku Mundek powrócił wcześniej i położył się zupełnie cicho. Edek miał trochę gorączki, ale uspokoił się także i zasnął. Żebrowski zapowiedział, że będzie czuwał, lękając się, aby Edek się nie odkrył i nie zaziębił. Czuwać także miała panna Władzia, wprosiła się w ostatniej chwili. Kilka już nocy przepędziła, nie śpiąc, w mieszkaniu Żebrowskich. Właściwie była zbyteczna, ale Tuśka czuła się zmęczona i rada była, że się nią wyręczy.

— Ja prześpię we dnie, u Marcysi na łóżku!—tłómaczy panna Władzia.

— Ale cóż znów? W saloniku odpocznie panna Władzia—tłumaczy jej Tuśka.

Władzia jest teraz jeszcze w kuchni. Marcysia zmywa naczynia, a Władzia coś tam jeszcze robi. Dwa razy już upiekła placuszki do herbaty, ot — „tak z niczego“— smakowały szczególnie Żebrowskiemu. Władka na to smakowanie patrzyła ukosem, lecz szczególnie starała się trafić w smak Tuśce.

— Czy dość słodkie?

Tuśka odpowiedziała:

— Trochę za mało.

Żebrowski jednocześnie odparł:

— Doskonałe.

Władka aż się zwinęła przed Tuśką, tak zapewniała ją, że placuszki będą na drugi raz według rozkazu pani dobrodziejki.

Na Żebrowskiego nie zwróciła prawie uwagi.

Lecz na drugi raz placuszki były właśnie tak mało słodkie, jak sobie tego Żebrowski życzył.

Tuśka, mało przenikliwa, posypała placuszki cukrem i na tem się skończyło. Gdy jednak Żebrowski i Władka pozostali sami, szwaczka zapytała układnie.

— Czy według woli pana dobrodzieja upiekłam ciasteczka?

Żebrowski porwał się, zmieszany. Był ciągle taki zmieszany od chwili, gdy Władka częściej do niego przemawiać zaczęła. Działo się to przeważnie na osobności i dlatego nabierało jakiejś cechy tajemniczości.

— Dziękuję pani... — wyrzekł, kłaniając się sztywno.

— Ale ja się pytam, czy smakowały? — zapytała, a ton jej głosu był jakiś miły i dźwięczał pokornie.

— Tak... tak...

— E! pan dobrodziej tak umyślnie, aby mnie nie zmartwić—mówiła dalej, kołysząc się lekko.

— Ja? cóż znowu! jak pragnę...

Spojrzał na nią.

Urwał.

Zęby białe równe z pośród warg ciepłych, mięsistych—i wyraz całej szczęki dziwny, obiecujący.

Gorąco leciuchne szybko przebiegło po żyłach Żebrowskiego.

A potem ten dobry głos!

Tak już dawno nie słyszał nic podobnego, skierowanego ku sobie, specyalnie ku niemu.

Marmurek oczy spuścił i zaczął nerwowo zbierać okruszynki po stole.

A przed nim kołysała się dziwacznie uśmiechnięta, w płomiennym fontaziu dziewczyna, patrzyła na niego, jakby ironicznie, jakby prosząco i cała była spowinięta w echa swego dobrego srebrnego głosu.

— Bo mnie tak na łasce pana zależy... — mówił ten głos.

Pita leży na swem posłaniu równo, ręce ma złożone w krzyż i patrzy. Na białem tle parawanu odbija się doskonale, jak wykrojona, postać jej ojca. Dziecko mimowoli przypatruje się liniom jego profilu i myśli, że to nazwisko „kościany dziadek," które mama czasem przez zęby wyrzuca w chwili gniewu, jest przecież słuszne. Ojciec wygląda jakby był z kości wyrzeźbiony i co rok mizerniejąc i chudnąc, bardziej to podobieństwo zaznacza. Pita rozmyśla, czy byłoby jej żal pozostawić tu na ziemi ojca, gdyby umarła, ale dochodzi do przekonania, że nie bardzo.

Zdaje się jej, że ojciec idzie jakąś wytyczoną raz ścieżką i nie patrzy na nikogo z nich, tylko daje pieniądze.

Nie wie nawet, czy ojciec płakałby, idąc za jej trumną. Zdaje się jej tylko, że byłby bardzo blady i oczy wpadłyby mu głęboko. Co do łez jednak, tego ojciec nie potrafi, choć wtedy płakał, stojąc przy oknie, kiedy mamcia mu robiła jakieś zarzuty.

To pewnie jednak było ze złości. Mama zawsze mówi do ojca:

— Ty nie masz serca!

Z drugiej znów strony zdaje się Picie, że ojcu nie zwierzyłaby się nigdy z tego, co się z nią dzieje, to jest z tego, że się... zakochała. Lecz gdyby ojciec się dowiedział, czuła, iż nie gniewałby się tak, jak mama; co najwyżej uśmiechnąłby się ironicznie. Więc i to ma dobrą stro-

nę. Ojciec jest pobłażliwy. Tak, pobłażliwy. Ojciec musi być dobry.

Tylko zgarbiony i niepozorny. Gdy idzie z mamą, to mama ma zupełną racyę, iż nie pozwala ojcu podać sobie ręki. Byłoby to śmieszne. Ojciec jest mniejszy i chudszy. Potem, ubrany nie zawsze odpowiednio do mamy. Ona, Pita, kilka razy szła razem z ojcem i gdy był w dobrym humorze, brał ją pod rękę. No! to nic nie szkodziło, bo ona jest mała i jeszcze ludzie się za nią nie oglądają, ale mama... ho! ho!...

W kuchni ciągle Marcysia z panną Władzią terkoce. Edek przez sen wzdycha ciężko. Pita myśli, że chciałaby być dużą i zdrową i módz siedzieć w nocy przy chorych z książką. To musi ładnie wyglądać i być bardzo miło. Wtedy człowiek jest panią siebie i swej woli. To jedno chyba najmilsze na świecie. Zajrzałaby wtedy i do Mundka, aby się przekonać, czy jest ciągle taki smutny, czy ciągle ma łzy w oczach?

— Tak płakał!... tak płakał!... — myśli Pita — i o pogrzeb pytał. A jego na tym moim pogrzebie nie było. Czy on płakał nade mną? nad tem, co ja mówiłam? Jaki on dobry! A ja myślałam, że to *sobek*, że on tylko nad sobą się rozczula i siebie żałuje.

Chwilę Pita znów przygląda się ojcu.

— Ja nie wiem do kogo ten tatko podobny! Ani do chłopców, ani do mnie, ani do mamci. Ale przecież pobłażliwy, więc i on dobry, jak Mundek, tylko nie tak, żeby aż płakał.

I nagle, jak zwinny, zbudzony ptak, myśl dziewczynki szybuje ku górze.

— Co *on* teraz robi? Może już śpi... może pisze. Może także które dziecko chore, a on siedzi z książką i czuwa. Musi być piękny pod światłem lampy. Żeby go tak pod różowy abażur! Boże!... te śliczne włosy... Albo lepiej niech będzie zdrów i wszyscy *jego* zdrowi, i niech

chodzi po pokoju i gwiżdże. Żeby mu tylko dzieci nie chorowały. Musiałby się martwić i mieć wydatki.

I Pita ręce przyciska, a drobniuchne wargi szepczą modlitewkę:

— Dobry Boże! daj zdrowie mamie, tacie, rodzeństwu, panu rządcy, jego dzieciom i wszystkim potrzebującym. A imię Twoje niech będzie na wieki chwalone...

Już prawie zasypia, prawie — tymczasem drzwi od kuchni uchylają się i wsuwa się Władka. Na tacce niesie herbatę i kilka przypieczonych angielskim sposobem grzanek obsypanych parmezanem. Żebrowski odwraca ku niej głowę. Ona kładzie na ustach palec i powoli zbliża się ku niemu.

Pita otwiera oczy i teraz widzi doskonale cień Władki, niosącej tackę z herbatą. Jakże chętnie i ona napiłaby się herbaty! Zapach grzanek dolatuje aż do jej spragnionego żołądka. Lecz Władka stawia tackę przed Żebrowskim i mówi szeptem:

— To dla pana dobrodzieja!

Żebrowski porywa się na wpół, książka wypada mu z rąk.

Zanim się zdołał schylić, Władka ładnym gestem, który widocznie intuicyjnie odczuwa, przyklęka, podejmuje książkę i szepce, wskazując tackę:

— Proszę pić!...

Żebrowski niezdarnemi ruchami stara się podnieść dziewczynę.

— Niechże pani...

Ona ciągle klęczy i znów pokazuje ręką na tackę:

— Proszę pić...

Żebrowski wyrzuca, jakby ze zdławionego gardła:

— Ależ dzieci się pobudzą.

Władka powstaje niedbale.

— Śpią!—mówi krótko.

Lecz zagląda za parawany.

Pita szybko zamknęła oczy i zaparła dech.

Władka powraca do kuchni.

— Zaraz przyjdę!—rzuca na odchodnem.

Pita otwiera oczy i widzi, jak po odejściu Władki, ojciec wykonywa seryę dziwacznych ruchów, trze czoło, wyciąga mankiety, puka się w gors koszuli. Pita wie, że ojciec to robi, gdy jest bardzo czegoś zdenerwowany i niespokojny.

Koniec końców, Żebrowski wysuwa tackę z herbatą, pije gorący napój, a je grzanki, aż trzeszczą. Natychmiast z za parawanu pieje głos Edka:

— Tu ktoś coś je... niech mnie da... ja głodny!

— Cicho bądź! śpij!—odpowiada dość ostro Żebrowski.

Po chwili rozlega się chrapanie Edka.

W kwadrans później znów wsuwa się Władka. Niesie drugą szklankę herbaty.

— Proszę, osłodzona, z cytrynką, jak pan lubi.

Żebrowski jakiś zadowolony odpowiada:

— A zkąd pani wie, co ja lubię?

— O! ja uważam! uważam! — śmieje się Władka—na kogoż się powinno głównie uważać, jak nie na pana domu? Mąż panem domu... Tak śpiewają w teatrze...

Oparła się znów o stół zapadłym brzuchem i kołysze się.

Pita otwiera coraz szerzej oczy.

— E!...—szepce Żebrowski—to tak na scenie.

— To źle! powinno być inaczej. Mężowi należy się wszystko najlepsze i największe wygody i największe względy. On jest król stworzenia. Tak napisane i kwita.

— A gdzież to tak napisane?

— A no to już tak Pan Bóg Ewę nauczył, bo wygnał ją z raju za to, że dała ogryzek jabłka Adamowi. Powinna go była poczęstować odrazu całem jabłkiem i wszystko byłoby dobrze. A to tak przez nią...

Żebrowski głową kręci.

— Ogromnie pani dowcipna.

— E... nie... Tylko się staram pana rozweselić i dotrzymać towarzystwa. Jakże tak pan ma sam siedzieć. To aż serce boli! Jutro do biura, a pan przy dzieciach. To kobiet sprawa... Żeby tak odemnie to zależało, to pan dobrodziej dawnoby w łóżeczku ślicznie leżał pod kołderką, a ja bym czuwała.

— Moja żona zmęczona.

Władka milczy.

Pita myśli sobie w tej chwili, że słyszała doskonale, jak Władka namawiała Tuśkę, aby szła spać, mówiąc:

— Pani dobrodziejka taka bladziuśka, jak ten opłatek. Proszę się wyspać. Już niech lepiej pan czuwa; mężczyzna niech także potrudzi się trochę nad dziećmi...

Tak mówiła Władka do matki wieczorem; w nocy mówi to samo, tylko przewrotnie, do ojca. O! Pita nie zaśnie, będzie słuchała. Raz, że ją te maryonetki na białem tle bawią, a potem, że dobrze jest poznać przewrotność ludzką.

Władka wzięła sobie krzesło i usiadła także przy stole.

Za nimi lampa. W ten sposób Pita widzi ich oboje z profilów i zdaje jej się, że Władka ma taką minę, jakby chciała pożreć ojca, a on, jakby gotował się do skoku w te szeroko otwarte, roześmiane usta.

Mówią teraz o grzankach.

— A zkąd pani umie takie pyszne grzaneczki przyrządzać?

— A byłam za... gospodynię, więc się przyuczyłam.

Żebrowski głowę przekręca, jak mysi królik.

— Taak? a może u... kawalera?

— Nie!

— No, no proszę się przyznać.

— U wdowca.

— A co! a co!...

— Niby co?

— No, tego ten... wdowczyk...

— Ach! że też zaraz wy, mężczyźni coś przypuszczacie *de grubis*. Jakby to już nie można... E! gniewam się.

— *No, no... nie gniewalam się.*

Pita aż dech zatrzymuje. Nie może poznać ojca. Jak on to z Władką rozmawia. Ona mówi „wy mężczyźni," a on z tą nic, że ona tak poufale. I potem ojciec pieszczotliwie przemawia do tej dziobatej, brzydkiej dziewczyny.

— *Nie gniewalam się.*

Nigdy, nawet, gdy Pita była malutka, ojciec do niej tak nie mówił! Tylko tam, w Zakopanem, pan Porzycki tak mówił do niej i raz do mamci. Ale ona była mała, a mamcia nie jest szwaczką, ani dziobatą.

Pitę ogarnia jakaś wesołość. Jest to nienaturalne podniecenie, ale wesoło jej. Gdyby się nie lękała, zachychotałaby chętnie z całego serca.

Lecz Żebrowski wstaje od stołu, a ma pozór wystraszonego.

— Trzeba zobaczyć, co się dzieje z synem! — mówi poważnie.

Zagląda za parawan. Władka śledzi go chwilę w milczeniu.

— Jaki z pana wzorowy ojciec!—mówi po chwili rozrzewnionym głosem—ja, gdybym była żoną pana, to dzień i noc na kolanach dziękowałabym Bogu, że mi takiego męża znaleźć pozwolił.

Pita widzi, jak ojciec wydyma klatkę piersiową i obciąga kamizelkę.

— Co też pani, co też pani...

— Ale daję słowo. Takich mężczyzn zacnych, wzorowych, szlachetnych, w sile wieku, teraz nie znaleźć.

— Co też pani mówi. Ja jestem stary.

— Ach! tak mówi pani dobrodziejka. Ale to nie ma znaczenia. Dla każdej kobiety, która ocenić taki skarb potrafi, to cóż są właściwie lata. Pan dobrodziej ma w sobie rzeczywiście coś takiego... coś pociągającego.

Chwilka pauzy.

— Ja prawdziwie napatrzyć się na pana dobrodzieja nie mogę.

Żebrowski śmieje się, ale jakby z przymusem.

— Ja doprawdy nie rozumiem...

Władka wstaje, zostaje tak jeszcze chwilę, poczem szepce:

— Ja wolę ztąd pójść...

— Jakto?

— Tak. Do kuchni. Tam spędzę resztę nocy. Wolę...

— Ależ...

— Nie, nie. Proszę nie pytać. Tylko proszę mnie puścić.

Pita zauważa, iż ojciec wcale Władki przemocą nie trzyma.

— Dobranoc panu!

Wionęło tak, jak wiatr.

Zamknęły się cichutko drzwi od kuchni.

Władka znikła.

Przy stole siedzi Żebrowski nad pustemi szklankami.

Pita patrzy na jego profil. Tatko nie jest wesoły. Przeciwnie, jakby spoważniał. Ciągle ma klatkę piersiową tak wydętą, jak wtedy, gdy Władka mówiła mu, że jest wzorowy i w sile wieku... Tylko jest zarazem niespokojny. Ogląda się na prawo, na lewo. A potem sam do siebie kręci głową. I to jest najzabawniejsze. Picie się zdaje chwileczkę, że ktoś okno otworzył, że wpadł cichaczem nietoperz, pokołysał się przy stole i—uciekł.

Już raz miała to wrażenie, gdy weszła do ich domu Władka. Lecz teraz Pita czuje, że ta „dziobata" postąpiła jeden krok w głąb ich domu, że weszła tam, gdzie do tej chwili nie wchodzili obcy.

— Wszystko dziwne...—błądzą myśli Pity—ach, jakie!

. . . . . .

Coraz niewyraźniej robi się przed oczyma dziewczynki.

Biały parawan zlewa się, jakby w jakąś, ogromną przestrzeń śniegową. Daleko gdzieś błyszczy światło. Koło niego klęczy ciemna postać. Jakby ogromny Cherub. Po-

wstaje, zbliża się ku niej. Na złocistem tle lampy rysują się jego skrzydła. Jest przy niej, oblicze ma tak piękne, jak Mundek, tylko po nim krew i łzy płyną.

I Cherub roztacza skrzydła, delikatnie, zabiera na nie Pitę i składa je w formie półrozwartej czarnej konchy muszlowej. I oto łagodnie, miarowo do snu dziewczynkę kołysze, a ona czuje, że twarz Cheruba jest nad jej twarzą i z jego oczu spadają na jej przymknięte oczy krwawe, gorące łzy.

Powstała Pita już z łóżka i chodzi teraz po mieszkaniu, w ciepłej matince mamusi. Blada jest, prawie woskowa. Lecz ślicznie jej z tem. Gdy włosy rozpuści, secesya skończona. Odsłania szyjkę i cieszy się, że straciła pewną żółtość, której przez noszenie wysokich kołnierzyków nabyła. I mama to zauważyła i pochwaliła ją za to. Lecz co najwięcej zdziwiło i ucieszyło Pitę, to to, że bardzo podczas choroby urosła. Wyciągnęła się w górę, jak sosenka. Mama aż załamała ręce, gdy to zobaczyła. Trzeba będzie znów sprawiać! Lecz panna Władzia zaczęła natychmiast uspokajać. Nic—nic. Ona umie kombinacyę jedwabiu, albo aksamitu w pocięte pliski z materyałem sukienki i można uzyskać ze trzydzieści centimetrów, a nawet więcej.

— Gorzej z czem innem—mówi Władzia—przecież to już panna na wydaniu, trzeba szukać męża.

Serce Pity ścisnęło się boleśnie.

Ona nigdy za mąż nie pójdzie. Wie, że rodzice nie dadzą ją „rządcy." Mama nazywa go bałwanem, a ojciec nie zwraca na niego uwagi. Więc jeżeli nie ten, to już żaden. Gdy będzie dorosła i samoistna, postara się zbliżyć do jego dzieci. Do *niego* nigdy.

Nic więc dziwnego, że gdy Władka mówi o „mężu," Picie ściska się serduszko.

— Och! gdyby on...

Tuśka inaczej przyjmuje powiedzenie Władki:

— Co też panna Władzia mówi, przecież to smarkata.

Po ustach Władzi przewinął się uśmiech.

— Ależ naturalnie, będą brali panią dobrodziejkę za starszą siostrę panny Pity—mówi Władzia.

Pita tymczasem obchodzi całe mieszkanie. Gdy leżała jeszcze w łóżku, układała sobie, że *przywita się* z martwemi rzeczami chętnie i z pewną radością. Lecz doznała zawodu—rzecz dziwna. Te meble, te drobiazgi wydały się jej jakieś mniejsze, jakieś brzydsze — zniszczone, pomimo, że były starannie utrzymywane. I z opuszczonemi rękoma oparła się Pita o nieśmiertelne pianino z aksamitnym czaprakiem, dwoma koszyczkami i fotografiami w ramkach ze słomek. Przemknęło jej przez głowę, że są inne światy, a w nich meble białe ze złotem, dywany w wielkie róże, obrazy w cudnych ramach, świeczniki, jak bukiety...

To wszystko Pita widziała w teatrze, a pomiędzy temi meblami chodziły panie w sukniach, oblepionych u góry, bez brzuchów, z żołądkami wypadającemi w nadzwyczajny sposób ponad paski. Nie robiły nic nigdy, tylko mówiły o miłości—o miłości—o miłości.

Z jadalni daje się słyszeć głos Tuśki:

— Cóż tam, Pito? zasnęłaś?

— Nie, proszę mamusi.

Pita zaczyna chodzić, jak automat. Bezwiednie przybiera postawę aktorek, wciąga brzuszynę, wydyma klatkę piersiową. Obciera teraz z kurzu *serwantkę*, która jest całą historyą życia Żebrowskich, lecz czyni to po raz pierwszy bez przekonania. Powiały jej myśli z salonów wersalskich w eter miłosny, i zdaje się jej, że teraz *ktoś* — (ten on) patrzy na nią—widzi ją delikatną, dystyngowaną, ledwo dotykającą ziemi.

A rączki jej tymczasem ściereczką „od prochu" w kratki, ścierają przedmiocik po przedmiociku z familijnej serwantki.

. . . . . .

Bo na takiej ulicy Wareckiej w oficynie (a nawet i od frontu) jest w każdem mieszkanku taka serwantka, gdzie się ustawia rozmaite przedmiociki, które stanowią jakieś wytyczne punkciki w życiu skromnych i cichych.

Dawniej były to serwantki w kształcie liry.

Koło nich delikatnie, romansowo krzątała się panienka cienka w pasie, w białych pończoszkach, trzewiczkach z bandażami, z motylem z włosów na głowie. Zamiast ściereczki, miała kawałek indyjskiego muślinu w ręce, a zamiast serca—całą girlandę kwiecia, zbieranego rękoma kawalerów grzecznych. I woniała esencyą różaną, a cichutko nuciła piosenki sentymentalne.

Na serwantce stały flakony czeskie czerwone i białe, cudnie rżnięte, figurki saskie ze szpadą i nawet z koroną, tabakierki, miniatury i szyldkretowe drobiazgi. Medale, monety, kameje, wszystko to zalegało mahoniową lirę i odbijało się w zielonawem szkle, stanowiącem tło serwantki.

Panienka miała ręce długie, kunsztownie wypielęgnowane, a na szyi w szafranie zmoczoną chusteczkę.

Panienka grała czasem na klawicymbale...

Panienka nie robiła nic, tylko ściskała talię.

Jaka zgrabna była ta panienka!

. . . . . .

Teraz na ulicy Wareckiej są także „serwantki."

Ale to są najczęściej półeczki. Imitują mahoń, czasem są białe, przez ojca rodziny świeżo polakierowane i wyklejane co kilka lat pluszem.

Na tej serwantce jest cała historya, są wszystkie drobiazgi, które *miały być piękne, a pozostały tylko smutne.* Jest tam bombonierka, którą tatuś dał mamci, gdy się o nią starał. Bombonierka była biała, proch na nią zapadł. Zaszyto ją w pokrowiec z białego muślinu. I tak stoi ten trup, połyskując tylko złoconemi skówkami, gdy słońce się w ten kącik dostanie. Ale to rzadko się zdarza. Obok, jakiś karnecik balowy, oprawny w różowy plusz. I order

kotylionowy—kot jadący na miotle. Tatuś podobno niegdyś tańczył i dostał na balu order od jakiejś pani, no i naturalnie ten order musi być zachowany. A potem wygrane na loteryi: neseserka i cała zastawa do herbaty po lalce Pity, i koszyczek ze zwijanych papierków, który Edek na imieniny zrobił. A na niższej półce malutki Pan Jezusek, śpiący na krzyżyku, z terakoty. Pita Go bardzo, bardzo kocha. Taki milusi, taki tłuściutki. Ponad Nim Pita ustawia srebrny kubeczek (swój prezent chrzestny) i zaczepia kilka niezapominajek.

— Lulajże, Jezuniu! lulajże, lulaj!

Tak jej śpiewało zawsze w duszy, gdy delikatnie ocierała proch z Jezuska.

A tuż, tuż książeczka biała i różaniec, jakby z pereł nawleczony. Pamiątka pierwszej Komunii. Lecz ręka Pity garnie się do śpiącego Jezuska. Ona nie wie sama, dlaczego do Niego ma ciągłą miłość i zaufanie. Ten jej nie potępi...

I nagle Picie pierzcha z myśli Wersal. Pada na klęczki przed tą ubogą śmieszną serwantką, gdzie jest jej wszystko, jej pierwsze kanwowe roboty, jej nagrody, jej to „przejście za rękę" przez tę odrobinę życia, przez którą przeszła i patrzy błękitnemi oczyma, łez pełnemi na Jezuska z terakoty.

Zdaje się jej, że ktoś zdruzgotał całe jej młode życie, że ona padnie tu na miejscu, zostanie martwa, bo dla niej skończyło się wszystko.

. . . . . .

Mała, biedna Pito! Powstań z tych zmęczonych kolanek. Powstań i powlecz się dalej. Zabierz z sobą „serwantkę" i twego ukochanego śpiącego Jezuska i powoli dorzucaj ciągle po jakimś punkciku z tego, co ci życia doda. I gdy już przyjdzie twój *Kres*—ty, Pito, klęknij przed „serwantką" twego życia i spojrzyj przez mgłę łez. Wypłakałaś oczy i zdobyłaś wielką, cudowną umiejętność, dla cie-

bie dławiącą i straszną; dla tych, którzy cię otaczają—nadzwyczaj *przyjemną*.

Ty nauczyłaś się *płakać bez łez*, Pito!

. . . . . .

— Cóż tam? znowu zasnęłaś?—pyta Tuśka.

Pita nie słyszy. Pita nie odpowiada.

Tuśka wchodzi do saloniku. Ładnieje, codzień ładnieje. Usta, które już opadły kącikami ku dołowi, podnoszą się, jakby tryumfalnie. Włosy ma lekko puszczone na plecy, policzki natarte pudrem.

Zbliża się do córki, wzrusza ramionami i dotyka lekko pleców Pity ręką.

— Co ty robisz? modlisz się?

Nie, myśl modlitwy była w tej chwili od Pity daleko. Tuśka nie rozumie, że można paść na klęczki nietylko w formie uwielbienia.

— Ja?... — mówi Pita, przecierając oczy — nie, nie, mamusiu...

— Może ci słabo?

— Nie.

— Może ci się jeść chce?

— Tak... to jest nie...

Tuśka stoi nad córką i patrzy z ironią litosną:

— Boże mój! Pita, ja nie wiem, co z ciebie będzie. Robisz się poprostu niedołęgą... Tak, nie... czerwienisz się, bełkocesz... Zupełnie czego innego spodziewałam się po tobie.

Pita powoli podnosi się z klęczek. Ona sama wie, że jest „niedołężna," że teraz zwłaszcza, kiedy tak nagle podrosła, chodzi, jak na szczudłach, że umie tylko *myśleć*, ale że wypowiedzieć się nie umie. I strasznie ją to boli wszystko, tembardziej, że matka wypowiedziała jej to w oczy, otwarcie.

— A, innego, zupełnie — ciągnie dalej Tuśka—byłaś taka zgrabna, wytworna, takie śliczne było z ciebie dziecko.

W takiem Zakopanem, to wszyscy się nad tobą unosili... A dziś...

Pita kurczy się, ręce jej opadły bezwładnie w zbyt szerokich rękawach matczynej matinki, delikatna jej piękność zdaje się omdlewać pod brutalnym pręgierzem słów matki. Jest „niedołęgą," a przecież chwilami zdaje się jej, że gdyby tylko rzucono ją w bezmierne przestworza—rozwinęłaby świeże, nowe skrzydła i szybowaćby mogła, może bez celu, ale z dostateczną siłą. Tak jej się zdaje i czuje się, jakby wtłoczona w ciasną przestrzeń tego *Wnętrza*, które obejmuje ją znanemi jej dawno, pełzającemi kleszczami.

— Zawiodłam się na tobie... — mówi Tuśka, kiwając smutno głową.

. . . . . .

Zawiodłaś się na niej Tuśko? zawiodłaś się na tej dziewczynce, która z takim szykiem umiała nosić na ramionkach swój granatowy żakiecik i układać, jak baletniczka nóżki w białych, sznurowanych bucikach!

Zawiodłaś się *właścicielko laleczki*, która przez pamiętny sezon zakopiański stanowiła dopełnienie twej urody złotej blondynki! Być może. Pita, która w tej chwili kurczy się na zbyt długich nogach w twej starej matince, jest *cudem* wiosennym, w którego wnętrzu delikatnie, misternie płonie światełko nowej duszy, niespodziewanej napozór, a przecież tak konsekwentnie rozwiniętej.

Gdybyś dawniej, w one chwile, gdy Pita dreptała obok ciebie z wyrazem Sfinksa jasnowłosego, gdybyś dawniej zajrzała głębiej w te oczy, z czynów różańca ułożyła powoli podwalinę, z której wykwitać zacznie Duch twego dziecka—odczułabyś, że z tego *przedwcześnie zamilkłego* dziecka musi wyrość *milcząca istota*. Kazałaś dziecku być *„cicho"* — bo tak każe dobre ułożenie, kazałaś nie trudzić się pytaniami bez sensu na pozór, a raczej piłować paznogcie, aby przybrały kształt migdałów. Gdy prowadziłaś ją

z sobą, zamiast pozwolić błękitnym oczom chłonąć błękit nieba, zmuszałaś te oczy chronić gronostajową biel trzewiczków, bo „drugich nie kupisz.“ A gdy dziecko stawało zdumione nad jakimś cudem przyrody, kazałaś iść szybko do domu, „bo ma się na deszcz“ według twego, uświęconego tradycyą sposobu mówienia, a szkoda nowej sukni i kapelusza z bławatkami. Chroniłaś bławaty z perkalu, a pogrążałaś w ciemnię dusz małostkowych bławaty oczu Pity!

I teraz żalisz się, że córka twoja mówi: „Tak—nie...“ Tak! Nie!

Lecz wspomnij Tuśko, iż ty sama nauczyłaś ją tego systemu. Powtarzałaś jej cały katechizm:

— Dziecko powinno być grzeczne, nie mówić w obecności starszych, odpowiadać krótko, nie nudzić pytaniami. Więc dziś czego chcesz?

Uznałaś, że Pita powinna stać grzecznie i czekać, aż każesz jej otworzyć buzię, a ty, czy najęta przez ciebie guwernantka, wsuniecie w nią gotowy zupełnie ogryzek wiedzy, czy wiadomości, zmacerowany i podprawiony odpowiednio. Nazywa się to ochranianiem dziecka przed zawodami, które niedoświadczenie przynieść może.

Bo fałszywy sentymentalizm pewnej salonowej filozofii zawyrokował, że „wystarczy kilka zawodów życiowych,“ aby złamać egzystencyę.

A tak nie jest, Tuśko, bo prawdą jasną i taką bez trwogi jest wiara wręcz przeciwna.

Wystarczy kilka zawodów życiowych, aby utrwalić i naprostować egzystencyę!...

Ztąd — pomiędzy tobą a tem dzieckiem niema nic wspólnego.

I nigdy nie byłaś tak mało matką, jak w chwili, gdy czynisz wyrzuty twemu milczącemu dziecku, Tuśko.

. . . . . .

Za parawan do Edka weszła Pita.

— Proszę cię, Edku, oto twój rosół.

Edek podniósł się na łokciu powoli, z niezgrabnym wdziękiem rekonwalescenta. On zbrzydł do reszty podczas swojej choroby. Nie urósł, ale obrósł. Pod nosem i na szczękach wysypał mu się puch czarny, gęsty, i Pita stanęła, jak wryta, ujrzawszy tak nagle w świetle dziennem twarz brata.

— Och, Edku!—wymówiła ze zgrozą.

— Co?

— Ty... ty masz coś, jakby brodę.

Edek nadął się z dumą:

— A cóż ty myślisz, że będę taki goły chodził, jak Mundek? Daj mi trumnę.

Pita schyliła się pod sofę i wyciągnęła podłużne pudełko, związane szpagatem.

Edek otworzył je i z pomiędzy mnóstwa szpargałów wyciągnął małe lusterko.

— Bardzo nieźle!—wyrzekł, oglądając swe kosmyki— będę nosił *à la* Mickiewicz...

— Aleś ty sztubak.

Edek cisnął ze złością lusterkiem o kołdrę:

— Głupia jesteś... Są sztubaki, którzy mają nietylko brodę, ale i dzieci.

Pita pokręciła głową.

— To niemożliwe.

— Niby dlaczego?

— Bo takiemu sztubakowi żaden ksiądz ślubu nie da.

— A na cóż mu ślub potrzebny?

— No... bo...

— E, cicho, głupia kaczko.

Edek zaczął z upodobaniem grzebać w swych pamiątkach. Z ironicznym uśmiechem wyjął pudełko po cukierkach i otworzył je. Wewnątrz spoczywało duże pudełko od proszków. To zawierało mniejsze pudełko, a to

jeszcze mniejsze. We wnętrzu tego ostatniego znajdowała się—nadpalona zapałka.

— O!...—wyrzekł Edek, wskazując zapałkę Picie.

— Niby co?

— Zapałka, którą zapaliłem pierwszego papierosa.

— Wyrzuć ją!.. Jak ojciec zobaczy...

Lecz Edek schował zapałkę we wnętrzu pudełek i teraz z lubością przyglądał się kawałkowi błękitnego obicia w złote gwiazdy.

— Taka będzie tapeta w sypialnym pokoju, kiedy się ożenię— zawyrokował wreszcie, a słońce delikatnie zamigotało w gwiazdach papieru.

— O!—odparła Pita — może się twej żonie nie podobać.

Nic nie zdoła opisać wykrzywienia i wzgardy, jaką twarz Edka przybrała.

— A *ona* co mnie obchodzić będzie! Nie jej, ale mój gust i wola! Ja z nią zrobię porządek. Czekaj! ja się już od małego na to szykuję. A jak jej się nie będzie podobało, to won!...

— Jak?

— No—rozwody istnieją. Pieniądze wszystko mogą. A skoro będę miał czem smarować...

Pita coraz szerzej otwierała oczy.

— Przecież mówiłeś, że pojedziesz do Galicyi.

— No!

— A tam, tatko mówił, że same golce i hrabiowie. Ty nie jesteś hrabia, to będziesz golec!

Edek nasztorcował się dumnie.

— Ja będę więcej, niż to wszystko. Ja pójdę na dyplomatę i zostanę czemś... ho! ho!

Związał swe pudełko, rzucił je Picie na ręce, a sam się zabrał do rosołu.

— A zresztą, co ci do tego! Ja mam już swoje plany. Jest nas więcej. Ale to jest tajny związek...

Pita przysiadła na krawędzi sofy.

— Opowiedz mi!

— Co? tobie? kobiecie? Ty jesteś tylko zdolna do rodzenia dzieci. A nawet dyabli wiedzą...

Wysączył resztę rosołu i oddając Picie garnuszek, rzucił pogardliwie:

— Samica!

Pita wstała urażona:

— Proszę ciebie, tak się wyrażasz...

— Mówię, jak mężczyzna, bez ogródek. Nauczyłem się patrzeć trzeźwo na życie. Dla mnie niema fałszywych stron, ani tajników. Jak chcesz, to leć z ozorem do mamy. Ja mam solidne przekonania i jednako będę mówił...

Rozwalił się na poduszkach, z miną pewną, ogromnie śmieszny, z oberwanemi u szyi i mankietów guzikami.

— Wogóle nie wiem nawet, dlaczego z tobą taki temat wszczynam... Jak przyjdzie czas, wyciągnę rękę, wezmę pierwszą lepszą z brzegu kaczkę i pójdę z nią przed ten ołtarz, skoro tak ma być.

Pita przygryzła wargi.

— A ot nie...—odparła z pewną zaciętością — żadna z panien cię nie weźmie, bo jesteś szkaradny jak.. niewiem co!

Edek prychnął z ironią.

— Co? he?... szkaradny? Mężczyzna nigdy nie jest szkaradny. Zawsze się podoba.

— Ty nie, ty nie...

— E! pryszcze mi zginą. Zacznę rozwijać muskuły, będę czarny, będę atletyczny i demoniczny. A potem będę miał stanowisko i to jest grunt. Zrozumiano?

Lecz Pita się upiera. Kobietka w niej staje do walki, czupurna, choć bezsilna.

— Nie, nie. Ty jesteś za brzydki na męża. Żadna panna cię nie zechce.

— Jak ćmy, tak będą mnie kochały.

Wielkie słowo padło.

Pita aż przysiadła, nagle spokorniała i cichsza:

— Nie... nie...

— Co ty wiedzieć możesz? Czy ty wiesz, co to jest miłość...

Pita milczy.

Po chwili jednak cichutko, pyta:

— A ty?

— Co?...

— Kochałeś się już?...

Edek znów parska, ale tym razem jakieś dziwne *coś* miesza się do tego śmiechu. Ironia, wstręt, obrzydzenie.

— Pewnie...—odpowiada po chwili—i nieraz.

— O!... nieraz?...

Edek wykrzywił się monstrualnie.

— Tak, nieraz — powtarza, kiwając głową, z jakiemś bezdennem zniechęceniem—to jest kochałem się, nie kochając, czy co tam... no, nie wiem, ale powiem ci to jedno...

W Picie aż dech zamiera, tak słucha.

— Że to jest wstrętne świństwo...

Błękitne oczy Pity patrzą, patrzą coraz większe.

— Och, Edku!

— Wstrętne świństwo!—powtarza chłopak.

— Miłość?

Edek milczy. Oczy utkwił w sufit i cała moc w nich zawodu i zniechęcenia.

— Świństwo!—powtarza już ciszej.

Pita aż drętwieje i siedzi nieruchoma, jakby zlodowaciała.

I twarzyczka jej anielska robi się coraz więcej przezrocza, jakby odbijał się w niej zachód blady słońca, które nie zdołało jeszcze rozświetlić bezmiernych, bezkresnych morskich przestworów.

Zjawiło się i oto gaśnie.

A dokoła ciemnia zaczyna się wynurzać.

I Pita w ciemnię tę zapada zwolna.

X.

Picie włosy wypadają. Tuśka jest w rozpaczy.

— Do czego będziesz podobna, gdy będziesz miała mysie ogonki? Mój Boże! tak pielęgnowałam te włosy, ażebyś miała na później, kiedy ci ich będzie potrzeba... a ty...

— Proszę mamusi, co ja winna?

— Tak... tak... łatwo ci to powiedzieć.

— To z choroby. Leżałam tak długo, więc...

— Cicho bądź. Nie rezonuj.

Pita milknie i zaczyna rozmyślać, do czego to później włosów potrzeba, a dawniej mogło ich nie być.

Wyłamuje przy tej czynności palce i patrzy na cały kłąb złotych jedwabiów, które matka zdjęła z grzebienia

— Masz... masz... — mówi Tuśka, rzucając jej te jedwabie na ręce—pociesz się!...

Stanowczo Tuśka jest dzisiaj w złem usposobieniu.

Wiosna na dworze. Taka szara, zachlapana, nasza wiosna, ale już taka, że można rano okno otworzyć.

Właśnie Marcysia sprząta i uchyliła okno. Wilgotne ciepło płynie, budząc w głębi ludzkich istot jakieś dziwne, jakby tęskne uczucie. Pita chwileczkę patrzy na ten złoty pęk swych włosów, jakby na jakiś delikatny, mistyczny kwiat, jakiś puch łąkowy, ta kulbaba gwiaździsta, rozsypująca się za lada wichru powiewem. I nagle ślicznym, pełnym gracyi gestem, wyciąga rękę i rzuca w powietrze za okno złoty kłębek swych włosów.

Drobne usteczka ślą za nim uśmiech.

— Niech lecą!...—myśli—niech lecą! one... tam, zkąd tak dobrze, tak ciepło wieje.

Lecz nagle rozlega się głos Władki:

— Jezus, Marya! co panna Pita robi Jakże można...

Marcysia, przegięta przez okno, chichocze.

— Hi! hi!

— Przecie jak ptak takie włosy złapie, a do gniazda zaniesie, to panience wszystkie włosy wyjdom!

Tuśka uśmiecha się z goryczą:

— Co ją to obchodzi!

Marcysia ciągle w oknie śmieje się. Widać tylko fałdy jej obszarganej spódnicy i pięty czarne, z których zsunęła perskie, stare pantofle Żebrowskiego.

— Nie... a to ci... a to ci... żeby panienka mu wycelowała w sam nos, toby lepi nie było.

— Co? komu?—pyta Tuśka.

Marcysia odwraca się szybko i zamyka okno.

— A no... rządcemu. Właśnie przechodził przez dziedziniec użerać się ze stróżem, a tu panienczyne włosy fikfik po powietrzu i jemu po twarzy, a potem czepiły się palta, aż zaczął się wzdrygać. Jak Boga kocham!

Pita blednieje, jak opłatek.

Tuśka porywa się i biegnie ku oknu.

— Jezus Marya! niechże pani da spokój! Zaraz domyśli się, że to od nas i rozewrze pysk. Mało to od niego! Powie, że to umyślnie.

Tuśka brwi marszczy i patrzy ostro na Pitę.

— Ładne się zaczynają rzeczy...—mówi, kołysząc się nerwowo — ładne rzeczy!... Panna Pita zapomina się coraz więcej.

— Ależ mamusiu! — bąka Pita — ja przecież byłam w głębi, ja... *jego* nie widziałam...

— Jeszczeby tego brakowało! — rzuca z zupełnym brakiem logiki Tuśka.

Władka siedzi przy maszynie i kręci głową. Pozwala sobie teraz coraz więcej. Daje wyraźne znaki aprobaty lub nagany. W tym przypadku widocznie dziwi się zuchwalstwu Pity. Tuśka czyta to w oczach Władki.

— No... no... niech panna Władzia sama powie!...

Władzia dyplomatycznie milczy.

Pita wychodzi do sypialni matki i tam zaczyna powoli wdziewać na siebie sukienkę. Rzeczywiście Władce

udało się przedłużyć spódniczki i rękawki. Szara, o dziwnie łagodnej barwie wełna—pasek biały lakierowany i duży kołnierz koronkowy, cerowany umiejętnie, nadają się doskonale do słodkiej piękności dziewczęcia. Włosy rozczesane gładko, kryją do połowy uszka i owal gładki—zakreślony jakby cudownym pędzlem Cimabuego — ciągnie ku sobie urokiem niezwykłym...

W rączki dać harfę pięciostrunną.

Na złoto włosów narzucić długą, powiewną gazę...

I patrzeć.

Patrzeć...

Ot — jak na prymitysty nieśmiertelne dzieło, które zwiewą czarowną wieki ku nam się modli.

Lecz w jadalni Tuśka gniewa się ciągle.

— Pomyśli jeszcze, że to moje włosy. Mamy jeden kolor.

. . . . . .

Nie, Tuśko! Tobie się zdaje, że ty i twoja córka owinęłyście się w złote jedwabie i jednako w nich chodzicie po świecie.

Twoje włosy spaliły żelazka i długie tchnienie życia, które się po nich przesnuło. Włosy twoje pachną werweną, różą, benzyną, tytuniem — pachną wspomnieniem pocałunków męża—pocięte są zębami Porzyckiego, gdy całował cię jak wściekły w sieni górskiej chaty. Twoje włosy były już przedmiotem pożądań zmysłowych i same drżały całe przepojone atmosferą miłosną. Twoje włosy płaszczem pokusy rozsypywały się na drżącą morę twych ramion i wciągały w siebie woń twego spragnionego ciała i drżących piersi. Twoje włosy zdradzały, kochały, tuliły się, oplątywały, ogarniały jak fala i w każdym takim elektrycznym dreszczu traciły swój czar nietykalności, jaki miały w sobie.

A złote włosy Pity...

Pachną tylko sobą...

I...

I łzami, które często na ich przędzę błyszczącą padają — jak rosa na delikatne zdźbła młodego zboża, które wczesnym rankiem Bogu się kłoni.

. . . . . .

Wreszcie Tuśka zadecydowała, że musi wyjść na miasto i kupić czemprędzej kory chinowej, wina francuskiego, w celu sfabrykowania czegoś, co Pitę od „wyłysienia“ ochroni.

Edek, który już wstał, lecz zapadł znów na uszy i przez to nie chodzi do szkoły—wylazł z saloniku, gdzie, jęcząc, przewracał się, ziewając nad „Sherlockiem Holmesem.“

— Pita wyłysieje? — piał radośnie — a to będzie historya!

Lecz zaraz się zatroszczył:

— Proszę mi dać jej włosy, kiedy już wszystkie wyjdą. Schowam do mej trumny i napiszę: „Włosy Pastrańci, gdy miała lat piętnaście...“ Ha? Chyba, że wolisz wyszyć landszaft temi pełechami i postawić na serwantce.

Marcysia aż się pokłada, ścierając pilnie kurz z rogów mokrą ścierką.

— Panicz to też...

Tuśka czuje się coraz więcej zdenerwowana.

— Cicho! A to czysta menażerya!

Wychodzi do sypialni i szybko ubiera się na ulicę. Od pewnego czasu zaczyna znów odziewać się staranniej, choć czyni to jakby pod jakimś przymusem i wraca z przechadzek zniechęcona i gniewna.

Edek zamilkł i cofnął się do saloniku. Dostrzegł w oczach Władki jakąś ironię i co większa pochwycił porozumiewawcze spojrzenie Marcysi z Władką.

— Małpy! — pomyślał — wyśmiewają się z nas, ale i mama też się robi. Nazywa nas menażeryą! Nigdy tego nie było!

Zapanowała cisza. Wszyscy powrócili do swych zajęć. Silnie upudrowana pod woalką przesunęła się przez jadalnię Tuśka. Gdy wyszła i drzwi się za nią zamknęły, Władka natychmiast zwróciła się ku Picie.

— Panienka nie powinna się martwić — wyrzekła — panienka mogła nawet i umyślnie rzucić tak włosy na rządcę. Cóż to? Grzechu niema.

Pita brwi zmarszczyła:

— Nie widziałam, że był na dziedzińcu.

— A no to włoski panienki same do niego pofrunęły, tak pewnie ze sympatyi. Jego myśli leciały do nas na górę i włoski panienczyne do siebie przyzywały.

Serduszko Pity całe drżeć zaczyna.

— Och! panno Władziu! jakże można!

Usiadła na krzesełku, głowę w ręce chowa.

Władzia powoli wstaje od maszyny, podchodzi do Pity, obejmuje ją lekko ramieniem.

— No... czego... czego... — mówi cichym, miłym głosem — nie trzeba się wstydzić. Ja widzę, że pannie Picie coś tego... ten... No! no! To swoja rzecz...

Pita czuje do przybliżonego ku niej ciała jakiś wstręt i zarazem radaby przytulić się, aby choć ktokolwiek pożałował jej trochę.

Nie odsuwa się więc od Władki, która delikatnie głaszcze ją po włosach.

— On z pewnością te włosy schował na pamiątkę i zaraz będzie wiedział, że to panienczyne. Bo przecież nikt w całej kamienicy nie ma takich ślicznych włosów. Ani mamcia—bo... no... co tu gadać!...

Wzruszyła ramionami, pogładziła raz jeszcze główkę Pity.

— Proszę się nie martwić. Tak dziś ładnie pannie Picie w tej sukience.

Pita głowę podnosi. Czuje się jakaś, jakby trochę pocieszona i przyjemnie zmieszana. Ktoś nią nie poniewiera za to, że się kocha w rządcy. Wprawdzie ten ktoś,

to jest Władka, która względem wszystkich jest taka oblesna, ale kto wie, może to jej charakter. Taka przecież dobra i słodka, i dla mamy, i dla ojca, i dla Marcysi, teraz dla niej...

Mniejsza z tem. Pita jest tak nieszczęśliwa, że nie chce badać przyczyn, poddaje się tylko uczuciu. Nie patrzy na Władkę, bo znieść nie może wyrazu jej twarzy, wsłuchuje się tylko w jej łagodny głos.

— Mama mówi, że tak zbrzydłam! — skarży się cichutko.

Władka uśmiecha się ironicznie:

— O! mama będzie tak ciągle teraz mówiła.

— Widocznie naprawdę brzydnę.

— Co też panienka gada. Mizerna panienka, bo to już taki czas, że panienka będzie biedowała. Ale się panienka rozwinie i rozrośnie, i dopiero będzie panienka piękna. I rządca i tysiące będą za panienką latali. Ja się na tem znam.

Pita błękitnemi, marzącemi źrenicami patrzy w przestrzeń.

— Co mi tam po tem...

— E! każda panna rada, jak za nią chodzą.

— Mamcia mówi...

— Co mamcia mówi, to na wiatr. Mamcia tak mówi może dlatego, żeby panna Pita nie wzbijała się w ambicyę, żeby nie kokietowała z kawalerami.

Błękitne źrenice Pity jakoś twardo ogarnęły nagle twarz Władki.

— Z kawalerami?

— No, nie... z konkurentami. Przecie, żeby mamcia nie wiem jak pannę Pitę trzymała w krótkiej sukience, to przecież nie utrzyma i nie wmówi w ludzkie oczy, że panienka brzydka.

— Mama mnie tylko powiedziała...

— No, tak, dziś. Ale za rok, za dwa lata...

Władka urwała. Wielka złośliwość przesunęła się po jej twarzy. Spojrzała w stronę sypialni, jakby tam, pomimo nieobecności, istniała zawsze potęga Tuśki.

— Tak, za rok... za dwa lata...

I odeszła do maszyny, przy której usiadłszy, pilnie szyć zaczęła.

Z saloniku wychyliła się potworna głowa Edka.

— Pito! proszę cię na chwilę!

Pita weszła do saloniku. Edek starannie drzwi zamknął.

— Czego ty z tym dziobatym dyabłem gadasz? — zapytał.

— Ja?... To ona, i wiesz grzecznie do mnie, więc ja...

— O czem ona do ciebie mówiła, nie słyszałem, bo mam uszy zatkane temi gałganami, ale ja cię ostrzegam, nie gadaj ty z nią. To łajdus. Ja coś dostrzegłem...

— ???

— A widzisz, oczy wybałuszasz. Ja ci powiadam, że to specyfinder. Ścierpieć jej nie mogę.

— Mamcia ją tak lubi.

— To zawsze tak bywa.

— Co? zawsze?

— Nic. Ale ty pamiętaj: pędź ją od siebie.

— Nie można, jeżeli ktoś zwraca się z dobrocią.

— Kaczka jesteś. Umiej rozróżnić dobroć od dobroci. Ona ci umyślnie bakę świeci.

— Dlaczego?

— Ja nie wiem... ale musi mieć w tem jakieś wyrachowanie.

— No... że mamci, tatce.

Te słowa już Pita wymawia, sama nie wie czemu, ciszej.

Edek brwi ściąga. Nieokreślony wyraz wykrzywia mu usta. Coś jakby wzgarda, wstręt i zarazem ironia.

— Jabym ją sprał...—wyrzuca nagle z prawdziwą ulgą.

— Och, Edek! co ty mówisz?

— Sprałbym ją po pysku.

— Ty tak się wyrażasz, jak jaki Antek z nad Wisły.

— O! księżniczka... rządcowa...

Pita oblała się krwawym rumieńcem. Zasłoniła twarz rękoma. Edek usiadł na kanapce, zaczął czytać Sherlocka Holmesa, ale prędko cisnął książkę na ziemię i kopnął nogą:

— Wstrętne, idyotyczne, dla kretynów czy co...

I pochwyciwszy się za ucho, jęczeć zaczął:

— A żeby mnie pokręciło!

Pita odwróciła się do okna i patrzyła na deseń firanek. Wiedziała, że ulgę w bólu przynosi Edkowi zastrzyknięcie w ucho jakiegoś lekarstwa. Lecz coś się w niej buntowało.

— Dokucza mi—myślała—niech go boli!

Lecz przypomniała sobie, ile ulgi doznała przez proste zbliżenie się ku niej Władki, i te dobre słowa koiły do tej chwili ból i smutek jej duszy.

— Ja będę także taką—postanowiła — tak każe Bóg: za kamień—chlebem.

I z odwagą wzięła w rękę szklane narządko i flaszeczkę z lekarstwem.

— Pozwól, Edku—wyrzekła cicho, a głos jej przybierał łagodne tony Władki—ja ci lekarstwo zastrzyknę.

— Nie potrzebuję!—mazał się Edek.

Lecz ona delikatnie odwijała mu głowę z chustek, któremi był owinięty. I patrząc na niego, jak był brzydki, wykrzywiony bólem, poznaczony krostami, uczuła się nagle bardzo szczęśliwą ze swą śnieżną cerą, smukłą postacią i brakiem jakiegoś fizycznego cierpienia.

— Robić dobrze to egoistyczna przyjemność! — przemknęło się jej po głowie—to tak jakoś podwyższa i sprawia prawdziwą radość. Władka pewnie dlatego taka dobra dla wszystkich.

Z pewnym jednak wstrętem, zabrała się Pita do owej operacyi, bo jej estetyczny gust odwracał się od tego, co nie było piękne. A zaropiałe, chore uszy brata nie były wcale piękne. Z całą jednak odwagą i bardzo starannie zastrzyknęła lekarstwo.

On biadał ciągle. Gdy operacya była skończona, aż zaczął bić piętami ze zdenerwowania w podłogę. Pitę ogarnął żal. Stanowczo cierpienie przewyższa jego siły.

Nie śmiała się, jak dawniej, lecz stała przed nim i mimowoli przybierała pozycyę, jaką Władka miała przed chwilą, zbliżając się do niej.

— Mój biedny Edku!—zaczęła.

Lecz on jej przerwał brutalnie:

— Daj mi spokój! odczep się!... Czemu to mnie sparszywiały uszy, a nie tobie? Nie moglo to na ciebie paść, a nie na mnie?

Pita cichutko odeszła do okna. To było nad jej siły.

Sama nie wiedziała, co począć z taką zapłatą za próbę jej „dobroci.“ Starała się wymyślić, co Władka zrobiłaby w takiej chwili. Instynkt mówił jej, że gdyby Władka miała w tem interes, zmilczałaby z pewnością. Tak, ale bez interesu. Zawsze jest w tem coś swego. I tak Pita, mimo wszystko, czuje się ciągle szczęśliwsza od jęczącego brata. Przed chwilą nie czuła tego szczęścia. I to coś znaczy.

Właściwie nie czuła, że miłość czyniła ją lepszą i zaczynała rozniecać jakieś ogniki na widnokręgach jej Ducha. Chciała, mimo wszystko, iść tym wyższym szlakiem, który jakby podnosić ją zaczynał nad ziemię.

— Niech mówi... ja będę ponad to!—postanowiła, patrząc na deseń firanki.

Nagle drzwi, prowadzące do przedpokoju, otworzyły się i wszedł przez nie Mundek. Był w czapce i w szynelu, narzuconym na ramiona. Wszedłszy, zatrzymał się na progu, jakby zmieszany. Widocznie nie spodziewał się zastać tu rodzeństwa... Był blady i miał zaciśnięte usta.

— Proszę was — wyrzekł zdławionym głosem—idźcie ztąd i zostawcie mnie samego.

— My ci nie przeszkadzamy!—zapiał Edek.

— Idźcie ztąd! — powtórzył Mundek, nie zrzucając, ani czapki ani szynelu.

Pita, która zaczynała umieć czytać w oczach Mundka, podeszła do skrzeczącego młodszego brata.

— Chodź, Edku. Dam ci chleba z masłem! — wyrzekła.

— I z serem szwajcarskim?

— I z serem. Chodź!

Edek powlókł się w stronę jadalni. Wyglądał, jak napoleoński niedobitek. Idąc, szurał mocno nogami. Czynił to z jakąś pasyą i chcąc dokuczyć wszystkim. Cierpienie robiło go złym.

— Cóż? czapki nawet nie zdejmiesz? — zapytał starszego brata.

— Chodź, Edek!—nagliła Pita.

Wyszli oboje. Mundek pozostał na środku salonu. Lekka struga, jakby słońca, przecinała ten pokój złotawym blaskiem. Coś się tak plątało na dziedzińcu w oficynie. Niby słońce. Z jakiegoś otwartego okna jęczały gamy chromatyczne. Panna Władzia czasem puszczała w ruch maszynę.

Zresztą było cicho.

Edek, dostawszy duży kawał chleba z masłem i serem, zaszył się w róg swej sofki. Pita chowała chleb i masło. Czyniąc to myślała o Mundku. Zdawało się jej, że był jeszcze bledszy, niż zwykle. A potem, te ruchy dziwne, nienaturalne, jaby drewniane.

— Kto wie, może on znów coś myśli takiego, jak wtedy, gdy tak niejasno rozmawiał ze mną — myśli Pita— kto wie... On wtedy aż się skręcił z bólu i rozpłakał.

(Bo Pita wie już teraz, że można skręcać się z bólu nie fizycznego, lecz takiego, co człowiekiem aż do wnętrza duszy targa).

— Możeby pójść do niego—waha się Pita. — Pójdę i stanę koło niego tak, jak Władka koło mnie. Odpędzi, to odejdę, nie odpędzi—tem lepiej. Może mu ulży.

I cichutko wysuwa się do kuchni. Jest z kuchni połączenie do przedpokoju, a z przedpokoju wejście do salonu.

Za chwilę Pita cicho naciska klamkę i staje pomiędzy fałdami portyery.

Lecz nie rusza się z miejsca, bo cała lodowacieje, i tak stoi, jak smukły posążek, a twarzyczka jej ma wyraz grozy tak wielkiej, że tylko ci, którzy nagle stają naprzeciw jakiejś wielkiej niepojętej im zbrodni, oddać ten wyraz mogą.

Plecami zwrócony ku niej, przyklęknąwszy na posadzce, Mundek pochyla się ku „serwantce“ i powoli, jakby walcząc z sobą, zdejmuje z półek drobiazgi, które ogląda chwilę. Szynel rozpostarł się na posadzce i czyni szare półkole, chłonące w siebie światło. I negle Mundek podnosi ku światłu srebrny kubeczek Pity, ten chrzestny, ten, z którego kwiatki błękitnym deszczem niezabudek padają na małego, śpiącego Jezuska — i szybkim potem ruchem, jakby nerwowo zmuszając się do jakiegoś czynu, chowa ten kubeczek w kieszenie szynelu.

Potem—ociera z czoła pot i opiera głowę o półeczki serwantki.

Jest wielka cisza. Tylko słychać, jak gdzieś w oddali na ulicy turkocze wóz i cichnie.

Picie zdaje się, że słyszy bicie własnego serca.

I znów Mundek wyciąga rękę. Tym razem bierze z półki srebrną popielniczkę, którą ojciec dostał od kolegów i jakąś pieczątkę, ozdobioną turkusikami, pamiątkę po Bóg wie kim.

Wszystko to chowa w kieszenie szynelu.

Teraz skończone.

Wstaje i chwilkę stoi nieruchomy, a Pita widzi, jak jest bardzo blady i jak jest bardzo tragicznie zrezygnowany. Ona sama czuje się także trupio blada i zdaje się jej, że prędzej skona, nim wymówi jedno słowo, które da znać o jej obecności.

Powoli Mundek oddycha ciężko i zwraca się ku drzwiom.

I nagle oczy jego dostrzegają nieruchomą postać siostry.

Następuje ciężka, niewysłowiona chwila.

Oboje patrzą na siebie i źrenice ich rozszerzają się coraz więcej, aż jak żałobne ćmy czernieją na bieli ich skostniałych twarzy i pozostają tak z wyrazem nieokreślonej trwogi.

Pierwsza Pita opuszcza powieki. Tym jednym ruchem daje uczuć bratu, że ona nic nie wie, że nic wiedzieć nie chce, że czyn jego, jak sztylet tajemny, przeszył jej duchową istotę i że został jej własnością.

Pomiędzy nimi obojgiem przesuwa się jakieś pasmo fluidu, coś, co ich łączy. Ona wie... brat spełnił w tej chwili czyn prostej kradzieży, a raczej żal bezbrzeżny nad nim ogarnia ją całą, a coś, jakaś siła jej nieznana, zakazuje jej wydać sąd nad tą milczącą sprawą, która ołowiem zaciężyła w jej sercu.

Chciałaby wyrzec tylko:

— Idź ty w spokoju!...

Lecz sił nie ma i lęka się przerwać tej bezbrzeżnej ciszy. Dusza jej zdaje się bronić jej jakiegoś odruchu drobnego, który zatarłby niepojętą dla niej wielkość tego momentu. I gdy Mundek powoli, milcząc wciąż, odwraca od niej oczy i cicho wychodzi z salonu—ona wsłuchuje się w ciężki łoskot zamykanych drzwi wejściowych i instynktownie wyczuwa, że wkroczyła nagle w dziedzinę egzystencyi życiowej, która właściwie *liczy się* i z krainy snów na teren działań przechodzi.

. . . . . .

Lecz gdy w kilka godzin później cała rodzina zgromadziła się znów koło stołu, pokrytego ceratą i połykać zaczęła krupnik „na kostkach“ — w milczeniu zwykłem — Pita, siedząca naprzeciw Mundka, doznaje tak silnego natężenia nerwów, że usta jej drżą, a łyżka mimowoli z rąk wypada. Stara się przecież pokonać to nieznane jej uczucie.

Za słabą jest fizycznie, aby módz utrzymać w karbach porażone jakby wstrząsem nerwy.

Wszyscy milczą, deszcz szary, jednostajny spływa po szybach. Dzień, który zapachniał na chwilę, jakby wiosną, przechodzi w nieokreśloną szarzyznę wlokącej się leniwo zimy. W sercach ludzkich także jakby płakało tą Verlainowską czarowną melancholią łkających nieuchwytnych bólów i łez niewypłakanych.

I nawet Tuśka, która wychodziła z domu krokiem elastycznym, jakby na spotkanie czegoś radośniejszego, lepszego w życiu, powróciła z ustami zaciśniętemi, oczyma przygasłemi, tak, jak wracała teraz zawsze, niosąc z sobą w fałdach swej sukni, w przykrym wyrazie swej twarzy, ciągły zawód tego czegoś, spodziewanego napróżno, a przez nią samą niezrozumianego.

I gdyby ją kto spytał: co przypuszczałaś, że cię spotkać mogło dzisiejszego ranka?

Nie znalazłaby słów.

A przecież od niedawna ona czegoś się spodziewa, czeka czegoś...

Tylko określićby nie mogła.

I wraca zgaszona, chmurna, niepewna.

Dzisiejszego ranka właśnie zdawało się jej, że to coś stanowczego wreszcie stanie się, że czeka na nią.

I dlatego wróciła powoli, z ustami obwisłemi, a wchodząc na próg domu, poczuła jakby skurcz nienawiści w gardle.

Pita nie patrzy na nikogo. Te powieki, które opadły na jej przerażone oczy, tam, naprzeciw Mundka, pozostają tak, jakby głazy, kryjące ciężką, grobową tajemnicę.

Tylko ręce, usta drżą ciągle.

Władka, która teraz jada razem „z państwem,“ przy stole, zwraca uwagę na zmianę, zaszłą w Picie.

— Panna Pita chora?—zapytuje nagle—taka blada?

Oczy wszystkich podnoszą się ku Picie.

Jeden Mundek nie patrzy na siostrę.

Tuśka badawczo przygląda się córce:

— Chora jesteś?

— Nie...

— Rozumiem... fochy... to za rańsze... Jeszcze panna Pita ośmiela się karać matkę odmawianiem sobie jedzenia za to, że poważyła się zrobić jej uwagę.

Żebrowski czuje, iż powinien się wmieszać.

— Cóż to się stało?

— Może ci córka sama opowie, albo spytaj się pana rządcy.

Ach! jak daleko była teraz Pita od tej śmiesznej sprawy włosów, fruwających po dziedzińcu bez jej woli i chęci.

Ach, jak daleko!

Takiego coś silnego wgniotło się w jej duchowy drobiazg już od tej chwili! I tak nią szarpie, tak dręczy...

Edek zaczyna się uśmiechać:

— To ja powiem...

Władka nagle się miesza:

— To bardzo nieładnie.

Edek mierzy ją wzgardliwem spojrzeniem.

— Czego tu? pilnować swego nosa!

Żebrowski czerwienieje i nastawia się, jak kogut.

— Błaźnie jeden!—odzywa się zdławionym głosem— błaźnie jeden...

Nigdy tak nie przemawiał do swoich dzieci. Dziwna grzeczność, która tam panowała lata całe, zdawała się rozluźniać powoli.

— Proszę tatki!

— Milczeć!

— Ja do tej... do tej...

— Ruszaj precz od stołu!

Chwila ciężkiego milczenia. Nagle wstaje od stołu nie Edek, lecz Mundek i cisnąwszy serwetę, bez słowa odchodzi do salonu.

Żebrowski patrzy za nim zdziwiony.

— Wróć się... Nie do ciebie mówiłem, do Edka.

Lecz z salonu dolatuje cichy głos:

— Nie mogę!...

Tuśka złożyła ręce, podparła brodę nad talerzem, pełnym makaronu, i szyderczo się uśmiecha.

— Ładne stosunki zaczynają u nas panować. *Pociecha z dzieci!*...

. . . . . .

Padły te słowa.

Te ciężkie, wielkie słowa.

Te słowa, które z jednej strony niosą w sobie całe bezmierne ogromy wymówek za to, co spełnić było prostym obowiązkiem, a z drugiej strony siejące właśnie ten bunt w sercach młodych:

— Powinniście!...

Bo wszakże, jeżeli kto przygarnie *dobrowolnie* i z całą samowiedzą następstw małe szczenię z pod płota, toż winien mu potem strawę i dach w dni zimowe.

A jeżeli to nie szczenię.

Lecz... dziecko.

Jeżeli to cały człowiek z duchem i ciałem. Jeżeli ten *Duch* zwłaszcza rzucono w świat istnień, jeżeli w dwóch pocałunkach...

Jeżeli taki Duch...

Pociecha!

To wielkie, ogromne słowo.

Jak taranem rozbija całe lata wymuszonej wdzięczności.

Z jednej strony słychać głosy zawodów pełne:

— Winniście nam pociechę!

Z drugiej strony:

— Winniście nam wszystko dać, bośmy się do życia nie prosili!

I zaczyna się chwila, gdzie niema ustępstw, gdzie poświęcenia rzeczywiste, drobiazgowe, tragiczne zdają się być pyłem, gdzie młode ręce wyciągają się nie z wdzięcznością, lecz z gestem słów:

— Kiedyście życie dali... dawajcie i resztę!

Bo istotnie. Cięższej krzywdy wyrządzić niepodobna jak...

Dać życie!

Dlatego, Tuśko... nie składaj ręki nad talerzem, pełnym makaronu, z rozpaczliwą ironią, i nie patrz po tych, którym dałaś „życie„—wyczekując od nich pociechy.

Tragedyę powołałaś do życia.

W szmerze niechętnych pocałunków.

Więc milcz!

Milcz!...

I patrz!

. . . . . .

Bo oto Pita blednieje coraz więcej. Ręka jej opada na stół—i tylko jedna, prawa powieka podnosi się, gdy druga, lewa obwisła nagle fatalnym ruchem porażonego muskułu.

Tuśka mówi do niej:

— Proszę Pity jeść...

Pita otwiera usta, jakby chciała przełknąć trochę powietrza i nagle przechyla się na krześle.

— Nie mogę!—wyrzuca z siebie urywanym głosem— nie mogę...

— Co to? Pan Edmund nie może jeść po ludzku z rodzicami, panna Pita nie może... co się tu dzieje?

Lecz Pita coraz głośniej powtarza:

— Nie mogę!

I wije się na krześle, jak motyl w śmiertelnych drgawkach:

— Nie... mo... gę!...

Jak echo, pochwycone z ust starszego brata.

Wszyscy porywają się od stołu.

Władka podtrzymuje Pitę, szklankę z wodą do ust przysuwa:

— Panienko, proszę się napić!

Lecz Tuśka gniewnie jej przerywa:

— Co to za komedye? co to znaczy?

A Pita, drżąc cała, przez szczękające zęby powtarza wciąż: „Nie mogę!“—i ten jęk, ten krzyk coraz głośniejszy, coraz bardziej donośny, łączy się w jakąś litanję nie płaczu, nie jęku, lecz protestu, dławionej drobnej istoty, zbyt wielkim ciężarem jakiejś bezlitosnej Potęgi.

Bo wtedy, gdy z ust posiniałych Pity wybiega to marne: „Nie mogę“ — całe ogromy myśli tłoczą się w niej i walą:

— Czy wy nie widzicie...—wołają te myśli — że stał się tu, pomiędzy nami, w tem naszem, dobrze zamkniętem wnętrzu, Fakt, wiodący za sobą cały łańcuch zdarzeń, zmieniających nasze istnienia? Dla czego wy zajmujecie mnie i siebie drobiazgiem śmiesznym i bez znaczenia w takiej właśnie chwili? Włosy na wiatr rzucone? Zostawcie je... Z wichrem niech lecą!...

Ale oto wali w nas całą grozą przeznaczenie nasze, zaczyna się *Życie* dobywać do nas z zewnątrz!... Nie was, nie tych, którzyście nam życie dali szarpie na powitanie. Oto w nas słabych uderza, w nas *Nieprzygotowanych!* I oto my zaczynamy wołać, że tej okrutnej siły i waszego Niezrozumienia takich chwil wytrzymać nie możemy!... dlatego on tam, a ja tutaj wołam: *Nie mogę! nie mogę!*

To wołają strasznym, tragicznym krzykiem myśli Pity.

Jej myśli!

Ale o nie się nikt nie troszczy.

Tuśka stara się grozą uśmierzyć ten nerwowy atak córki.

— To hańba!... to wstyd!... smarkata!...

Żebrowski wykręca ręce, bezradny, z oczyma szeroko otwartemi:

— Może po doktora!...

Lecz Tuśka się porywa:

— Co, żeby nas obnieśli po całym domu? Dla takiej smarkatej nie lekarz, lecz rózga. Za dobra byłam, widzę, do tej pory. Starałam się łagodnością obudzić zasady dobrego wychowania. Spazmy! to przechodzi wszystko.

Edek uznaje za stosowne wtrącić swoje słowa:

— Bo może ona nie umyślnie te włosy na tego rządcę rzuciła.

Żebrowski odwraca się, jak na sprężynie.

— Co? co?

Lecz już Władka odprowadziła Pitę na sofę, ułożyła, okryła pledem i natarła jej skronie i ręce wodą.

Usiadła obok niej, i otuliła ramionami. Jakiś zapach heliotropu i frytury płynie z fałd jej bluzki. Lecz zarazem jest to ciepło kobiecego łona, do którego tak chętnie tulą się chorzy, dzieci i mężczyźni.

I oto Pita—pomimo jeszcze nieokreślonego czegoś, co ją odpycha trochę od Władki — skłania swą jasną głowinę na piersi szwaczki. Coraz ciszej powtarza swoje: „Nie mogę"—coraz ciszej, aż wreszcie leży tylko z zamkiętemi oczyma i co czas jakiś nerwowy kurcz podnosi jej ciało.

Tuśka odchodzi do swego pokoju. Tam rzuca się na łóżko i patrzy z nienawiścią w zielone, spłowiałe skrzydła pawia. Stała się bowiem, według niej rzecz niezwykła. Oto *druga kobieta* objawiła się w tym domu. Druga kobieta, która ma prawo płakać, krzyczeć, zajmować sobą, kazać się nacierać wodą — słowem być *kobietą*. Ona, Tuśka, nie wyzyskała jeszcze tej sytuacyi, tej przewagi, jaką mają kobiety w zgiełkliwych objawach swych cierpień moralnych, a tu już drobna, mała istotka staje na jej miejscu i każe się liczyć z sobą, każe być „cicho" —naokoło siebie, bo... miała atak!

— Muszę się do niej zabrać!—postanawia Tuśka—doprawdy muszę się do niej zabrać!...

Do pokoju wsuwa się Władka, Tuśka odwraca się do ściany. Czuje się urażona, iż Władka troszczyła się raczej o Pitę, nie o nią.

Lecz Władka nie zwraca uwagi. Przynosi krople laurowe, flaszkę z gorącą wodą podsuwa pod nogi, krząta się koło matki tak, jak przed chwilą krzątała się koło córki.

— Ach! co za szczęście, że mi się udało wreszcie pannę Pitę uspokoić... Tak się bałam o paniusię.

— O mnie?

— Naturalnie. Przecież takie historyę to nie dla panienki szkodliwe, bo to młode... to jest młodsze, to prędko się otrząśnie. Ale na mamusię oddziałają sto razy gorzej. Byle tylko pani nam nie zachorowała.

Obleśnie, delikatnie okrywa Tuśkę i podaje jej krople:

— Proszę, proszę...

— Dziękuję. Rzeczywiście jest mi niedobrze.

— Niech pani stara się przespać trochę. Ja zajmę się podwieczorkiem.

— Moja panno Władziu!... proszę... bo rzeczywiście nie jestem w stanie. I dla męża kawa...

— E, co tam pani się o męża troszczy. Mężczyźni to sobie nic z niczego nie robią. Niech pani stara się uspokoić. Moja święta!...

I cichutko Władka wysuwa się z pokoju.

W jadalni Pita leży na sofie, osłabiona tak silnie, że w żaden sposób myśli zebrać nie może. Co się stało? Co to było? Nie wie. Widzi tylko, że Edek wysunął się do salonu, wie, że Mundek wyszedł z domu, bo słyszała jego kroki przez kuchnię i dostrzega ojca, jak stanął koło okna i patrzy niby przez szyby, nieruchomy na pozór, a tylko ręce, które ma założone w tył, kurczowo przebierają palcami.

W ręce te wpatruje się Pita. Widzi je, jak przez mgłę. Blade są i biedne, skórą obciągnięte anemiczną i koło paznogci pożółkłą. A same paznogcie, jakby u trupa, skostniałe dziwnie.

Pita dalej widzi jak przez mgłę, że z pokoju matki wysuwa się Władka i że zbliża się do ojca. To Pitę nie dziwi. Dziwiłoby ją raczej, gdyby Władka nie zbliżyła się do ojca.

Wszak zajęła się nią, Pitą, następnie matką, teraz kolej na ojca. Takie już dobre u Władki serce. I Pita uznaje za naturalne, że Władka coś mówi cicho do Żebrowskiego.

Zdaje się jej nawet, że słyszy:

— Tak się bałam o pana dobrodzieja... tak się bałam, żeby to wszystko pana nie zdenerwowało. I to o mnie! Ja niewiem, jak mam podziękować.

Żebrowski odwrócił się troszkę, bardzo mało. Ciągle niby patrzy w okno. Lecz jego twarz pergaminowa, twarz kościanego dziadka bardzo powoli i bardzo lekko pokrywa się rumieńcem. Nie odpowiada nic, tylko, milcząc, usuwa się cokolwiek od Władki.

Ona dostrzega rumieniec tego nad brzegiem starości człowieka.

Szybko coś jakby przebiegło u niej pod skórą twarzy, jakby uśmiech, jakby ironia.

I dyskretnie usuwa się ku swej maszynie, gdzie czeka na nią przygotowana robota, fastrygowanie przerobionej sukni Tuśki na paltocik Pity.

W mieszkaniu na Wareckiej panuje gnębiąca cisza.

. . . . . .

Bo nadeszła taka niespodziewana chwila, która musi przyjść w każde wnętrze domu, w którem ciśnie się i gromadzi rodzina.

Chwila taka przychodzi zwykle, a przecież jest jakby nie oczekiwana i zdumieniem i grozą przejmuje tych, przed którymi się zjawiła.

We Wnętrzu tem, gdzie do tej chwili żyli wszyscy, zajmując tyle a tyle wyznaczonego miejsca, wyznaczoną ilość powietrza i siły duchowej — nagle zrobiło się *ciasno*. Za ciasno!

Usuwali się tak grzecznie jedni drugim, mówili do siebie „Proszę!"—to „Dziękuję"—lub „Po co się trudzić"—mówili tak co chwila... Wszyscy mieli wypolerowane dusze bez kantów, bez jakichś wybryków, mogących wyprowadzić z równowagi resztę całej rodziny. Dzieci nie miały swoich zdań, nie pytały się o nic—były grzeczne, złożone pożądnie duchowo, jak scyzoryki. I nagle coś się stało. Dzieci mówią: „Nie możemy," a jakby drżało w powietrzu: „Nie chcemy". Rodzice także czują się ścieśnieni, zaskoczeni. Jakiś wielki gest szeroki i silny jest tuż, za ścianą. Jeszcze się trzymają mury klatki, kryjącej obumierające palmy i milczące Duchy, lecz znać rysy, znać...

Rodzino Żebrowskich, baczność!

Czuj! czuj, jak ciasno się nagle zrobiło, jak się potrącacie wzajemnie.

Już! już!

. . . . . .

Nad wieczorem Pita zwlokła się z sofki i wyszła do kuchni, aby napić się świeżej wody. Marcysi nie było w kuchni; drzwi były otwarte. Ze schodów kuchennych wiało piwniczne powietrze, wilgotne i dziwne. Pita zatrzymała się przy wodociągu, który był tuż przy drzwiach. Noc już zaciągała powoli ciemnawą zasłonę. Z okna kuchennego, zasłonionego murem sąsiedniej kamienicy, czerniało jakieś żółtawe, zgniłe oświetlenie. Pita odkręciła kurek i czekała aż spłynie trochę wody z kranu. Było jej niewypowiedzianie smutno. Zdawało się jej, że dopuściła się jakiejś zbrodni, że to całe zajście przy stole było jej winą, jej jedynie winą.

— Mogłam się powstrzymać, zapanować nad sobą— myśli.—Mama miała słuszność, wołając na mnie: „Wstydź się..."

I zaraz opada ją przeogromna rozpacz.

— Nie, nie mogłam. To było silniejsze nade mnie. To mną tak targało! Gdy spojrzałam na Mundka! Och! dlaczego on to zrobił?...

Jakieś kroki po schodach. Ktoś idzie. Lecz Pita nie słyszy; szmer wody je pokrywa. Nagle we drzwiach kuchni staje jakaś wyniosła postać. Zagląda do wnętrza. W Picie serce zamiera. Rządca! Przypomina się jej katastrofa z włosami. Jest to mgnienie oka. Może idzie robić wymówki. Lecz on nie mówi nic. Zajrzał do kuchni, dostrzegł Pitę i cofa się:

— Przepraszam panią!

Już go niema. Poszedł dalej, wyżej—nie, schodzi na na dół. A więc czegoś chciał tu od nich. Dlaczego do niej nie przemówił?

Choć lepiej, lepiej, że się tak stało. Może odnosił włosy. Co wtedy? Pita czuje, że byłaby chyba zemdlała, albo już nie wie co—taki ogarnął ją lęk. Przytem rządca

wydał się jej jakiś ponury, nie taki Ketlirg, ale jakiś zmieniony, straszny. Tak zakołysał swą wyniosłą postacią, gdy zaglądał przeze drzwi...

Pita tego nigdy nie zapomni.

Dzisiejszy dzień jest dla niej nieszczęśliwy. Zapomina zakręcić kurek, zapomina, po co właściwie do kuchni przyszła, oparła się o ścianę; woda szemrze cicho i spływa w muszlę.

Znów ktoś idzie po schodach i zatrzymuje się koło drzwi. Lecz nie zagląda do kuchni. Śmieje się cicho jakby nieśmiało. Przystaje, czeka. Pita słyszy tym razem, że tam niedaleko jest ktoś. Ogarnia ją przestrach. Może to Ketlingowy rządca się wrócił. Zatrzymuje kurek; woda szumieć przestaje. Teraz prawie słychać jakiś oddech w sieni. Ktoś dyszy ciężko. Pitę samą denerwuje ta niepewność. Nerwowym ruchem odrywa się od ściany i staje we drzwiach. Chce je zamknąć, oddzielić się od tego „niepewnego," które koło niej krąży. Lecz tam w ciemni ktoś ku niej wyciąga rękę. Wpatruje się. To Tarnawicz w swojej bluzce uczniowskiej, bez czapki. Widocznie zbiegł z góry, z tego trzeciego piętra, na którem mieszka.

— To pani... proszę pani! — mówi szybko, drżącym głosem.

Pita kłania mu się grzecznie:

— Dobry wieczór panu. Czy pan do Mundka? Niema go w domu.

— Nie, nie... ja go widziałem niedawno. To już nie pomoże. Możeby pani.

— Co?

— Tak... tak... pani nie wie, pani nie może wiedzieć.

— Ale co?

— Mój Boże! nie mogę powiedzieć...

Tarnawicz ręce łamie, to znów trze czoło, jest wzburzony, zdenerwowany.

— Co panu?

— Mnie? nic.

— Co się stało!

— Jeszcze nic. Ale stanie się coś, coś strasznego.

Pita instynktownie cofa się krok jeden:

— Z kim ma stać się ta rzecz straszna?

— Z wami, z nami wszystkimi, Boże! Boże!...

— Niech pan powie wyraźniej, proszę pana!

Lecz Tarnawicz milczy, i znów Pita widzi, jak chłopiec trze czoło rozpaczliwym ruchem.

Zdenerwowanie to udziela się Picie. Tak mało jej teraz potrzeba, ażeby znów w niej nerwy drżeć zaczęły. I to niebezpieczeństwo jakieś, które ona przeczuwa oddawna, zbliża się. Oto już zapowiadają je, mówią o niem...

Więc jest.

Jest.

Teraz ona wyciąga rękę ku milczącemu w cieniu Tarnawiczowi:

— Proszę pana, jeżeli pan wie, niech pan mi wszystko powie. Może co można zrobić, aby się to nie stało.

— Nie, nie... ja pani *wszystkiego* powiedzieć nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo... kobietom wszystkiego się nie mówi.

— !

— Ale to jedno pani powiem. Niech pani powie Mundkowi, że ja... że my wszyscy jeszcze go raz błagamy, niech da spokój... niech tego nie robi... niech tego nie robi...

Łkaniem rozpaczy tętni głos chłopca.

— Powie pani?

— Powiem, powiem.

— Tylko niech pani go błaga, niech pani klęknie przed nim i prosi, prosi, po rękach całuje...

— ?

— Tak! tak! bo pani nie wie... nie wie...

Zacisnął ręce w kułak, do ust je ciśnie.

— Ach, Boże! Boże!...

Pitę zbiera lęk, i groza, i litość nad męką Tarnawi-

cza, bo ona widzi, że on, wiedząc wszystko, jeszcze więcej męczy się, niż ona.

— Niech się pan uspokoi...

— Nie mogę! nie mogę!

(Jakby echo tego jej „Nie mogę," które rwało się z niej jękiem niedawno, jakby echo słów Mundka, który odbiegł od nich, wołając: „Nie mogę").

Pita zbliża się trochę ku Tarnawiczowi:

— Ja powiem Mundkowi, powtórzę, co pan każe, będę prosiła, będę—tylko niech się pan uspokoi...

Tarnawicz chwyta ją za ręce:

— Tak, tak! Przecież pani go kocha i on panią, co?

Pita nic nie odpowiada.

Chwilę błyskawiczną dzieje się w niej obrachunek sumienia. Nie wie poprostu, czy kocha Mundka, czy on ją kocha? To słowo było, jakby wykreślone z ich grona.

Lecz to wie, że to „straszne," rzuci się gromem ku nim, przez niego, tak... przez niego. Więc jego najpierw chronić trzeba. I dlatego Pita chętnie oddałaby pół życia. A może i całe...

Odpowiada więc szeptem:

— Tak! tak...

— On to uczyni dla pani? co?

— Uczyni!

Na dole słychać kroki i głos Marcysi. Kłóci się ze stróżem, że tak późno lampki zapala.

Tarnawicz ściska silnie rękę Pity:

— Niech pani pamięta, niech pani pamięta... W pani jedyna nadzieja.

— Tak!

Tarnawicz puszcza ręce Pity i ucieka szybko na trzecie piętro. Pita wchodzi do kuchni. Jest tak zmieszana, że chciałaby schronić się gdzieś, aby pozostać samą, aby zebrać myśli. Wsuwa się więc do przedpokoju, gdzie ciemno i stoi oparta o ścianę.

Ona — ma odwrócić niebezpieczeństwo, grożące tylu

istotom? Wszakże Tarnawicz wyraźnie powiedział: „Wam—nam wszystkim..." Jak? jak to uczynić? Pita nie chce badać, jakie to niebezpieczeństwo. To trudno. Wie, że się nie dowie. Tylko wiedzieć chce, co począć, aby stanąć pomiędzy niem i tymi, ku którym czarna groza bieży. Ach! ze swego wątłego, białego ciała chętnie zrobiłaby zaporę, krzyżem śnieżnym i ofiarnym rozpostarłaby się u progu, wo'ając:

— Życie moje weźcie!... nie czyńcie tym wszystkim krzywdy...

I mimowoli, instynktem dziwnym, nerwowym, wzrok dziecka kieruje się ku drzwiom wejściowym. Wie, że są one zamknięte dobrze, że mają zamek werthajmowski, łańcuch bezpieczeństwa, że jest nawet mała szybka, przez którą widzi się, kto do drzwi puka. Te wszystkie ostrożności przedsięwziął Żebrowski, powoli, z latami całemi, znosząc jedne po drugiem żelaziwa i stal, które wkręcał w deski, mówiąc przytem:

— He! he! zje dyabła kto się teraz do nas dobierze!..

A tu Pita czuje, czuje, że właśnie temi drzwiami wejdzie ku nim to „straszne" i „silne." Ona to czuła już dawniej, lecz nigdy może z taką siłą. I łańcuchy opadną... zamki się otworzą... nic nie pomoże!...

Nawet jej wyciągnięte ręce!

Nawet ofiara jej przeczystych chęci, jej udręczonego, a tak krótkiego życia!...

. . . . . .

Pita zesuwa się ze swego posłania, odziewa się w spódniczkę, narzuca na plecy szal i cicho, aby nie zbudzić Edka, kieruje się do saloniku.

Wie, że Mundek już powrócił. Nie był na herbacie i wieczór cały spędził po za domem. Nigdy jeszcze tak długo nie pozostawał nieobecny, i Pita czuła, że rodzice mieli słuszność, gdy wieczorem przy herbacie siedzieli milczący i gniewni.

— Coraz lepiej! — wymówiła tylko matka z nadzwyczajną ironią i potem zapadła znów dławiąca, wielka cisza.

Teraz Pita wie, że Mundek jest w domu. Słyszała, jak wrócił cicho przez kuchnię, przez przedpokój i wszedł do saloniku.

Chwilę słychać było jego przyciszone kroki.

Potem—ucichły zupełnie.

Pita uznaje, że teraz właśnie jest pora, aby spełniła to, co kazał jej Tarnawicz. Mundek pewnie jeszcze nie śpi, a gdyby nawet i zasnął—to ona go zbudzi—musi go zbudzić.

Niech razem z nią odeprze to nieszczęście, które jest tak blizko. A tembardziej, że to przyjdzie przez niego — samego!...

Lecz już przy drzwiach zatrzymuje Pitę wspomnienie tego, co Mundek w jej oczach popełnił, tej... kradzieży! Czuje, że ten czyn musi wiązać się nierozerwalnie z tem, co teraz ma nadejść.

Przypomina sobie wyraz oczu Mundka, gdy zbiegły się ich źrenice. Jakże więc teraz ona ma do niego przystąpić? jak mówić? Wszakże myśli ich potrącą się w pierwszej chwili o tę straszną tajemnicę, jaka jest pomiędzy nimi.

Lecz—ona musi, musi... Wszak Tarnawicz powiedział, iż od niej zależy wszystko.

Naciska klamkę i wolno wsuwa się do saloniku.

Ogarek świecy płonie w lichtarzu.

Mundka niema.

Chwilę stoi Pita i rozgląda się dokoła. Czyżby Mundek znów wyszedł? Lecz z przedpokoju dochodzą ciche, miarowe kroki. Mundek, nie chcąc budzić rodzeństwa, wyszedł do przedpokoju i tam chodzi nerwowo, wzdłuż ścian. Drzwi uchylone. Światło z saloniku przecina przedpokój cienką strugą. Pita widzi co czas jakiś, jak smukła postać zjawia się i ginie. Pita tuli ręce do piersi i cicho posuwa się do przedpokoju.

— Boże! niech mi się uda!... — modli się, idąc bez szelestu—Boże! niech mi się uda!

Stanęła we drzwiach. Mundek zatrzymał się.

Nie wyrzekli nic.

Była to króciutka chwila.

Lecz Pita odczuła natychmiast, że *nic się jej nie uda*.

Mimo to mówi:

— Mundku!

— ?...

— Tarnawicz... Tarnawicz prosił, to jest kazał... żeby cię prosić... żeby cię błagać... żeby...

Ach, jak ciężko Picie mówić! Jakby w obcęgi wzięto jej szczęki. I myśli się tłoczą, kłębią... nie umie znaleźć słów, nie umie znaleźć zdań.

— Tarnawicz prosił—zaczyna znów—prosił, żebyś ty... nie spełnił tego, co masz spełnić!...

Oczy zakryła rękoma, oparła się o futrynę drzwi. Po za nią dogorywająca świeca rzuca drżące blaski i złoci jej włosy, jakby aureolą dookoła głowy.

— Kazał prosić, Mundku, żeby to nieszczęście nie przyszło na nas, na nich, na wszystkich... Bo to ma się stać przez ciebie... a ty...

Nie może dalej dokończyć. Mimowolnym ruchem osuwa się na kolana:

— Ja cię tak proszę! ja cię tak proszę!

Chętnie czołgałaby się do jego nóg, za ręce pochwyciła, ale nie śmie.

On tam stoi oparty o te drzwi, po za któremi jest to „straszne," oświetlony wązkiem pasmem konającego światła. Marmurowo blady, zdecydowany, z ustami zaciśniętemi, z oczyma głęboko wpadłemi w orbity.

— Mundku!...

Picie głos zamiera. Wyciągnęła rączki, z ramion jej zesunął się pled. Drobna, biała, chuda. Tylko te włosy, te złoto-srebrne włosy!...

— Mundku!

Lecz on nagle rozkazującym ruchem nakazuje jej milczenie.

— Idź ztąd!...—mówi ochrypłym głosem.

— Mundku!...

— Idź ztąd, mówię ci, zostaw mnie. Nie pomoże nic. Ani ty, ani nikt... ani sam Bóg!...

Głos mu się złamał. Jakby wzruszenie szło na niego. Przeraził się. Widocznie lękał się tego wzruszenia.

— Idź! idź! bo ja z domu ucieknę!

Chwytał za klamkę, odkładał łańcuch.

Pita porwała się z ziemi.

— Nie! nie!.. jeszcze nie otwieraj!.. jeszcze!.. jeszcze!.. Ja już idę!

Szybko, jak cień, przemknęła się przez salon. Zdawało się jej, że razem z otwarciem tych drzwi przyśpieszy się spełnienie tej okropnej, nieuniknionej już teraz katastrofy.

Edek spał, dysząc ciężko. Pita wsunęła się w swoją pościel.

— Nie mogę, nie mogę nic! Bóg świadkiem. Klęczałam, jak tamten kazał... do rąk się zbliżyć nie śmiałam... taki był straszny... takie ma dziwne oczy...

I świt nadszedł, a Pita wciąż w myśli powtarza:

— Nie mogłam, nie mogłam nic... nic...

XII.

Ranek jasny, ranek prawie letni. Słońce na świecie. Na dziedzińcu domu, przy ulicy Wareckiej, jakieś resztki się snują tego blasku, tej jasności. Lecz to chwila tylko. Nadciągnął jakiś wicher. Zabłądził zdala, jakby od błot, od bagnisk, od obumarłych stawów—nadciągnął, a z nim szare, dziwne światło zasnuło się dokoła. Jakby pajęczyny oślizgłe, wilgotne zawisły nizko, nad dachami domów. Powietrze zgniłe tłoczy płuca, rozluźnia nerwy. Tęsknotą nieuuloną, wstrętem do życia, aż zieje po ulicach miasta.

Od pościeli leniwo podnoszą się głowy. Och! po co? po co?... Lepiej śnić!...

Pita nad ranem zasnęła twardo. Zbudziła ją Marcysia:

— Proszę panienki, bo ja podaję kawę.

Szybko, machinalnie Pita zesuwa się z pościeli. Chłód ją przejmuje. Ma wrażenie, jakby dziś właśnie czekało ją pójście na cmentarz, czy jakiś pogrzeb—sama już nie wie. Odziewa się i podchodzi do stołu, na którym stoją już przygotowane szklanki, a obok cukierniczka, kilka małych tacek, bułeczki. Ojciec pije kawę przy stole, więc Pita nakrywa serwetką róg stołu, stawia dzbanuszek kamienny, garnuszek ze śmietanką.

— Mama się obudziła?—pyta przechodzącej Marcysi.

— Nie. Ale pan się goli.

Z po za parawanu odzywa się piejący głos Edka:

— Kawa!...

— Zaraz.

— Tylko milion kożuchów i rogalik, żeby chrupiał.

— Dobrze!

— A mogłabyś trochę masła?

— Nie można. Jest trochę, to dla mamy!

— Skąpidło obrzydłe, Pastrana!...

Lecz to Pity nic nie obchodzi. Nawet nie zwraca uwagi.

Marcysia uważa za stosowne wtrącić swoje słowa:

— Panicz też! Może jeszcze miodu?

— Cicho, bo ja ciebie miodem posmaruję, ty... jakaś...

I zaraz podnosi się lament.

— To kawa? To lura!... Daj choć wyskrobać garnuszek z kożuchów.

Lecz Marcysia wraca z saloniku.

— Panicza Mundka niema.

Pita czuje, że blednie.

— Nie ma?

— Tak, i pościel nietknięta. Pewnie się nie kładł.

Pita nic nie odpowiada. Wychodzi do saloniku. Za nią idzie sługa. Rzeczywiście, posłanie Mundka nietknięte.

— Może się długo uczył — mówi Marcysia, zwijając pościel i wynosząc ją na kufer do przedpokoju, gdzie leży nakryta dywanem — może się uczył i potem powiedział sobie, że nie warto się kłaść!...

— Może!

Lecz zaraz Pita zbliża się do Marcysi.

— Moja złota Marcysiu! niech Marcysia nie mówi ani mamie, ani tatce, że Mundek tak wcześnie z domu wyszedł! moja Marcysiu!

— A no dobrze, dobrze. Choć to źle taić. Panicz się rozłobuzuje i szkoda...

— Ale niech Marcysia nie mówi!

— Nie! nie!

Pita powraca do jadalni. Zastaje tam ojca ubranego *correct*. Pije kawę powoli. Macza rogalik, który wysysa delikatnie. W każdym ruchu widać, że ma czas doskonale obliczony i nie śpieszy się wcale. Pita drży z obawy, aby ojciec nie zapytał o Mundka. Lecz Żebrowski pije kawę i często ku drzwiom kuchennym spogląda. Wygląda tak, jakby na kogoś czekał.

Wreszcie przez kuchnię do jadalni wchodzi Władka. Żebrowski z pośpiechem zaczyna zbierać okruszynki na serwetce. Udaje, jakby nie widział wejścia szwaczki. Lecz ona swobodna, choć zawsze pokorna, kłania się uprzejmie:

— Dzień dobry, panu dobrodziejowi!

— Dzień dobry—odpowiada Żebrowski szybko, jakby się zakrztusił śliną.

— Taki był ładny ranek—mówi dalej Władka—i znów ma się na deszcz.

— A...

— Tak. Już nawet deróżki budy popodnosiły.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Pita nie słucha nawet tej zajmującej rozmowy. Przez chwilę przechodzi jej przez umysł, czy nie dobrze byłoby zwierzyć się Władce—prosić o radę. Lecz prędko myśl ta mija. Nie! nie!—woła w niej instynkt — tobie powierzono tajemnicę, nie masz prawa rzucać ją na pastwę pierwszej lepszej istocie. Ty dręcz się i... czekaj!

Tak, Pita czeka.

Wie, że czeka na coś strasznego i powoli zaczyna się do tego przygotowywać. Rośnie w niej jednocześnie jakaś siła nerwowa, jakaś moc. Uspokaja się. Drętwieje w niej duch i radaby wyzwała już czemprędzej to nieszczęście, aby raz na nią padło i pozwoliło jej wyrwać się z tego bolesnego oczekiwania.

Co więcej, pragnie *sama*, sama jedna iść na powitanie tego wroga:

— Ode mnie zależało odwrócić go od nas, od nich, od wszystkich! nie miałam sił, nie potrafiłam. Niech we mnie to trafi przed wszystkimi, może mnie zabije... i samo zginie...

Pita czuje się jakby wyższa, jakby urosła. Chodzi sztywno i brwi ma ściągnięte. Chciałaby zostać w domu sama, sama jedna. Z uczuciem ulgi widzi, że matka wybiera się „do miasta", Marcysia wyszła po zakupy, Władka jedna terkoce na maszynie.

Bije na zegarze jedenasta. Pita ubrana w swą szarą sukieneczkę i koronkowy kołnierz, obciera kurz z liści palm w saloniku. Czyni to machinalnie. Duszą jest ciągle przy drzwiach wejściowych. Nikt ich dziś jeszcze nie otworzył. Wszyscy wchodzą i wychodzą przez kuchnię.

Szkoda nowej słomianki i świeżo zafroterowanej podłogi. Lepiej oddychać zgnilizną i wykręcać nogi. Lecz Pita, która zwykle dziwi się dlaczego jej mama taka elegancka, chodzi po tych brudnych schodach, rada jest, że dziś drzwi wejściowe pozostały zamknięte. Patrzy na ry-

gle, na łańcuchy, na zakrętkę, którą ojciec kilka tygodni temu sam na dodatek wkręcił.

— Tyle zamków! tyle zamków!—myśli Pita.

Wreszcie wychodzi i Tuśka, a twarz jej wydaje się prawie *lila-rose* pod szafirową w kropki wualką.

— Wrócę niezadługo... — rzuca, stojąc już we drzwiach kuchennych.

— A niech pani dobrodziejka nie zapomni kupić zatrzasek większych i mniejszych—odzywa się Władka.

— Dobrze, dobrze, przecież po to tylko idę.

Wychodzi przez kuchnię i pozostawia drzwi otwarte. (Kuchenne drzwi są zwykle otworem, tylko te „frontowe" zabarykadowane, jak w fortecy).

Pita skończyła z palmami i teraz obchodzi zdaleka „serwantkę". Nie jest w stanie dotknąć żadnego cacka, ani nawet spojrzeć na Jezuska. Widzi tylko, że kwiatki, które wkładała zawsze w kubeczek srebrny, zabrany przez Mundka, leżą porzucone na półeczce.

Chowa je czemprędzej w bombonierkę i w tej chwili myśli:

— Na co Mundkowi były potrzebne srebrne drobiazgi, stanowiące, ogólną, rodzinną własność?

Co on z niemi zrobił? Może dał któremu ubogiemu koledze, może... sprzedał... Ale w takim razie: na co mu były potrzebne pieniądze? Ma wszystko w domu. Może na wpis dla tych, co to o nich *Kurjer* pisze? A może na jakie przyjemności? Może do teatru, do cyrku, może na jakie dobre jedzenie?...

To byłoby straszne dopuścić się takiego czynu, takiego grzechu dla sprawienia sobie przyjemności; to już dla Pity jest zbrodnią!... Bo jeżeli to dla dopomożenia innym... choć i to!...

Nagle Pita czuje, jakby ją ktoś uderzył w plecy.

Myśli, że to Edek, ale on leży na łóżku ojca, ubrany, bo go bardzo ucho boli. Pita ogląda się. Niema nikogo. Ale to uczucie było wyraźne. Ktoś dotknął ją

silnie i kazał jej się odwrócić. W tej chwili biło właśnie wpół do dwunastej. I dziwny lęk ogarnia Pitę! Serce jej drży i kurczy się. Po szybach siecze deszcz cienkiemi strugami. W jadalni ucichła maszyna i jest zupełna, wielka, długa cisza.

Pita siada na taburecie, naprzeciw drzwi, prowadzących do przedpokoju, siada wyprostowana i oddycha ciężko.

Oczy utkwiła we drzwi i tak pozostaje długą chwilę.

Wie, że *to* spełnić się musi.

I czeka.

. . . . . .

Nagle rozlega się turkot na dziedzińcu.

Turkot i hałas.

Krzyk płynie z dołu, gwar głosów połączonych. Koła zataczają po asfalcie głuchy szum. I słychać kogoś, jak woła:

— Zamykać bramę!

A potem zaraz:

— „Zakrojtie!"

Pita nie rusza się. Nie biegnie do okna.

Do jadalni wpada Marcysia:

— Panno Władziu! Pogotowie kogoś przywiozło. Wjechali na dziedziniec.

Władka wpada do saloniku. Otwiera okno:

— Panno Pito... Pogotowie... bramę zamykają... stróż wypędza tych, którzy się z ulicy natłoczyli... policyant jest także! Panno Pito!

Ale Pita się nie porusza.

Marcysia rzuca z jadalni:

— Ja lecę na dół!

— O!... a to się tłoczą!—mówi dalej Władka, patrząc przez okno—ludzie nie mogą nawet drzwi otworzyć. To bydło! Pod konie lezą, aby na gawrona!... O! już otworzyli... wyjmują kogoś...

Nagle, jak wicher, wpada Marcysia.

Jest bez tchu prawie:

— Drzwi! — woła — *drzwi trza na rożcież otworzyć!!!*

Teraz Pita podnosi się szybko i biegnie do przedpokoju.

— Nie ty!—woła dziwnym głosem—*ja tylko mogę te drzwi otworzyć!*

I silną ręką odkłada łańcuch, odsuwa zasówki, rygle, zakrętki, zamek werthajmowski. Otwiera drzwi, odsuwa rygle. Już słyszy, jak idą po schodach ludzie, stąpając ciężko, jakby nieśli jakiś ciężar, jak ktoś mówi:

— Żebrowscy na drugiem piętrze?

A potem drugi głos:

— Ostrożnie na zakręcie...

— Tak!...

Pita się usuwa. Drzwi są szeroko otwarte. Bije przez nie woń terpentyny i odgłos zbliżających się ludzi.

Pita stoi blada, cicha, zdecydowana na wszystko.

Czeka.

. . . . . .

Otwarły się drzwi na oścież—otwarły się, i oto skrzydłami orlemi niesiony płynie przez niewielki ogromny, ofiarny *Czyn*.

Na noszach Pogotowia, okryty szynelami, leży Mundek.

Ma twarz owiązaną—tę śliczną twarz o wielkich brylantowych oczach.

I widać tylko te oczy. Na prawym policzku, na ustach pośpieszny opatrunek. On patrzy przed siebie, ale jakby nie widział objawów życiowych. Nic nie zdoła opisać tego wzroku, skoncentrowanego w sobie, jakby to dziecko w jednej chwili przeżyło największą rozkosz i największe cierpienie, na jakie istota ludzka przeznaczona być może.

Oczy Pity spotykają ten wzrok brata! I ona ma wielkie, rozszerzone źrenice, istot, które stanęły nagle wobec wielkiego czynu, który rozświetla jasnością niezmierzoną cały horyzont szary dotychczasowego jej życia.

Pita nie woła: „Mundku"! nie krzyczy; gestem jednym, pewnym wskazuje ludziom, dźwigającym nosze, wejście do mieszkania.

— Proszę panów! tędy!

Po schodach zaczynają się tłoczyć ludzie. Nosze z Mundkiem wniesiono do saloniku. Pita szybko zamyka drzwi, zakłada zamki i łańcuchy. Nie dostrzegła, że za lekarzem Pogotowia wsunął się także i Tarnawicz. Chłopak ma twarz całą w sine plamy, usta mu drżą, czapkę do piersi ciśnie.

— *Strzelił do siebie!* — mówi, zatrzymując Pitę przy wejściu do salonu.

— Strzelił?

— Tak! na lekcyi... z rewolweru.

Pita milczy. Zdaje się jej, że stanęła nagle nad brzegiem przepaści!

— Ja wczoraj panią ostrzegałem...

— Tak! tak!...

Pita podchodzi do brata. Lekarz zwraca się ku niej:

— Czy niema rodziców w domu?

— Nie!

— Proszę posłać po ojca, po matkę — nie wiem... po kogoś starszego.

Władka wyrywa się naprzód.

— Ja wszystko tymczasem zarządzę...

Lecz Pita odsuwa ją wyniosłym ruchem:

— Proszę pani!...

Zwraca się do lekarzy:

— Poślę po tatkę do biura. Pan zechce mi powiedzieć, co robić Ja potrafię...

— Przedewszystkiem należy ułożyć chorego. Gdzie jego łóżko?

— Brat sypia na tym szezlongu.

— Wystarczy.

— Zaraz dam pościel.

Lekarz patrzy ciekawie na tę dziewczynkę smukłą, bladą, wiotką, delikatną, a która w tej tragicznej chwili objawia nagle hart ducha i wielkie zapanowanie nad sytuacyą.

Tarnawicz zbliża się nieśmiało:

— Ja pomogę pani, panno Józefo!

Chwilę Pita ma wrażenie, że mówi do kogo innego. Lecz to ona przecież jest tą Józefą — dorosłą do czynu, do działania, skoro nie dają jej tego zdrobniałego, dziecinnego przezwiska. Spogląda z ufnością na spłakanego chłopca.

— Pan? Dobrze, proszę...

Biegnie do szafy, dobywa prześcieradła, poszewki, wydaje dyspozycye Marcysi. Ludzie, którzy wnosili Mundka, stoją jeszcze w saloniku. Władka chce się wypytywać o szczegóły.

Pita daje jej znak, aby wyszła do jadalni.

— Proszę, niech pani tu zostanie, tam trzeba spokoju!

— Tak! — potwierdza lekarz — zwłaszcza spokoju. Nasz chory jest silnie zdenerwowany, choć panuje nad sobą.

Obrzucił Mundka wzrokiem pełnym sympatyi.

— Dzielne dziecko!

Tarnawicz rozścieła prześcieradła drżącemi, poplamionemi atramentem rękoma.

— O panie doktorze! — mówi zdławionym głosem — pan nie wie... pan jeszcze nic nie wie...

— Owszem, domyślam się. Zresztą w gimnazyum przecież już mówili. No dosyć rozczulań. Czy po ojca posłano?

— Tak; pobiegł stróż.

Łóżko gotowe. Pita zwlokła z łóżka matki poduszki, materace—wszystko, co najlepszego. Edek śpi na łóżku ojca, odwrócony do ściany. Pita cicho drzwi do sypialni zamyka. Nie trzeba, ażeby Edek zjawiał się w takiej chwili.

— Teraz my chorego ułożymy!—mówi lekarz.

Pita wychodzi do sypialni i drzwi zamyka. Opiera się o stół i stoi chwilę z przymkniętemi oczyma. Przez tę krótką sekundę przebiega myślą słowa, usłyszane od Tarnawicza:

— Strzelił do siebie z rewolweru.

A potem:

— Ostrzegałem panią, panno Józefo!...

Więc ona temu winna?

Wzdrygnęła się cała.

— Nie, nie—myśli—napróżno! To było postanowione—tak stać się musiało... Ja nic nie mogłam przeciw temu podołać. To było silniejsze nade mnie...

Władka zbliża się do niej:

— Jezus Marya! panienka wie... on się postrzelił! Co państwo na to powiedzą?!..

Pita patrzy na nią jakoś twardo z pod brwi ściągniętych.

— Dlaczego on to zrobił?—pyta Władka.

— Widocznie *musiał*—pada z ust Pity jakimś dziwnym nieznanym jej głosem.

Drzwi od saloniku otwierają się cicho.

— Panno Józefo! proszę panią!—mówi Tarnawicz, podając skrwawiony kołnierzyk, chustkę, koszulę lekko od szyi zabarwioną krwią.

— Ach Boże!—woła Władka—trzeba schować. Matka, jak zobaczy, gotowa zemdleć. Takie zmartwienie zrobić rodzicom! i takim dobrym rodzicom!...

Tarnawicz chmurnie spogląda na Władkę.

— Czego pani na niego?... — mówi wreszcie zdobywając się na odwagę. — Pani nie wie nic. Pani niema prawa...

— Ach, Boże mój! Cóż tu wiedzieć! To zgroza! taki młody, takie dziecko!

Lecz Tarnawicz powtarza z uporem:

— Pani nie wie nic!

Władka się czerwieni, widocznie ze złości.

— I nie ciekawam!... Zobaczymy, co ojciec powie! Właśnie idzie!...

W kuchni słychać szybkie kroki Żebrowskiego. Nie idzie, lecz biegnie. Na twarzy płoną mu dwie prawie sine plamy.

Ubrany, w palcie, zmoczony, zatrzymuje się na chwilę w jadalni.

— Gdzie Mundek?— pyta.

Tarnawicz zbliża się. Jest zdecydowany. To widać. Żyły mu nabiegły na skroniach. Jego anemiczna, zbiedzona twarz nabiera jakiejś stanowczości i odwagi:

— Proszę pana dobrodzieja... nim pan do niego pójdzie, ja muszę powiedzieć...

— Kawaler kto taki?

— Kolega Mundka.

— Ten z trzeciego piętra, co to pani dobrodziejka...—wtrąca szybko Władka, a potem zwraca się do Tarnawicza:

— Niech kawaler nie zastępuje drogi panu dobrodziejowi. Co to znów nowego?

Lecz Pita znów wyniosłym gestem odsuwa ją na bok.

— Tatko!—mówi, stając przed drzwiami saloniku — nim pójdziesz do Mundka, wysłuchaj, co ci pan Tarnawicz ma do powiedzenia.

— Tak... tak...—podejmuje szybko Tarnawicz—ja powiem krótko. Pan szanowny nie może gniewać się na

Mundka. Pan szanowny zrozumie... *on się dla całej klasy poświęcił...*

Panuje chwila milczenia.

Jest to jeszcze nie jasne, a przecież jakby jakaś zorza, jakiś blask bije z tych słów.

— Jakto? jakto?...—wyrywa się wreszcie ze zbielałych ust Żebrowskiego.

— Pan wie... my mieli ciągłe prześladowania od Korffa. On nas tak gnębił, tak prześladował... My zrobili, co mogli. Nic nie pomagało. Nam życie zbrzydło. My znów wiedzieli, jakie będą cenzury. A potem to zachowanie się względem nas! My się skarżyli. Nic. Groch na ścianę. Tak my myśleli, że jak się stanie wreszcie *jaka straszna rzecz,* to wreszcie klasę od Korffa uwolnią i nas oswobodzą od takiego prześladowania. My chcieli coś zrobić... niewiedzieliśmy co. Ale Mundek sam powiada. Trzeba, żeby się który z nas w klasie na godzinie zastrzelił... My się przelękli. A on mówi: „Ja to zrobię!..." I zrobił.

Żebrowski aż oparł się o ścianę.

— Dlaczego... on?

Tarnawicz oczy spuścił. Chwilę milczał. Wreszcie cichym głosem wyrzekł:

— On jeden miał odwagę!... *Poświęcił się za nas wszystkich!*

— Za wszystkich!...—powtarza Żebrowski.

I znów milczenie.

. . . . . .

Nikt nie płacze. W niczyich oczach łez niema, tylko serca biją przyśpieszonem tętnem.

Poświęcił się dla wszystkich...

Oto jest ten Czyn wielki, to jest to poświęcenie nie poszukiwane mozolnie, aby uczynić zadość wewnętrznej potrzebie, lecz ofiara taka, która obejmuje sercem całe światy i trupem młodym pada na stos ofiarny.

I zdało się tym wszystkim, którzy milczeli, że stoją na samym szczycie wyniosłości duchowej, a przed nimi otwarto wrota ogromnego Tumu i że z wnętrza tej niedostępnej dla nich Świątyni bije fala Światła prawdziwego, wielkiego dobra dla dobra, szlachetności dla szlachetności samej.

I wrota te przed nimi otwarło to wątłe dziecko, które szło w objęcia śmierci, walcząc nadludzko z silnem przywiązaniem do życia, to dziecko skrwawione i ciche, które, wpatrzone w Ideał, otuliło się, jak skrzydłami, ciepłem poświęcenia tajemniczego i bezinteresownego.

Nikt nie płacze.

W niczyich oczach łez niema, tylko serca biją przyśpieszonem tętnem.

. . . . . .

Tarnawicz zaczyna mówić przyciszonym głosem:

— Na godzinie... Korff dokazywał więcej, niż zwykle... Jakby się uwziął. Ale my wszyscy patrzyliśmy tylko w Mundka. Bo wiedzieliśmy, że *to*... będzie dzisiaj. Mundek poszedł do ostatniej ławki i tam usiadł, a taki był blady, jak ściana. Ja poszedłem za nim. Usiadłem obok. Błagam go jeszcze, aby dał spokój. On mi nic nie odpowiada. Zęby zaciął, a patrzy wciąż tylko w Korffa. Wreszcie, jak już czwartego Korff przewalił, tak Mundek dobywa z kieszeni rewolwer...

Żebrowski się rzucił:

— Zkąd wziął?

— Nie wiem... Kupił.

— Za co? za co?...

Pita czuje, że blednieje. Ona wie za co. Ten kubeczek srebrny, ta papierośnica, wczoraj przez Mundka wzięta; tak, tak, to za te pieniądze.

Tarnawicz mówi dalej:

— Wyjmuje rewolwer... otwiera usta...

Żebrowski dyszy. Pita zakrywa oczy rękoma.

— Otwiera usta, kładzie w nie rewolwer... Ja go wtedy szarpię za rękę. Strzał poszedł w bok... przebił policzek... Kula gdzieś zginęła... Mundek zemdlał... Zanieśli go do pokoju nauczycieli... Tam był inspektor... przyjechało Pogotowie... i to już wszystko!

Pita patrzy na ojca. Widzi, że ta jego nieruchoma, jakby drewniana twarz ma wyraz jej nigdy nieznany. Małe oczy, zwykle szklane i blade migocą pod drżącemi powiekami. Bez słowa, odsuwa Tarnawicza i chwiejnym krokiem idzie ku drzwiom saloniku. Wszyscy się usuwają przed tym ojcem, który ma w sobie cały Majestat bólu i trwogi.

Oto wszedł do pokoju. Stanął chwilę i patrzy na Mundka, który swe ogromne, tajemnicze źrenice skierował ku ojcu.

Patrzą na siebie długą chwilę. Nie mówią nic słowami, lecz wzrokiem porozumieli się, odczuli wreszcie i dusze ich wybiegły ku sobie.

Syn wyciąga wreszcie powoli rękę, bladą, bezsilną.

I oto dzieje się rzecz wielka i wzniosła.

Ojciec do tej ręki przypadł...

I całuje ją!

. . . . . .

Tę rękę dziecka—ojciec całuje.

. . . . . .

Bo on poświęcił się za wszystkich.

. . . . . .

I dlatego rękę syna—całuje ojciec!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

LTSR Švietimo Liaudies Komisariatas Vilnius

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

— Panno Józefo!...

— A to pan! Niech pan wejdzie.

Tarnawicz stoi nieśmiało na progu kuchni.

— Ja chciałem... chciałem.

— Proszę, niech pan powie—mówi Pita, cała jakby zorza od blasku delikatnej różowej barwy nowej swej bluzki.

— Ja chciałem pani powinszować.

A!

Dziewczynka uśmiecha się milutko. Tak, tak — dziś dziewiętnasty marca, święty Józef—jej imieniny. Od matki dostała bluzkę, ojciec dał jej rubla, Edek chciał jej coś dać, ale nie miał za co kupić, a Mundek jeszcze nie wychodzi, choć już siedzi w fotelu, cały oblepiony plastrami po lewej stronie twarzy.

Niewesołe ma Pita imieniny. Jakaś straszna tęsknota za ubiegłemi latami ścisnęła jej serce. Schowała rubla, ubrała się w bluzkę, a mimo to tak jej smutno—tak bardzo smutno.

Nagle rozjaśnia się przed nią świat.

Tarnawicz, który dotychczas krył coś po za plecami, wyciąga nagle rękę. Oto trzyma w niej doniczkę hyacentów. Białe, wonne, jak kadzielnica. Listki zielone cudowną, wiosenną, prawie przejrzystą zielonością.

Dziewczę wyciąga ręce:

— Hyacenty!...

— A! to pani lubi hyacenty?

— Nad życie.

— Jak to dobrze... ja tak się bałem...

— To dla mnie?

— Tak!... Niech pani przyjmie... niech pani nie odrzuca... to razem z życzeniami...

— Ale... dlaczego pan mi daje kwiatki?

— Ja nie wiem... ale przecież... przechodziłem... widzę tę doniczkę i myślę, że tylko pani, panno Józefo, może mieć te kwiatki. Tak mi jakoś panią przypomniały... Niech pani się nie gniewa...

Głos mu zamiera. Drugą ręką obciąga swą uczniowską bluzkę, przestępuje z nogi na nogę. Ją ogarnia jakieś dziwne rzewne uczucie wdzięczności. Ten kwiat, to była właśnie ta wiosna, do której ona tęskniła, ten dar, nie taki codzienny, jak ów rubel ojca i bluzka matczyna.

Bierze więc doniczkę z hyacentem i zanurza swój różowy nosek pomiędzy biel kwiecia.

— Ach! jak pachną! jak pachną! — mówi z rozkoszą.

Tarnawicz uśmiecha się radośnie:

— Podobają się pani?

— Bardzo, strasznie. Dziękuję panu.

Wyciągnęła ku niemu rękę. On szybko otarł swoją rękę o bluzkę i pochwycił długie, wązkie palce Pity.

Szastnął niezgrabnie nogami i szybko wyszedł z kuchni.

Pita została sama ze swoim hyacentem.

— Co teraz z nim zrobię?—pomyślała zakłopotana—mama będzie się gniewała. Choć przecież cóż złego? Żeby to był dorosły mężczyzna, ale to uczeń, a potem kolega Mundkowy... Mówi mi: „Panno Józefo“ — tak miło!

Teraz coraz częściej mnie nazywają „Józią“, ale nikt mi nie mówi „panna Józefa“, on pierwszy.

Patrzy znów na kwiat, wciąga w ruchome nozdrza jego woń rozkoszną.

— Ty śliczny, ty biały, ty cudzie...—mówi do niego, a głos jej ma te bezwiedne intonacye, które kobiety pieszczotliwym słowem nadawać umieją.

Niektóre kobiety!

Takie, jak panna Józefa!

— Ale co ja z tobą zrobię?—kłopoce się dalej—przeczuwam, że mama się będzie gniewała. Może cię wyrzuci?... Tembardziej, że to od Tarnawicza.

Bo Tarnawicz, choć teraz już ma prawo wstępu do domu Żebrowskich, nie cieszy się u Tuśki łaskami. Nie okazuje mu tego ze względu na wdzięczność, jaką mu winna za uratowanie życia Mundka, lecz Pita subtelnością swoją doskonale to odczuwa.

I przykro jej to przykro, bo ona Tarnawicza lubić zaczyna, pomimo, że nie jest wcale dystyngowany i raczej brzydki chłopak. Ale to pierwsze wrażenie, jakiego doznała, to wrażenie jakiegoś spokoju, gdy spojrzał na nią po raz pierwszy, powtarza się ciągle. Te jego wielkie siwe oczy umieją patrzyć na nią łagodnie i wypijać z niej niepokój i trwogę.

A potem... mówi jej: „Panno Józefo“...

Więc przykroby jej było bardzo, gdyby mama hyacent ten wyrzuciła z domu. Co począć? co począć? Drzwi od schodów się otwierają. Wchodzi Władka w nowym słomianym Windhorście z opaską skórzaną. Jest zgrzana, zarumieniona i prawie przystojna. Spóźniła się dzisiaj. Od progu obleśnie winszuje Picie imienin:

— Sto lat, bogactwa i dobrego i pięknego męża! — mówi, śmiejąc się—a teraz już niedługo, bo co tydzień panienka ucieka z sukienki i mamcia kazała mi przynieść żurnale.

— ?...

— Aha... będzie *długa suknia!*

Pita zarumienia się gwałtownie.

— Dla mnie?

— No, przecież nie dla Edka.

— Ależ ja mam dopiero...

— Co tam lata! Panienka tak wyrosła, że po prostu coś nadzwyczajnego. To już nieprzyzwoicie w krótkiej sukience chodzić... O! od kogo ten hyacent?

I Władka chce swój nos wsunąć między kwiatki, lecz Pita unosi wysoko wazonik.

— Dostałam.

— Od kogo?

— Od... pana Tarnawicza.

— Co?... a to błazeństwo. Cóż to? konkurent?

— Ach! jakże można tak mówić.

— No co? Przecież tylko konkurenci dają kwiaty pannom.

— Tak panna Władzia myśli?

— Przecie wiem, co w świecie uchodzi.

Pita patrzy smutno na kwiatki.

— Mój Boże!...

— Ja wiem, że panna „Józefa“ — bo tak już teraz trzeba będzie mówić—że panna Józefa martwi się, co mamcia na ten prezent powie.

— A zkąd panna Władzia wie?

— No, ja już mam taki nos. Ja wiem, jak trawa rośnie. Ale chce panna Józia, to ja panienkę z kłopotu wybawię. Oto powiem, że to ja panience ten kwiatek darowałam.

— Ale to będzie kłamstwo.

— Ale!... wielka awantura. Jedno kłamstwo mniej, więcej, świat się nie zawali. Wszyscy kłamią całe dni, a w nocy nie kłamią, bo... śpią. Idę do mamci, a panienka niech kwiatek do żardinierki wstawi.

— Nie! nie!

Lecz Władka już jest w jadalni i ztamtąd biegnie do sypialni, gdzie Tuśka czesze się przed lustrem.

Pita powoli zabiera doniczkę i przenosi ją do salonu.

. . . . . .

W salonie, na fotelu, koło otwartego okna siedzi Mundek. Jest biały, z lekkim żółtawym odcieniem cery człowieka, który dosyć krwi stracił i z ciężkością tę stratę odrabia.

Plastry zalepiają mu lewy policzek. Usta ma lekko ku lewej stronie ściągnięte, co nadaje jego twarzy wyraz trochę ironiczny.

A przecież niema w Mundku właściwie ani śladu ironii.

Jest tylko jakaś powaga, jakaś dostojność. Raczej dojrzenie brutalne i gwałtowne, które przerzuciło go na drugą stronę ścieżki życiowej.

Mundek wygląda, jak ten, który *przeżył samego siebie.*

Zdaje się, że czuje, iż oddał ze siebie to, co mógł dać najlepszego, że wykonał ten najdoskonalszy czyn swego życia i że teraz nie pozostaje mu nic, jak tylko iść za sobą, dokąd mu będzie sądzone.

Znów zapadł w milczenie i teraz nie cieszy się wczesną wiosną, która błękitem i świeżością od dalekich pól płynie.

Patrzy w rozłożoną na kolanach książkę. Lecz nie czyta. Zapadł w zadumę, jak ten, który wzniósł się wysoko, panował chwilę bohaterstwem swego poświęcenia nad całą masą codziennych wydarzeń i nagle ściągnięty został w szarzyznę zwykłej egzystencyi.

Posłyszał nad sobą potężny śpiew tryumfujących i wyzwolonych Duchów, dążył w ekstazie swojej tam, gdzie niema małostek i trosk z nich zrodzonych, cały złocisty wiał skrzydłami, które wytrysły mu u ramion w chwili, gdy życie swe młode druzgotał na ofiarę „wszystkich“ i oto

wlec musi to życie, które wróciło do niego bez jego woli i wiedzy.

On czuje, że raz jeden można się *zdecydować* i że ta chwila jest właściwie całą pełnią istnienia. Dyszał w niej płomieniem, siłą, potęgą. Porwał się za bary z chęcią zwierzęcą samozachowania i zwyciężył.

Kto przeżył taki moment, nie potrafi już żyć dalej.

Dlatego oczy Mundka są szklane.

Dlatego usta jego są nieme.

Dlatego pierś prawie nieruchoma.

I nieruchoma prawie myśl.

Jakby rozwiała się w mgłę.

To znów tłoczy się dokoła niego kamienną chmurą.

Ach! jest tak ciężka, tak zwarta, tak nieprzenikniona.

Zanadto nieprzenikniona dla jego osłabienia.

Więc wpatrzył się w książkę—zapadł w zadumę.

. . . . . .

Lecz on jeszcze nie wyczuwa całej, wielkiej nagiej prawdy.

Gdy wielkim taranem uderzyło w zamknięte drzwi domu, gdzie wzrósł — jego Dzieło, przez niego spełnione, gdy tryumfalne Hosanna zabrzmiało dokoła jego anielskiego czynu—oderwany był od wszystkiego, co pozostawiał za sobą.

Nie czuł, że wznosi się nagle na taką wyżynę, że wspiął się tak wyniośle, iż ci, którzy go otaczali, pozostali w nizinach, już dla niego zamarłych i nieistniejących.

Fizycznie powrócił ku nim, lecz Czyn jego, ten szeroki, ogromny Czyn, obejmujący poświęceniem swojem horyzonty olbrzymie społecznych walk i dążeń, otoczył go aureolą wywyższenia i przyrósł do jego istoty.

I oto, gdy pierwsza trwoga serc rodzicielskich o życie dziecka minęła, gdy to dziecko dźwignęło się i weszło

znów w zacieśniony krąg domowego istnienia, stała się rzecz dziwna, niepojęta.

Mundek stał się teraz jakimś sędzią surowym ich czynów, ich myśli, ich dążeń.

On nie sądził może, zamknięty w przeżytej chwili, lecz im się tak zdało. I jego milczenie, jego spojrzenie głębokie ścigało ich dziwnie i drażniąco. Czuli się mali i drobni, a w tem codziennem potykaniu się o doskonałość szlachetnego porywu, mieli wrażenie, że spada na nich nieustanny wyrok wzgardy, szeptanej dokoła przez niewidzialne, a szeroko bijące w powietrzu uskrzydlone duchy. Mimowoli zbliżali się do Mundka z jakiemś uczuciem szacunku i uniżenia, i gdy oddalali się od niego, doznawali jakby ulgi i powrotu do normalnych warunków. To „samobójstwo", o którem czytywali w Kuryerach od lat całych, i które przedstawiało się im, jako dziw niepojęty i potworny—było pomiędzy nimi, stało się czemś ujętem i istniejącem. I to także wytrąciło ich z równowagi i przejmowało strachem.

Gdy rozmyślali o *powodach* czynu Mundka, tracili dech z ogromu nieprzebytych przez nich nigdy podobnych myśli, gdy zastanawiali się nad sposobem wykonania tego czynu, przeszywał ich dreszcz wrodzonych przesądów i wierzeń.

Nie przyznaje się nikt w tym domu do tego, co czuje w tej chwili; kryje to w głębi duszy. Raz tylko Żebrowski, rozmawiając z synem, wtrącił słowa:

— A gdyś się zabijał, czy nie myślałeś o nas?

Mundek nie zwrócił na ojca oczy, patrzył wciąż w przestrzeń.

— Myślałem o wszystkich...

— Więc i o nas?

— Mówię o wszystkich, o ludziach wogóle, więc i wy..

Urwał, lecz Żebrowski podjął:

— Wszakże poświęciłeś się tylko za swoją klasę?

Ręce Mundka długie, białe, wychudłe zadrgały, jak skrzydła motyla, wbitego na szpilkę.

— Ojcze—wyrzekł powoli—nie dla klasy chciałem tego, nie dla tych kilku kolegów, ale ja głównie patrzyłem w dal, w to, że może z tego, co zrobię, wyrośnie później choć cokolwiek, co wstrząśnie, co podminuje, co się przyczyni.. Bo... chyba nic nie ginie, ani nawet taki drobiazg, jak to, co chciałem zrobić...

Żebrowski wziął krzesło i usiadł naprzeciw syna:

— Drobiazg? Nazywasz to drobiazg? twoje życie...

— Co jest moje życie?... Dlaczego ono ma mieć jakąś wagę konieczną?

Żebrowski niespokojnie gładził palcami gors koszuli:

— Życie każdego człowieka ma wagę ogromną!—wyrzekł powoli i jakby z rozmysłem.

— O ile niesie coś dla drugich.

— Tak... ależ ty przecież mogłeś...

— Co?

— Żyjąc, zdziałać więcej...

Mundek uśmiechnął się smutno:

— Nie, nie! śmiercią mogłem więcej. Zresztą widocznie tak...

Wyczerpany umilkł znów, przymknął oczy i siedział tak chwilę.

— A potem... wy tu zamknięci... nie wiecie nic, nic. Ja wiem, o mnie się to obija, to mnie rwie, niesie. Tak. jakby z ziemi wstają opary... my wszyscy czujemy, my już nie chcemy dłużej...

Żebrowski patrzył na syna szeroko otwartemi oczyma

— Tak...—wyszeptał po chwili—my tu nie wiemy.

— Skostnieliście...

Padło ciężkie słowo.

— Poddaliście głowę, ale my...

Żebrowski patrzy wciąż na syna. Czy to ten Mundek, któremu sprawiało się z trudem szynele i którego prowadziło się do fryzyera, aby mu „włosy zebrał". On mówi: „My"—on mówi...

I Żebrowski kurczy się, maleje, pragnie się przed tym synem tłumaczyć.

— My nie mieliśmy sposobności. Przyszliśmy na świat po powstaniu. Pomyśl, jaki krwawy ucisk... jakie represalje. I sił już nie było. Takeśmy wzrośli... zdawało się.

— Ale *nam się nie zdaje*...

Żebrowski obejrzał się trwożnie.

— Och! ciszej, Mundku...

Mundek uśmiechnął się gorzko:

— Tak, tak, ciszej... aby tylko nic nie wyprowadziło z linii. Ale tak nie będzie.

Wyciągnął ręce i założył je za głowę:

— My, młodzi — wyrzekł powoli — my się nie lękamy!

— Za to my się lękamy o was!

— Niepotrzebnie.

— Daruj, ale to nasz obowiązek.

— Zapierać drogę do czynu? Nie! nie!

Po raz pierwszy jasny promień jakby wykwitł na twarz Mundka.

Żebrowski, coraz więcej zmieszany, ku synowi się pochylił.

— Mundku!—wyszeptał prawie — przysięgnij mi, że więcej *tego* nie zrobisz.

Mundek chwilę przelotną spojrzał w te poczciwe, zaczerwienione źrenice ojcowskie i natychmiast wbił wzrok w przestrzeń.

— Tego uczynić nie mogę. Zrobię to, jeżeli znów dla dobra ogółu będzie to potrzebne...

— Mówicie teraz, że nie prosiliście o życie, żeśmy wam je dali, a więc skoro cię powołałem do życia, ja — mam prawo niem rozporządzać... *Ja każę ci żyć!*

W tym rozkazie była pokorna prośba.

Mundek milczał chwilę.

— Ten rozkaz... to egoizm—wyrzekł wreszcie.—Chcecie, bym żył dla was, bo to jest dla was zbyt ciężka do zniesienia taka rzecz... Ale... należało mi w takim razie nie dawać w spadku tego, coście mi dali.

— ?...

— To, coś i ty po powstaniu wziął od swoich; to, o czem nie wiesz nawet, że go masz w sobie całe swoje życie...

— Co? co?

— *Bunt!*

— Cicho, Mundku! cicho!

— Nie lękam się!... nie lękam się!...

. . . . . .

Naprzeciw siebie siedzi ich dwóch: ojciec i syn.

Przed nimi nagle całe światy, całe horyzonty, po których, jakby z sennego odrętnienia, powstają oddzielne postacie i błąkając się chwilę, łączą się w grupy. Niektórzy przypadli do ziemi i leżą na niej rozpłaszczeni, jakby szukając rozpaczliwie żeru dla siebie i swoich. Inni idą wciąż samotni, i śpieszą tam, gdzie najciemniej, zkąd dolatują jęki i westchnienia. I wszyscy wbili oczy w skrawek purpurowego światła, które zdala płomienną jutrznią horyzont rozświetlać się zdaje. Posłami niecierpliwymi biegną źrenice dziecięce, źrenice młode, poświęceń pełne. Po ciemnych postaciach tych, którzy do ziemi przypadłszy, dla nich żeru szukają, biegną ci młodzi ku purpurze wschodzących słońc i wołają pełnym głosem, tłumiącym lękliwe szepty, opływające zaklętą, piaszczystą równię:

— Nie lękamy się! nie lękamy się!...

. . . . . .

W kąciku słucha Pita, słucha co mówi ojciec i brat. Słucha i pojmuje. Lotem chwyta i rozumie teraz dlaczego Mundek był dla niej tym Cherubem o skrzydłach złocistych, dlaczego, gdy myślała o nim podczas jego wieczornych wycieczek, jakieś tłumy, jakieś gwary, jakieś ogromne świątynie zjawiały się w jej umyśle.

To były właśnie te światy dla niej zamknięte i może niedostępne nigdy, światy dziwne a wielkie, w których nie zachodzi słońce miłości i prawdy, choć napozór tam ciemno, mroźno i strasznie. Trupy tam padają i leżą skostniałe, jakby drogowskazy dla tych, którzy biegną, szukając ścieżek.

Gdyby Picie kazał kto to uczucie sformułować w słowa, nie potrafi tego uczynić z pewnością. Lecz ona to czuje, ona drży cała i zdaje się jej, że to, co wydało się jej w pierwszej chwili niepojęte, to jest poświęcenie się Mundka „dla całej klasy", jest teraz dla niej nietylko zrozumiałe, ale że i ona Pita—umiałaby tak samo zabić się, ażeby innym w jakiś sposób śmiercią swą dopomódz. Nie chce myśleć oddzielnie o każdej z tych istot, dla których miałaby śmierć ponieść.

Naprzykład panienki z kursów, gdzie uczęszcza—gadatliwe, złośliwe, zakochane w sobie. Każda z nich, biorąc ją z osobna, budzi w Picie wstręt. Lecz razem w tłumie, zlewając się w jakąś masę cierpiących i prześladowanych, w ogrom uciśnionych, stają się tą ogromną wartością, godną, aby dla jej dobra Pita położyła swe życie w ofierze.

— Tak, mogłabym się *także* zabić...—myśli Pita, patrząc na brata—mogłabym; nicby mnie nie wstrzymało. Zrobiłabym to, co Mundek... tak...

Jednakże jakaś myśl przewija się jej mimowoli, prawie nieuchwytna, ale nurtująca.

— Zrobiłabym to cicho, cichutko w kąciku, wtedy, gdy byłabym sama, aby mnie pozostawiono w spokoju

i dano mi naprawdę umrzeć. To przecież musi być straszne: chcieć już umrzeć, a tu drudzy gwałtem nie dają...

I żałuje Mundka, bo zdaje się jej, że on właśnie cierpi bardzo wskutek tego, że mu nie dano umrzeć, gdy już tak postanowił. Chodzi koło niego delikatnie i z całem poświęceniem. Nieraz pragnie powiedzieć mu to, co odczuwa, ale nie śmie.

Mimo, że zdaje się jej, iż zdołałaby dokonać takiego czynu, Mundek dla niej jest niedościgłą istotą. Czuje bowiem, że od „zdaje się mogłabym" do spełnienia jest cała przepaść. A Mundek spełnił.

A więc...

Patrzy na jego postarzałą twarz, na jego zaciśnięte usta—i smutno jej. Po rozmowie z ojcem, Mundek znów zamknął się w sobie. Lecz Pita wie już, co w nim wre i dojrzewa. Słyszała to krótkie i mocne słowo. Czuje, że Mundek się z niem zmaga, że ono go dręczy. I z cudowną intuicyą kobiecą, Pita pragnie wykorzystać młodość brata na rzecz jego zdręczonej zbyt wielką Siłą istoty.

Idzie ku niemu tego wiosennego ranka z kwiatem w wyciągniętych dłoniach. Idzie sama jak kwiat biała i jasna, a przed nią, jak kadzielnica, śle swe wonie śnieżne kwiecie.

— Mundku! spójrz!... jaki cudny hyacent... jak pachnie.

Mundek podnosi głowę i rzeczywiście spogląda na kwiat, na siostrę. Coś jakby zamigotało w źrenicach.

— A wiesz od kogo dostałam?

Milczenie.

— Od Tarnawicza.

Mundek brwi zmarszczył:

— Po co *on* pieniądze traci... Muszę mu powiedzieć... On na to nie ma.

Lecz Pita, cała zaróżowiona, szczęśliwa, że brat choć tak się zainteresował jej pomysłem, prosi:

— Nie mów mu nic!... Proszę cię!... mój drogi!... Przecież to tylko raz... To moje imieniny.

Wstawia hyacent do żardinierki ostrożnie, delikatnie. Tak go kocha, ten wonny kwiat, pierwszy, który dostała na własność. Z troskliwością dotyka ziemi, czy dosyć wilgotna. Mundek śledzi jej ruchy mimowoli. Wreszcie się odzywa:

— Odwróć go do światła. Inaczej zginie.

Pita się zasmuca.

— Niema tu słońca u nas.

— Choć światło!

Wreszcie kwiatek ustawiony. Pita staje znów przed Mundkiem.

— Zrobić ci winną polewkę?

— Nie.

— To może tapiokę?

— Dziękuję!

Pita czuje, że Mundek się jej znów wymyka, że zapada w swą melancholię smutną.

— Mundku!—mówi szybko—nie mów mamie, że ten kwiatek od Tarnawicza. Mama go nie lubi. Może się będzie gniewała. Nie powiesz? co?

Mundek obojętnie skinął ręką.

— Nie.

— Dziękuję ci!... Widzisz, ja Tarnawicza bardzo lubię... i nie chciałabym, ażeby mama mi ten kwiatek zabrała!

Spłonęła cała różaną zorzą rumieńca. Odeszła szybko ku żardinierce i dziwi się sama, dlaczego się zaczerwieniła, mówiąc o Tarnawiczu. Lubi go naprawdę, pomimo, że jest brzydki i jeszcze uczniak. Ale coś ma w sobie takiego dobrego, miłego, gdy się uśmiecha trochę smutno i tak Picie jest z nim jakoś swojsko, spokojnie, jakby się znali już bardzo, bardzo dawno.

Rzadko przychodzi do pokoju, bo choć Tuśka właściwie teraz nic nie mówi przeciw niemu—to jakiś ten prąd

nieprzyjazny od niej płynie, i Tarnawicz musi to wyczuwać, bo najczęściej wpadnie do kuchni, gdy Pita się po niej kręci, zapyta o Mundka, pomówi, gdy niema nikogo.

Najczęściej, naturalnie, mówią o Mundku, o przeszłych chwilach, i wtedy Pita czuje dla Tarnawicza ogromną wdzięczność.

— Żeby nie pan, Mundek byłby naprawdę umarł!—mówi, zapominając, że niedawno sądziła, iż bolem Mundka jest to właśnie, że mu umrzeć nie dano.

— Ach, Boże — odpowiada Tarnawicz — ja byłbym w tej chwili prędzej sam zginął, niż jemu pozwolił umrzeć.

Pita chwilkę się zamyśla, a potem nagle mówi, prawie bezwiednie patrząc w głąb źrenic Tarnawicza:

— A dlaczego pan się nie chciał zabić, zamiast Mundka?

Tarnawicz brwi ściągnął i twarz jego blada jakby jeszcze więcej pobladła.

— Bo mnie nie wolno.

— Dlaczego?

— Bo ja mam obowiązki.

— Jakie?

— Mam matkę... chorą, siostry... ojciec daleko rządcuje w majątku u jednego pana... my tu, żeby się kształcić. Ja to wszystko trzymam w garści.

— A... matka pana?

Nastała chwila milczenia.

— Moja matka... chora! — wyrzekł wreszcie chłopak przyciszonym głosem.

— Nie zajmuje się wami?

— Nie. To my się raczej nią zajmować musimy.

Pita słyszała coś już niewyraźnie o tej matce Tarnawicza. Podobno się upija nałogowo. Więc to jest straszne—myśli Pita—nałogowo, kobieta... to grzech, a on mówi, że... chora.

Tylko Pita czuje, że poruszyła tu jakąś straszną tragedyę, jakiś przeogromny ból młodego serca, od dziecięcych lat udręczonego nerwowo i ciężko. Pita wie, że Tarnawicz musi *uśmiechać się* smutnie, bo nie dane mu było nigdy, tak, jak i jej, *roześmiać się* srebrzystym śmiechem wolnych i swobodnych istot.

Chce coś przemówić, jakby jakieś bodaj słowo pociechy, lecz sama doznaje w tej chwili takiego rozpaczliwego smutku, że zdaje się jej, iż są oni wszyscy, i Tarnawicz, i ona—i te inne *dzieci*, pogrążone na dnie jakiejś ciemnicy, w której zatęchłe, grobowe powietrze tłoczy im piersi, serce ściska i odetchnąć nie daje.

Cicho podaje tylko rączkę przytulonemu do ściany Tarnawiczowi...

— To... ja już idę!—odpowiada chłopiec, pośpiesznie chwytając tę wyciągniętą ku niemu bieluchną muszelkę. — I... dobranoc pani, panno Józefo!

— Dobranoc panu!...

Ręce ich rozłączają się. Pita zwraca się ku drzwiom, prowadzącym do pokojów, Tarnawicz stoi jeszcze u progu, przy ścianie, i patrzy na nią.

Ona ten wzrok czuje na sobie, odwraca się ku niemu.

— I... niech się pan nie martwi!—szepce cichutko.

. . . . . .

— Pito — mówi do niej Mundek — czy ojciec powrócił?

— Nie jeszcze, Mundku—odpowiada Pita.

Dziś ważny dzień. Bardzo ważny dzień. Wezwano ojca do gimnazyum. Kto wie, co ztamtąd przyniesie. Wogóle wykolejenie nastąpiło w życiu Żebrowskich. Katastrofa z Mundkiem, a potem Edek, który nie może zupełnie chodzić do szkoły z powodu choroby uszu...

Żebrowski wraca przez kuchnię. Idzie napozór jak zawsze swym sztywnym, mierzonym krokiem drewnianej

lalki. Tylko usta zacisnął silniej, ramiona podniósł bardzie do góry.

Natychmiast zwraca się ku niemu Tuśka:

— I co?...

— *Wypędzony!*

— Ach!...

— I zakaz przyjęcia do innych gimnazyów.

— A!...

Nastaje głucha, ciężka cisza. Żebrowski zsuwa z siebie palto, które Władka natychmiast podnosi. Wszyscy milczą. Na progu salonu zjawia się Mundek. Stoi i wsłuchuje się w tę ciszę. Pojął odrazu i zrozumiał. Na twarzy jego jednak nie odbija się żadne wrażenie.

Snadź nie spodziewał się nic innego nad to „wypędzenie“ zwykłe i natychmiastowe.

Tuśkę ogarnia gorączka.

— Więc co? więc co?—woła nagle—więc co teraz?...

Żebrowski zamyśla się i wreszcie rzuca powoli, jakby nieśmiało:

— Może do szkoły prywatnej?

— Nie mamy na to...—odpowiada twardo Tuśka.

Lecz nagle Mundek odzywa się, nie poruszając się z miejsca:

— Nie, najlepiej będzie, jeżeli ja wyjadę.

Wszyscy zwracają się do niego.

— Gdzie chcesz jechać?—pyta go Tuśka.

— Do Galicyi. Tam skończę i pójdę na uniwersytet.

— My nie mamy na to również.

— To mniejsza. Dam sobie jakoś radę. Nie zginę.

— To niepodobna.

I znów długa, ciężka cisza.

Pita wcisnęła się w kącik za kredensem. Ona patrzy na Mundka i czyta w jego napozór niezmienionych oczach, że w Mundku budzi się pragnienie wydo-

stania się, bądź co bądź, z tej cieśni, w jakiej żył dotychczas.

. . . . . .

I oto zrywa się jedno pisklę do lotu i chce opuścić gniazdo, dokąd mu żer znoszono.

W skrzydła bije, niebaczne, że każde zatrzepotanie roztrąca jakąś część gniazda, tak pracowicie, z takim trudem „na całe życie" budowanego.

— Pójdę ztąd! Puśćcie mnie... Nie chcę już was. Nie umiem się dostosować do waszej rezygnacyi. Zakosztowałem walki... byłem u wyłomu i choć przeżyłem siebie wielkością mojego Czynu, chcę iść dalej, pędzony przeznaczeniem!

Puśćcie mnie!...

Idę ztąd!

Szerokie dźwignięcie się skrzydeł, i oto w gnieździe wyłom, pustka, jakby wyniesiono trumnę.

Pyszny, wyniosły ptak waży się w błękicie, nie patrząc po za siebie.

— Pędzony przeznaczeniem, muszę biedz!...

Puśćcie mnie!

. . . . . .

Taką chwilę obecnie przeżywają na ulicy Wareckiej. Wszyscy czują, że stanie się tak, jak chce Mundek. Wszyscy wiedzą, że on odejdzie tak, jak to zapowiedział, pomimo, iż będą protestowali.

— Nie mogę żyć w tych warunkach! — rozlega się znów głos Mundka—nie mógłbym pracować. Tam niema ucisku... Puśćcie mnie!...

Żebrowski stoi, jak skamieniały. Trzyma ciągle kapelusz w ręku i patrzy w ziemię. Zdaje mu się, że to jakaś cząstka jego samego odrywa się od niego powoli i niknie w przestrzeni.

W kącie na sofie siedzi skulony Edek. Nie słyszy dobrze, co mówią, lecz dorozumiewa się. Na twarz Tuśki wystąpiły dwie ciemne plamy.

— Boże mój! Boże!...—mówi wreszcie i wybiega do swego pokoju.

Mundek odwraca się i również niknie w głębi salonu. Żebrowski odkłada kapelusz i wolno przysuwa się do okna. Opiera czoło o szybę i pozostaje tak w swej zwykłej nieruchomości, gdy coś bardzo ciężkiego na niego spada.

Z sypialni dolatują łkania Tuśki.

Z kuchni słychać łomot tasaka o stolnicę. Przygotowuje się żer, strawa codzienna. A tu taka walka ciężka dusz, które obijają się o siebie, lękając się zrozumieć konieczność swego przeznaczenia.

— Niech on jedzie—myśli Pita — niech on jedzie... Niech!... On będzie tam szczęśliwszy.

I nagle coś załkało w niej:

— Choć on! choć on!...

II.

Łzy ciężkie, gorące płyną z oczu Pity.

Klęczy przed niewielkim kuferkiem Mundka, który spakowała już cały, układając starannie drobiazgi, które mu na drogę przeznaczono.

Kosz z większemi pakunkami wysłano przez dom ekspedycyjny. Mundek nie interesował się tem wcale.

— Po co to wszystko?—powiedział raz do matki, widząc, że układa pościel do kosza.—Czy można wiedzieć, co ze mną będzie?

Lecz od chwili, gdy wyjazd jego postanowiono, ożywił się nagle. Być może, iż było to podniecenie sztuczne, nerwowe, lecz było. Ze łzami w oczach śledzi brata Pita. Widząc go pełnego pragnienia, aby jechać jaknajprędzej, nie może pojąć, jak mało żył on z nimi w tych ścianach, jak lekko odrywa się od tego, co było *jego* mimo wszystko.

I zdaje się jej, że dopiero teraz poznała, jakie nici wiążą ją z tym bratem, który przechodził mimo niej wyniosły i obojętny. W serduszku jej tworzy się bolesna rana, próżnia, której już nic zapełnić nie zdoła.

Dlatego w to południe wiosenne Pita, klęcząc przed kuferkiem Mundka, cicho płacze.

Zajęta jest obecnie układaniem w małem pudełeczku szpilek, igieł, nici—drobiazgów kobiecych.

— Dam mu to do kuferka — myśli. — Może mu się przydać nieraz.

Ogląda się, pragnie coś jeszcze wziąć z tego *„domu"*, aby mu przypominało ich wszystkich.

— Dałabym mu Jezuska! — myśli. — Ale co? on nie wierzy... on mnie wyśmieje.

Mundek jedzie dziś wieczorem do Krakowa. Żebrowski się zapożyczył i daje mu na drogę i pierwsze wydatki. Przygotowano kurczę, trochę szynki, bułeczki. To wszystko Władka zawinęła w czysty papier, owiązała sznurkiem.

— Trzeba mu to włożyć do wagonu;—mówi Tuśka—inaczej on nie weźmie.

Wszyscy mają jakiś niezrozumiały lęk przed Mundkiem, lęk, który im jakby ciężył niewyraźnie, jakby im ból sprawiał.

Wszyscy, z wyjątkiem Pity. Ona nie lęka się Mundka, ona ma dla niego bezgraniczne uwielbienie.

I teraz, gdy stoi tak przy oknie, łzy jej padają gradem po twarzy i to uwielbienie wzrasta do takiego ogromu, iż opisać go nie jest w stanie.

— Musi jechać, musi do tej Galicyi... — myśli — *on, taki on*, musi... przecież to straszne, że człowiek nie może żyć tam, gdzie chce. Ptak, motyl ma wolę. A on, *taki on*...

I znów łzy i łzy.

Nagle do pokoju wchodzi Mundek.

Ubrany po cywilnemu, zmienił się zupełnie. Wydaje się smuklejszy i drobniejszy. Na twarzy znać bliznę i pewne skrzywienie. Ale wyraz ust, oczu dojrzał, zmężniał znacznie. Jest w nim jakieś gorączkowe podniecenie i zainteresowanie się, które wyrugowało poprzednią apatyę. Mimo to jednak, to „przeżycie" siebie wlecze się za nim ciągle, jak piętno już niczem niestarte.

Szybko wkłada do walizki jakieś notatki, świstki, papiery, poczem zwraca się do Pity.

— Józiu!—mówi, dotykając z lekka jej ramienia.

I on teraz tak, jak Tarnawicz, nazywa Pitę: „Józią".

— Józiu!

Pita śpiesznie ociera oczy. Nie chce, aby Mundek widział, że ona płacze. Ale on na to nie zwraca uwagi.

— Słuchaj!—mówi do niej, skandując każde słowo—słuchaj, co ci powiem.

Pita podnosi na niego swe cudne, błękitne oczy.

— Słucham cię, Mundku.

— Jesteś dobra dziewczyna. Przekonałem się. Szkoda, że się zmarnowałaś głupiem wychowaniem. Skoro jednak dorośniesz już zupełnie, postaraj się to naprawić. Może ci się uda. Zresztą, nie o tem chciałem mówić, bo to jest twoja rzecz. Tu chodzi o Tarnawicza. Wiesz, że mama go ciągle nie lubi. Otóż teraz, kiedy on ma dawać lekcye Edkowi i będzie tu codzień przychodził, może go spotkać niejedno... Więc ty pamiętaj, żebyś starała się ustrzedz go od takich drobiazgów... pamiętaj!

Na twarzyczkę Pity wykwitły rumieńce.

— Dobrze!—odpowiada cichutko.

— Pomiędzy mamą a nim, wiesz... potrafisz. On jest dumny, a mama potrafi dojechać, więc ty... bo jeżeli on nie zechce uczyć Edka, to będzie ciężko, a potem jemu to dopomoże. Rozumiesz?

— Tak, tak.

— No, więc ułożone. Jakby się coś stało, w tej chwili do mnie pisz. W tej chwili!

Odwrócił się i znów zaczął układać papiery. Pita z wielkiej radości, że powierzył jej jakąś misyę do spełnienia, zaczęła się sama do siebie uśmiechać.

Wyszła z saloniku i weszła do kuchni. Ponieważ Marcysi najczęściej po południu w kuchni nie było, Pita mogła na chwilę choćby tam pozostać sama i zebrać myśli.

I znów stanęła przy wodociągu. Niby wodę pije, ale właściwie patrzy w otwarte okno, w skrawek błękitny nieba i myśli, jak to ona wypełni zlecenie brata, jak to będzie „pomiędzy mamą, pomiędzy Tarnawiczem...“

— Będzie może ciężko—przesuwa się jej przez główkę. — Mundek miał tyle do wywalczenia, zanim otrzymał to, że Tarnawicz będzie przygotowywał Edka, który z powodu swoich uszu nie może jeszcze chodzić do gimnazyum. Ale zrobię to, co Mundek prosi; ja nawet bym to zrobiła bez jego prośby.

Jakieś kroki na schodach. Pita spogląda w otwarte drzwi. Idzie Ketling-rządca.

Kłania się jej; ona kurczowo zaciska rękę na kranie wodociągowym.

Poszedł.

Nie zapomniała o nim. Kocha się w nim, jak dawniej, tylko tyle się nagromadza faktów w jej życiu, że poprostu niema czasu często wmyślać się, jak przedtem, w stan swego serca. Gdy tak zobaczy go nagle, czuje jakby wyrzut, iż zaniedbała go, że nie modli się tak do tej swojej udręki, jak wtedy, gdy omdlewała z grozy przed naleceniem na nią nieznanej jej potęgi.

— Nie mam teraz czasu — usprawiedliwia się sama przed sobą — tyle się teraz u nas dzieje. Wszystko przemyśleć muszę.

Teraz dodaje:

— Jak Mundek wyjedzie, zacznę się znów kochać po dawnemu.

I dziw.

Doznaje na tę myśl tylko przykrości. Niema tej słodyczy bolesnej, jakiej doznawała dawniej, a która wykwitła, jak róża polna wśród cierni.

Naturalnie — skoro Pita jest w kuchni, jak wywołany czarodziejską różdżką, zjawia się często Tarnawicz.

Ktoś podejrzliwy mógłby Bóg wie co przypuszczać, ale tak nie jest. Ot... zwyczajnie, mieszka piętro wyżej, jedne ma schody, więc często po nich biega. Pita tak myśli i zawsze rada jest, gdy ta, trochę krępa, postać uczniaka zjawi się we drzwiach.

Dziś zwłaszcza pragnęła bardzo z nim widzieć się jeszcze przed odjazdem Mundka. Chodzi bowiem o ważną kwestyę. Cała klasa dawnych kolegów Mundka chciała odprowadzić odjeżdżającego na kolej. Naturalnie, miała to być dla Mundka niespodzianka. Urządzał tę owacyę pożegnalną Tarnawicz. Picie aż serce biło z radości na myśl o tem.

— Będzie to ślicznie — myślała — i zasłużenie. Dla nich chciał umrzeć, a więc oni mu winni taką radość. Bo choć Mundek uda, że go to tak bardzo nie cieszyło, to przecież będzie rad...

Więc gdy Tarnawicz zjawia się we drzwiach kuchennych, spocony i zgrzany, Pita porywa się ku niemu:

— No... cóż? będziecie? wszyscy? Tylko pamiętajcie się nie spóźnić...

Lecz Tarnawicz jest jakiś zmieszany. Gryzie wargi, pociąga pasek od bluzki.

— Bo... bo...—mówi cicho.

— ?...
— Nie wiem, jak mam to pani powiedzieć.
— ?...
— Oni...
— No co? oni...
— Oni *nie przyjdą*.

Pita otworzyła szeroko oczy:

— Dlaczego?
— Bo to grozi, grozi...
— No, no...
— Wydaleniem!

Na Pitę uderzają ponsy.

— A!...—mówi z uniesieniem — to tak? a Mundek to mógł dla was chcieć życie poświęcić, a oni, a oni...

Tarnawicz oczy w ziemię wbił.

— Panno Józefo, nie można tak bezwzględnie. Oni chcieli, ale po dłuższej naradzie... poddali się pod głosowanie. To grozi... *wilczym biletem* dla każdego.

— Och!... wielka rzecz. Mundek ma przecież także wilczy bilet i to przez nich.

— Tak. Ale Mundek ma rodziców, którzy mają za co go wysłać do Krakowa, a my wszyscy...

Z oczu Pity aż strzeliły dwa płomyki.

— To i pan?

Znów milczenie.

Pita brwi ściąga, prostuje się i odwraca.

— Ha... skoro tak...

— Panno Józefo! jeżeli mnie wypędzą, co ja zrobię? Tak ciężko. Panno Józefo! proszę to zrozumieć...

— Nie. To wszystko dla mnie niepojęte. Bardzo dobrze Mundek robi, że wyjeżdża. Co miałby między wami robić! Żegnam.

— Panno Józefo!...
— Ach! proszę mnie zostawić.

Pita wchodzi do pokoju, wzburzona do żywego. Jej

nerwowa, wrażliwa natura nie może pojąć postąpienia „tej klasy"...

— Powinni nie dbać o nic, powinni się poświęcić — myśli.

I Tarnawicz w jednej chwili traci w jej romantycznej wyobraźni cały urok.

— Tchórz!—myśli — tchórz!... Gdybym była na jego miejscu, nie ustąpiłabym. Wypędziliby... wielka afera. Zostałby rzemieślnikiem, albo czem. A tak!...

Wzrusza ramionami. Tuśka obserwuje ją zdaleka.

— Pita! co ty wyprawiasz?

Edek śmieje się cicho:

— Sama z sobą rozmawia, proszę mamy.

A panna Władka dodaje od maszyny:

— To bardzo zła nawyczka.

W oczach Pity gasną płomyki, lecz zbiegają się na dnie serca.

— Tchórze! tchórze!—myśli, zabierając się do nakrywania do podwieczorku.

. . . . . .

Brzydki, brudny dworzec. Ubogi, wiecznie zbłocony i oślizgły.

Już pociąg stoi na szynach. Przed wagonem trzeciej klasy stoją Żebrowscy, Pita, Edek otulony szalem i Mundek trochę blady w zgniłem świetle latarni.

Blady również jest i Żebrowski, natomiast Tuśka ma gorączkowe wypieki na twarzy.

Bo oto odrywa się z ich gniazda to *najpierwsze* i gotuje się do lotu.

Gotuje się młode, wątłe jeszcze, jako wygnaniec, i to jest najboleśniejsze.

Nietylko iść w świat chce, ale i musi.

Pita patrzy na brata, jak w tęczę i błękit jej oczu zachodzi łzami.

Boli ją nietylko rozstanie z kimś, kto przeżył obok

niej lata całe, ale ból jej jest większy, silniejszy, niż codzienna przyczyna dać może.

To poczucie zawisłości, te jakieś ręce wyciągnięte w przestrzeni, ręce, które gniotą, układają, wytrącają — są teraz przed Pitą groźne, żyjące, straszne.

To, co było jakby *historyą*, to co pozostawało raczej za bramą ulicy Waręckiej, to co było *dla niej* jakby legendą, teraz spadło na nich, na tę garstkę, stojącą w noc błotnistą u stóp wagonu, do którego schodków uczepiony, bieli się bladą twarzą Mundek.

Tu i owdzie słychać cichy brzęk ostróg. Pita mimowoli drży.

Tak, tak, poczucie zawisłości!...

Pomiędzy Żebrowskimi milczenie. Wszyscy patrzą w Mundka, wszyscy wyzbyli się w tej chwili drobiazgów i małości swych dusz. Wyszlachetnieli na ten moment, tak ich ten rozpaczliwy smutek rozstania wzniósł wysoko.

— Odjeżdża!...—myślą wszyscy.

Zostanie puste miejsce.

Jakby wyrwany szmat tego gniazda.

I o tę pustkę obijać się będą już zawsze ich dusze, okaleczale wspomnieniem.

. . . . . .

Krótkie, gniewliwe gwizdki lokomotywy.

Jakaś gromadka żydów pędzi, roztrąca, krzyczy. Wpadają na Edka, on im się usuwa. Zapomniał, że jest zdecydowanym antysemitą. Skulone pięście przycisnął do piersi i patrzy w brata.

Łańcuchy chroboczą. Jakiś człowiek z kagankiem przelatuje wzdłuż wagonów. Stuk jego młotka przypomina stukot zbijanej trumny. Pita odwraca się na chwilę, aby otrzeć łzy. Pod murem, koło ławki, na której zwalono jakieś posyłki, coś się czerni drobnego, skulonego. Pita wytęża wzrok. Latarnia drży na wietrze. Blask jej pełza to po asfalcie peronu, to po murze. Pita wytęża wzrok. Drobna

postać skulona stoi nieruchoma. Żółte światło przepełzło, drżąc, po tej postaci.

To Tarnawicz.

Stoi sam jeden.

Przyszedł.

Nie lękał się *wilczego biletu*, przyszedł choć zdaleka pożegnać Mundka.

Wielką delikatnością wiedziony, nie zbliża się. Czuje instynktownie, iż u stóp tego wagonu powinni stać tylko swoi.

Lecz jest.

I Pita doznaje wielkiej radości w swym smutku.

Od chwili, gdy wzgardziła tymi, „którzy się boją," pełna była jakiegoś zniechęcenia i coś jakby zaciążyło jej na sercu. Tłumaczyła sobie, iż to przekonanie, że ci „wszyscy" źle się odwdzięczyli Mundkowi za jego czyn bohaterski, wprowadza ją w taki stan zniechęcenia. Lecz oto zjawił się Tarnawicz sam, a ona czuje, że ciężar jej z serca spadł, że jasno jest i że stało się to, co być powinno.

Znów gwizd, chrobot łańcuchów, wagony zakołysały się. Mundek pobladł jeszcze więcej, pochylił się ku swoim, wyciągnął rękę. Oni instynktownie tulą się ku sobie. Taka zbita, drobna gromadka.

I to dziecko pobladłe.

To dziecko gnane w świat.

Odbiega, odbiega, jakby na skrzydłach.

Koło Żebrowskich pomknął ktoś.

— *Izwinitie!*...—mówi grzecznie.

Poszedł dalej.

W szczęku łańcuchów pociągu, kraje powietrze subtelny brzęk ostróg.

I to dziecko gnane w świat!

Jakby sen, ta jego blada twarz, naznaczona blizną *Czynu*, i jego wzniosły, krystaliczny Duch.

A tu takie grzeczne „*izwinitie*"...

I mus—mus...

Pociąg pędzi, maleje, ginie.

Już zapadł w przestrzeń, znaczoną światełkami zielonych i czerwonych latarenek na linii.

Po nim jakby jeszcze jęczał jakiś głos.

. . . . . .

Gromadka chwilę stoi jeszcze na peronie. Patrzą. Łzy im zasłoniły świat mgłą.

— Chodźmy!—mówi wreszcie Żebrowski.

Na peronie pustka zupełna. W oddali jacyś tragarze się kłócą. Żebrowscy idą wolno ku wyjściu. Są smutni, znękani, przybici.

W uszach mają jęk, który włóczy się jeszcze po szynach, w oczach mają bladą twarz dziecka gnanego w świat, w sercu mają rozpacz i ból.

Wielki ból!...

III.

Urywek z dzienniczka Pity.

(Pita od kilku dni pisze pokryjomu dzienniczek. Takie tu krótkie, urywane zapiski, bo Pita niema kiedy i gdzie pisać swego dzienniczka. Ale Pita *musi* choć przez kilka dni pisać coś w tym rodzaju, bo jest to tak przywiązane do programu życia dorastających dziewcząt, że inaczej być nie może. Tembardziej, że na Pitę spadł grom i że ona musi wypowiedzieć choć troszeczkę, co ją boli i dręczy.

A dręczy ją bardzo.

Ot tak.—).

14 kwietnia.

Doprawdy, to przecież straszne. To są rzeczy nie do uwierzenia. Wstyd mi napisać. Ale muszę. Dzienniczek powinien być prawdziwy, bo inaczej nic nie będzie wart. Gdy

będę stara, to będę co pewien czas dzienniczek czytać. Mój Boże! będę starą panną. To będzie smutne. Nie pójdę za mąż. Nie. Wszystko się dla mnie skończyło. Ach! jakie to okropne. Jakie to okropne!... I zaczynam dzienniczek od takiego wypadku. Jest różowy, morowy, choć myślałam kupić niebieski, atłasowy. Ale myślałam, że będę pisała o... więc różowy. Tymczasem co? Owinę okładkę w *Kuryer*. Niech mi w oczy nie lezie. Jutro opiszę to, co się stało, bo dziś nie mam czasu i tylko okruszynę nafty w lampce. A potem, zdaje mi się, że mamcia nie śpi.

15 kwietnia.

Długo w nocy płakałam. Dziś rano powinnam mieć oczy czerwone, ale wcale nie, tylko się dziwnie świecą. Władka mówiła, że dla kobiety łzy, to jak rosa dla kwiatu. Już ja wolałabym nie płakać... A teraz, to ciągle mi się chce płakać. Tylko z tem się kryję. A już co przez to, co się stało, to płakałabym dzień i noc. Tak mi się wszystko wyczuło. Z początku to było dla mnie bardzo ciężko żyć z tą mił....., ale później się przyzwyczaiłam. A teraz, kiedy przecież nie mogę się już w N.. koch.., to mi tak jest, jakby mi ktoś coś wydarł, co było zupełnie moje i strasznie drogie. Nie wiem, czy mi było nawet tak smutno, kiedy Mundek odjechał. Boże mój! Co ja piszę! przecież to brat, a to zupełnie coś innego. A może to Pan Bóg mnie karze! Tak, pewnie, pewnie. Już dziś nie opiszę tego, co się stało. Jutro. Ale jeżeli to kara Boska...

16 kwietnia.

Nie mogłam pisać, bo było u nas trochę zamieszania. Edek zjadł przekładańca, który został ze świąt, a już skisł, więc Edek zachorował i była z tego awantura, bo on krzyczał, że umiera, a nie chciał się przyznać, z czego. Dopiero Władka wynalazła resztki placka u niego za sofką. Mój Boże! ja wolałabym zachorować i umrzeć. Tylko ja

to tak cichutko, ażeby nikt nie wiedział, dopiero, jakbym już leżała martwa, to wtedy niechby się dowiedzieli. Chyba już wtedy nie martwiłabym się tak, jak teraz się muszę martwić. Od dwóch dni myślę, czyby nie powiedzieć rodzicom, żeby mnie kierowali na zakonnicę. Tylko zdaje mi się, że i na zakonnicę trzeba mieć posag, a przynajmniej na jakąś wyprawę. Więc mieliby znów kłopot, a tu wszystko podrożało, i mięso, i mleko, i teraz Tarnawicz kosztuje. Taką mam biedę z sobą! Nie wiem sama, co począć! Zdaje mi się chwilami, że kiedy przestałam się k....., to od tej pory i słońce mniej świeci, i wszystko takie smutne. A na dworze jest nawet pogoda. I Marcysia przyniosła bukiecik sasanek w piątek, jak kupowała twarożek i śmietanę. Wstawiłam sasanki w wodę, ale przedtem je ucałowałam. Pachniały ziemią tak ślicznie. I zaraz mi się płakać zachciało, i łzy mi zaczęły gradem lecieć. Znów pomyślałam o tem, co się stało i o tem, że dobrze byłoby (a może: by było, nie wiem, ale nie chcę przekreślać) gdyby nie było żadnych zmartwień. Bo, jak jestem zmartwiona to zaraz jestem gorsza dla drugich i tak zupełnie, jakby, zamiast serca, był we mnie kamień. A jak mi dobrze, to ostatnią koszulę bym oddała i wszystko bym zrobiła, żeby dobrze innym było i żeby wszyscy byli szczęśliwi.

Przeczytałam ten ostatni ustęp. Tak brzydko jakoś złożony. Ciągle *by*. Ale nie poprawię. A potem czytałam jakąś powieść, takiego znanego pisarza i tam także tak ciągle było „by." Więc to może tak można, a przecież mój dzienniczek nie do druku.

19 kwietnia.

Otworzyli okna, kit obleciał. Edek i ja obskrobywaliśmy z ram, aby rząd.. nie widział. Właśnie szedł przez dziedziniec. Nie spojrzałam. Tylko Edek krzyczał: „Twój ideał!..." i zadziwił się, że ja się nie zarumieniłam. Pocóż się mam czerwienić, kiedy się już nie k.....?

20 kwietnia.

Miałam dziś z Tarnawiczem seryo rozmowę. Skończył lekcyę z Edkiem i już wychodził przez jadalny. Ja robiłam szydełkiem przy oknie. Mamci nie było, tylko Władka, ale ona poszła do Marcysi. Więc Tarnawicz mnie się pytał, dlaczego ja taka smutna? Powiedziałam mu, że to z tęsknoty za Mundkiem i zaraz się ogromnie przed sobą zawstydziłam, bo to było po części kłamstwo. Ale on uwierzył, bo on nie jest przewrotny i musi być bardzo poczciwy. I zaczął mówić, że Mundek, to wielka dusza i że on dużo dla kraju i dla społeczeństwa zrobi. Aż mi tchu w piersi zabrakło, jakem tak te słowa posłyszała, bo czytam to często, ale tak się o tem nie mówi. I Tarnawicz to mówił tak, jakby nie był uczniak, ale już stary człowiek. Ja zaraz mu chciałam powiedzieć to, co Mundek mi mówił na wyjezdnem, że radzi mi, ażebym się zmieniła i była także inna. Tylko nie wiedziałam, jak to gładko powiedzieć, a Tarnawicz mi się wydał bardzo seryo i bardzo poważny. Więc tylko tak pomyślałam sobie, że: byłoby dobrze, gdyby to można powiedzieć, że ja przecież tak samo czuję, jak Mundek i jestem do tego samego może nawet zdolna. Tarnawicz patrzył na moją robotę, a mnie czegoś było wstyd, że ja te głupie gwiazdki robię wtedy, gdy on czemś mądrzejszem ma myśl zajętą. I mimowoli odłożyłam szydełko. W oczach Tarnawicza to można dużo czytać, prawie to, co on myśli. Mundek to patrzył, ale nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi, a Tarnawicz, to jakby miał swoje myśli wypisane. Ale on jest bardzo smutny i ja pomyślałam, że teraz wypada, ażebym ja się spytała, dlaczego on się nigdy także nie uśmiecha. I spytałam się. A on się zdziwił, i powiada: „Dlaczego ja mam się śmiać? Czy mnie to dobrze na świecie? Tyle już doznałem złego, a potem, my to już nie do śmiania. My takie smutne pokolenie..." On to bardzo ładnie i tak rzewnie powiedział, a potem dodał: „Nikt z nas młodych nie umie się śmiać, prawda? pani się także nie śmieje!"

Prawda. Ale to smutno jest być tak ciągle smutną. Może później kiedy będzie weselej. Ale Tarnawicz mówił, że to jest smutek *beznadziejny* i że to już będzie tak ciągle i jeszcze gorzej.

Dalej mówił, że my jesteśmy „tragicznym narodem"... Jak się zastanowię, to on ma racyę.

Jeszcze mi ciężej po takiej z nim rozmowie, a przecież bardzo pragnę, aby z nim mówić. Tylko to bardzo rzadko się nam udaje, bo ciągle jest ktoś. A to są przecież takie rzeczy, o których można mówić tylko we dwoje.

25 kwietnia.

Nie mogę jakoś zdobyć się, aby napisać to, co mi się wydarzyło i dlaczego się przestałam ko.... Nawet teraz, odkąd Tarnawicz tak to ślicznie powiedział o tym „tragicznym narodzie," to już wydaje mi się nie takie okropne i nie takie straszne. Bo to są przecież *moje* własne, drobne sprawy. I tak mi się zdaje, że to się wszystko w jakimś kojcu działo, w tym dziedzińcu, po za zamkniętą bramą. Więc to chyba nie jest takie znów ogromne zmartwienie. A ta tragiczność moja niby, jako kogoś, który przecież jest także z narodu tragicznego, jest większa jakaś i prawdziwie smutna. Uczuwam z tego powodu ulgę i pewne zadowolenie, że mogłam to zrozumieć. Bo mi wstyd było przed samą sobą martwić się o to, co się stało.

27 kwietnia.

Naprawdę, im więcej nad tem wszystkiem myślę, tem ta sprawa z Ket..... wydaje mi się coraz brzydsza i zaczyna mnie przejmować wstrętem. Za karę, że się w takim koch...., muszę napisać, jak było.

Otóż tak: W kuchni zrobił się krzyk. Mamci nie było. Panna Władka leci do kuchni patrzeć, co takiego. Ja za nią. Edek za mną. A tu we drzwiach od sieni stoi Marcysia, trzyma się pod boki, cała czerwona, i wrzeszczy:

— A to ci się rozbija... widzisz go!

A przez drzwi otwarte widać Jego. Stoi w palcie, zacisnął pięść i Marcysi grozi:

— Milcz, dyablico, psi. kr.....—Musiałam to napisać. Ale on tak powiedział!!! A ona:

— Ja zatkałam zlew? ja?

— Ty!

— Widzicie go? tyka mnie... o!... książę, co psy wiąże.

A on na to, jak się rozwrzeszczy:

— A ty taka, a owaka, a flon..., a jeszcze inaczej i zamierza się. Ona mu się podsuwa, a on: „Odejdź, bo cię lunę!..."

Już więcej pisać nawet nie będę, co było, bo to strasznie ordynarne, trywialne. A taki się wydawał dystyngowany, tak ślicznie chodził, tak się kołysał, jak jaka sosna, bo smukły i wysoki. Ręczę, że Krzychna także nie chciałaby Ketlinga, gdyby on mówił: „flon..." i „psia kr..." Okropnie mi wstyd było przed Edkiem, bo on aż piszczał z radości, bo widział, że ja się wstydzę.

Ach Boże! co to kobieta z sercem musi przejść. Ale teraz powiedziałam sobie, że już nigdy się nie zak..... Będę się modliła i Pan Bóg mi dopomoże.

1 maja.

Byłam z mamcią na majowem nabożeństwie. Tak cudownie, cały ołtarz kwiatami ubrany u św. Aleksandra. W kwiatach Matka Boska. Miałam złą chwilę. Wstydziłam się śpiewać litanię razem ze wszystkiemi, tak, jak to robiłam, gdy byłam mała. Ale się przemogłam i śpiewałam. Tak pachniało od kwiatów, dzwoneczki brzęczały, i tak wysoko Matka Boska taka śliczna, z rękoma rozpostartemi. Jak zaczęli śpiewać: „Zdrowaś Marya," przypomniały mi się nagle słowa Tarnawicza, że my jesteśmy *tragicznym narodem*. I kiedy się obejrzałam, a tak ten cały tłum klęczy i smutno śpiewa, choć tam i Maj, i słońce—to widzę, że on ma racyę. I sama wtuliłam się jakoś we wszystkich, a oni mnie ogarniali, jakby rzeka, wyciągali po mnie

ręce. Choć mi byli nieznani, ale ja ich znałam. I zaczęłam razem z nimi śpiewać i modlić się za wszystkich. Tak mi było, jakby się nagle we mnie serce rozwarło i chciało dobra nietylko dla siebie, ale i dla tych wszystkich, którzy w Matkę Boską patrzyli. A nawet i za takich, którzy nie wierzą. Bo choćby Mundek, choćby Tarnawicz — zresztą wszyscy chłopcy, a może i starsi panowie. Oni wszyscy nie wierzą teraz. Są podobno i takie kobiety. Ale to nic. Ja i dla nich oddałabym chętnie dużo, ażeby byli szczęśliwi.

4 maja.

Muszę powiedzieć jakoś Tarnawiczowi, ażeby sobie lepiej czyścił paznogcie, bo mamcia, aż się wstrząsa z obrzydzenia, gdy o nim mówi. Tylko, jak tu powiedzieć? On jest przecież bardzo biedny i może niema szczoteczki nawet. A przecież chciałabym, ażeby go nic złego u nas nie spotkało. Mamcia mówiła: „Mógłby zostać na herbacie, ale ma takie brudne paznogcie...“ Pewnie, że to nie ładnie, ale ja nie wiem dlaczego mnie to u niego nie razi. To dziwne.

8 maja.

Tak się wcześnie tego roku wszystko rozwinęło! Ogromny bukiet bzu stoi na stole. Boże! jaki cudny zapach, aż w głowie się kręci. Władka szukała w każdej gałązce „szczęścia.“ Na to nadszedł tatko. Ona wzięła taki kwiatek ze „szczęściem“ i podała tatce. Mówi: „Dla pana dobrodzieja ode mnie szczęście...“ Tatko wziął i ogromnie był jakiś nieswój. Zdaje mi się, jakby się zaczerwienił, tylko, że to u tatki nie widać, bo jest bardzo blady, a nawet żółty. Nawet jej nie podziękował. A ona się ciągle śmiała tak nieprzyjemnie. Ona się teraz tak do tatki śmieje. Może chce tatkę rozweselić, bo tatko bardzo jakiś wygląda nieswój i niespokojny. Może się tatko martwi o te pieniądze, które musiał na wyjazd Mundka wydać? Pewnie. A tu wiosna i trzeba znów nowy kostium dla mamci i dla

mnie, bo już panie chodzą „do figury.“ A mamci kostium fioletowy wyszedł z mody, bo w tym roku nie fiolet, ale śliwkowy modny. Więc mamcia się martwi i przeze mnie także, bo trzeba dla mnie nowy granatowy. Zeszłoroczny na nic, a że to fason angielski, więc nadsztukować nie można. Mamcia weźmie na rozpłaty i Władka będzie znów miała co robić. Choć chwilami, to wolałabym nie mieć kostiumu i żeby ona sobie już od nas poszła. Nie wiem czemu, ale wolałabym. A gdy ona jest, to znów jestem dla niej grzeczna i dobra. I nie mogę tego zrozumieć, taka jestem fałszywa. Czy to tak będzie i dalej? Może, jak będę tylko od siebie zależna, to będę mogła być niegrzeczna dla tych, których nie lubię? A może nie. Moja mama kogo nie cierpi—a uśmiecha się. Raz mówiła mamcia, że to jest „polityka.“ To przecież smutno, że to *prawdziwie* żyć nie można, tylko zawsze tak coś, jakby bokiem się obchodziło. To bardzo smutno.

10 maja.

Strach, jak lubię mówić z Tarnawiczem. Jak tylko siebie dopadniemy, zaraz rozmawiamy. Ośmielam się powiedzieć mu i to i owo. On mię wysłucha i czasem, choć mi się zdaje, że to coś bardzo głupiego, co powiedziałam, to on w tem jakiś sens wynajdzie. I to jest dziwne, że on ten sens znajdzie, ten właśnie, który mam bardzo głęboko w myśli ukryty i z którego ja nawet sobie sprawy nie umiałam zdać dotychczas. On mówi: „Panna Józia pewnie to i to myślała.“ I rzeczywiście. Jakby kto przede mną wstążkę rozwinął, a na tej wstążce napisane były zupełnie jasno moje tajne myśli. I tak sobie rozmyślam, że gdyby ktoś ze mną dawniej tak rozmawiał, to byłoby lepiej dla mnie. A może nie. Czy ja wiem?...

11 maja.

Wczoraj była u mnie z wizytą Jaśka. Dawno już jej nie widziałam i nawet byłam rada, że jej nie widzę. Ona

ciągle szydzi, strasznie zarozumiała i udaje dorosłą. Jej matka zupełnie u niej pod pantoflem. Jak nie chciała Jaśka chodzić na komplet literatury, to ją zaraz odebrała. A jak jej się zachciało kompletu historyi w domu, to matka zaraz jej złożyła, choć narażała się tem bardzo, gdyby ich byli *nakryli*. Ale to wszystko tak ot, bo Jaśka się nic porządnie nie uczy, tylko udaje. Wczoraj mówiła mi, że jest teraz bardzo ciekawy proces, opisany w pismach codziennych, jak jedną jakąś zabili gdzieś zagranicą i że tam są nieprz..... rzeczy opisane. Mówiła, że ona nie lubi czytać fejletonów, bo to nudne, ale że w wiadomościach *Ze świata* to są dopiero dobre historye. Ja jej powiedziałam, że ja tego nie czytam, bo jak się teraz oczytam, to, gdy dorosnę, zupełnie nie będę miała nic ciekawego. A ona mi powiedziała, że widzi, iż nigdy nie zmądrzeję. Czesze się teraz z podkładką i ma taki abażur na głowie i wpina w niego kokardki. Powiada, że ma rom..., ale ja ją zagadałam, bo nie chcę słuchać o takich rzeczach. Zaraz mnie uszy palą, i tak mi jakoś dziwnie. Potem zrobiła mi przykrość. Właśnie Tarnawicz skończył lekcyę i przechodził przez jadalnię. Ukłonił się. Prawda, że on jest bardzo niezgrabny i tłucze nogami o podłogę — i tak, jakby garbaty, bo mu bluzka zawsze na plecach się odyma. Ale Jaśka wybuchnęła takim nieprzyzwoitym śmiechem, że ja aż się zaczerwieniłam. A gdy on już drzwi za sobą zamknął, to ona, widząc, że jestem czerwona, zaczęła ze mnie drwić. „Może to twój ideał, co? Flirtujesz z nim?“ A ja bardzo podle postąpiłam! Nie wiem, co mi się stało, ale *wyparłam się go*. Powiedziałam: „Co znowu? Ja z nim nawet nie gadam!“ I gdy to powiedziałam, to mnie ogarnęła straszna rozpacz, jakbym nagle znalazła się sama na jakiemś pustkowiu. Ale już powiedziałam! Jakie to brzydkie z mojej strony... Cały dzień nie mogłam sobie miejsca znaleźć i tak sobą pogardzałam. A to dziwne, że ja to pierwej powiedziałam, niż pomyślałam.

12 maja.

Przeczytałam to, co wczoraj napisałam. I naprawdę tak jest. Często, jak się już coś powiedziało, to człowiek sam to słucha i dziwi się. Jakby ktoś obcy zupełnie powiedział. Dopiero później przychodzi myśl. A co najdziwniejsza, to jest to, że zwykle takie powiedzenia są złe, są takie, za które się wstydzić trzeba. Te dobre to ciężej się z nas wydobywają. Mnie to zastanawia. A może to bardzo naturalne. Nie wiem.

14 maja.

Byłam wczoraj z rodzicami w teatrze, w krzesłach. Mama była bardzo ładna, i lornetowali na mamę. Byłam kontenta, bo mama jest wtedy w dobrym humorze. Sztuka była bardzo rom..... i mamcia mówiła do tatki, że to nie dla panien, i że szkoda, iż mnie wzięli. Ale nie wiem dlaczego, bo mnie to wszystko jedno. Ja wiem, że to nie jest tak naprawdę, więc co mnie to obchodzi? A panienek było pełniutko. Wszędzie siedziały, biało przeważnie ubrane, i bardzo się śmiały razem ze wszystkimi. Ja się także śmiałam, żeby nie wyglądało, że się czegoś dąsam, ale się wcale nie bawiłam. Myślałam o innych rzeczach, jakichś smutnych. I tak jakoś mi było...

15 maja.

Tak dużo wczoraj się nasłuchałam na scenie o koch.... Ciągle mówili: „Koch..,“ a to znów: „Czy mnie koch...?“ A Tecia Trapszo była bardzo milutka za panienkę w białej sukni i wołała do Śliwickiego: „Koch... cię i jestem szczęśliwa.“—To wszystko jest kłamstwo. Ja wiem, że to ogromne nieszczęście i męczarnia. A potem tak przykro i czegoś wstyd, że się było głupią.

17 maja.

Tarnawicz powiedział mi, że na placu św. Aleksandra były szubienice i że tam wieszali! Ile razy idę na nabo-

żeństwo majowe, to żegnam się, a serce mi się ściska strasznie na tę myśl. I wtedy rozumiem, że *to* jest straszne, a nie takie tam historye z tym rząd... i różne głupstwa. Chciałabym kiedy módz tak postać na tym placu długą chwilę, i nic nie mówić, i żeby nikogo nie było, tylko żeby gdzie, niegdzie paliła się latarnia. Zdaje mi się, że nawet modlićbym się nie mogła za *ich* dusze, tylko takbym patrzyła na ten plac i myślała, jak to było...

20 maja.

Zupełnie wiosna. Zupełnie się rozwinęło. Gram z Tarnawiczem w zielone, ale jakoś nam nie idzie. On zapracowany. Dam lepiej spokój.

22 maja.

Co tu począć, aby mamcia była ze mnie zadowolona? Jak byłam mała, to mamcia jakoś mnie tak przy sobie trzymała i była kontenta, i brała mnie z sobą na spacery i do teatru. I patrzyła się na mnie inaczej, czesała, ubierała. Teraz—to mi tak czasem dziwnie. Mamcia patrzy na mnie badawczo, jakby coś chciała we mnie odkryć, jakbym coś złego robiła. I tak mi się mamcia codzień przypatruje, jakby mnie nie znała, jakby mnie dopiero pierwszy raz widziała. Ja wiem, że nie jestem ładna, bo jestem chuda i blada, ale to nie moja wina. Jem rosół i piję żelazo bardzo regularnie. Mamcia jest bardzo ładna, taka różowa, tak pełna. Ja nigdy taka nie będę. Ja chciałabym być ładna, nie dla siebie (bo co mi potem), ale dla mamci, bo to byłoby jej może przyjemnie. Choć znowu raz, gdy włożyłam niebieską bluzkę i Władka mi włosy zapiekła, to wyglądałam lepiej. Ale mamcia przypatrzyła mi się i jakby się nachmurzyła, choć powiedziała, że „jest dobrze...“ Już tak staram się, aby mamci dogodzić i z drogi schodzę, i o nic się nigdy nie pytam, i udaję, że z Tarnawiczem nie rozmawiam, i to, że jestem zdrowa. Ale mamcia wiecznie niezadowolona. Choć nietylko ze mnie. Ale ze wszystkiego

Jak mamcia taka niekontenta chodzi, to i mnie wszystko brzydnie. I ja jestem taka niekontenta, jak mamcia, i nie lubię naszego mieszkania, i tego, co w niem jest, i tego jak my żyjemy, i wszystkiego. A to aż boli od tego ciągłego nieukontentowania. Często chciałabym już przestać, ale już nie mogę. Ach, Boże!... żeby to można jako inaczej!

25 maja.

Zauważyłam coś dziwnego. Tatko zaczyna mamci odpowiadać! To zupełnie coś nowego. Dotychczas mamcia mówiła, gniewała się, ale tatko szedł do okna, stawał przy szybie, zakładał ręce w tył i nic nie mówił. Czekał, aż to przeminie. Tymczasem teraz, tatko raz i drugi coś powiedział, nawet niegrzecznego. Mamcia się tem ogromnie zdziwiła i obraziła. Zauważyłam również, że wtedy Władka patrzy ciekawie i tak, jakby się cieszyła. Ja wogóle nie wiem, czego ona tak się pomiędzy nas miesza. Przecież są takie rzeczy, które tylko nas samych dotyczą. Tylko teraz, to jeszcze będzie ciężej w domu, jak rodzice oboje zaczną tak sobie przymawiać. To dla mnie tak, jakby mi kto tępy nóż powoli w serce wpychał. I tak wtedy zaczynam drżeć, tak się czegoś boję. Zawsze staram się wyjść z pokoju, ale mamcia mówi tak głośno, że słychać ją wszędzie. Dawniej tego u nas nie było. Tak mi wtedy żal i tatka, i mamci, i siebie, i nas wszystkich! I myślę sobie, że to chyba koniecznie tak być musi, bo przecież, gdyby to mogło nie być, to rodzice by tego wszystkiego nie mówili. Mamcia potem pije herbatę i je co jest, a tatko cały blady nic w usta nie bierze.

Ja również nie mogę jeść. I zaraz na drugi dzień jestem bledsza.

26 maja.

To ciekawe, że ja się przywiązałam do tego, co mi smutek sprawia. Tak lubię się zaszyć w swoje zmartwienia,

szperać w nich, szukać, czy niema jeszcze czegoś, coby mnie więcej bolało. Jak byłam mała, skaleczyłam się w rękę. Ciągle tę ranę poruszałam, aby mnie bolała, i to śmieszne, ale było mi to przyjemne. A teraz tak robię ze swojem sumieniem i ze swojem sercem. Tarnawicz mi powiedział, że to takie wrodzone polakom. Może. Więc w takim razie właściwie janie mam żadnej woli, bo to i to *musi być*. A dlaczego mnie uczyli, że człowiek ma *wolną wolę*, pamięć i sumienie?

28 maja.

Nagle się zachmurzyło, zasłoniło, i niebo całe szare. A już nasadzili bratków na dziedzińcu, w klombiku, i przyjemnie było patrzeć, że są choć takie kwiateczki. Pomarzną. Nic z nich nie będzie. Choć i tak na tym dziedzińcu byłoby im duszno i ciemno, bo słońca niema. Mnie również jakoś niedobrze. Słabo mi co chwila. Taka jestem mizerna, aż mamcia się na mnie gniewała i powiedziała, że już nie wie, co ze mną robić. Tatko powiedział mamci, że trzeba iść ze mną do doktora, ale mamcia krzyknęła, że wie sama, co do niej należy. Tatko jej na to odpowiedział, że—wyprasza sobie taki ton.—Mamcia znów: „Cicho!" Tatko złapał za kapelusz i wyleciał.

Pierwszy raz tatko drzwiami *trzasnął*.

Boże mój! co to się u nas dzieje!...

30 maja.

Bardzo się dziś modliłam na majowem nabożeństwie, ażeby tatko i mamcia się nie kłócili, i także prosiłam o dużo rzeczy i o to, ażeby Mundek i Tarnawicz odzyskali wiarę, bo to przecież bardzo uspokaja, jak można się tak dobrze serdecznie wymodlić.

2 czerwca.

Wypogadza się powoli. Przykro mi to, że już nie chodzę na majowe nabożeństwo. Musiałam również zdjąć niebieską wstążkę, com ją na szyi cały maj nosiła. Zro-

biłam sobie taki ślub na intencyę wszystkiego i tego, żebym się już więcej nigdy nie zakoch... Nie wiem, ale zdaje mi się, że mi ładnie było w tej wstążeczce. Tylko teraz już czerwiec, miesiąc do Pana Jezusa, to już nie wypada nosić niebieskiej wstążki. Tarnawicz przyniósł mi cały pęk jaśminu. Władka znów powiedziała, że to ona przyniosła.

4 czerwca.

Bardzo się spłakałam. Edek podpatrzył, kiedy Tarnawicz mi dawał ten jaśmin i powiedział mamci, że to od niego. Mamcia się okropnie zgniewała za to, że kłamałam, i że biorę kwiaty od „mężczyzny." Mamcia mówi, że to kompromituje. Przecież Tarnawicz, to uczeń, a nie mężczyzna, i potem, jakże mu odmówić? On tak biegnie z temi kwiatami po wschodach, tak się cieszy. A mnie również tak miło, że je dostanę. Mamcia mówi, że troszkę za wcześnie „flirtuję," a ja nawet nie wiem, jak się to robi takie flirty. Napatrzyłam się w teatrze, ale to jakoś śmieszne i głupie. Gdzie mnie do flirtów! Ja zupełnie czemś innem mam teraz głowę zajętą. Ale to bardzo wielkie i trudne do opisania. Nie potrafię. Tylko mi tak, jakby przez moją głowę przelatywały całe obłoki rozmaitych myśli. To przyszło na mnie po tej katastrofie z Mundkiem. Tak mi się stało, jakby ktoś we mnie jakąś kartkę odwrócił. Tak mi się stało. Niby, że to dzieciństwo moje to pozostało za mną. Bardzo byłabym szczęśliwa, gdyby to mamcia odgadła. Ale mamcia ciągle ze mną tak mówi, jak z małą Pitą i tak mnie jakoś ściąga tem, z jakiejś wyżyny. Niby mi tak, że ja za Mundkiem się gdzieś wysoko zdołałam wydostać, i tam już szeroka przestrzeń i swobodnie się myśli, i rozumie wszystko, a tu mamcia ściąga mnie, jakby w jakąś głąb, w jakąś studnię, w klatkę — no... w ten dziedziniec na Wareckiej i że ja muszę tak stać przy oknie i patrzeć, jak także tak stoją za szybami inne panienki, a jeszcze inne od rana grają gamy, a inne idą na kursy i wracają, a głowa je boli i nic nie wiedzą...

I tak brak powietrza, a słońce nie dochodzi nigdy i duszno.

Tak mi się zdaje, gdy mamcia do mnie mówi i gdy mnie posądza o *flirty* i o inne jakieś rzeczy.

Tak mi się zdaje.

28 czerwca.

Choć jest niby jakoś niespokojnie w domu, odkąd tatko zaczął się mamci stawiać, ale przecież ja to wolę i daleko mi to przyjemniej i lepiej, gdy na tatkę teraz patrzę. Bo ja to już mam takie przekonanie, że kobieta powinna bardzo mężczyzny słuchać i ja wolę, żeby (jeżeli mi Bóg da męża) nie mój mąż mnie słuchał, ale ja jego. Mówiłam o tem z Tarnawiczem, a on mi powiedział, że to przez to, że całe wieki nas trzymały w niewoli i że to my lubimy całą odpowiedzialność z siebie zawsze zrzucać mężczyznom na barki i dlatego niby udajemy posłuszne. Może on ma i racyę, bo jak ja się zastanowię, to bałabym się bardzo coś sama postanowić, coś ważnego, coś, od czegoby inni zależeli, ich los, ich życie. Okropniebym się bała. Może przez to, że mi tak od dziecka mamcia zawsze nakazywała, co mam robić, i teraz mi przez to byłoby ciężko bez wskazówek. Tarnawicz mówi, że to dlatego. Jego siostry to są od dziecka *uświadomione* i *uspołecznione*. On tak mówił, że to przez los i przez nędzę, i że to właśnie dobrze. I mówił, że dla mnie byłoby szczęście, gdybym się sama została i musiała wszystko obmyślać w życiu. Ale ja się boję. A co do takich mężczyzn, którzy to żon słuchają, to mi się zawsze przypomina, że tu w kamienicy byli jedni państwo na pierwszem piętrze bardzo bogaci — tacy, którzy żyją już tylko ze swoich własnych funduszów. Ci państwo mieli ogromnego i ślicznego doga. Był bardzo zły i bardzo uparty. Bili go bardzo. A najwięcej sama pani. Była brunetka i paliła papierosy, i mówili, że ona jest taka złośnica, że aż z tego chora. Miała taki bat i biła doga. A Marcysia mi mówiła, że dog pozwalał się bić batem tylko do ziemi przylegał i tylko mruczał. Ale raz ta pani zdjęła z nogi pantofel i zaczęła doga bić pantoflem. I on się za to na nią rzucił i ugryzł ją... I ile razy go chciała uderzyć pantoflem, to on ją kąsał. A batem się bić pozwolił. Przecież bat więcej boli, niż pantofel. Ale ten dog miał ogromną ambicyę i uznawał, że to dla niego obelga taki kobiecy pantofel. Bardzo mi się przez to podobał i bardzo go szanowałam za taką hardość. I skoro pies ma taką ambicyę, to przecież i mężczyzna powinien mieć.

29 czerwca.

Boję się napisać, żeby co się nie zmieniło, ale tatko coś mówi, żebyśmy wyjechali na letnie mieszkanie. Niby my tylko, bo tatko zostałby się w mieście. Sam tatko to zaproponował. Aż mamcia się zdziwiła. Jak to byłoby cudownie! Boże!... Boże!...

30 czerwca.

Często, bardzo często myślę, co tam Mundek porabia? Prawie nie pisze. Rodzice z sobą pewnie o nim mówią, a tak to nie bardzo. Nie jestem ciekawa tego, gdzie on właściwie mieszka, czy ma oddzielny pokój, gdzie się stołuje, kogo zna—to nie. Tylko, jak on tam w tym Krakowie myśli, czy ci ludzie są tacy, jak on. Bo mówią często—galicyanie, królewiacy... I tak jakoś, jakby się nie lubili, jakby się krzywili jedni na drugich. To przecież jest głupie... bo my wszyscy jednakowi. Tarnawicz mi tłumaczył, że warunki polityczne wyrobiły w nas różne wady i różne zalety. Ale chyba już takie serce jak Mundkowe i jego duszę to wszyscy jednako rozumieją. Ciekawa jestem, czy tam w Krakowie, to także by się taki Mundek znalazł, któryby życie swoje poświęcił dla całej klasy? Tarnawicz mówił, że nie wie, bo to ucisk tylko wywołuje taką siłę. A ich tam nie cisną. Choć znowu Tarnawicz mówił, że to tylko pozornie, że wolno im niby nosić rogatywki i śpiewać „B... c.. P.....," ale że oni ich przecież gnębią.

Możeby to lepiej spalić, bo jakby była rewizya, to byłoby nieszczęście dla nas wszystkich. Przecież dawnego rządcę to trzymali w ratuszu dwa miesiące za to, że on przepisywał sobie śliczne patrj..... wiersze i oni to przypadkiem znaleźli. Ale go uwolnili, bo całe szczęście było, że pan Kostecki pisał jeden wiersz niebieskim, a drugi czerwonym atramentem, więc na śledztwie powiedzieli, że on nie jest niebezpieczny, bo mu się głupstwa w głowie trzymają.

Ale wiersze spalili, a szkoda, bo tam były wiersze z *Dyabła* krakowskiego, bardzo piękne.

Zresztą, ja i tak spalę ten pamiętnik, to i ten ustęp spali się także.

2 lipca.

Z tem letniem mieszkaniem, to zupełnie na seryo. Tatko strasznie szuka. Ciągle czyta w *Kuryerze*, ale wszystko okropnie drogie, albo ogłoszone, że zaraz do wynajęcia, a to nawet nie zaczęli budować. Tatko już dużo czasu zmarnował przez to i dużo pieniędzy na kolej wydał. Teraz znalazł tatko jakiś domeczek za rogatką mokotowską. Mówi, że w ogromnym ogrodzie, i że jest sadzawka, i że tanio. Mamcia mówi, że się boi, bo tam cegielnie, a w nich mordercy. Ale tatko znów mówi, że to przytyka do Marcelina, więc tam dużo ludzi i że tatko będzie na noc kolejką wilanowską przyjeżdżał. Ale mamcia się krzywi i wyśmiewa. Raz tak coś wspomniała, że jak się nie ma na porządny wyjazd. to lepiej nigdzie. A tatko zawołał: „Na Zakopane nie mam!“ Mamcia bardzo zbladła i odpowiedziała: „Ja do Zakopanego za żadne skarby jużbym nie pojechała nigdy.“ Ja się zdziwiłam. Przecież tam było tak miło, tak wesoło, tak jakoś elegancko. A tatko rzucił się i zaczął wołać: „Musicie jechać do Mokotowa.“ Mamcia wstała od stołu i wyszła. Ale tatko dawniej to byłby także wstał, poszedł do okna i tam się martwił. Ale teraz nie. Siedział dalej i jadł sałatę, którą mu Władka przyrządziła.

Doprawdy — to tak wygląda, jakby tatuś chciał się nas pozbyć z Warszawy na lato. Przecież w takim Mokotowie, to nawet czystego powietrza niema.

3 lipca.

Już mieszkanie wynajęte. Jedziemy dwunastego. Jestem jakaś smutna. Nie wiem, co będzie z Tarnawiczem. Jeżeli przez wakacye nie będzie uczył Edka, to będzie dla niego krzywda, bo urwie mu się lekcya, a on dla Edka stałe lekcye porzucił. Możeby napisać do Mundka. Przecież on mi kazał pisać do siebie, jakby się Tarnawiczowi działa jaka krzywda. A potem: co też będzie ze mną? Pisać tam, to chyba będzie trudno, bo to podobno tylko dwa pokoiki. Więc ani się wypisać ani choć cokolwiek porozmawiać tak, jak z Tarnawiczem. Napiszę do Mundka. A jeżeli to popsuje? Jeżeli właśnie mamcia się rozgniewa i uprze?

4 lipca.

Ogromnie dużo zaczyna się szykować na to letnie mieszkanie. Mamcia wzięła na rachunek kretony i muśliny, dla siebie i dla mnie. I także hamak, i firanki, i papier na muchy i cały bochen sera śmietankowego, i wszystkiego masę. Marcysia okropnie zła, że jedzie, ciska wszystkiem i mówi nieprzyzwoite słowa. Mamcia także zła, ale bardzo się o empirowe suknie troszczy. Mamcia będzie miała wszystko szafirowe, a ja różowe. Parasolki białe. Tatko raz tylko wzruszył ramionami i powiedział, że to szkoda pieniędzy, bo tam psa niema, ale mamcia się rozgniewała i powiedziała, że się nie ruszy z Warszawy i tatko zaraz zaczął mówić, że żartował, bo tam z Marcelina przez płot masę ludzi widać. Do Mundka poprostu nie śmiem pisać. A z Tarnawiczem boję się tego tematu zaczynać, bo widzę, że on bardzo smutny i tak patrzy po nas i po tem, że się to tak przygotowuje do tego wyjazdu!

5 lipca.

Nie—doprawdy—co się stało! To przecież aż...

Tu się urywa na razie dzienniczek Pity.

IV.

Oto co się stało.

W gorączce przygotowań do „letniego mieszkania," które mimowoli Tuśką owładnęło—potrzeba było koniecznie mnóstwa „drobiazgów," które choćby za rogatkę mokotowską wyjechać muszą, bo „mogą być potrzebne." Tuśka kryła się z tą gorączką przed mężem i nawet przed sobą samą, bo to letnie mieszkanie, o kilka kroków od miasta, w jakimś sadku, wydawało się jej poprostu parodyą. Przytem ciągle potrącały się w niej jakieś, jakby zasygłe struny, ten wyjazd do Zakopanego, te przygotowywane tualety, tamto... tamto...

Drżało w niej coś w głębi, jakby ptaszę zbudzone, a tak troskliwie ukołysane. I były chwile, gdy serce jej ściskała jakaś rozpacz głucha.

— To nie to... nie to...

Niemniej przecież zaopiniowała, że nawet na Mokotów nie ma co włożyć na siebie. Bo już tak jest. Kobieta nie ma nigdy co włożyć na siebie, zwłaszcza w chwili wyjazdu. I to jest ogromną pociechą i rozrywką, łagodzącą okrucieństwa rozstań, porzucań, choćby chwilowych, rozłąk czasem tragicznych.

— Niemam co włożyć na siebie.

I myśl szybuje po krainie gałganków, oczy zamglone łzami przebiegają wystawy sklepowe.

— Szara bluzka, szara spódnica...

I zaraz obok:

— Jutro, jutro... o tej porze...

A potem prawie jednocześnie:

— Może kupić sobie czapkę angielską? Będzie mi do twarzy.

Więc i Tuśka trzepoce się w wirze wspomnień, ale nie ma co włożyć na siebie nawet na Mokotów.

— Granatowy kreton, dla mnie dosyć—myśli z gorzką ironią.

— Jestem stara, stara, stara. Mam dorosłą córkę... wystarczy granatowy kreton. I na Mokotów!

O białe, jasne wełny zakopiańskie, jakżeście dalekie!...

Lecz i te kretony trzeba kupić, skrajać, przybrać. Władka radzi karczki koronkowe.

Tuśka wzrusza ramionami.

— Nie, nie—po co? Gładkie, proste bluzy.

— Dlaczego?

— Bo tak chcę.

Jest okrutna dla siebie. Rozszalały się w niej wspomnienia. Chwyciłaby się za włosy i tarzała po ziemi.

Dla siebie nic, nic.

Prawie lubuje się w tym bólu.

Nic, nic.

Władka zapowiedziała, że za rogatki nie pojedzie. Zostanie w mieście. Siostra jej niezdrowa. Musi dzieci doglądać. Ale co jakiś czas się zjawi, zrobić jakieś małe reparacye. Och! nawet przenocuje. A w porze smarzenia konfitur to już będzie stale.

— Moja panno Władziu! — prosi Tuśka — bo ja bez panny Władzi, to jak bez ręki. Zresztą tam pustkowie. Co tam robić!

— Była tam pani dobrodziejka?

— Nie!

— Tam może ładnie.

— Panna Władzia zna ten kąt?

Władka zmieszała się troszkę.

— Tak... niegdyś, zeszłego roku, szukałyśmy z siostrą mieszkania. Widziałam zdaleka. Taki mały domeczek w ogrodzie, altana. Ładnie.

— E!...

Władka zbiera się do miasta. Idzie z Pitą dokupić muślinu na bluzkę i tafty na pasek. Lekarz kazał Picie dużo chodzić. Tuśka wysyła ją z Władką.

— Porządna dziewczyna! — mówi do Żebrowskiego— Pita może się z nią przejść przez ulicę.

Żebrowski nic nie odpowiada. Oczy mu tylko jakby mętnieją. Patrzy w okno. Milczy.

Pita idzie ulicą z Władką. Dzień śliczny. Jak brylant, czysty i bez skazy. Nawet miasto wygląda w tem przeczystem świetle, jakby spłókane rosą. Pita jednak jest smutna. Nic pewnego nie wie o Tarnawiczu. Edek na jej zapytanie pokazał język. Tarnawicz przesuwa się teraz koło niej i milczy. Zresztą trudno jej znaleźć sposobność pomówienia z nim sam na sam. Tuśka jest często w domu, pakuje, a gdy wychodzi, zabiera z sobą Pitę. I tak podejrzliwie jakoś ściga oczyma Tarnawicza. Pita to doskonale czuje. Nawet od tej chwili, gdy matka rzuciła słowo „flirt" pomiędzy nich dwoje, coś ją dławi, krępuje i wprowadza w pewne zmieszanie, gdy Tarnawicz wchodzi na próg mieszkania. Jest jej ogromnie przykro.

— Dawniej było tak dobrze—myśli z żalem—rozmawiałam z nim tak miło, a teraz tak się coś popsuło...

To wszystko myśli Pita, idąc obok Władki Krakowskiem Przedmieściem. Mają iść przez ogród Saski za Żelazną Bramę. Mnóstwo ludzi wyległo na ulice. Wszystko postrojone. Miasto wygląda jakby w uroczyste święto. Ale to dzień powszedni. Tylko już taki zwyczaj. Na ulicę stroje. Tylko siąść do powozu. A tu powozu niema, więc tak *per pedes*, strusie pióra aż po pas i wyścigowe kapelusze i suknie. Codzień pola Elizejskie. Pita nawet jest strojna, choć to posztukowane i haleczka od góry ze starej sukienki, ale u dołu nawet kawałek jedwabnej falbany z koronką, ażeby, „jak się odwinie," było ładnie. Sukienka Pity w drobną krateczkę granatową z białem, żakiecik granatowy, na główce Windhorścik, ubrany białą wstążką. Cień pada od rondka na błękitne oczy, a główka cała otoczona aureolą białej parasolki. Delikatne to, milutkie, jakieś pachnące sobą i kwiatami, zebranemi z łąk ledwo zielonych, margerytami białemi, jak śnieg, jak gwiazdy czarowne.

I to jest Primavera, to dziewczę subtelne i czyste. Primavera duszy, Primavera ciała. Smukłe i długie nogi opina cienka tkanina sukienki. Stopy w popielatych bucikach nieśmiało idą po asfalcie. I nie jest to zuchwały, tryumfalny pochód Boticellowskiej wiosny, trzymającej się pod bok z miną pruskiego lejtnanta, lecz jakieś delikatne błądzenie promyka wiosennego słońca, który lęka się zginąć wśród resztek zimowej zawiei.

Za Pitą jest jakby smuga, jakby srebro jakieś spływało w powietrze z włosów jej, drżących leciuchno na wietrze, tułającym się wśród kamienic miasta. I ludzie mimowoli rozjaśniają się, widząc przechodzącą Pitę. Idzie cud kobiecego ciała, idzie cud niepewny i jakby zalękniony.

Nie mówią: „Jaka śliczna panienka," lecz coś im w sercach drga, jakby zbudziły się jeziora senne, jakby przemknęły wśród łąk kwietnych gędźby wiośniane, jakby własna młodość wracała i modliła się cicho w nagle rozwartej duchowej kaplicy.

To odczuwają ludzie, gdy idzie Pita w swoim białym Windhorście i sukieneczce w kratki.

. . . . . .

Zachodziły na Nowym Świecie do mieszkania Władki.

— Na chwileczkę, tylko coś wezmę! — prosi Władka.

Pita idzie chętnie, bo podoba się jej ten mały, czysty pokoik w oficynie dość ciemnej i starej. Na drugiem piętrze ma oddzielne wejście i na drzwiach przybitą kartkę z nazwiskiem Władki. W pokoiku trochę mebli. Łóżko

bardzo porządne, żelazne, komódka zniszczona, kanapka wcale ładna, jakiś zegar wiszący, krzesło każde inne. Wogóle całe umeblowanie trochę różne, jakby ściągane, składane. Rzeczy lepsze, gorsze. Czuć tu *starowną myszkę*, istotę lubiącą rzeczy *swoje*, istotę obdarzoną zapobiegliwością mrówczą, moszczącą gniazdo kosztem ofiar tajemnych, do których przyznać się trudno.

Kwiatków Mimi Pinson u tej szwaczki ani poświeć, jest za to lampa na kolumnie ze sztucznego onyksu, lampa taka, jakiej nawet niema na ulicy Wareckiej.

— Dostałam na imieniny!—mówi Władka do Pity.

Dużo rzeczy musi dostawać Władka na imieniny, bo o co potrącić to prezenty imieninowe.

Tylko z maszyną krucho.

Jest wprawdzie ręczna, ale starego systemu i już zdezelowana.

— Ciężko mi; nie mogę się zdobyć.

— Możnaby na spłaty—mówi Pita.

— Ehe! nie głupiam. Wzięłam już raz. Zaległam z dwiema ratami, maszynę zabrali i raty przepadły. Teraz już nie wdepnę w taki kawał.

Pita siedzi na kanapce, pokrytej widocznie przez samą Władkę kretonem i czuje się jakoś spokojnie, przytulnie w tym kącie. Czuć tu i wilgoć, i warszawski dziedziniec, i smalec z wczorajszej kolacyi, i jakieś tanie mydło, ale mimo to, to zamknięcie, odosobnienie, ten pokój dla jednej istoty, własny, ma wielki urok dla Pity.

— Chciałabym mieć taki pokoik... — myśli — nie wychodziłabym z niego nigdy. Czasem tylko przyszedłby Tarnawicz i wtedy rozmawialibyśmy długo i bardzo przyjemnie. Zrobiłabym mu herbaty i kupiłabym ciastek.

Oczy jej, błądząc, napotykają na oknie maszynkę spirytusową, czajniczek, puszkę z herbatą, *dwie szklanki, dwie łyżeczki* i trochę ciastek, przykrytych bibułką.

— O!—myśli—Władka także kogoś przyjmuje na herbacie.

Władka idzie do okna i bierze talerzyk z ciastkami.

— Może panna Józia pozwoli, o!... to — śmietankowa babka, i jeszcze jedna.

Pita się rozjaśnia dziecinnym uśmiechem.

— Lubię bardzo śmietankowe babki—mówi.—Mamcia nie może ich znosić, ale tatko same śmietankowe babki zawsze jada.

— Tak?—dziwi się Władka. — Patrzcie państwo, nie wiedziałam.

Odwraca się. Po jej zmysłowych ustach, jak strzała, przemknął uśmiech ledwo dostrzegalny. Pita zjadła babkę i znów patrzy po ścianach.

— Chciałabym tak mieszkać!—myśli.

Lecz gdy już wychodzą na schody i Pita staje chwileczkę w sionce, aby zaczekać na Władkę, która drzwi na klucz zamyka, robi jej się nagle niewypowiedzianie przykro. Tak jest, jakby ktoś zadawał jej tu w tem mieszkaniu ciężką krzywdę i obrazę.

— Nie przyjdę tu więcej — rodzi się w niej postanowienie—nie przyjdę!

Na ulicy stara się rozegnać to wrażenie. Myśli o letniem mieszkaniu i o Tarnawiczu. Władka coś do niej mówi, ona nie słyszy.

— Bo taki turkot...—tłumaczy Władka.

Weszły do ogrodu Saskiego. Niewiele osób. Wszystko ciśnie się na bruk, na asfalt. Ławki jednak obsadzone. Wszyscy siedzący mają miny strudzone i wypoczywają. Widocznie uważają ogród za pasaż, w którym można „odetchnąć.“ Nie przyszli w nim *żyć*. Przyszli przez niego *przejść*. Pita tak samo, jak inni, przez niego przechodzi. Do bratków, rozpostartych aksamitną wstęgą, ciągnie jej dusza. Przyklękłaby chętnie, ręce złożyła: „Wy moje, wy cudne...“ Ale nie wypada. Buciki cisną, nogi trzeba prościutko stawiać. Tak każe wychowanie panny, a nawet i dziecka. Wzbijają stę sersa i balony. Żadne dziecko ni

ma popędu nagle zbudzonej istoty, garnącej się do twarzyczek kwiatów, pod ramiona drzew.

Nie żyją—przechodzą...

Czasem jakiś staruszek patrzy spłowiałemi oczyma na piękno stokroci.

— Bo już odchodzę...—myśli.

I wszyscy, mimo świątecznych strojów, są smutni. Może nawet smutniejsi tak wśród zieleni i powietrza.

To od razu Pitę chwyta za serce.

— Jesteśmy tragicznym narodem...—myśli — tak, tak. Tacy wszyscy niepewni i ciągle się czegoś boją!

Tu i owdzie ludzie szepcą na ławkach.

Pita wie, że to o wojnie. Tam daleko takie dzielne srogie kolorowe laleczki w kimonach... Pita często także cicho szepce o tem z Tarnawiczem. Już tylu lekarzy powyjeżdżało z Warszawy. Co z nimi będzie? Te laleczki takie srogie podobno...

Więc jakiś krwawy upiór przez ogród, wśród zieleni, jakby się przesuwał. Stójkowi u bram stoją wyprostowani. Nie wpuszczają do ogrodu ludzi źle ubranych.

Ale widmo czerwone, odziane w łachmany, wsunęło się pomiędzy kratami i włóczy się tak dziwnie...

Ludzie o niem szepcą, na kwiaty nie patrzą, chyba tacy, którzy już o niczem nie myślą, tylko o tem, że już wkrótce mają zupełnie „odejść."

— Chodźmy koło teatru — proponuje Władka—zobaczymy aktorów.

Skręcają ku wielkiej szopie, bezkształtnej i brzydkiej.

— O!... od tyłu stoją już przed wejściem za kulisy... i uczniaki im się przypatrują.

Barwna, jasna gromadka kobiet rozmawia półgłosem. Oparły się o stos dekoracyjnych przystawek. Tu i tam stoją mężczyźni. Jeden z nich usiadł na fotelu złoconym, obitym błękitnym aksamitem. Meblarze wnoszą sprzęty w otwartą czeluść sceny. I nagle wieje jakby pewna bezroska, jakby coś przelatującego z rozwianemi skrzydłami ponad ciemnią przepastną.

— Och, aktorzy! — mówi Władka — strasznie miłe ludzie.

Gromadka uczniaków stoi koło ogrodzenia. Kilku ma podbójcze miny. Ci już są pewni siebie. Inni jakby zalęknieni. Pita obejmuje ich spojrzeniem. Mimowoli przesuwa się przed nią Mundek tak, jak leżał na noszach, gdy go Pogotowie wniosło tam na Wareckiej.

— Poświęcił się—myśli—poświęcił się...

I jeszcze Tarnawicz, zapracowany, biegnący, zdyszany po wschodach.

— Czy i on także przy tem ogrodzeniu śmieje się czasem tak jakoś niemiło... — przechodzi jej przez główkę.

I rzecz dziwna.

Jakby się tam coś na dnie serduszka szarpnęło. Na samem dnie. Jakaś aktorka, ubrana w kształtną różową sukienkę i żółte buciki, podeszła do ogrodzenia. Wita się poufale z uczniami, podaje im rękę. Śmieją się. Jeden z nich podaje jej wiązankę kwiatów. Picie przypomina się hyacent Tarnawicza i jego kwiatki.

— A może on i tutaj przynosi kwiatki...

I znów ściśnięcie serca.

— Co mi jest? Pasek za ciasny...

— Ten to przystojny!—mówi Władka, wskazując Picie rosłego mężczyznę.

Lecz oto Pita staje nagle, jak wryta. Na lica jej wykwitł rumieńczyk, na usta uśmiech.

I aktor, który właśnie zapalał papierosa, gasi zapałkę i rzuca się ku furcie wejściowej.

— Czy to... czy to... — mówi, biegnąc ku Picie—czy to nie panna Żebrowska?

— Tak!—odpowiada słodko Pita.

Dzieje się to ogromnie szybko, jakby jakimś żywiołowym pędem.

— Pan mnie poznał?...

— Jakże? Ta sama buzia, tylko się tak pani wyciągnęła w górę. Tę buzię to ja przecież pamiętam tak, że mógłbym ją z zamkniętemi oczyma wyrysować. Tylko panna już teraz—panna.

Pochwycił ją za ręce; parasolka upadła na ziemię.

Porzycki (bo to on) nie zwraca na to uwagi, ogląda Pitę od stóp do głowy.

— Jakie to, jak laleczka!—śmieje się — jakie to przecudne... takie to, jak konwalia, a białe, a smukłe... moje cudo!...

W Picie budzi się jakieś rozrzewnienie. Na chwilkę znika jej z oczu otoczenie, i uczniaki, i wspomnienie Tarnawicza, i ludzie tragiczni, i lalki srogie na Dalekim Wschodzie.

Zdaje się jej, że jest jakby wyniesiona w jakąś śliczną krainę, pod sklepienia zielonych liści, przez które złote światło przecieka. I ona cała jest jasna, czysta, piękna, a wszystko dokoła niej barwą i wonią. Ona stoi nieruchoma w swej krasie, a ku niej płyną jakieś uwielbienia i biją daleko, cicho, tajemnicze dzwony.

— Ty cudzie!...

Tak się Picie wydaje.

. . . . . .

Za kilka minut idą z Władką w stronę Żelaznej Bramy. Władka jest aż czerwona z ciekawości.

— To z Zakopanego, mówi panna Józia, znacie się?

— Tak, pan Porzycki mieszkał w tym samym domu, co i my. Ciągle u nas bywał. Bardzo się z nami lubił. Mamcia to bez niego nigdzie nie poszła. Grali nawet razem.

— Jakto grali?

— Na scenie. Komedyjkę. Mamcia ślicznie grała. Ogromne miała powodzenie. Potem był bal. Mamcia była śliczna. Potem była kolacya. My i aktorzy.

Pita milknie.

Przypomina się jej, jak piła wtedy u Płonki rozliczne likiery.

— Benedyktynka jeszcze więcej nudzi, niż abrykotina — mówi nagle, jakby do siebie.

— Nie — odpowiada stanowczo Władka. — Benedyktynka pachnie ziołami i przez to jest obrzydliwa.

Pita, zdziwiona, spogląda na Władkę.

— Panna Władzia piła likiery?

Władka jest jakby podniecona:

— O jej! albo raz!...

Pita namyśla się.

— A ja raz wtedy—mówi poważnie.

Idą chwilę w milczeniu.

— Mamcia lubi tego aktora?—pyta wreszcie Władka.

— O! bardzo!.. i będzie kontenta, jak go przyprowadzimy.

— Pewnie!..

— Tylko, żeby on na nas poczekał.

— Niech się panienka nie boi, poczeka. Sam przecie zaproponował, żebyśmy poszły po sprawunki i wstąpiły z powrotem go zabrać. Trzeba się śpieszyć.

— Śpieszmy się, moja złota, śpieszmy!...

Władka zaczyna się śmiać.

— Panienka się jeszcze w nim zakocha.

Pita poczerwieniała.

— Co też panna Władzia mówi! Przecież to aktor.

— No, właśnie. Każda panna kocha się choć w jednym aktorze. Mężatka także.

— Ach!..

— On często u was bywał?

— Ciągle.

— A!

— Co?..

— Nic.

— Śpieszmy się. Bo widzi panna Władzia, mamcia teraz ciągle taka czegoś niekontenta. A tam w Zakopanem to mamcia taka była często wesoła i różowa i tak się śmiała i cieszyła. A to wszystko było przez pana Porzyckiego. Bo on tak umie i śmiać się i żartować... Choć czasem to znów tak coś tam czy powiedział, czy coś, że mamcia się jakby obraziła i płakała...

— O!..

— Tak. Ja to widziałam, ale potem niezadługo on mamcię pewno przeprosił i znów było dobrze...

— A panna Pita bardzo go lubiła?

— Ja?..

Pita chwileczkę myśli. I nie może sformułować, czy ona lubiła Porzyckiego czy nie. Tam w Zakopanem chwilami się go bała, chwilami go nienawidziła, chwilami się do niego garnęła.

Tu, od pierwszej sekundy, gdy się do niej zbliżył, rozpromieniło się w niej coś i „lubienie“ przemogło ponad wszystko.

— Tak... bardzo go lubię! — mówi z całą stanowczością.

Władka chwilę milczy, wreszcie nagle pyta:

— A jak się mamcia z nim pożegnała?

— Na kolei.

— Dobrze?

— A jakże. W rękę mamcię całował. Mamcia tak go lubiła, że nawet aż płakała...

— Płakała?

— Tak. Łzy mamie leciały po twarzy i mnie aż na włosy leciały. Mamcia z pewnością się strasznie ucieszy, jak pana Porzyckiego zobaczy.

— No... To prowadźmy go na Warecką.

— Prowadźmy!

— Bo i tacio go bardzo lubi.

Uśmiech przewinął się po ustach Władki.

— No, to tembardziej prowadźmy go na Warecką.

— Prowadźmy!...

. . . . . .

— Pan wejdzie frontowemi wschodami, my kuchnią.

— To i ja kuchnią.

— Niemożna. Mamciaby się gniewała. Tam dziś nieporządek. Pakujemy się.

— No, to niech tak będzie.

Wschodami, któremi nieśli Mundka, idzie w susach Porzycki, idzie jasny, trochę otylszy, ale zawsze żwawy, zwinny, opromieniony, doskonale wymyty, wygolony i z całą otwartością swego duchowego *ja* obnoszący się po świecie.

— Idę! idę!.. — zdaje się wołać, biegnąc ku górze.

Kuchenką wpada Pita. Za nią dąży Władka.

Tuśka pakuje coś w swoim pokoju. Pita przebiegła jadalnię i salonik. Wydostaje się do drzwi wejściowych i zaczyna otwierać drzwi z zawias, zamków i rygli.

— Ja, ja sama! — zawołała przed chwilą do Władki, tak, jak wtedy, gdy otwierała drzwi przed leżącym na noszach Mundkiem.

— Ja sama?..

Drobniuchna jej, biała ręka anemicznego dziewczęcia pora się ze stalą łańcuchów i zasuwek.

Po tamtej stronie rozlega się capstrzyk:

Pod Ulm, pod Kulm, pod Austerlitz,
Wzięli w coś tam niemcy—nie gadali nic!...

— Zaraz! zaraz...

— A cóż to za forteca!

Opadły rygle i łańcuchy. Żebrowski je przybijał własną ręką. Tak dobrze ten dom swój obwarował.

Ani dzieciom, ani żonie, ani jemu nie może się teraz stać nic złego. Złodziej się nie dobierze.

Biała ręka Pity usunęła zamki, łańcuchy...

— Ku-ku-ry-ku!..

Na progu stanął Porzycki, nastroszył się, jak wspaniały kogut i po swojemu, po zakopiańsku zapiał:

— Ku-ku-ry-ku!..

Pita rączki złożyła.

— Och, jak ślicznie! — mówi.

Mieszkanko na ulicy Wareckiej wypełnił silny, tryumfalny głos:

— Ku-ku-ry-ku!..

Z głębi mieszkania biegnie Tuśka. Jest spocona, świeci się jej twarz, włosy ściągnęła z czoła i spięła na czubku głowy. Ma na sobie trochę brudną matinkę, od której koronki wczoraj odpróła. Matinka rozchylona, widać zbyt tęgą linię gorsu, spódnica kretonowa w paski podnosi się na odstającym już trochę brzuchu.

Jest jeszcze wonna, biała, ale już potrzebuje tych „poprawek", bez których trudno robić skończony efekt. Biegnie—i staje, jak wryta. W pełnym świetle, we drzwiach wesoły, rozkoszny—Porzycki.

Tuśka ręce przed siebie wyciąga, jakby odpychała marę, z grobowych osłon się dźwigającą.

— Czego?

Tragedya jej życia, jej serca — cała tragedya... tam w hotelu—Boże!.. i te jego pocałunki gorące, ten grad pocałunków... te pieszczoty... on cały, on...

— Ku-ku-ry-ku!..

Kobieta chce przemówić. Jedna sekunda olśniewa ją. Jest to taki natłok wspomnień, odżycia wszystkiego. Pochowała go w sobie, opłakała, zamurowała nad nim grób, położyła krzyż, aż tu on żyje.

Nie chciała myśleć i wiedzieć, co z nim, jaki on znów, jak on żyje, jak wygląda, czego po świecie chce.

I oto on! oto on!...

— Kukuryku!..

A ona? patrzy na siebie duchowo, widzi się. Jest brzydka, nieupudrowana, nieufryzowana, piersi, brzuch — nieestetyczna... ona nie może zagdakać tryumfująco jak on...

Wyciąga ku niej ręce:

— Panna Pita mnie tu przyprowadziła!...

— Przepraszam, ja nie ubrana!..

Boi się odwrócić, bo wie, że jest jeszcze brzydsza z tyłu w tej zbyt ciasnej halce, cofa się do drzwi—wydostaje do jadalni, do swego pokoju, zatrzaskuje za sobą drzwi i zamyka je na klucz.

Biegnie do łóżka, rzuca się na nie, i tarza głową po poduszkach.

— Jezus Marya!—mówi—Jezus Marya!..

A Porzycki wpada do saloniku, do jadalni i jest już jakby u siebie, wypełniając sobą te małe pokoiki, wesoły, żywiołowy, roznoszący jakąś siłę i junakieryę bezkłopotliwą.

— Gdzie pani Tuśka? gdzie pani Tuśka?..

— Jezus Marya!—powtarza Tuśka, wpijając paznogcie w nieszczęsnego pawia.

A Porzycki staje pode drzwiami sypialni i mrugając wesoło ku zachwyconej Picie, bębni capstrzyk:

Pod Ulm, pod Kulm, pod Austerlitz,
Wzięli!..

IV.

Jak biała myszka, biała jak urna alabastrowa, przez którą delikatny różowy płomyk prześwieca, tak wysuwa się cichutko Pita z domku na Mokotowie o wczesnym, letnim poranku.

Ledwie odziana w jakieś leciuchne szatki, spódniczynka krótka, prawie do kolan, jakaś matinka różowa zarzucona na ramionka, cała w ażurki. Z pod matinki widać

cienką koszulkę w kwiatki błękitną, spraną, pastelowej barwy.

Włosy złote rozsypały się na ramiona, oczka prawie senne, a turkusami do słońca się garnące, usteczka na wpół otwarte rozkoszny ranek letni piją.

Wysunęła się z domku tak maleńkiego, jak z kart, który stoi cały ukryty w krzewach, przytulony do parkanu. Z sąsiedniego ogrodu Marcelina zwieszają się na dach domku gałęzie drzew. Dzikie wino zarasta ściany.

W domku wszyscy jeszcze śpią. Okiennice szczelnie zamknięte, mimo, że słońce strugami w nie bije. Zamknięte, jak powieki tych, którzy w domku śpią.

Jedna Pita przeczuła w tym ciemnym grobie, że słońce ją woła.

I jak myszka biała wysunęła się za drzwi.

. . . . . .

Od miasta, od rowów, od ścieków, od brudu wieje tu jeszcze zgnilizną. A przecież jednak Picie wydaje się, że wszystko tu świeżością i wonią. Kurzem przydrożnym posypane drzewa sadu i szare aż topole przydrożne, a Pita turkusami oczu zieleń tę garnie ku sobie i rączki złożyła i cieszy się.

— Ach Boże! Boże!

Sadek, w którym stoi domek, jest dość dużu. Aleje w nim pokręcone giną w kępach krzewów. Jest w oddali sadzawka, zionąca woń bagna. Ale za domkiem rozciąga się szparagowe pole, i do niego biegnie steczką Pita.

Bo to nie szparagowe pole, ale zaczarowana łąka.

Koronki zielone, fale całe koronek delikatnych, leciuchno wichrem kołysanych. I gdy tak wicher te fale seledynu rozgarnie, grają w nich całe smugi tęczowe, odbite w milionach kropelek rosy, drgających na każdym źdźble tych roślin przecudnych. Pita stoi na brzegu pola i patrzy chwilę, zanim się zanurzy w tęczowe ubrylantowane morze. Co rano tak biegnie, co rano różowa, odziana patrzy na dyamenty rosy, na przestrzeń, leciuchno się kłoniącą, i uśmiech czarowny wykwita na jej buzię.

— Boże! Boże!—mówi, składając ręce.

I delikatnie, rozgarniając miłośnie smukłe roślinki, wsuwa się w zielone pole, idzie w nie, zanurza się z rozkoszą, chłodząc swe nagie nóżki, obute w stare pantofelki.

Dobrze jej, błogo, poddała drobną pierś promieniom słońca, które oświecają ją strugą blasku i idzie tak w przestrzeń, zasianą zbożem i oddzieloną znów parkanem od ogrodów Marcelina.

Po za zbożem już domki, już chaty.

Ale to wszystko majaczy, jakby w mgle złotej, rozpylonej ponad zbożem, które coraz wyżej ku górze w srebro prawie przechodzi, w biel, a potem niknie pod stropem błękitnym o delikatnym ledwo zaznaczonym błękicie świtowych nieb.

Pita patrzy na mgłę, na zboże, na majaczące w niem maki i chabry i radaby wyciągnąć ręce, objąć to wszystko, tulić, kochać i stać się tym zbożem, tym chabrem, tym makiem.

— Powitać słońce!—myśli—nie za okiennicami odgadywać. Czemu mamcia każe tak szczelnie okiennice zamykać? Mówi, że to od złodziejów. Że nożowców tyle jest na Mokotowie. Ale przecież mamy w domu mężczyznę, Tacia, to oniby chyba nie śmieli. A tak byłoby miło porwać się, gdy jeszcze szaro i takie czerwone prążki palą się u wschodu!..

I Pita smutnieje.

— Jakie to dziwne, że ludzie muszą się przed ludźmi tak chronić, zamykać, po jamach. Jeden na drugiego czyha, jak dziki zwierz. I nawet przez to słońca trzeba się pozbawiać. A przecież dosyć się naśpimy w ciemności — w grobie...

Coś powiało śmiercią po łanach złotych, brylantowych.

Pita, wykwitająca jak smukły, różowawy kwiat, z tych fal zieleni, stanęła nieruchoma!

— W grobie!

Nagle w oddali, z po za łanów zboża, rozlega się dziewczęcy, trochę krzykliwy głos. Jakaś dziewka przechodzi ścieżką i coś tam śpiewa. Co, mniejsza. I o melodyę mniejsza. Ale ma to jakąś siłę—coś niesie ten głos siłą i chęcią do życia. Bije, jakby źródło, w czarne myśli Pity. Ta podmiejska dziewka snadź jeszcze nie zatraciła swej żywiołowej mocy, która jej rosłe piersi rozsadza o zbudzeniu. Śpiewa i idzie bijąc ziemię nogami, obutemi w pokrzywione buciki. Pita zasłuchuje się cała w tę piosenkę.

— To chłopskie... — myśli — to chłopskie. Pan Porzycki wyśmiewał się, że Mokotów to ni pies, ni wydra, a przecież tu jest zboże, i maki, i taka dziewczyna, co po chłopsku śpiewa.

I znów rozjaśnia się Picie w sercu. Myśli, że opowie Tarnawiczowi, gdy przyjdzie po obiedzie na lekcyę, że słyszała dziś chłopskie śpiewanie. On się z niej nie wyśmieje, jak Porzycki. Jego także Mokotów zachwyca. Radość jego, gdy Tuśka zawyrokowała wreszcie, że lekcye Edka nie będą przerwane, nie miała granic. Pierwszy raz, gdy zjawił się w sadku, był prawie wzruszony. Mówił, że nigdy nie był „na wsi", że pierwszy raz widzi zblizka „wieś". I ciągle z drzew, z krzewów przenosił wzrok na Pitę—ciągle powtarzał jakimś zmienionym głosem.

— Boże! jakie to wszystko ładne!..

Jego biedne płuca, takie zmęczone, takie zatkane, wciągają w siebie trochę czyściejsze powietrze.

— Jak tu pachnie!..

— Prawda? — mówi uradowana Pita.

Więc Pita wie, że gdy Tarnawiczowi opowie, że słyszała, jak chłopi śpiewają, on ją odczuje i zrozumie. Porzyckiemu nic nie powie.

Podniesiona na duchu, idzie znów swą zieloną falą. Rosa moczy jej opuszczone ręce, które muskają lekko wierzchołki roślin. Rozkoszne uczucie dziwnej świeżości przenika ją całą i płynie przez ramiona ku górze. Czuje się młodą, stojącą na progu życia, zda się brak jej skrzydeł u ramion, aby wzbiła się pod strop niebieski i zawisła w przestrzeni.

— Tam jeszcze musi być świeżej, jeszcze cudowniej! — myśli.

Pragnęłaby zobaczyć skowronka, ale napróżno patrzy ku górze, skowronka nigdzie niema.

— Może jutro! — pociesza się i zwraca oczy ku ziemi.

Ogarnęła wzrokiem ubrylantowane pola.

— Co za brylanty!.. aż się palą.

I nagle powstaje w niej chęć.

— Umyję się w rosie... umyję się...

Pochyliła się.

Zanurzyła ręce—dokoła tyle rosy. Nabrała ją w muszle swych dłoni. I oto myje się, jak kotek, myje łapkami małą buzię. Śmieje się cichutko. Włoski jej spadają na twarz, ona je odpędza, jak złotą przędzę, która ją omotuje.

— Ach! idź!.. idź!..

I znów pochyla śliczną twarzyczkę, która cała zaróżowiła się, jak kwiat wodą skropiony. Z ramion zsunęła się jej matinka, zsunęła się jej koszulka. Jedno ramiączko rozpięło się, i oto widać delikatną paszkę i początek dziewiczej okrągłej piersi. Ona nic nie czuje, nic nie widzi — cała radosna, rozpromieniona — skąpana w tej rosie, którą podaje jej zielony gąszcz kwiatów, tą rosą skropionych, a smukłych jak ona.

Białe drobne motyle zawisły tam ponad tą złotą głową. Fruwają drżąc dokoła. Jakiś błękitny jeden motyl zaplątał się między śnieżny krąg.

Wiedzie cały tan tuż ponad złotemi włosami Pity.
Jak świeżo!
Jak młodo!
Jak czarownie!...

. . . . . .

Z domku wybiegła zaspana Marcysia. Kopnęła balję leżącą pod parkanem i odłożyła okiennice.

Opodal domu stoi wielka altana, obrosła dzikiem winem, w której Żebrowscy jedzą i cały prawie dzień przesiadują. Do tej altany Marcysia niesie dymiący samowar. W oknie domku ukazuje się twarz Żebrowskiego, który systematycznie zaczyna się golić.

Edek: rozciągnięty na żelaznem łóżku, doskonale odtwarzającem część legendy o Madeju, chrapie w sionce, dzielącej domek na dwie połowy. Kuchnia stanowi rodzaj przystawki i jest połączona zewnątrz drzwiami z pokoikiem, który zajmuje Pita. Drugi pokoik jest sypialnią małżeńską. Żebrowski bowiem sypia na letniem mieszkaniu i co rano drobnym kroczkiem maszeruje do biura. Zachodzi na Warecką. Gdy będzie deszcz, spać będzie w naftalinie i paczuli. Tak powiada. Lecz teraz niema przyczyny. Tuśka milczy i odwraca się coraz więcej do ściany, na której wisi paw', aby zamaskować szerokie szczeliny, przez które widać parkany.

Wogóle Tuśka staje się jakąś zaciętą i milczącą. Natomiast na twarz jej jakby przylgnęły gorączkowe wypieki. Wie, iż Żebrowski zaprosił na Mokotów Porzyckiego. Aktor zaproszenie przyjął chętnie i przyrzekł, że jednej niedzieli „wpadnie"...

Dziś właśnie niedziela, a więc kto wie...

Z domku, za Marcysią wysuwa się Tuśka. Jest odziana w szafirowy kretonowy szlafrok i rozgrzana od snu. Włosy po dawnemu opuściła na plecy. Wogóle jakaś w niej tendencya do pewnych zmian jakby na korzyść. Te włosy już wystarczają. A potem niema na nogach filcowych pantofli. Kupiła szare płócienne półbuciki, zgrabne, z obcasami i chodzi w nich od rana. A dziś jeszcze ma włosy zawinięte na duże papiloty skórzane. Rzecz dawna, od Zakopanego nie praktykowana przez Tuśkę. Czyni to jednak z jakiemś zakłopotaniem, jakby chciała się usprawiedliwić z tego postępku. Lecz Żebrowski nie zwraca na to uwagi. On także jest jakiś skoncentrowany w sobie. Także jakby na coś oczekiwał, czegoś pragnął, przed czemś się wahał. I on zabrał z Warszawy kilka jasnych krawatów i tłumaczy się niezgrabnie:

— „Gorąco w ciemnych."

Tuśka czemprędzej dodaje.

— Gorąco. Ja żałuję, że kazałam sobie porobić szlafroki z kołnierzami... Tu niema nikogo. Mogłabym chodzić z odkrytą szyją.

I po chwili, patrząc w okno, jakby do siebie.

— A gdyby ktoś przyjechał, mogłabym zawiązać wstążkę.

Żebrowski ramionami wzrusza.

— Któż może przyjechać!

— No... Porzycki.

— E!

— Co?

— Co właściwie Porzyckiego to może obchodzić?

Tuśka przygryza usta.

— Może... ale *mnie* obchodzi!

Nie mówią już nic. Nie patrzą nawet na siebie. Tuśce tylko wargi drżą. Kolejka wilanowska w oddali gwiżdże. Edek nazywa lokomotywę tej kolei „krową". Tuśka ciągle myśli, że tą „krową" nadjedzie Porzycki. I serce jej drży, ściska się. Sama nie wie bólem czy innem uczuciem. Wie tylko, że jest z nią źle, że jest jakby szarpnięta za struny wszystkich nerwów i że te nerwy drżą.

To wie i dlatego na twarzy ma już dwie różowe plamy, a na ramiona jej spadają włosy i nad czołem jej sterczą papiloty.

Oto stoi przed domkiem i patrzy. Lecz jakże inaczej niż Pita. Ona patrzy na ten sad i cierpi, że jest taki mały, taki skromny, taki żaden. Tak jak na Wareckiej do szaleństwa odcierpiała bytność Porzyckiego, tak samo i tu cierpi na myśl, że zobaczy ją w tem ubóstwie, w tej ciasnocie, na śmiesznej „willedżiaturze", w której wszystko jest według niej karykaturą tego, co być powinno. Do bólu jej tragedyi miłosnej przyłączyło się bowiem koordynacyą zwykłą u kobiet uparte wyobrażenie, jak ona się przedstawia w otoczeniu danej chwili. I szaloną przenikliwością, także tylko kobietom właściwą, widzi *siebie* i widzi to, co jest *dookoła siebie*. Każdy drobiazg, każdą śmieszność, tę balję, o którą się potyka, tę kuchnię ziejącą przez otwarte okno wonią tłuszczu, tę Marcysię rozmamaną, bosą, którą nie jest w możności ukryć za firaneczką muślinową, bo dziewka zrywa ją z okna pod pozorem, że „nic nie widzi."

— Ach!.. co za piekło — myśli Tuśka.

Oto Żebrowski wylał wodę namydloną przez okno i obielił winograd już cały zabielony i brudny od tych mydlin, wylewanych systematycznie „na dwór". A ten winograd jeszcze jako tako maskuje ściany i dodaje wdzięku domki. Tuśka zaciska zęby i odchodzi na ścieżkę. Dostrzega Pitę wśród szparagów. I mimowoli uderza ją wdzięk dziewczynki, różowej i złotej w tej zielonej, delikatnej roślinnej fali. Jest to jedno mgnienie oka.

— Pita! zajmij się śniadaniem! — woła prawie surowo.

Dziewczynka, z buzią jeszcze wilgotną od rosy, smutnieje, wyrwana ze swej ekstazy i biegnie ku altanie, aby układać w drucianym koszyku bułki i rozlewać herbatę.

Nad morzem zielonem zostały białe motyle i wiodą dalej swój taniec cichy i zawrotny, taniec w pyle złotym i tęczowych odblaskach rosy.

Tylko ten jeden błękitny, tak błękitny jak oczy Pity, pofrunął za dziewczynką, wpadł za nią do altanki i tam kręci się dokoła niej, ponad jej złotą głową, tak blizko, że

aż skrzydełkami gazowemi trąca o delikatną pelę jej cudnych włosów.

. . . . . .

I oto słońce zachodzi.

Od pola wracają Żebrowscy. Wyszli razem z „gośćmi" na spacer. Goście podwójni — Porzycki i Władka. Przyjechali po obiedzie, nawet dość późno, wtedy, gdy się ich niespodziewano. Pierwsza przyjechała Władka wyświeżona, ubrana dość elegancko, w białej płóciennej bluzce i lakierowanym białym pasku. Kapelusz zwyczajny Windhorst, opasany aksamitką, dobrany szczęśliwie. Miała minę nauczycielki z dobrego domu, albo panny dosyć dobrze urodzonej tylko bez posagu, która zrezygnowała z zamążpójścia.

Przywiozła pęk kwiatów dla Tuśki i paczkę babek śmietankowych „na nowe mieszkanie". Zaznaczyła tam odrazu, że nie przyjeżdża jako płatna robotnica, lecz jako ktoś z wizytą. Tak ją przyjęła Tuśka, a Żebrowski bardzo gorąco za „babki" dziękował i to w jakiś, dziwnie zmieszany sposób.

— Pani za dobra — powtarzał, poprawiając seledynowy w kropeczki krawat, a Pita patrzyła na ojca, dziwiąc się niepomiernie jego zachowaniu.

Zdziwiła się jeszcze więcej zachowaniu matki gdy na ścieżce od bramy ukazał się nagle Porzycki.

Tuśka, siedząca w altanie z Władką i Żebrowskim, porwała się nagle i wbiegła do domku. Tymczasem Porzycki witał się wesoło z Żebrowskim, który go z całą formą przedstawił Władce.

Lecz Porzycki zauważył, iż zna już Władkę. Widocznie nie zwiodła go płócienna suknia, ani dystyngowany Windhorst opasany aksamitką. Pita stała na uboczu, śliczna jak marzenie, w błękitnej kretonowej sukieneczce. Sukienka kosztowała nie całe dwa ruble, a Pita miała w niej pozór laleczki z „Opowieścl Hoffmana" i zdawała się cze-

kać na kogoś, któryby padł do jej nóżek. Tylko w oczach dziewczynki coś się tam więcej świeciło, niż w oczach lalki.

Coś więcej...

Znacznie coś więcej.

Do niej więc natychmiast zwrócił się Porzycki:

— A... panna Józia!

Dowiedział sie bowiem, że teraz czasem nazywa się tak Pitę. Podobało mu się to.

— Pasuje to panienkę na rycerza! — śmiał się, obrzucając z upodobaniem śliczną dziewczynkę wzrokiem.

Teraz z po za pleców wyciąga olbrzymie pudło cukierków.

— Po zakopiańsku, cukierki!—mówi, wręczając Picie słodycze.

Ona rumieni się radośnie. Bierze cukierki i teraz czeka, aby „po zakopiańsku" zjawiły się róże dla mamy. Tak bowiem było tam, za Bystrem. Dla Pity cukierki, dla mamy róże. Tak było zawsze. Nawet mama, która wyszła wreszcie z domku i która idzie ku altanie, zdaje się czekać na to samo. Patrzy bowiem na Porzyckiego i nagle odwraca oczy, które błądzić zaczynają po liściach drzew.

Pita czuje instynktem kobiety, że mamie musi być przykro.

Bo róż niema!

Więc Pita cichutko i jakby zawstydzona stawia pudełko z cukierkami na brzegu stołu, gdy Porzycki wesoło i hałaśliwie instaluje się na fotelu, a Żebrowski, rad z gościa, woła do Tuśki:

— A teraz mamcia da nam herbatki!

Wracają z pola.

Szeroką drogą idą we czworo.

Tuśka, Porzycki, Żebrowski i Władka.

Bokiem, z rękoma opuszczonemi, patrząc z ukosa na Porzyckiego, wlecze się Edek. Widocznie aktor nie przypadł mu do gustu. Powiedział już do Pity:

— To histrjon!..

Pita aż poczerwieniała, ażeby Porzycki nie posłyszał.

— Cicho bądź! — wyszeptała — to bardzo dystyngowany człowiek.

Lecz Edek uparcie powtarzał:

— To histrjon!

Teraz zdaleka obserwuje Porzyckiego i po swojemu wydyma usta.

Bokiem także, lecz znacznie wyprzedziwszy starszych, idzie Pita. Biegały razem z Władką brzegiem zbóż i narwały trochę bławatków i maków.

Władka nadzwyczaj zręcznie zrobiła dwa małe pęki, przymieszawszy trochę spadających kłosów i przypięła je Picie po obu stronach twarzyczki.

Śliczne jej rysy zyskały w tem obramowaniu świeżego kwiecia jeszcze na wdzięku. Gdy tak wynurzyła się na tle dziwnie wybujałego zboża w swej błękitnej sukience z obnażoną szyjką—była tak czarująco piękna, iż Porzycki przystanął na chwilę i patrzył na nią z lubością.

— Wiochna!—wyrzekł nareszcie—daję słowo honoru, wiochna.

Nikt nie potwierdził tych słów. Tuśka ciągle była wzruszona i milcząca. Żebrowski z roztargnieniem śledził Windhorst, opasany czarną aksamitką. Edek pluł i wargę wydymał. Władka podeszła do szeregu i podała każdemu po bławatku.

— Dziękujemy! — odpowiedział śpiesznie Żebrowski.

I znów szeregiem ku domowi iść zaczęli.

Drogą mijali ich nieliczni przechodnie, chłopi powracający z Warszawy, cykliści. Czasem przewlokła się dorożka, wzbijając tumany kurzu. Tuśka mimowoli przypominała sobie zakopiańskie spacery i ogarnął ją szalony ból za „tamtą" chwilą. Lecz całą siłą woli ściągnęła się ku teraźniejszości. Obok niej szedł *znów* Porzycki i to powinno jej było wystarczyć.

W całym chaosie uczuć, jakie opadły ją całą, nie umie zdać sobie sprawy, co w niej przeważa: czy radość z jego niespodziewanego powrotu, czy rozpacz z sytuacyi, w jakiej znów się znajduje.

Do tego w dodatku przyłącza się ciągłe utrapienie chęci wydania się lepiej, nad możność, nad to czem jest w istocie. Chęć ta zaczyna się od drobiazgów, które nie mniej wzrastają do rozmiarów ważnych faktów. I teraz idzie obok Porzyckiego, ściskając w ręku parasolkę, tak, aby nie mógł dojrzeć, iż jest nie świeża, i myśli jednocześnie o bólu, jaki odczuwa w sercu i o tem, czy Marcysia dobrze odgrzeje kotlety z obiadu i czy dostanie sałaty, po którą kazała iść na wieś i przynieść za jakąkolwiek cenę.

Miałaby ochotę posłać Edka na poszukiwanie sera szwajcarskiego, bo wie, że Porzycki ser ten nadzwyczaj lubi, ale mina nieprzychylna, jaką Edek obrzuca „histrjona", nie zachęca jej do tej propozycyi.

— Nieznośny chłopak! — myśli Tuśka — nieznośny!.. a brzydki, jak on wygląda!

Czar elegancyi jasnej i czystej, właściwej Porzyckiemu, zaczyna na nią działać. Coś ze „sztuki", z kultu „Piękna", przejawiającego się nawet w zewnętrznych drobiazgach, a o który otarła się przez czas jakiś, zaczyna na nią działać. Nie patrzy nawet na męża. Zna go dobrze i wie, jak wygląda. Ale ten syn krostowaty, zgarbiony, nędzny—zobaczyła go dziś, jakby po raz pierwszy na tle zieleni i w porównaniu z Porzyckim.

Jakże mu daleko do owego pazia w aksamitnej bluzce i koronkowym kołnierzu, którego fotografię pokazywała aktorowi przez okno zakopiańskiej chałupy!

Byłaby dużo dała za to, aby ten Edek inaczej wyglądał, gdyż subtelnością swoją, w gruncie eleganckiej kobiety, odczuwała, iż ten syn, niemający nic wspólnego z estetyką, nie upiększa ją wcale.

— A potem... wzięłam tylko kolorowe obrusy i serwetki—przemyka jej przez głowę. — To będzie wyglądało, jak w szynku.

I prawie jednocześnie całą duszą powraca do ostatniej chwili rozstania w wagonie.

Przytulił jej Pitę do piersi, kwiaty ułożył w siatce i odszedł.

Ten sam, który znów jest obok niej...

Boże! Boże!

. . . . . .

Już są po kolacyi.

Poszła lepiej, niż Tuśka się spodziewała.

Marcysia dostała sałaty, śmietany, rzodkiewki.

Władka dopomogła do nakrycia stołu—zrobiła abażury z jakichś kawałków zielonej bibuły do kloszów, w których paliły się świece, ubrała stół liśćmi. Okazało się, że w sklepiku można było dostać sardynek, piwa, salami i szynki... Cukierki Pity stanowiły deser. Poziomki pachniały na salaterce. Porzycki jadł za czterech, pił wódkę i piwo, śmiał się na całe gardło. Żebrowski był bardzo ożywiony i gościnny. Zjadł prawie wszystkie babki śmietankowe i za każdą zwracał się z wdzięcznością do Władki:

— Dzięki pani dobrodziejce!..

Ona ciągle w Windhorście, jakby przyklejonym do głowy, nabierała pewnego uroku w zielonawem świetle abażurów. Dzioby jej ginęły gdzieś, rozpływały się. Tylko uśmiechała się coraz częściej, błyskając bielą zębów.

Pita siedziała naprzeciw Porzyckiego i obserwowała go pilnie. Zastanawiała ją mianowicie rzecz jedna. Dlaczego on, mimo swych trywialnych dowcipów i wyrażeń, mimo zbyt głośnego mówienia i pewnej okrągłości tuszy, wydawał się jej zawsze szczytem dystynkcyi i elegancyi. Jemu darowała chętnie wszystko, bo ruchy jego były miękkie i wytworne i pozy wielkiego pana.

— Cóż rządca w porównaniu z nim!—przemknęło jej przez umysł—cóż rządca!

Tuśka cofnęła się w głąb, oparła głowę na ręce i milczy. Ona także patrzy na Porzyckiego i wsłuchuje w dźwięk jego głosu. Przeżyła z nim jako z marą, z widmem, lata całe i teraz napawa się jego istnieniem pół przytomna i oszołomiona. Byle jej tylko nie kazali nic mówić, byle jej tylko nie kazali się odezwać.

Z po za parkanu, z bardzo daleka dolatują dźwięki fortepianu.

— Co to?—pyta Porzycki.

— To... Marcelin.

— A! Marcelinek!

— Tak, tak...

Mężczyźni uśmiechają się tajemniczo. Porzyckiemu błysnęły oczy. Odwrócił się w stronę parkanu.

— Marcelinek!...

Jakaś skoczna polka klekoce wśród szumiących leciuchno liści.

— Bawią się...—śmieje się Porzycki.

I nagle dodaje wesoło:

— Trzeba nam tam kiedy pójść całą bandą. Co?

— Hi! hi! — chichocze Żebrowski.

— Och! — myśli Pita — jakbym chciała! jakbym chciała!

Czeka, że matka coś odpowie, lecz matka zaszyła się w cień pod liście winogradu i milczy.

Polka ucichła. Nagle jakieś głosy płyną wzdłuż parkanu.

— Goście spacerują! — objaśnia Żebrowski.

— Spoj czto nibud', gałubczyk...—mówi jakiś ochrypły głos.

— Boh z taboj!

— Spoj!

Wicher przestaje kołysać liśćmi. W altanie cisza.

I z po za parkanu wznosi się sentymentalny, dziki i dziwny cygański śpiew:

Razdieli sa mnoj ty dolu...
Grust', pieczal, tasku maju...

Ostrogi brzęczą.

— Spoj!

Daj napłakat' sa mnie w wolu...

— Spoj!...

Aż boli od rozpaczliwego drżenia tego głosu.

— Spoj!.. — powtarza chrypliwy bas.

Szablami po parkanie przejechali, aż pochwy dzwonią.

— Spoj!...

Porzycki pochylił się nad stołem.

— Coś wam powiem... zapomniałem... mam nowe telegramy.

Z kieszeni wyjął zadrukowane świstki.

— Słuchajcie: „Dziś pancernik pojemności tylu to ton, noszący nazwę „Zwiezda", natknął się na ukrytą minę podwodną. Cała załoga..."

Zielonawe światło oblewa zasłuchane twarze. Cisza w drzewach, tylko ćmy obijają się delikatnie o jasną zieleń bibułki.

Za parkanem oddalają się dzwonki ostróg i głosy rozpaczliwe:

Pożalej ty żiźń maju!...

. . . . . .

I w tem wyciu dziwnem, oddalającem się z pobrzękiwaniem, w tem wyciu, gdzie słowa, ból, troska, niedola powtarzały się, jakby stały, ciągły podkład, było tak wiele grozy, że aż dreszcz od nich bił, dreszcz nieutulonej nigdy rozpaczy, nie znajdującej ujścia, nawet w cudzych łzach.

I dreszcz ten płynie po sercu Pity, a ona myśli:

— My jesteśmy tragicznym narodem... a czyżby i *oni* i... *oni?*

V.

Nie w niedzielę, jak to zapowiadał, ale we czwartek niespodziewanie zjawił się Porzycki przed małym domkiem w Mokotowie.

W altance rozłożyli się ze swą „nauką" Edek i Tarnawicz.

Gorąco było. Duże krople potu lśniły im na twarzach. Edek chciał zdjąć bluzkę, lecz Tuśka nie pozwoliła, twierdząc, że nie wypada. Mogły bowiem widokiem chłopca w rękawach koszuli zgorszyć się muchy, osy i motyle. Gorzej było z Tarnawiczem, który, biedactwo, nie miał letniej odzieży, lecz smarzył się w zimowej. Teraz, gdy zabrakło Mundka, garderoba Tarnawicza popadała w ciągłą niezgodę z sezonem. Przytem w ostatnich czasach chłopak zaczął fatalnie uciekać w górę, a więc odziany, zbyt krótko, nabierał coraz komiczniejszego wyglądu. Czuł to, i niezgrabność jego ruchów wrodzona, stawała się legendowa.

Szczególnie wobec Tuśki ginął formalnie ze zmieszania. Ona przecież nie patrzyła nawet na niego, imponując mu, jak królowa, w swych szlafrokach. Obecnie sama nożycami wykrajała u szyi otwory i wydostawszy koronkowy kołnierz, odsłaniała szyję nie tak nizko jak dawniej, ale jakby probując, czy może olśniewać białością swego ciała. Lecz kilka lat szczelnie zapiętych kołnierzyków oficerskich lub tak zwanych psich obróż *(collier de chien)* zrobiło swoje. Pewna żółtość i drobniuchna sieć zmarszczek na samej grdyce jakby przywarła do szyi Tuśki.

— Umyję benzyną, obłożę szafranem — troszczy się przed lustrem.

Do pokoju wpadła właśnie Pita. Głęboko wycięta sukienka odsłania delikatną szyjkę i kark. Aż ciągnie to oczy, takie to białe i gładkie. Mimowoli Tuśka wbija swój wzrok w ten nieskalany atłas.

— Jaka biała!... — myśli i coś tam koło jej serca kręci się dziwnie.

. . . . . .

Zaczyna się bowiem teraz dla Tuśki okres, którego ona sama nie oczekiwała, nie spodziewała się.

Pragnie nagle wydostać się z osłon, w które się spowiła dobrowolnie po rozejściu z Porzyckim. Zaczyna od owego kołnierza, który odrzuca pewnego ranka, a który zdawał się już przyrość do niej, aby ją ukryć dla porządań męskich. To samo stanie się z nią całą, z jej ruchami, głosem, sercem, pragnieniem, dreszczami, które przebiegać ją zaczną o ciszy nocnej. Wszystko to zacznie budzić się. Bo nie umarła w niej rozkochana. Ale śpi!

W dzwon alarmowy uderzył głos mężczyzny, ten sam głos, który ostatni zanucił swe *Salve Regina* pogrzebowe nad grobem uczuć, w który ją elegancko z bukietem kwiatów w ręce układał.

W dzwon alarmowy uderzył tryumfalny głos wiecznie uśmiechniętego i bez troski serdecznej, biegnącego przez świat Ahaswera.

W dzwon tryumfalny...

Och! to „kukuryku" na progu mieszkania na ulicy Wareckiej...

To marne, śmieszne „kukuryku"...

I oto dźwiga się z martwych uśpiony twór kobiecy.

Jeszcze nie wibruje, jak dawniej, bo całe szeregi dni i nocy straszną, nadludzką walką były dla niej—i ta harfa, która za wolą Porzyckiego rozdzwięczała się wszystkiemi

tonami rozkoszy nie śmie po prostu uderzyć znanym sobie hymnem wielkiego, czarownego cudu.

Lecz już tam szarpie się serce, niepokoją się nerwy. Po twarzy biegną płomienie. Ręce drżą. Ranek jest torturą i szczęściem. Słońce jest piękniejsze i wrogiem. Jakiś parter kwiecia, jakby otaczać zaczynał duszę Tuśki. Lecz ona go jeszcze nie widzi.

Czuje tylko, że jest, że te kwiaty były już koło niej raz w życiu i zna ich blask, zna ich piękno, wie, że kwitną coraz goręcej, coraz płomienniej sięgając aż do jej serca, do jej rozpalonej głowy.

Uderzył na alarm głos Ahaswera.

Płonie.

Płonie tam w oddali różowy blask jutrzenki.

Tuśka powoli, z przestrachem podnosi swe skamieniałe duchowe powieki.

Płonie blask jutrzenki!..

I mimowoli ruchem bezwiednym kobieta obnaża swe ciało. Z oddali niech choć biją na nią promienie.

— Otom jest!.. — woła w głębi — otom jest!..

Opadać zaczyna całun grobowy. Lecz grób zrobił swoje. Bez jutrzenki miłosnej jakby żółtość nieśmiertelników rozpostarła się na różowych blaskach piękności kobiecej.

A przytem, obok... och, obok, jakby z takiej płyty grobowej, na której wyryto słowo wielkie w życiu kobiety „abnegacja“ wytrysł kwiat, rozsiewający same blaski jutrzenki, kwiat biały, pocięty błękitną siecią żyłek, rozjaśniony czarem rumieńców, opromieniony pelą złotą włosów.

Twoja córka, Tuśko!..

Twoja *córka!*

. . . . . .

— Co on mi powie? od czego zacznie? — myśli Tuśka — przecież jakieś rozjaśnienie sytuacyi być musi. Tak nie może pomiędzy nami dwojgiem pozostać. Wszak

i w nim obudziło się wszystko. On tylko, jako aktor, umie się zamaskować lepiej. Lecz taka chwila nadejść musi Nie mógł mnie zapomnieć. Nie mógł. To było za silne pomiędzy nami. Teraz to widzę. On mówi, że przyjechał na występy. Ale kto wie. Może go tęsknota przygnała. On mógł to zrobić. Ja musiałam skuta pozostać na Wareckiej. Przecież tak często bywa, że lata całe walczy się z sobą, wreszcie biegnie się ku porzuconej istocie. Tak często bywa. Nieraz o tem czytałam i widziałam na scenie. Więc i to między nami może. Ja wiem, że gdybym była wolna pobiegłabym już nie raz za nim, choć zdawało mi się, że wszystko we mnie zamarło...

Tak myśli Tuśka, siedząc pod wielką jabłonią w sadku.

— Przyjedzie w niedzielę... przyjedzie w niedzielę.

Pita pobiegła w głąb sadu. Jest tam sadzawka. Cuchnie to, ale zawsze sadzawka. Na tej sadzawce jest nawet altanka, wzniesiona na palach na samym środku. Wygląda, jak pudełko ażurowe wycięte przez dziecko piłeczką. Lecz nie do tej altanki biegnie Pita. Ona sobie na stromych brzegach sadzawki wynalazła inny kącik.

W krzakach jakiejś rośliny, zwisającej długiemi gałęziami ku ziemi i poznaczonej masą liljowych gwiazdeczek, jest jakby gniazdo i do niego zwlokła Pita składane krzesełko, jakiś kawałek kocyka, parasolkę, koszyczek z robótką. Tutaj nawet ma swoje kartki dzienniczka, który postanawia pisać bodaj ołówkiem.

— W zimie przepiszę na czysto atramentem!

I tak siedzi sobie w tych liljowych gwiazdeczkach, w swej różowej matince. Na razie nie pisze, tylko patrzy w błękit nieba.

— Tak jakoś łagodnie się robi! — myśli Pita, zanurzając swe błękitne oczy w lazurze nieba.

I snują się jej myśli razem ze śniegiem obłoków, przelatujących nad jej głową.

— Po co to ludzie budują kościoły? Po co? Przecież sto razy lepiej, swobodniej można się modlić pod odkrytem niebem. Takie błękitne, czyste niebo to piękniejsze, niż kamienny sufit, a kwiaty cudniej pachną, jak dymy w kadzielnicach, a koniki polne ładniej dzwonią, niż dzwonki chłopców, służących do mszy.

Chwilę zamiesza się myśl Pity, jakby unieruchomiona i znów sennie dodaje.

— A potem jest się jakoś bliżej i *pewniej* Pana Boga!...

. . . . . .

Przez ten czas Tuśka pod swoją jabłonią patrzy w małe lusterko kieszonkowe.

— Do niedzieli może trochę odżółknie!.. — myśli — może. A zresztą źle wybrałam to siedzenie pod jabłonią. Przez zielone liście światło niekorzystne. Nie będę tu siedziała w niedzielę. Dziś mniejsza z tem.

— Lecz—nie mniejsza.

Bo oto aleją od bramy idzie Porzycki, zawsze jasno odziany i w ręku niesie jakiś biały pakiecik.

— *Salve di mora casta pura!*—śpiewa swoją włoszczyzną.

Tuśka porywa się z leżaka.

— Pan? pan?

— *Ja—ich bin's.* Nie mam próby, więc pomyślałem, że dobrze będzie zajrzeć na Mokotów. Zadługo mi było czekać do niedzieli.

Na Tuśkę uderzają ponsy. Powiedział, że zadługo było mu czekać! Jakże dobrze zrobiła, kładąc nowe, popielate półbuciki i myjąc tak starannie i szlifując paznogcie. Będzie musiała teraz ciągle być „pod bronią"...

Rozpromieniona wita go wesoło.

— Dobrze pan zrobił!... dobrze!

Drży jednak i zaraz zasłania ręką szyję gestem, który teraz pozostanie jej już właściwym. Taki mały tragiczny gest kobiety, która mimowoli ukrywa to coś, od czego zaczyna się jej widoczna ruina.

Prześliczny młody podbródek nad siateczką zmarszczek, zebranych w gwiazdkę na środku szyi.

— Gdzież ja pana posadzę?

— Och! u swoich stóp.

Porzycki zrzuca palto, odwraca je podszewką, siada na niem w trawie, tuż u nóg Tuśki, która coraz więcej jest rada z włożenia nowych bucików.

— Spotkałem *naszego męża!* — mówi, śmiejąc się Porzycki. — Biegł ogromnie zacietrzewiony przez Miodową na Długą.

— Na Długą? — pyta Tuśka — cóż on tam mógł robić?

Porzycki mruży jedno oko.

— Opuśćmy ustęp ten...

— Na Długą?

— Może do jakiej pięknej, a mało okrutnej.

Tuśka otworzyła oczy.

— Kto?

— No... nasz mąż...

Ukłóło ją to mocno, iż Porzycki z tak lekkiem sercem nazywa Żebrowskiego „naszym mężem." Nie szło jej tu o męża, który w ten sposób był ośmieszony. Szło tu o niepojętą lekkość, jaka się w tej sprawie w Porzyckim przejawiała, a która szarpała jej sentyment, z jakim znów ona o tej sprawie myślała.

Odpowiedziała więc z dużą dozą zachmurzenia.

— Czy pan mówi o *moim* mężu?

— No, tak. O panu Żebrowskim.

Nie stracił ani na chwilę fantazyi. Zdawał się nie rozumieć nic z tego, co Tuśkę dręczyło.

Śmiejąc się, dorzucił:

— Cicha woda... pani wie. Może coś tego...

Tuśka ściągnęła brwi i uśmiechnęła się ironicznie:

— Prędzej uwierzę, że ten kamień ożył! — odparła, wskazując jakiś kamyk, sterczący w trawie. — Mój mąż nie ma czasu, ani temperamentu na sentymenty.

Porzycki zaśmiał się wesoło:

— Żony o takich sprawach nic nie wiedzą.

— Żony?

Naturalnie... one. Tak, jak mężowie nic nie wiedzą o temperamentach żon. To innym przypada dowiedzieć się, co w trawie piszczy. Co? ha?

Tuśka spłonęła cała rumieńcem. Chciała nagle krzyknąć, zamknąć usta Porzyckiemu własnemi dłońmi, zawołać: „Milcz!", lecz siedziała jak wykuta z kamienia. A tylko w niej wszystko drgało, jakby jakimś strasznym, okropnym zawodem. W niej wzbierało całe morze uczucia, radaby łzami gorącemi opowiedzieć, ile bólu szło z nią lat tyle, a tu słyszy żarty... żarty i to właśnie w tej sprawie...

Inni dowiadują się, co w trawie piszczy!...

Nagle Porzycki spojrzał na nią i uśmiechnął się po dawnemu.

— Utyliśmy! — powiedział, przypatrując się jej całej — utyliśmy wcale, wcale. Za dużo się jada, może na kolację, a to niezdrowo. Ja także zacząłem tyć i przestałem jadać dużo na kolacyę. Dusiło mnie potem i sypiać nie mogłem.

Nie odpowiada mu nic. Wcisnęła paznogcie w poręcz leżaka i słucha.

— Dawniej nie uważaliśmy na to. Pamięta pani? Jedliśmy jak nic sardynki, nawet homary na noc? Pamięta pani?

Tuśka milczy. Pamięta pocałunki, nie sardynki, nie homara...

Lecz Porzycki porwał się i przykląkł w trawie:

— No, w Zakopanem... pamięta pani?... Naszą maszynkę na rogu komody i ciastka od Płonki, i gaździnę, i wszystko, co?... w Zakopanem...

Padło wreszcie to słowo, to wielkie słowo:

W Zakopanem.

. . . . . .

Och, noce błękitne... och, błękitne noce!

Noce, w których smugami płynęły rozwiewne chwile, nieprzepomniane, nieodtęsknione.

Dwie pary źrenic naprzeciw siebie, dwoje ust, tuż blizkich, jak kwiaty na grzędzie jednej płomienne i drżące.

Ręce złączone, jakby je owinęła wstęga złocista, spływająca od dłoni cheruba, który bez szelestu zawisł pod kopułą z błękitnego srebra.

I harfy dwóch ciał, wibrujących z osobna, a przecież jednym harmonijnym dreszczem.

W oddali mdleją kontury gór.

I mdleją tych dwoje rozmodlonych w sobie.

Och, noce błękitne... och, błękitne noce...

. . . . . .

Tuśka chce powiedzieć „pamiętam", ale nie może, nie jest w stanie. Opuściła głowę na piersi, zacisnęła rękę koło szyi.

Pamięta! pamięta!..

Boi się spojrzeć na niego, boi się. Lęka się, że gdy ich oczy się spotkają, wykwitnąć może pomiędzy nimi dawne uniesienie, które pchnie ich jedno ku drugiemu.

I prawdziwą ulgę czuje, gdy Porzycki zrywa się z ziemi i zupełnie swobodnym głosem zapytuje:

— A gdzie nasza panusia?

— ?...

— No... panna Józia.

— Ach! Pita!

— No... tak. Ale to już panna. Jak to wyrosło! Jakie to cacko! Niezadługo zięcia wam przyprowadzi.

— Och! jeszcze czas.

— No... no... zaręczyć się już może. Jakby się kto trafił, to się przecież nie będziecie certowali. Powiadam... cacko.

— Bardzo mizerna.

— Gadanie austryackie. Delikatna, zwiewna, *svelte*, no... coś królewskiego, coś z Jugend.

I z gestem nieokreślonym Porzycki dodaje:

— Dla mnie cud!

Tuśka wzrusza ramionami:

— Niechże pan jej tego nie mówi.

— Dlaczego?

— Bo dziecku nie trzeba w głowie przewracać.

— E! ale *kobiecie* można. A to już kobieta. Gdzie ona?

— Nie wiem!

— Ja jej poszukam. Przyniosłem jej nadziewane landryny. Mówiła, że lubi. Całą Warszawę zbiegałem, aby takie landryny znaleźć.

— Pan za dobry. Proszę... niech pan nie dźwiga dłużej tej paczki. I tak idę zarządzić podwieczorek. Zaniosę do domu.

Lecz Porzycki broni paczki:

— Nie, nie. Ja sam wręczę z należnym ceremoniałem. Niechcę się pozbawiać przyjemności sprowadzenia na buzię Pity uśmiechu. Ona się tak pięknie, *tak młodo* uśmiecha!

I nie czekając na odejście Tuśki, Porzycki biegnie alejami sadu, wołając:

— Panno Pito! panno Józiu!... landryny! świeże landryny!..

Tuśka stoi i patrzy chwilę za nim.

— Zupełnie jak dawniej!—myśli—jak dawniej biegł z cukierkami, wołał!

Oczy przymyka. Uśmiecha się wdzięcznie:

— Jak dawniej!

Z krzaków wyłania się ku Porzyckiemu coś różowego, złotego, zwiewnego.

— Pan mnie woła? — dźwięczy po przez liście drzew śliczny głosik.

— Tak... panią!

Porzycki zatrzymał się na środku alei i patrzy w stronę sadzawki, zkąd całą łąką zieleni, porosłej liljowemi chabrami i bielą kulbaby, nadciąga urocze zjawisko.

— Oto... landryny.

Wolno podchodzi i Tuśka.

Stanęła opodal Porzyckiego. Tak fałdy szlafroka ułożyły się, że jest prawie smukła, a podniesiona trochę w górę głowa wygładza jej szyję.

Lecz on patrzy na Pitę, która jest rzeczywiście jednym cudem rozkwitającej wiosny. Biegnąc trochę niezręcznie porusza rączkami, jakby fruwała. Szerokie rękawy matinki przecinają powietrze za nią. Czyste jutrzniane skrzydła. Delikatny rumieńczyk wykwitł na jej twarzyczkę. Rozchyliła usta, jakby już gotowała się do połykania cukierków. Oczy zdaleka błękitnieją. Ni to turkusy, ni to odblask nieba.

Och, cudna, cudna, dziewczynka!

Porzycki, jakby wchłaniał w siebie czar tego zjawiska. Nieznany, dobry uśmiech, pozbawiony cynizmu, okolił jego twarz łamliwą, aktorską. Odwraca się do Tuśki i wskazując Pitę, mówi znów jedno słowo:

— Wiochna.

. . . . . .

Idą znów o zachodzie słońca wązką ścieżką.

Lecz jest ich mniej Tylko czworo. Przodem Pita i Tarnawicz, po za nimi Tuśka i Porzycki. Wyjątkowo świetnie usposobiona Tuśka łaskawie zwróciła się do Tarnawicza:

— Niech pan się z nami także herbaty napije.

Uczniak szastnął nogą, uszczęśliwiony. Tylko pomyślał z rozpaczą, że ma brudne paznogcie. Postanowił umiejętnie manewrować rękoma. Natomiast Edek jakoś się odął, zobaczywszy Porzyckiego.

— Pan nie gra dzisiaj?—zapytał mrukliwie.

— Nie. Dopiero za tydzień zaczynają się moje występy.

— Czy pan gra w ogródku?

Porzycki parsknął śmiechem:

— Ależ nie. W rządowym.

— To szkoda. W rządowym mamuty. W ogródku szopa, ale nie mamuty. A zresztą tu i tam...

Chciał dorzucić coś niezbyt grzecznego, lecz przerwał mu Tarnawicz:

— Mój Edku, ty się nieznasz.

— Djabła tam! — odparł Edek.

I poszedł w ogród.

— Dlaczego on taki śledziennik?—zapytał Porzycki.

— To u nich taka moda w ich klasie — odparł Tarnawicz.

— A...

— Tak. Każda klasa inną modę sobie przybiera.

— A... u panów?

Tarnawicz poczerwieniał.

— To młodzi. My mamy ważniejsze sprawy, my drobiazgami się nie zajmujemy.

— To pięknie.

Tarnawicz obejrzał się dokoła.

Na progu altanki stała tylko Pita z obrusem do kawy w ręku i patrzyła pilnie w Tarnawicza.

— My nie wiemy, czy to pięknie — wyrzekł jakimś nieznanym, twardym głosem—ale my wiemy, że to konieczne. My niemamy czasu do tracenia!

Porzycki głową kiwał.

— Tak, tak. Należy przedewszystkiem nauki pokończyć.

Coś przemknęło w źrenicach Tarnawicza.

— Nietylko nauki.

— ?...

— My musimy myśleć.

— Zapewne. Ale za was starsi pomyślą. Wy się uczcie. A jak wam czasu starczy... bawcie się.

Tarnawicz wbił w Porzyckiego swe wielkie, smutne oczy.

— Co pan mówi!... co pan mówi!...—wyrzekł po chwili.

— To, co myślę.

— To smutne!

— ?...

— Pan nas nie zna. Pan nic nie zna. Myśleć musimy *my*—i za siebie i za starszych.

— Och!..

— Tak jest.

— To za dumne twierdzenie. Pozwólcie nadal, aby został taki porządek, jaki był... Jajko i kura.

Tarnawicz ciągle uparcie oczy wbite w aktora trzymał.

— Ach, jak smutno—powtarzał.

— A no właśnie... dla tego wam smutno, żeście zawcześnie zmądrzeli. Nie chcecie być młodymi.

Nieokreślony uśmiech pogardy okolił zwiędłe przedwcześnie usta chłopca.

— Młodymi?—powtórzył przeciągle.—A cóż w ciemnicy jest młode? Borykać się dodaje sił? Co pan mówi! co pan mówi!...

Porzycki upierał się przy swych komunałach.

— Nie borykajcie się. Pracujcie!

— A jak tu pracować bez walki? Co pan mówi! co pan mówi!..

Nagle Porzycki zrozumiał głębię słów Tarnawicza.

— Ach, tak... prawda!—wyrzekł powoli.

Zapomniał, że miał przed sobą nie dziecko, rozkwitłe młodością i garnące się do życia z uśmiechem i wiarą, lecz istotę zgnębioną od drobiazgu, wlokącą się z torni-

strem, który nienawistnemi szponami osiadł mu na karku i dławił, dławił lata całe.

Zapomniał, że ma przed sobą jednego z tych, którzy biorąc w rękę pierwszą książkę, podaną przez „społeczeństwo", muszą zacząć się zastanawiać, dla czego czują, że to coś innego, nie to, co mają w sercu. Nagina się ich język, nagina się drobna duszyczka. I oto pyta—dlaczego? I oto myśli. I oto nie z piłką o jaskrawej barwie po alejach łazienkowskich biegnie drobny uczniaczek. On idzie z obcą książką i myśli: Dlaczego?... I w ślad za tem napada na niego strach, trwoga przed tą długą wieczystą walką, z samym sobą, z tem porwaniem się za kark i wleczeniem po innej ścieżce, niż ta, która była mu sądzona.

O tem myśli drobne, wątłe dziecko. Widzi przed sobą coś ogromnego, jakąś potęgę, jakąś moc, która na niego się wali. Ku niej iść musi. Ta moc nie ma w sobie ani na chwilę ciepła, ani swojego dźwięku. Przygniata go, jakby góry lodowe, które w maju z biegunów spływają. W ten maj jego życia pędzą kry ciemne, groźne i zimne. Dziecko kurczy się i trwoży. Dlaczego? Zkąd? W jednej chwili starzeje się i więdnie. Lód ciemny, czarny wszędzie. W lód ten wtłoczyć się sam musi.

Bawcie się!.. Bądźcie młodzi!..

Jakie dziwne, jakie okrutne słowa. Oskarżenie za te pochylone głowy? Za te przedwczesne rozwinięcie dusz, które dojrzewają chwilą, których tragedyą właśnie i nieszczęściem będzie to, że nie mają młodości?

Tarnawicze, Mundki, smutne chłopcy o dziwnych, tragicznych źrenicach. Bez krzyków i śmiechu przebiegacie wiosenną drogę waszego życia.

Otoczyła was nie *nuda*, jak sądzą ci, którzy w głąb waszą patrzeć nie umieją; was zrodziła melancholja, którą rodzice wasi wynieśli z łon waszych matek w chwilach powstania. Wyście kwiatami nie zła, lecz mogił!... W ojcach waszych było pragnienie jeszcze walki pierś o pierś—wy myślą już walczyć tylko pragniecie.

— O co pani właściwie chodzi? o moje *osobiste szczęście?*

— Tak, wogóle.

— Nie. Ja rozróżniam. Każdy z nas ma swoje własne nieszczęścia, i te są na drugim planie.

— Ach!...

— A pani myślała: bliższa koszula ciała? Ale i tamte, te inne, to są także takie blizkie, bo to także my wszyscy.

— Tak, jak Mundek.

— Właśnie. Więc o co pani chodzi?

Na twarzyczkę Pity wykwita rumieniec. Jest w tej chwili uosobieniem kobiecości.

— Naprzód o te pana własne biedy!—mówi cichutko.

Tarnawicz kiwa starczo głową:

— Jaka z pani nawskroś kobieta! — mówi z odcieniem goryczy.

— Pan się gniewa. Ale my potem będziemy mówili i o tych... mundkowych sprawach.

Tarnawicz uśmiechnął się z goryczą:

— Potem! potem! O mundkowych sprawach, jak je pani nazywa, mówi się naprzód. Przedewszystkiem.

— Ja chciałam pomówić z panem o matce pana, o siostrach, o...

— E!... co tam to wszystko. To są *drobiazgi.*

— !!!

— Tak to jest wszystko nic. *Drobiazgi!*

. . . . . .

Za nimi, za tym dwojgiem młodych, pnących się ścieżynką ku górze pomiędzy szarzejące w pół mroku krzak i burzany — idą Tuśka i Porzycki. Ona ciągle nerwowo podniecona, niemogąca sobie zdać sprawy z tego, czy jest szczęśliwa, on prawie ogarnięty melancholią, jakby przedwieczorną. Idzie, wbrew swemu zwyczajowi, milcząc i ścinając laską badyle przydrożne. Patrzy przed siebie na Pitę

i Tarnawicza, wreszcie odzywa się, jakby ze śmiechem, a właściwie z nieokreślonym wyrazem w głosie:

— Czy to flirt?

— ?...

— No... Pita i ten uczniak?

— !!!

— Niema co się dziwić! Zwykle tak bywa. Domowa panienka i korepetytor brata. To już tak w kontrakcie. Nie trzeba ich tak samych puszczać. To nie dobrze.

Tuśka brwi marszczy.

— Doprawdy — pan, Bóg wie co mówi. Pita i on? Przedewszystkiem, Pita jest dzieckiem...

Tuśka utknęła. Stanął jej w myśli rządca, rumieńce Pity, owe jakieś niepojęte sceny z włosami.

— A potem—kończy mimo to—potem pan zapomina: Pita potrafi dobrze przejść przez życie. *Jest moją córką!*

Zaledwie wymówiła te słowa, oblał ją war krwi.

Nie patrzy nawet przed siebie, nie widzi nic.

Powiedziała szablon, komunał i zasłoniła się nim, jak zwykle to robią matki.

A ten komunał zwrócił się ku niej i stał się jakby oskarżeniem, jakby moralnym policzkiem.

Tuśka nie patrzy na Porzyckiego, ale doskonale *widzi* wyraz jego twarzy, ironiczny... i czeka.

Niedługo czeka.

— No... tak... — mówi mężczyzna — choć, jeżeli ma temperament mamusi.

Padły te słowa, i Tuśka pochyla głowę nizko na piersi. On śmieje się:

— Wy, blondynki, jesteście bardzo zdradliwe. Niby to idealnie rozpajęczone, sentyment, coś tego, a tu nagle całe huragany. Co?... nie mam racyi?

Tuśka nic nie odpowiada.

I tak idą dalej.

. . . . . .

Ponad tamtem dwojgiem unosi się jakieś dziwne, rozpylone widmo.

Tarnawicz, mówiąc o rodzinie, rzucił słowo: „drobnostka.“

I nic nie zdoła określić wyrazu, z jakim wyrzekł to słowo.

Było w tem jakby zerwanie uczuciowe z tem, co do tej chwili w dziecinnych sercach stawiano na pierwszym planie. Ta miłość najwcześniejsza, jako fundament rozwielmożniała się u samych źródeł życia. Ona była tem pierwszem czemś Większem, które ogarniało ludzką istotę, wchodzącą w przedsionek życiowy. Powoli stawało się wszystkiem i było na długo słońcem, które grzało, oświecało, do którego zwracał się wzrok, słuch, ruch duszy dziecka.

I nagle mówi się o tem:

To drobnostki!...

Przechodzi się nad tą miłością rodzinną do porządku dziennego. Oczy biegną w dal.

Wytęża się słuch.

Dusza cała w napięciu.

Gest w pogotowiu.

Czyny większe w świtaniu.

Dzieci zwierają się w szeregi. Podtrzymują ramieniem.

Na drobnostki miejsca niema, tak silnie zwarte kolumny ich dusz. Gdy zwarły się razem — odczuły i porozumiały, nabrały sił. Czują się mocne. Mogą iść. Na drobnostki miejsca niema!

Ponad Pitą, nad Tarnawiczem płynie dziwna wizya.

Z daleka, z pomroki wieków wyłania się postać biała, bosa, postać w nieszytej szacie.

Idzie, cały wpatrzony w swój Przeogromny Czyn.

I mówi, a ręka jego ma senny gest:

— *Co jest wspólnego między mną a tą kobietą?*

Z pomroki wieków płyną te słowa!

Te wielkie słowa!

. . . . . .

Bo jest tam w oddali Czyn i reszta jest drobiazgiem.

Więc jakby już nic nie było wspólnego?

Lecz może to pytanie tylko — nie twierdzenie. Bo odpowiedzią twoją, o biała postaci bosa a królewska — odpowiedzią na to jesteś ty cały, ty który byłeś właśnie tą spójnią, wiążącą z sobą Potężne Duchy z ubogiemi drobiazgami, pełzającemi kornie w szarzyźnie życiowej.

Boś ty był—Miłością.

I o to jest wspólność twoja, pomiędzy tobą, Wielkim a tą kobietą.

Która ci była... matką.

I pierwsza ukochała płacz twój!

Płacz twój!

. . . . . .

Przed Pitą i Tarnawiczem w oddali, wynurza się wielki dziwny księżyc. Płaski, blady, pocięty chmurami, ogromny. Nie świeci, tylko w tem miejscu, jakby otwarło się niebo. I cisza dokoła.

W lasku, który widać z oddali, wszystko zamarło.

— Jak cicho!—mówi Pita.

Jakoś jej dobrze i błogo. To, co powiedział przed chwilą Tarnawicz, zapadło jej w serce, ale zarazem czuje, że to jej nie gnębi, nie rani. Rozpościera się tylko wielką myślą w jej duszy, jakby jakiś ptak, którego ona pozna powoli i odczuje jego głos. Tymczasem jest jej z tem dobrze, bo nie odnosi się do tego znania z szarpiącą ją ciekawością, lecz z łagodną chęcią wejścia wreszcie pomiędzy rzeczy konieczne, a do tej chwili, jakby przed nią zawarte. I ona ujęłaby chętnie rękę Tarnawicza i szła z nim tak ścieżką, a to pragnienie ocknęło się w niej dziwnie i nie sprawia jej żadnego zmieszania. Zdaje się jej zupełnie naturalne i jakby oddawna już w niej istniejące.

Tymczasem z lasu wynurza się jakaś ciemna postać.

Postać ta przybiera postawę zaczepną i czeka na drodze.

Jest to mężczyzna w kurtce i butach. Na głowie ma czapkę z daszkiem. W ręku laskę silną. Drugą rękę trzyma w kieszeni od kurtki.

Dzieci idą wolno — on na nie patrzy z pod ściągniętych brwi. Zastąpił im drogę do lasu.

— Przepraszam pana!—mówi Tarnawicz.

Mężczyzna nie usuwa się ani na krok.

— To zejdźcie i obejdźcie—mówi chrapliwie—jak was tak pili...

W tonie jego mowy, w jego spojrzeniu jest tyle pogardy, tyle cynizmu, tyle obelgi, że Pita instynktownie, a Tarnawicz z wiedzą aż drgnęli.

— Ho! ho!... takie młode, no—no...—śmieje się mężczyzna—idźcie tylko, idźcie...

— Proszę pana!

— A no... idźcie!

Gwizdnął dziwnie, jakby kto po szkle poskrobał.

Ogromny pies o brudnej sierści z lasu wyskoczył i obok niego stanął.

— A no... idźcie!

Na zakręcie ścieżki ukazała się Tuśka i Porzycki.

— A no!...—zaśmiał się mężczyzna — jeszcze i druga para! Szkuta się z nimi rozbiła. Paskudztwa!... Idźcie do lasu. Ja na was czekam!...

— Czego chce ten człowiek?—pyta Tuśka.

— Ja ci pokażę, czego chce ten człowiek! — krzyczy nieznajomy.

— My na spacer—tłumaczy Porzycki.

— Ja wam dam spacery! Nie mają na Marcelin i tu się przywłóczą.

Wszyscy, oprócz Pity, zrozumieli.

— Och, wracajmy!—woła Tuśka.

— Jak śmiesz?—zaczyna Porzycki.

Lecz w zmroku w rękach dozorcy błyska rewolwer.

— Ja was tu nauczę.

— Wracajmy! och wracajmy!

Tuśka chwyta za rękę Porzyckiego:

— Błagam pana!

Drży cała. Pita ma także łzy w oczach. Zawracają wszyscy. Coś wstrętnego stanęło pomiędzy nimi. Tuśka przypomina sobie ów trup w Zakopanem i suknię zwalaną błotem i krwią.

— To ohydne, to straszne!...

— Czego on chciał od nas?—zapytuje nieśmiało Pita.

Porzycki już odzyskał dobry humor:

— Nie chciał, żebyśmy poszli do lasu.

— Przecież tam nie rosną kwiatki! My nie zrobilibyśmy mu żadnej szkody.

Tuśkę ogarnia zdenerwowanie.

— Ach, cicho!... bądź już cicho!...

Wszyscy idą w milczeniu ku domowi. Gdy dochodzą do parkanu, dostrzegają w zmroku drobną sylwetkę Żebrowskiego, który powraca z miasta.

— Dobry wieczór!...

— A!... to pan!...—woła Porzycki. — Wyobraź pan sobie, poszliśmy na spacer i napadł na nas jakiś drab...

— Co?

— No taki silny jakiś drab.

— Szkoda, że mnie tam nie było!

Wszyscy patrzą na chudą, małą postać, stawiającą się odważnie. Porzycki parska śmiechem:

— A cóż pan by zrobił?

— Dałbym mu radę. Nie pamięta pan? W Zakopanem? W nocy? Jak to, panie, tego... mogły być i niedźwiedzie, a ja, panie dobrodzieju, nic...

— No! wie pan, lepiej się spotkać z niedźwiedziem, niż z takim panem z Mokotowa.

— E!...

Żebrowski wyciągnął chustkę do nosa i przetarł oczy.

— Taki węgiel na tej kolejce. Oczy wygryza.

Razem z chustką wypadło mu na ziemię kilka wycinków jakiejś gazety. Żebrowski tego nie zauważył.

Zresztą nie zauważył nikt, oprócz Pity, która z Tarnawiczem szła po za wszystkimi.

Dziewczynka schyliła się i zebrała rozsypane papierki.

— Co pani robi?—zapytał Tarnawicz.

— Tatce wyleciały z kieszeni jakieś papierki. Oddam mu później. Może potrzebne.

Tuśka troszczy się, co poda na kolacyę. Lecz Porzycki wzrusza ramionami.

— Z pani zrobiła się Marta... Tylko pani myśli o jedzeniu.

Uśmiechnęła się z przymusem:

— Muszę!—odparła.

— Ja jadę. Muszę być dziś w teatrze...

— A!...

Tuśce zdawało się, że ktoś na nią narzuca czarny welon.

Stanęli przed furtką sadu.

— Do widzenia! niezadługo!

Żebrowski ściska rękę Porzyckiego demonstracyjnie:

— Dziękuję za opiekę nad moją rodziną... Gdyby nie pan, kto wie, coby się stało?

— Och! był z nami pan Tarnawicz!—wyrywa się Pita.

Nikt jednak nie podnosi jej słów.

— Co pannie Picie przywieźć? — pyta Porzycki i zatrzymuje długo w swych rękach małą rączkę dziewczynki.

— Nic, proszę pana!...

— Ale przecież...

A Pita z nadzwyczajnym wdziękiem, śmiejąc się nagle po dziecięcemu mówi:

— Siebie, proszę pana!

Porzycki aż rozjaśnia się cały.

— Siebie? Ależ naturalnie, że przywiozę i to jaknajprędzej, skoro panna Józia tak każe. Co? Każe panna Józia?

Ale Pita już popadła w dawną nieśmiałość.

— No... jakże? Każe panna Józia?

— Pita może tylko prosić, a nie kazać!—odzywa się jakoś chłodno Tuśka.

— Niech będzie, jak chce, dość, że to wola Pity! Trzeba spełnić?

— Prośba nas wszystkich!...—dodaje z kurtuazyą Żebrowski.

Na parkanie zjawia się nagle Edek. Siedzi okrakiem i wydaje się w tem półświetle większy, czarniejszy, dziwaczniejszy.

— A kiedy będzie kolacya?—pieje z wysokości swym połamanym głosem.

Ale nikt go nie słyszy, bo wszyscy się żegnają z Porzyckim, który coś mówi wesoło, śmiejąc się hałaśliwie.

Wreszcie zabiera Tarnawicza i odchodzą drogą, prowadzącą do miasta, wysadzoną z jednej strony topolami, z drugiej odkrytą na poorane kretowiskami pole.

Pita odbiegła do domu, w ślad za nią idzie Żebrowski.

Koło parkanu zostaje Tuśka, która stoi nieruchoma i patrzy na znikającą coraz dalej na drodze jasnej sylwetkę Porzyckiego.

— Poszedł!—myśli—poszedł!...

Coś znów zaczyna się z niej wyrywać i wlec jakby śladami tych stóp.

— Poszedł!

Nagle z wierzchołka parkanu pieje znów połamany bas:

— Mamciu! kiedy kolacya? Ja głodny.

VI.

W niedużym pokoiku, zabielonym nierówno wapnem, przy łóżeczku składanem, żelaznem rozbiera się Pita. Duszno jest. Okiennice niewielkich okienek szczelnie zamknięte z obawy przed złoczyńcami. Pita często myśli, patrząc na te barykady, że dziwny układ społecznych sposobów życia

każe tak w jamy, w fortece zakopywać się jednym tworom przed drugiemi.

— Jak dzikie zwierzęta... zupełnie... a tak miło byłoby zasypiać, patrząc na niebo, zasiane gwiazdami, słuchać szmeru liści, oddychać powietrzem.

Naokoło Pity brzęczą komary, które nadciągnęły, gdy jeszcze okno było otwarte. Trzepocą się rozpaczliwie ćmy, obijają o belkowany sufit, tańczą jakieś zawrotne farandole dokoła świecy.

— Zupełnie jak ludzie... a zwłaszcza kobiety — myśli Pita.

Słyszała to zdanie niegdyś w teatrze Rozmaitości. Mówiono je w bardzo niegłębokiej sztuce, i aktorka, która je wygłaszała, siedziała, mówiąc, odwrócona plecami do publiczności. Pita doskonale zapamiętała frazes, intonacyę głosu i sylwetkę żółtawo ubranej kobiety. Teraz nigdy nie mogła ujrzeć ćmy, tańczącej koło świecy, aby to wszystko razem nie budziło się w jej głowie.

— Sił nie mają oprzeć się... widocznie...—kombinuje dalej, śledząc drgające płatki w zawrotnych kółkach — sił nie mają, tak ich ciągnie... Sił nie mamy... Ja pewnie także sił nie będę miała... i mnie pociągnie...

— Ale co? ale co?...

— Nie wiem sama. Jakby jakaś ogromna pustka, a daleko, daleko łan kwiatów cudownych. Pachną, wabią—tylko trzeba przez tę pustkę iść, iść...

Oparła głowę na rączce.

— I pójdę! Ale te kwiaty... co one? tam i łagodny jakby szept po nich wieje i coś jakby płacze, coś, jakby mój własny głos... A ten szept... ten szept...

Oczy jej przymknęły się leciuchno.

— Pan Porzycki czasem tak szepce.

Otrząsnęła się.

— Co ze mną? To pewnie aktorzy tak ślicznie umieją szeptać. Głos mają wyrobiony. Niegdyś tak mówił tatko.

Zaczęła się rozbierać.

Z po za staniczka wypadły wycinki z działu ogłoszeń w Kuryerze.

— Ach! to tatce wyleciały z kieszeni. Zapomniałam oddać.

Nachyliła się. Zebrała. Przez kobiecą ciekawość rzuciła okiem:

„Maszyna Singera, nożna, w dobrym stanie, tanio do sprzedania. Wiadomość ulica Długa №...“

I drugi wycinek:

„Maszyna Singera, prawie nowa, nieużywana, nożna, z powodu wyjazdu do sprzedania...

I tak dalej. Każdy wycinek był zawiadomieniem o maszynie Singera tanio do sprzedania.

Pita zdziwiła się niepomiernie.

— Po co tatuś chce kupić maszynę?—myślała—Nasza jest jeszcze zupełnie dobra. Wprawdzie raz mamcia powiedziała, że chciałaby mieć inną, ale ta jeszcze może szyć doskonale!

Poskładała papierki i schowała do pudełeczka.

— Mój Boże... jaki tacio dobry! — westchnęła — jak chciałby do tego domu wszystko jaknajlepsze. Teraz maszynę...

Ledwo przytuliła głowinę do poduszki, już zaczęła zasypiać.

— Oddam mu jutro te wycinki, w sekrecie przed mamcią, kiedy to ma być niespodzianka... Choć jestem przekonana, że mamcia wolałaby co innego.

. . . . . .

Ale Pita nie oddała ogłoszeń o maszynie Singera ojcu, bo zapomniała.

. . . . . .

W niedzielę od rana Tuśka nerwowo czyniła przygotowania na przyjęcie Porzyckiego. Marcysia dusiła w rynce

zrazy bite z grzybami, które miały się „odegrzać“ na kolacyę. Srebro, zastawa wyczyszczone aż się lśniły. Nowe abażury na świece, założone od rana, zieleniły się jak bajeczne kwiaty. Tuśka marzyła o ubraniu do kolacyi stołu kwiatami, lecz lękała się, aby nie zwrócić zbytniej uwagi wszystkich na uroczystość tych przygotowań. Przytem dobrze nie wiedziała, jak się to robi. Pierwszy i jedyny raz siedziała przy stole, ubranym kwiatami podczas swego ślubu. Od tej chwili kwiaty znikły z jej menu życiowego. Zastąpiła więc tylko przybranie stołu nowym serwisikiem do wódki, po który pojechała do Warszawy. Żebrowski przywiózł sardynki, ser, trochę szynki, jako przekąskę po wódce. I on był ożywiony i uśmiechnięty. Ubrany jasno, jakby odmłodniał. Ruchy miał nie tak drewniane. Po twarzy jego chwilami przesuwał się uśmiech prawie zagadkowy. Kilkakrotnie zwrócił się do Pity prawie pieszczotliwie, a raz powiedział jej:

— *Dziecinko*, przynieś mi gilzy z pokoju...

Pitę ucieszyło to i prawie rozrzewniło. Nigdy ojciec nie mówił do niej w ten sposób. I ten ton nizki, jakiś prawie ciepły. Chciała mu odpowiedzieć również, ale nieprzyzwyczajona, nie umiała na razie słów znaleźć. Pobiegła tylko do domu, szeleszcząc trochę zbyt krochmalną spódniczką i porwała pudełko z gilzami. W przelocie ujrzała, jak Tuśka ze szczególną starannością czesała i zapiekała włosy.

— Mamusia uczesała się dziś po zakopiańsku — pomyślała Pita.

I rzeczywiście Tuśka starała się być tą dawną Tuśką, złocącą się kaskiem włosów na werandzie w Płazowej chałupie. Odkryła zupełnie kark i starannie ufryzowała drobne włoski, wijące się po nim. I zdawało się jej, że jest rzeczywiście tą samą...

Tem kiciątkiem...

Które to płakać nie miało.

A tuliło się w sieni, płacząc z zazdrości do piersi aktora.

Lub, gdy srebro księżyca...

Tuśka silnie zatrzasnęła maszynkę do przypiekania włosów i zajęła się tualetą rąk. Od kilku dni śpi znów namaszczona gliceryną. Zaczyna być męczennicą kultu własnego ciała. Staje znów do walki. Nie chce być pokonaną. Zawiesiła lusterko na oknie. Bada pilnie twarz, każdą zmarszczkę.

— Dam sobie radę!—myśli.

Zaczyna czytać ogłoszenia kremów i pudrów. Ona, dawna tryumfatorka różowa i biała. Odkryła żółte lekkie plamy w kątach oczu.

— Zniszczę je!—myśli z zaciętością.

Niedziela zapowiada się dobrze. Wszyscy są w dobrych humorach i podnieceniu. Pita byłaby bardzo wesoła, gdyby miała pewność, że matka zapewniła Tarnawicza, aby spędził z nimi popołudnie niedzielne. Tymczasem już przy porannej herbacie w altanie ułuda jej się rozwiewa.

— Czy Tarnawicz dziś przyjdzie? — pyta Żebrowski.

— Nie.—odpowiada Tuśka.

Wykombinowała, że będzie Władka, więc do[illegible]ć jest dywersyi i może zamienić z Porzyckim kilka słó[illegible] doskonale na uboczu. Ten brzydki i nie dość czysto odziany korepetytor nie upiększa stołu. Dość już Edka, z którym musiała dziś staczać walkę, aby się ubrał i umył odpowiednio.

— Cóż to? szach perski zjedzie z Teheranu do Mokotowa?—zapytał Edek drwiąco.

Uczuł się nawet obrażony za Tarnawicza i pochłonąwszy śniadanie odszedł w głąb sadu. Rzucił się na trawę, na brzuch, zadarł nogi w górę i rwał garściami macierzankę, rosnącą dokoła. Zdaleka biły dzwony kościelne. Od żyta płynął chlebny, upajający zapach.

W ślad za bratem poszła Pita. I ona była zmartwiona. Tarnawicz wgryzał się jej w duszę. Zdawało się jej, że to jedynie współczucie nią kieruje. On tam biedny w dusznej Warszawie przepędza smutną niedzielę.

Stanęła obok Edka i milczała długą chwilę. Buzia jej ułożyła się w podkówkę.

— Możebyśmy oboje poprosili mamę—zaczęła.

— O co?

— O Tarnawicza. Pojechałbyś jeszcze do miasta po niego.

— Obejdzie się! — burknął Edek — za wiele honoru. Tarnawicz waszej łaski nie potrzebuje. Gdyby z niego była zielona małpa, albo jaki komedyant, to zapraszałoby się go na klęczkach... Tfu! wstydź się!

— Edku! co ty? przecież mnie tak samo przykro, że mamcia Tarnawicza nie prosi.

— Łżesz!

— !!!

— Tak. Wszystkieście kobiety jednakie. Tylko to, co się świeci. A Tarnawicz więcej wart, niż wszyscy ludzie na świecie... słyszysz?...

Bił nogami w ziemię wściekły i zdenerwowany. W gruncie rzeczy nie miał dla Tarnawicza tak wiele sentymen[illegible] ale rad był, że może wynurzyć wreszcie swą złość chłopięcą, [illegible]która go w tych latach niepewnych, przełomowych literalnie dławiła.

— Mówię ci... więcej wart — podjął znowu, nie patrząc na siostrę — mówię ci... on utrzymuje dom razem z siostrami, które są *ludzie*, rozumiesz, *ludzie*, a nie takie czuczeła, jak ty!... On ma taką matkę, że no... pije... a ojca, to nigdy nie widzą, bo gdzieś w Rosyi na posadzie. A matka, to jak zacznie pić, to idzie z domu i przepada. A on wtedy za nią, Bóg wie gdzie. Nie raz w zimie, to powiedział tylko do Mundka: „Uciekła“ i idzie w mróz bez szynela ją szukać. A ona i bije go i siniaczy, a on nic... prosi... i przyprowadzi... Ona taka prosta... Ojciec jego się tam gdzieś z chłopką ożenił...

. . . . . .

Pita słucha i na myśl jej przychodzi zimowa noc, gdy to siedziała na Wareckiej w saloniku i myślała w ciszy, dokąd poszedł Tarnawicz, kogo on może szukać w tę zawieję śnieżną, okryty szynelem Mundka?

Szedł śladem swej matki, szedł szukać matkę, która uciekła nieprzytomna i straszna w tłum ludzki.

Zmęczony, spracowany, głodny, zmarznięty idzie na oślep, zagląda do nor, do szynków, do jam; przepatruje twarze pijaczek, nie znajduje, idzie dalej...

Z otwartych drzwi szynków bucha para, wrzask, kłótnie, odgłos muzyki...

W ślad leci za nim, a na niego miecie śnieg, kręcący się milionami białych cieni dokoła słabo płonących latarni.

Idzie ten syn śladem matki.

W noc, w zimno, w ciemnię, w rozpacz i przepaść duszy i ciała.

To pamięta teraz i widzi Pita.

Lecz zarazem przypomina jej się głos lekceważący Tarnawicza, gdy kilka dni temu mówiła do niego:

— Chcę pomówić z panem o matce i siostrze pana...

A on odpowiedział jej:

— Ach, to drobnostki!...

Z chlebną wonią żyta, z ostrym zapachem macierzanki, z poszumem liści, świergotem ptasząt płyną odgłosy dzwonów mokotowskiego kościoła. Zdaleka, po za żytem widać śpieszących w stronę kościoła. Jakaś dziewczyna ma fioletową, silną w barwie suknię, jakaś kobieta zarzuciła jaskrawy szal na ramiona. Płyną tak nad złotemi falami i nikną po za pękiem drzew.

— To drobnostki!... powiedział—myśli Pita — a przecież jaką wagę musi przywiązywać do tych spraw, gdy tak po nocy, w zawieję biegnie, szuka, roztrąca. Więc co? jeżeli drobnostka, dlaczego to robi? co mu każe?...

Z harmonią dzwonów, opływających przepych szumiących traw, zbóż i drzew, drgających czarownie w brylantowem Pięknie niedzielnego ranka, delikatnie zwiewnie,

przesuwa się jakieś widmo białe, wyniosłe, ozłocone promienistą poświatą ścielącą mu się u stóp.

I widmo to jest Miłością, jest tą wielką, cudowną siłą, łączącą świat cały, bijącą tryumfem w ekstazach mistyków i w sercach maluczkich...

To białe, bose widmo Essenisty, wyniosłe i czyste.

. . . . . .

Lecz gdy dzień miał się ku schyłkowi, dobry humor mieszkańców małego domku opuszczać ich zaczął.

Nie przyjechał Porzycki, nie przyjechała Władka.

Całe popołudnie Tuśka siedziała na trawniku, ustawiwszy najkorzystniej leżak i osłoniwszy się różową parasolką. W białym, dawnym szlafroku, wypranym i wyprasowanym naprędce, pod różową osłoną wydawała się o wiele młodszą i świeższą. Szlafrok był wprawdzie trochę ciasny, ale umiejętnie opięła go i osłoniła koronkowym szalikiem.

Po ścieżce, prowadzącej do bramy chodził Żebrowski, paląc papieros za papierosem. Oboje patrzyli na drzwi, a Żebrowski kilkakrotnie podchodził upewnić się, czy nie są zamknięte z zewnątrz. Dwa razy wyszedł na drogę i, gdy powracał, Tuśka pytała go:

— Cóż? nie widać?

— Nie.

— To dziwne...

— I ja się dziwię. Panna Władzia mówiła do mnie, że dziś przyjedzie z pewnością. Spotkałem ją wczoraj... na ulicy. Mówiła, że będzie o czwartej.

— A teraz która?

— W pół do szóstej. Porzyckiego też niema.

Żebrowski uśmiechnął się.

— Ech! Porzycki!... może ma jaką przyjemniejszą zabawę, niż z nami siedzieć.

Na twarz Tuśki wystąpił rumieniec.

— Myślisz, że każdy taki, jak ty...—zaczęła. — Może co dla ciebie nie przedstawia interesu, to inni znajdują w tem przyjemność.

Żebrowski stanął i ręce rozłożył.

— Moja droga, zastanów się tylko... Cóż dla niego u nas? Porzycki don Juan, a tu co? Pita — smarkata, ty się nie liczysz, a panna Władzia za uczciwa, ażeby pan Porzycki mógł sobie na nią parol zaginać...

W Tuśkę, jakby kto uderzył szpicrutą. Chciała zawołać: „Ja się nie liczę? ja?..., która właśnie tu jestem *kimś* głównym, kimś, kto był ukochany, pożądany, pieszczony i kto będzie jeszcze... będzie jeszcze...“

W tej chwili wzrosło w niej postanowienie, że gdy Porzycki wyciągnie po nią rękę, osunie mu się do stóp.

Ona, *która się nie liczy*!

. . . . . .

Bo często tak właśnie mężowie jednem słowem sprowadzają najcięższe katastrofy i najstraszniejsze postanowienia.

. . . . . .

Zaszło słońce.

Nie nadjechał nikt.

Pita usunęła się w swój kącik nad sadzawką. I jej było przykro. Dlaczego? sama nie umiała powiedzieć. Jakby ktoś chmurą powlókł jasny błękit nieba.

— Szkoda, że nie przyjechali! — myśli zmartwiona— wszystko się zmarnuje, mamcia się wykosztowała... Szkoda!..

Wyszła jednak ze swego ukrycia i poszła nakrywać stół. Widziała, że matka siedzi ciągle na leżaku i ma głowę zwróconą w stronę furtki. Żebrowski nagle porwał się i poszedł na drogę w stronę kolei.

— Zobaczę, czy ich niema!—rzucił ku Tuśce.

Ona, z wypiekami na twarzy, uśmiechnęła się nerwowo:

— Idź!...

Edek przylazł do altany.

— Cóż wasz pajac? Jakoś się nie śpieszy! — zaczął, rozsiadając się za stołem.

— Może jeszcze przyjść!—odparła Pita, ale i ona powoli nadzieję tracić zaczynała.

— Aha! oko perskie! — zapiał Edek—na nic cała zastawa i szynka, i sardynki. Nie będzie z tej mąki chleba.

Pita ze zdziwienia aż upuściła serwetki, które systematycznie układała na stole.

— Z jakiej mąki? jaki chleb?

— A no... w braku konkurentów to już panna Żozefina przespacerowałaby się za mąż nawet za histrjona!

— Co? ja?

Takie się to wydało śmieszne Picie, iż rozweseliła się serdecznie.

— Co ty pleciesz?

Edek usta nadął.

— Koniu! koniu!... Znane są figielki panienek bez posagu. Ale to jedno ci powiadam, pastrańciu, że teraz i takie Augusty z cyrku za pieniążkami się oglądają. Jak się dowie, żeś turecka święta, urządzi morowego nura i tylko się skompromitujesz. Bo przecież takiej, co była po słowie z aktorem, żaden prywatny i porządny człowiek nie weźmie.

Pita wpatruje się uważnie w brata.

— Dlaczego?

— Bo aktorzy i wogóle te finfedusze, co to się artyści nazywają, są skończone rozpustniki i przecież taka panna, to będzie jak ciastko w cukierni.

— Jakto, jak ciastko?

— Zobaczysz. Zresztą, co mam z taką głupią gadać. Daj chleba z masłem i szynki.

— Chleba ci dam, ale szynki nie rusz.

— Gwiżdżę na ciebie! I twój komedyant na ciebie i wogóle na nas gwiżdże.

Zamyślił się i po chwili dodał:

— Ach! jak jabym go z gustem gwizdnął w papę!

Pita, przerażona, instynktownie patrzy w stronę matki.

— Za co?

— Możeby się więcej tutaj nie przywłóczył.

Porwał chleb, kawałek szynki i, kołysząc się, odszedł w głąb ogrodu.

Pita uczuła się serdecznie zmieszana. Wprawdzie to, co powiedział Edek, nie miało ani podstawy, ani sensu, jednak dziewczyna zwyczajną, wrodzoną koleją, z chwilą, gdy wymówią słowo „mąż," musi odczuć, że się tam coś pod żebrem łopoce dziwnie niepokojąco. Dlatego i Pita nakrywa dalej do stołu, ale w oczach jej się mieni.

Porzycki!...

W jednej chwili zmieniło się coś w niej. Przełamało. Teraz prawie pragnie, aby Porzycki dziś nie przyszedł. Zdaje się jej, że on z oczów wyczyta to, co na myśl jej dziwnym kwiatem padło.

I dlatego z uczuciem ulgi spostrzega, jak otwiera się furtka w parkanie, i ojciec, rozjaśniony tryumfalnie, wprowadza Władkę, odzianą w biały kostium i w dystyngowany Windhorst z aksamitką.

— Jest!—woła radośnie Żebrowski.

Tuśka, która w tej chwili nie patrzyła w stronę furtki, odwraca się szybko i jeszcze prędzej powraca do dawnej pozycyi. Nic nie zdoła określić tego zawodu, jaki odbija się na jej twarzy. Pita dostrzega tę zmianę wyrazu matki i jest nią aż uderzona.

Tymczasem Władka podbiega do Tuśki, wita ją dość hałaśliwie, oddaje nieśmiertelne babki śmietankowe i zaraz przysiada na trawie, roztaczając z wdziękiem fałdy swej sukni.

Tuśka odpowiada jej bezwdzięcznym głosem. Ma wrażenie, że ktoś obciąga jej z całej siły kąciki ust ku dołowi.

Obok stoi Żebrowski i słucha z zajęciem, co mówi Władka. Wyraz rozjaśnienia nie schodzi mu z twarzy.

Głęboki, kontraltowy głos Władki przyjemnie rozjaśnia ponury nastrój moralny, który wieje od Tuśki.

Widać, iż cała dusza Żebrowskiego zwraca się ku tej jasnej stronie.

Słońce zachodzi zupełnie.

Po drzewach sadu jakby przebiegł dreszcz. Pochłodniało. Coś, jakby nuda dziwna, chwilowo zawiało w przestrzeni. Liliowe dzwonki na łączce smutno skurczyły płatki swych kielichów. Od jakiegoś ogródka przeciągle zawyła rozstrojona trąba. Odpowiedział jej cicho i lękliwie pies gdzieś daleko. Drzewa zaszumiały i zapadły w martwotę.

Wówczas Tuśka zrozumiała, że Porzycki nie przyjdzie, że go dziś nie zobaczy. Podniosła się nagle i nieokreślonym gestem rzuciła na trawę swoją różową parasolkę. Zeszła z leżaka i zaczęła, nie mówiąc ani słowa, iść ku domowi.

Drogę jej zabiegł Edek.

— Mamciu! kolacya! ja głodny!...

Spojrzała na niego tępo z pod brwi zsuniętych.

— To siadaj i jedz!—rzuciła krótko.

Weszła do altany i usiadła na zwykłem miejscu. Za nią szli Żebrowski z Władką.

— Czy kazać podawać?—spytała Pita.

— Tak, naturalnie—odparł Żebrowski.

Pita poszła do kuchni, ale i ona uczuła w sobie jakąś dziwną nudę i pustkę. Coś jakby ją bardzo zawiodło. Jeszcze jej przykrzej było, gdy ujrzała, wróciwszy, jak na miejscu Porzyckiego rozsiada się Edek.

— Nie siadaj tu—wyrzekła, patrząc na niego tępym, podobnym do matki, wzrokiem.

— Dlaczego?

— Bo to miejsce pana Porzyckiego.

— To co?... kiedy nie przyszedł.

— Ale może jeszcze przyjść.

— Figa z octem!

— Wstań!—zawołała nagle ostro Tuśka.

Obudziła się w jej sercu nadzieja. Uczuła, że Pita jest z nią sprzymierzona, i zrobiło się jej jaśniej.

Edek wstał i usiadł obok. Zły był i gniewny. Gdy zaczęto jeść kolacyę, z ironicznym śmiechem przyglądał się, jak Pita odsuwała część rzodkiewek i sardynek, pozostawiając je na przypadek, gdyby się zjawił Porzycki.

Władka śledziła także ten manewr. I ona widocznie chciała coś w tej kwestyi powiedzieć, lecz jakby się ociągała. Widząc jednak, że nastrój ciągłego oczekiwania panuje z coraz większą siłą, odezwała się nagle:

— Pan Porzycki nie przyjdzie!

Wszyscy spojrzeli na nią.

— Tak. Widziałam go dzisiaj nad wieczorem. Był z kilku panami. Jechali w Alejach na gumach. Byli bardzo weseli. Tak się śmiali.

Miała minę drwiącą, ironiczną, minę brzydkiej kobiety, mówiącej o mężczyznach rozbawionych, a nie zwracających na nią uwagi.

— Kapelusze mieli pozsuwane i tacy byli porozwalani. Jak Bozię kocham! Wyglądali, jak jakie Grojseszyki.

— Hi! hi! hi!—zaśmiewał się Żebrowski.

— To jest nie prawda! — pomyślała Pita — żeby nie wiem co, to Porzycki nie może wyglądać jak kantorowicz, on jest za dystyngowany na to.

Nie śmiała się jednak odezwać. Uszczęśliwiona, posłyszała, jak matka, mrużąc oczy i patrząc z góry na Władkę, odparła:

— No... no... jak to panna Władka zna się na dystynkcyi... proszę, proszę.

— Kiedy nie ja tylko! — tłómaczyła się, trochę stropiona Władka — ale i inne ludzie, co szli w Alejach, oglądali się i wzruszali ramionami...

— Ordynarni i głupi!—wymówiła Tuśka.

— Ale nie... bardzo szykowne państwo—upierała się Władka.

Picie zdawało się, że ojciec daje jakieś znaki Władce, ale ta, siedząc po za świecą, ich nie widzi.

Tuśka była coraz więcej wzburzona.

— Bardzo szykowne państwo—rzuciła, odsuwając się od stołu,—które piechotą po Alejach w niedzielę się włóczy.

— No, pewnie nie hrabiny i nie księżniczki!—odrzuciła Władka—ale bardzo przyzwoite panie!

Jakaś nienawiść drgać zaczęła pomiędzy Tuśką a Władką. Mówiły napozór o jakichś nieznanych i trzecich osobach, ale były to jakby małe obelgi osobiste. Prądy nieprzyjacielskie dwóch kobiet, związanych jakąś wspólnością ukrytą, skrzyżowały się jak ostrza szpad.

Nagle wmieszał się w tę sprawę Edek:

— To grunt, że ten pajac z cyrku nie przyjedzie, dzięki Bogu!

Tuśka porwała się z miejsca.

— O kim ty mówisz, błaźnie?—zawołała.

— O tym komedyancie!—odparł odważnie Edek.

Tuśka chwilkę dyszała ciężko.

— Ty... ty... smarkaczu, ty, jak śmiesz? Wynoś mi się od stołu!

Blada była, oczy miała szeroko rozwarte. Cały żal dzisiejszego popołudnia znajdował upust w tej chwili.

— Mamo!—prosiła Pita.

Wszyscy wstali od stołu. Żebrowski patrzył zdziwiony na żonę. Nie widział jej nigdy tak bardzo rozgniewanej.

Aż biło od niej rozpacznym ogniem.

I nagle, odsunąwszy gwałtownie krzesło, wybiegła z altany. W ślad za nią chciała biedz Władka. Lecz ona wyciągnęła ręce:

— Zostawcie mnie!

Zniknęła we drzwiach domku.

Żebrowski uznał za stosowne dorzucić słowo:

— Widzisz błaźnie, coś narobił! — zawołał, zwracając się do syna.

Lecz Edek wzruszył ramionami:

— Abo to ja? To ten komedyant!

I zaczął jeść sardynki.

— Ja pojadę do domu! — rzekła Władka. — Mnie to denerwuje.

— Przepraszam panią bardzo!—szastał się Żebrowski.

— Ach! nie, nie. Tylko tak nieprzyjemnie. Pan dobrodziej mnie odprowadzi?

— Ależ naturalnie!

Porwał laskę, kapelusz, i sztyftował się do odejścia. I on był zmęczony tem przejściem. Władka żegnała się z Pitą, Edkowi skinęła głową, zwróciła się do Żebrowskiego:

— Chodźmy!

Gdy wydostali się za bramę, mieli oboje pozór uwolnionych z kozy żaków.

— Niemiłe takie sceny!—zaczęła Władka.

On westchnął tylko. Spojrzała na niego. Przechodzili właśnie mimo oświetlonych okien jakiegoś domku. Był nędzny, chudy, stary. Ujęła go ciepłym, ładnym gestem za rękę i wsunęła ją pod swoje ramię.

— Chodźmy... kotusiu! — wyszeptała nizkim, owijającym, jak tchnienie majowej nocy głosem.

VII.

W altance Pita pozostała sama.

Edek porwał resztę szynki, bułkę — i umknął w sad.

— Bawcie się tu sami!—rzucił, odchodząc.

Stanowczo był zbuntowany.

Pita uczuła ogromny smutek i tęsknotę.

Nigdy nie była taka *sama*, jak w tej chwili.

W oczach matki, gdy ta odchodziła, dojrzała ogromny błysk nienawiści skierowany ku ojcu. Oczekiwała, że matka rzuci zwykły w takich przypadkach frazes:

— To twoja wina!

Lecz widocznie nadto była podrażniona i nie mogła nic powiedzieć.

Lecz i Żebrowski musiał dojrzeć i odczuć tę nienawiść w oczach Tuśki, bo drgnął prawie i bezwiednie przysunął się w stronę Władki.

Owiała go atmosfera dobroci, którą zdawała się być ta dziewczyna przesycona.

I tem go brała, na wskroś—całego.

Wiedziała o tem.

Rutynę miała, lecz on tego nie czuł. Szedł tam, gdzie go głaskano, gdzie mu na siwe, stara lata mówiono słodkie, dobre słowa. Uczuł się sam, niespodziewanie... Ta podsunięta pod zmęczoną głowę poduszka, niegdyś, przed tylu miesiącami, zaczęła cały łańcuch...

I teraz się wiąże; ręka ciepła go wiąże, zacieśnia.

To zwykła kolej rzeczy.

To bardzo ludzkie.

Całe lata poświęceń, wierności, wpatrzenia się w jeden punkt.

I potem—przebłysk, że coś się jeszcze pozostało na dnie niedopitego, że to spełnićby jeszcze można przed śmiercią, uśmiechnąć się cicho, spokojnie...

I walka, potem lekki bunt, aż wreszcie jakieś nienawistne słowo, złe spojrzenie, zrozumienie, że w domu jest chłód, a inne ściany tulą serdeczniej, lepiej...

I — —

Spełniło się.

Żebrowski szuka maszyny Singera, mało używanej, tanio do kupienia.

To jest bardzo ludzkie.

I trafia się, pani Tuśko, właśnie najczęściej tym mężom, którzy całe życie snuli się wczesnym rankiem pod kamienicami, dążąc do biura w zielonawych, zniszczonych paltach.

I mieli schylone karki.

I zacięte usta.

Usta, które nie mają żadnego wyrazu.

I zdawali się cieszyć tylko tem, że kiedyś będą sam na sam ze swą żoną.

Spełniwszy *zadanie* życia.

A raczej spełniwszy jego katorgę!

. . . . . .

O tem Pita nie wie.

Tylko czuje, że jest jej okropnie smutno i samotnie.

Do domu iść nie śmie. Widzi, że w oknach ciemno. Matka pewnie leży i może płacze. Ona boi się podejść i uspokoić ją. Nie wie czem. Nie śmie. A potem i ją jakby łzy dławią. Patrzy na ten stół zastawiony, przy którym nikt nie siedzi, a tylko ćmy tańczą swe śnieżne korowody. Czuje, że tu pozostało coś więcej, niż konsekwencya zwykłego rozgrymaszenia matki. Nie odpowiedziała nic na słowa, rzucone na odchodnem przez Edka:

— O co takie awantury? Zjedlibyśmy wszystko sami!

Pita czuje wybornie, że nie chodzi tu o zmarnowane jadło, że jest tu głębsza, ważniejsza przyczyna. Lecz nie nasuwa się jej istota prawdy przed oczy. Zresztą, biedna— musi zbierać odwagę, aby ocalić jakoś pozory przed Marcysią, która z kuchni niesie zrazy w ślicznej porcelanowej ryneczce, secesyjno-angielskiej, szczelnie osłonionej pokrywką.

I nic Pita na razie wymyślić nie może. Musi znieść ironiczny uśmiech sługi, która z pogardliwem wzruszeniem ramion wychodzi z altany.

— Boże, mój Boże!—umie tylko myśleć Pita.

Wreszcie i ona się buntuje. I ona wysuwa się z altany i idzie w głąb sadu. Jest ciemno, bo księżyc nie świeci. Pita zanurza się w wązką ścieżkę pomiędzy szeregiem krzaków, snującą się wzdłuż parkanu, dzielącego ich willę od restauracyi Marcelina. Nie chce spotkać Edka.

Widziała, że poszedł w stronę sadzawki. Idzie więc wolno ścieżką. Gałęzie czepiają się jej sukienki. Po drugiej stronie od restauracyi dobiega dźwięk fortepianu i błyskają tajemniczo porozwieszane gdzie niegdzie latarnie japońskie.

— Tarnawicz na pewnoby nie zrobiłby zawodu! — myśli nagle Pita.

I coś tam w serduszku bardzo przychylnego zwraca się ku Tarnawiczowi. Zapewne, że w porównaniu z Porzyckim traci. Jest niezgrabny, nieśmiały i nie tak błyszczący. Ale on nie zrobiłby zawodu!...

Smutno Picie, bardzo smutno!

Ale mimowoli oczy jej śledzą światła różnobarwne, kołyszące się w oddali. Ktoś nawet zdaleka woła: „Banzaj!“ — i krzyk przelatuje i rozpływa się w chłodzie nocy letniej.

Pita stanęła na ścieżce zamyślona i rączki przytuliła do szyi.

— W Alejach jechał... w Alejach, na gumach... miał kapelusz z czoła zsunięty...

Uśmiechnęła się nagle.

— Tak, czasem zsuwał kapelusz w Zakopanem, gdy było gorąco...

Pita zaczyna żałować, że to nie Zakopane.

— Tak było tam dobrze... mieszkał blizko nas... Ciągle był z mamcią i ja koło nich chodziłam...

Koło parkanu, z drugiej strony, idzie jakieś towarzystwo. Mężczyźni śmieją się, rozmawiają, hałasują.

Pitę ogarnia trwoga. Chciałaby uciec. Wogóle ta cała restauracya przejmuje ją, zwłaszcza w nocy, dziwnym niepokojem. Boi się jednak poruszyć. Krzaki zaszumią. Tamci posłyszą. Ona sama. Nic jej zrobić nie mogą. Bo cóż? Ale ten wrodzony lęk kobiecy bierze górę. Pita stoi, jak skamieniała.

Kamienieje jeszcze bardziej, gdy z pośród głosów męskich tam po za parkanem rozróżnia doskonale głos Po-

rzyckiego. Jakby ją kto targnął za serce. Brak jej tchu. On śmieje się, odpowiada coś i nagle Pita słyszy, że krzaki łamać się zaczynaja.

— Wirszył!—woła jakiś męski głos—gdzie idziesz?

— Mam tu znajomych... przez parkan... zobaczę, co się u nich dzieje... już śpią...

— Daj spokój! wezmą cię za złodzieja.

— Ja tylko wespnę się na parkan i popatrzę w sad!

— Zwaryował! Chodź, pewnie już kolaja gotowa.

— Idźcie. Ja przyjdę.

— Wirszył, panie kochanku! papierem mu łeb oblepić!

Inni oddalają się. Porzycki drapie się na parkan. Pita uśmiecha się radośnie. Czy mogła się spodziewać, idąc tą ścieżką, że coś takiego się stanie?

I słodko, cichutko mówi:

— Dobry wieczór panu!...

On rozgarnia gałęzie, odsuwa delikatne liście akacyi.

— To... panna Józia?

— Ja.

— Cóż tu kochanie takie samo? spaceruje?

— Tak.

Chciałaby go spytać, dlaczego zrobił taki zawód rodzicom, ale jest taka kontenta, że nie chce tej radości psuć sobie wymówką. Ogranicza się tylko na nieśmiałem powiedzeniu:

— Pan jeszcze nie po kolacyi?... U nas właśnie nakryte... może pan do nas pozwoli.

Lecz on potrząsa głową.

— Nie mogę, tam przyjaciele czekają, nie mogę robić zawodu!

Zdaje się zupełnie zapominać, że przecież i tu w altance czekano na niego, i tu zrobił zawód.

Pita nie nastaje. On przełożył nogi przez parkan, wcisnął się między dwie deski i siedzi tak w cieniu, znacząc się ciemną sylwetką. Pita oswojona już z ciemnościami rozróżnia jednak jego twarz — przytem Porzycki pali

papierosa, więc raz po raz jest oświetlony czerwonawem światełkiem, które na mgnienie oka wyprowadza z ciemni jego krągły, doskonale wygolony, pełny podbródek i zmysłowe, ponętne usta, rozjaśnione miłym, ciągnącym uśmiechem.

W te zjawiska gasnące i migocące wpatruje się Pita. I ona uśmiecha się w takt uśmiechu tych ust, lecz uśmiecha się po swojemu, nieśmiało.

— Pito!—mówi Porzycki—a co u was? był kto?

— Władka. Tacio poszedł ją odprowadzić.

Porzycki zaczyna się śmiać.

— Zdrowo!...—woła z humorem.

— Co?

— Nic. A mamcia?

Jakiś instynkt nie każe Picie mówić całej prawdy.

— Mamcia jest w domu—odpowiada niepewnie.

— A ty biedaku się nudzisz, chodzisz tak po ogrodzie sama, po ciemku. Co? panna Józia się nudzi?

— Nie.

— A gdzież flirt panny Józi?

— ?...

— No... ten korepetytor. Tak się patrzy na pannę Józię, jak na obrazek.

— !!!

— Niema co... Tak jest. A przytem jest na co się patrzyć. Panna Józia prześliczna... Zapatrzeć się można.

Jakaś trwoga i dziwne, słodkie uczucie przejmuje Pitę. Czuje, że powinna zaprotestować, ale nie może.

— Naprawdę!—podejmuje Porzycki—była panna Józia cacaną panieneczką, a teraz jest cudną pannusią. Jak się trochę wyciągnie w górę i w szerz, to zaczną się sypać konkurenci jak z rękawa. Może jest już jakiś oprócz korepetytora. Proszę się przyznać!

— Ale... zkąd...

— No... ztąd, zkąd się biorą wszyscy konkurenci koło ładnych panien. Ja sam, gdybym nie był stary...

Lecz Pita przerywa mu z zachwytem.

— Pan przecież młody!

Zapanowuje chwileczka milczenia. Wreszcie z ciemni słychać głos Porzyckiego, jakby przejęty żalem:

— E! Pito... w porównaniu z tobą.

— No... ja przecież jeszcze nie dorosła, ale pan jest młody.

Jakby nalegała słodko na tę młodość, o którą jej chodzi.

I on daje się porwać temu pragnieniu.

— Niechże więc będzie, że jestem młody! — śmieje się wesoło.

I zeskakuje z parkanu.

Robi to zręcznie, cicho, jak kot.

— Pan idzie do nas?—zapytuje radośnie Pita.

— Nie. Ja idę do ciebie, panno Józiu. Uścisnę tę słodką łapkę na dobranoc.

— Dlaczego pan nie chce zajść do nas?

— Nie chcę sobie psuć wrażenia...

— !!!

— Nie rozumiesz? Tem lepiej. Tem więcej uroku. Gzież łapka? Cóż to? Zimna?

Picie płoną od kilku chwil policzki, a ręce są jak lody. Nie czuje tego jednak. Nie zdaje sobie sprawy.

— Ja rozgrzeję.

Wziął ręce, podniósł do ust, chucha na nie, jakby na jakieś zmarzłe ptaszęta. Po rękach Pity, wzdłuż ramion przebiegają ciepłe prądy.

— Cóż? cieplej?

Po ogrodzie rozlegają się głosy:

— Po—rzyk...

On śmieje się:

— Wołajcie, wołajcie.

Puścił jednak ręce Pity, pochylił się nad nią.

— Często panna Pita chodzi tu na spacer?

— Czasem, wieczorem.

— Ja znów jutro przez parkan przeskoczę.

— Dlaczego pan nie przyjdzie do domu?

Porzycki zaczyna śmiać się prawie po łobuzersku:

— Dlatego, że tak to będzie coś tajemniczego i ciekawego. Niby Romeo i Julia. Była panna Pita na „Romeu i Julii"?

— Byłam na operze!

— No... wystarcza. Choć wolałbym, żeby panna Pita nie słyszała walca z czkawką.

— Z czkawką?

— No... ten na balu... *da-ajcie mi — i jaaak najdłużej...*

— Ach! tak ten walc Julii.

— No, z czkawką—*d-a-a-jcie*... mniejsza z tem. Nawet ten piernik Gounod nie popsuł sylwetki. Więc będzie tak: Panna Pita — Julia. Ja... Romeo. To trochę ciężko, ale Rossi był grubszy i mimo to walał Romea jak nic. Panna Józia za to wymarzona Julia. I lata są, bo Julcia miała czternaście lat.

Pita się zastanowiła.

— Jakto? ta pani, która śpiewa Julię była dwa razy taka tłusta, jak mamcia i miała takie grube ręce.

— I podbródek, i czterdziestkę, i tam dalej. Ale to operowe Julczysko, a nie szekspirowskie Julczątko. Panna Pita będzie Julczęteczko i wynagrodzi to, co ja, jako Romeo tego... ten... niby za dużo...

— ?...

— Czego? no! lat! Więc proszę przedewszystkiem nie mówić nic mamci, ani tatkowi, ani nikomu, że się panna Pita ze mną dziś widziała i przyjść tu pod parkanik tak, jak dzisiaj.

— Dlaczego nie mówić?

— Bo rodzicom byłoby nieprzyjemnie, że nie przychodzę do nich po formie, na siedzenie, a ja niemam czasu i wolę widzieć pannę Pitę tak ukradkiem. To bardzo miła szopka! Potem opowiemy to mamci i będziemy się wszyscy śmieli. Co? Giulietko? cudowności moje? srebrna, złota

laleczko angielska? co? aniołku cukrowy o lazurowych latarniach, wprawionych w emaliową buzię...

Pitę ogarnia jakby rozmarzenie i ma uczucie, jakby ją ktoś łaskotał lekko. Nikt do niej nigdy tak nie mówił słodko.

Te „latarnie“ jednak dziwią ją trochę.

— Jakie latarnie?—pyta z uśmiechem.

— Ależ twoje ślepki, dziecko boże, błękitne ślepki, w których są całe światy zaczarowane.

Po ogrodzie, po ciemnym sadzie powiał chłodny wiatr. Jakby się zaplątał z jakichś dalekich, umarłych stawów, pokrytych bielą zastygłych w śnie nenufarów śnieżnych.

Pitę przebiegł dreszcz.

— Zimno ci *kiciątko?*—zapytuje troskliwie Porzycki—tak chłodno jesteś odziana... jeszcze *mi* się przeziębisz.

. . . . . .

To jest niby nic, takie słówko, zachorujesz *mi*... Ale to już cały świat.

Nie innym, ale mnie.

A więc...

Jakby branie w posiadanie. Na własność. Do serca. W głąb duszy. Ogarniają ramiona. Coś tuli...

Przez takie jedno drobne słowo.

. . . . . .

Pita jeszcze tego nie rozumie. Ale uśmiecha się coraz słodziej, ale coraz bardziej lękliwo.

— Idź dziecinko spać!... idź lulu! — mówi Porzycki i szybko porywa ją za ręce, rączki te drobne, biało-różowe muszelki do ust przytula.

— Idź... lulu!

Przez parkan przeskoczył.

Zaszumiały lekko krzaki. Zazgrzytał żwir. Oddaliły się kroki.

I tylko słychać, jak w restauracyi gra na rozklekotanem pianinie walca.

A Pita przyłożyła ręce do twarzy i stoi przerażona, otumaniona, prawie nieprzytomna.

Po ogrodzie, po ciemnym sadzie wieje chłodny wiatr. Jakby się zaplątał z jakichś dalekich, umarłych stawów, pokrytych bielą zastygłych w śnie nenufarów śnieżnych.

VIII.

Następnego dnia Tuśka naprawdę leżała chora na ciężką migrenę. Wstała wprawdzie rano, uczesała się starannie, ubrała, ale już w południe ból ją zmógł, zasłonił mgłą wzrok i powalił na łóżko. Zasłoniła okno i leżała prawie martwa, obojętna napozór, a w gruncie istoty, cała wzburzona, z duszą wprawdzie szalejącą w jakiejś dawno nie zaznanej rozpaczy.

Nieustannie migały przed nią wspomnienia Zakopanego, chwil przeżytych czarownie i bezpowrotnie. To, co zdawało się być dla niej już cmentarzem, wirowało dokoła niej pulsującem życiem. Porzycki wywlókł z grobowców te mary. To nie były właściwie wspomnienia, to było samo życie jeszcze wdzierające się siłą w źle zagojoną z trudem ranę.

— Czuję... widocznie nie przestałam go nigdy kochać, czuję to...—myślała, kryjąc głowę w poduszki. — Wystarczyło kilku dni, abym wpadła znów w tę gorączkę, w ten wir, w to przekleństwo...

Odwróciła się nawznak i leżała tak z twarzą rozpaloną. Gęstwa jej złotych włosów opływała jej czoło, policzki, szyję, piersi.

— Ale on... czy on...

Zacięła usta, na chwilę zamarła cała.

— Może ja niczem już dla niego nie jestem?

Pociecha jednak jej zabłysła.

— Nie, nie. Gdyby tak było, nie przychodziłby do nas. Od dawnych, a obojętnych kochanek uciekają mężczyźni. Niby obojętne, a w gruncie rzeczy coś, jakby wstręt.

Jakiś głos jakby koło niej zadźwięczał:

— Nie przyszedł przecież wczoraj...

Aż porwała się i usiadła na pościeli.

— Ale w Zakopanem także nie przychodził czasami, a przecież kochał.

Ten sam głos śmiał się i szydził:

— Ładnie kochał, wyzbył się ciebie gładko, elegancko. Gdyby kochał, nie oddałby cię mężowi.

Upadła znowu na poduszki.

— Ale kochał, ale pieścił, ale tulił!—broniła się uparcie.

— Wielka afera. Tak samo postępował z każdą inną. Cóż? miał być dla ciebie brutalny? Przecież musiał cię brać na jakiś lep. Myślał, że nie będziesz głupia i że coś skorzysta...

— Ach! ach!—zajęczała Tuśka.

Wsunęła się cichutko Pita.

— Możeby gorące okłady, mamusiu? — spytała — w Warszawie to mamci pomaga.

— Nie! nie! zostawcie mnie.

— Mamusia nie będzie jadła obiadu?

— Nie! zostaw mnie... idź!...

Pita wychodzi. Zamyka drzwi. Idzie do sadu. Dzień jest jakiś chmurny, parny. Picie także trudno myśii zebrać. Mimowoli kieruje się ku ścieżce, na której wczoraj spotkała się z Porzyckim. Z przestrachem widzi, że są ślady bytności Porzyckiego. Połamane krzaki porzeczek, zgniecione pokrzywy, dwa niedopałki papierosów, kilka spalonych zapałek.

Zaczyna zacierać te ślady, prostuje połamane gałęzie, zbiera papierosy, zapałki.

— Gdyby to kto spostrzegł!—myśli z trwogą.

Już w niej przez te kilkanaście godzin rozwinęła się chytra skrytość. Nie widzi w tem spotkaniu się z Porzyckim nic złego, a przecież radaby je ukryć, aby nikt się o tem nie dowiedział.

Miała już troszkę takiego usposobienia od dziecka, że gdy coś bardzo miłego ją spotkało lub dostała jakąś drobnostkę, cieszącą ją serdecznie, starała się ukryć swą radość i przedmiot swej radości. Wychowanie systemem Tuśki, która kazała córce nad wszystko przenosić pozory gładkiego sposobu bycia, spotęgowało ten rys charakteru dziecka. Dotyczyło to dziecinnych wrażeń, dziś Pita zaczynała wnosić swe usposobienie we wrażenia kobiece.

I dlatego tak zazdrośnie zaczyna strzedz tajemnicy swego niespodziewanego, a niewytłumaczonego dla niej stosunku do Porzyckiego.

— Zresztą, kiedyś opowiemy to wszystkim—tłumaczy się przed sobą—tak on sam przecież mówił.

Powoli wraca ku domowi i wpół drogi spotyka Edka, który idzie ku niej, wykrzywiając się złośliwie.

— Cóż się tak wleczesz?—zapytuje ją—powinnaś pędzić na złamanie karku.

— ???

— Wasz czuły komedyant już się przywlókł. O! nie słyszysz go, jak się rechocze w altanie?

— Kto? pan Porzycki?

— No, któżby? Mamcia posłała mnie po masło, ale niema głupich. Może ty pójdziesz? co?

W Picie aż coś zadrgało. Porzycki jest tutaj tak niespodziewanie, wtedy, gdy miał zjawić się dopiero wieczorem pod parkanem! Co się stało? I bezwiednie przyśpiesza kroku. Coś ją rwie, jakby miała skrzydła. Zaczyna biegnąć. Nagle czuje, jakby ją ktoś pociągnął za warkocze. To słowa Edka:

— Leć! leć! czekaj, ja to powiem Tarnawiczowi.

Jak dziwnie się zrobiło w sercu Pity.

Jakiś lęk, jakby rzeczywiście przed tem, aby Tarnawicz nie dowiedział się o Porzyckim. Odwraca się do Edka:

— Nie Edku! proszę cię, nie!

Lecz on z jakąś złością, solidarnością poprostu zdjęty, woła:

— Otóż powiem... otóż powiem... ty, kokiecico przeklęta...

Pita wtula głowę w ramionka i unosi z sobą tę fatalną obelgę.

Idzie już wolno w stronę altanki, cała strapiona.

Jakto? więc już widać, że pomiędzy nią a Porzyckim jest coś, skoro Edek ocenił jej postępowanie, jako wstrętną kokieteryę. Chaos ogarnia ją. Łamie ręce. Mój Boże! jakie to ciężkie to wszystko, co się na nią walić zaczyna. I takie skombinowane.

Wchodzi do altanki, gdzie zastaje matkę, całą różową i Porzyckiego ogromnie wesołego i w dobrym humorze. Aktor wyciąga ku niej ręce, nie wstając z fotelu, a ona rumieniąc się gwałtownie podaje mu nieśmiało rączkę, którą cofa natychmiast. Rada słucha rozkazu matki, która każe jej zająć się podaniem poziomek. Uszka jej płoną jak dwa płatki maku w złocie zboża włosów, gdy powraca za długą chwilę, niosąc salaterkę purpurową i wonną. Czuje na sobie wzrok Porzyckiego i drży, podając mu talerzyk i łyżeczkę.

On pyta ją z leciuchną ironią:

— A cóż panna Józia robiła wczoraj wieczorem?

Ona milczy, a serce jej tłucze się, jak ptak nagle zbudzony.

— Nie słyszysz, co pan do ciebie mówi? — zapytuje ją matka.

— Może panna Józia nie pamięta!—śmieje się Porzycki.

Pita nie wie co począć. — Może on chce, aby powiedziała, iż widziała się z nim pod parkanem.

Ale w takim razie, dlaczego tego wyraźniej nie powie? Należy jednak coś odpowiedzieć, przekonać go, że i ona

potrafi dotrzymać tajemnicy, skoro jej powierzona została. I zmusza się do podniesienia oczu i spojrzenia z całą kłamliwością kobiecą na otaczających.

— Czytałam — mówi cichutko, bo jeszcze głos nie wytresował się tak, jak potrzeba.

Tryumfalnie śmieje się Porzycki, rad, że to on wprowadza tę jasną duszę w świat, dla niej nieznany, a oczekujący na nią niezawodnie.

— Czytała panna Józia? a zajmująca była książka?

Pita milczy.

Wyczerpała się. Dalej kłamać nie umie, nie śmie.

— Ja jestem przekonany, że to coś zajmującego! — ciągnie Porzycki, pochłaniając poziomki — coś o miłości... a takie panienki to...

Lecz Tuśka przerywa surowo:

— Niech pan dziecku niewłaściwych myśli nie podsuwa. Pita wie, że są książki nie dla niej i tych nie rusza.

Porzycki roześmiał się przeciągle:

— Może w bibliotece, w fejletonach, ale jest jedna księga, która mówi bardzo otwarcie o miłości, i której pani przed córką nie schowa i ukryć nie będzie w stanie.

Tuśka wbiła swe zielone oczy w Porzyckiego.

— Jaka?

— *Księga życia!*—rzucił jej prawie wyzywająco.

Spojrzeli na siebie. Jakby jakaś iskierka przebiegła i zgasła.

Tuśka pierwsza cofnęła sie ze wzrokiem i z całą swą istotą duchową.

— A!—wyrzekła krótko.

— Kto wie, czy córka pani nie czytała właśnie tej książki wczoraj!...—rzucił znów Porzycki.

Tuśka wyprostowała się.

— Ja wiem najlepiej, co moja córka robi! — rzuciła prawie gniewnie — niech mi pan wierzy, że *księga życia* jeszcze przed nią zamknięta...

Porzycki aż rzucił się na fotelu i przechylił w tył głowę.

— Boskie! kolosalne! księga życia zamknięta! I któż to zamknął? na jaką klamrę? gdzie klucze? Słyszy panna Pita? Wczoraj wstęp do biblioteki życia był zamknięty dla panny Pity, a mamcia miała klucze!!!

Pita wbiła oczy w ziemię i stoi nieruchoma. Cała ta scena działa na nią w przygnębiający sposób. Żal jej matki i tego, że razem z Porzyckim kryje przed nią to, co tę matkę w dziwnej stawia sytuacyi. Lecz za nic w świecie nie zdradziłaby tajemnicy. I ten ból, który ściska jej sercem z rozkoszą niesie w ofierze rodzącemu się uczuciu. Jest w niej już pełne kobiece pragnienie poświęcenia, choćby swych bólów, przykrości i złożenia ich niby bukiet cierni, rubinami krwi znaczony, u stóp mężczyzny. Zaczyna płonąć już przed nią ofiarny ogieniek, który będzie odtąd oświecał każdy jej czyn, każdą jej myśl. Kobieta w niej powstaje i rodzi się z piany kłamstw i ofiar. Biała jest mimo obłudy i skazy jej nie niszczą uroku gronostajowej białości.

Smutne, melancholii pełne oczy *dziecka*, witają *kobiecość* z pokorą i poddaniem.

Księga życia!... Księga życia!

IX.

Wyjątki z dziennika Pity.

Jestem bardzo sama, bo Edek poszedł gdzieś, jak on mówi, na „rozdobędę," a mamcia pojechała do Warszawy, bo kazała sobie zrobić czarną, etaminową suknię. Byłaby dużo kosztowała, ale mamcia ma jeszcze karczek koronkowy od tej bluzki czarnej, którą mamcia sprawiła niegdyś w Zakopanem i w której pan P. mówił, że mamci jest tak

ślicznie. P. mówił, że każdej blondynce ślicznie jest w czarnem. Mój Boże! jak ja chciałabym mieć czarną sukienkę. Ciekawa jestem, czy i mnie byłoby ładnie i czybym się P. podobała także w czarnem.

Dlaczego ja o takich głupstwach i „szmatach" (tak nazywa stroje Edek) piszę, kiedy mnie aż serce rośnie, tyle mam ważnego do zanotowania. Już tydzień minął od tego spotkania mego z Porzyckim pod parkanem, wieczorem, kiedy on był w Marcelinie, a ciągle zdaje mi się, że żyję w jakimś śnie i lękam się obudzenia. Choć znów coś, jakby w głębi sumienia, mi mówi, że taka tajemnica, to rzecz zła. A potem myślę, że P. przecież mądry i on wie, dlaczego nam się kryć każe, że on ma dla mnie sympatyę, a może... może...

Dziwna rzecz. Gdy o nim teraz kto mówi, to ja się nie czerwienię, jak to było z Ket., ale przeciwnie, muszę być bardzo blada, bo mi nagle tak, jakby kto lodu pod czaszkę nałożył. I to jest ogromna różnica. Gdy o Porzyc. myślę, to chciałabym, ażeby on mi rozkazywał i starał się o mnie, i żebym mogła się przed nim wypłakać. Doprawdy tak, jakby on był moim ojcem. Tylko jeszcze jest coś więcej, bo chciałabym, żeby on mnie zawsze w czoło całował, tak, jak mnie wczoraj pocałował, gdy szliśmy do altany, w której mamcia przygotowywała kawę. Liście nas zasłoniły, on mnie porwał w pół i pocałował w czoło i powiedział:

— Moje ty... moje ty...

A mnie coś aż zadławiło. I śmiać mi się chciało i płakać. I teraz, kiedy piszę, to tak mi głupio. Powtarzałam sobie długo, cichutko „moje ty...," a nawet (wstyd, bo może to okropnie głupie), jak się dziś rano myłam rosą, to nie umyłam czoła, żeby się jeszcze ślad jego ust pozostał.

Przeczytałam po chwili to, co napisałam. Aż mi straszno. To jakoś nie dobrze wygląda i nie wypada. Ale przecież w czoło mnie i tatko całuje zawsze, gdy idę do spowiedzi, albo na imieniny, albo na Wielkanoc.

Więc i to, że Po..... mnie pocałował w czoło, to przecież tak samo.

Inaczej, to już chyba nie pozwolę. Co ja też przypuszczam!...

5 sierpnia.

Znów się „zaszyłam“ w krzaki, jak mówi *on*, z moim kajecikiem i ołówkiem. Mamcia śpi. Jakaś teraz ciągle jakby chora. Takie ma wypieki i śmieje się, ale doprawdy mnie się zdaje, że mamci to naprawdę śmiać się nie chce.

Zresztą, wszyscy my jacyś dziwni, jak jesteśmy razem.

Niby tak rozmawiamy o wszystkiem i zajmujemy się jedni drugimi, ale mnie się zdaje, że i mamcia i tacio tak samo, jak i ja, myślą całkiem o czem innem. Namyśliłam się, że będę w dzienniczku P. nazywała *on*. To najlepiej. Bo tak litera, to jakby K., a przecież P., to nie K. Więc niech będzie *on*. Po francusku byłoby jeszcze lepiej—*lui*. Ale tak już niech zostanie.

Teraz prawie codzień do nas zagląda. Edek wściekły. Mamcia bardzo się na Edka gniewa. Tacio znów kontent, jak *on* przyjedzie. Tacio coraz częściej w Warszawie nocuje. Wczoraj, jak przyszedł z Warszawy, to miał całe ubranie poczepiane białą bawełną, jak szwaczki fastrygują ubranie. Biedny tacio musiał w sekrecie przed mamcią naprawiać może co w ubraniu. Mamcia bardzo teraz nie lubi szyć i ciągle się czesze, albo masuje. Jak wrócę do Warszawy, to będę taciowi naprawiała sama bieliznę. Tarnawicz przychodzi, ale czegoś bardzo smutny. Próbowałam dowiedzieć się, co mu jest. Odburknął coś pod nosem. To niegrzecznie. Skoro skończy lekcye—ucieka. Przyznam się, że ja to wolę. Jakoś mi przykro, jak jest wtedy, kiedy i *on*. Tak mi wtedy, że nie mogę znieść oczu Tarnawicza. I od tej chwili, jak Edek powiedział, że jestem „kokiecica,“ to nie patrzę na Tarnawicza i wolałabym, żeby on na mnie nie patrzył.

7 sierpnia.

Wczoraj, kiedy Tarnawicz odchodził po lekcyi i szedł taki jakiś smutny, zgarbiony aleją, a słońce na niego świeciło, serce mnie ścisnęło i chciałam za nim pobiedz i zatrzymać go, nawet... powiedzieć mu o P. Ale pomyślałam, że to byłoby naprawdę po kokiecku i dałam spokój. To wyglądałoby tak, jakbym myślała, że Tarnawicz jest zazdrosny. A przecież Tarnawicz się we mnie nie k....

Boże! Boże! Co się ze mną dzieje! W teatrze na scenie chyba dzieją się takie rzeczy. Ja myślałam, że to autorzy tak wymyślają, a to naprawdę trzeba się tak męczyć. Bo choć to niby wszystko wesołe, ale to tak naprawdę smutne, że wolałabym, ażeby się te krzaki nade mną zamknęły i żeby już nic, nic...

7 sierpnia.
(W godzinę później).

Tak się trzęsę, że ołówek mi z rąk leci, ale trudno. Muszę to zapisać. Przecież to chyba najważniejszy dzień w mojem życiu. Kiedy pisałam ten dzienniczek, posłyszałam kroki i zaraz wiedziałam, że to *on*. Znów lód mi się zrobił pod czaszką. I to był naprawdę *on*. Szedł bardzo ostrożnie i bardzo cichutko. Rozchylił krzaki i powiedział:

— A kuku!...

A ja się jakoś zmieszałam narazie i aż przyklęknęłam i schowałam kajecik i mówię mu:

— Mamci niema w domu.

On zaczął się śmiać i powiada:

— Ja wiem, bo widziałem, jak mamcia szła przez ulicę Marszałkowską.

I rozgarnął krzaki i usiadł przy mnie. Był ślicznie jasno ubrany, miał eleganckie buty popielate i sam był śliczny. A jak był tak blizko, to mnie coś w sercu zaczęło się ściskać, jakby tam było coś żywego. *On* mnie porwał za ręce i zaczął po rękach całować aż do łokci i po za łokcie, bo miałam matinkę z szerokiemi rękawami. A mnie

ciągle było zimno w głowę i twarz, ale za to po mnie całej, to jakby kto wrzącą wodą z samowara lał. I nie mogłam ani słowa wymówić, bo mnie przecież nikt tak po rękach nie całował, więc nie wiedziałam co robić. A *on* mnie przygarniał coraz więcej do siebie i nareszcie mnie zupełnie przytulił tak, jak małe dziecko. Ale on się cały trząsł i miał takie rozpalone usta, jak mnie po czole i po włosach całował. I ciągle mówił jakoś ochryple:

— Ty-ty-ty...

A nad nami ptaki tak ćwierkały. A mnie ciągle się zdawało, że to sen i sen. Zamknęłam oczy, już nic nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, tylko mi się zdawało, że ja jestem bardzo malutka i że mi ktoś wszystkie smutki z serca zdejmuje i jakby jakąś przędzą owija. I pomyślałam sobie:

— Matko Boska! żeby tak umrzeć, bo nikt mnie tak tulić nie będzie więcej, ani nic...

I nagle *on* się pochylił nade mną i okropnie mocno pocałował mnie w same usta, ale tak, że aż mnie zabolały. Krzyknęłam, a *on* mnie całował po ramionach i po szyi, a mnie to bolało i okropnie mi było żal, że *on* taki niedobry się zrobił i już mnie tak nie tuli...

Teraz ja, to już mogę *wszystko* napisać, a zaraz wytłumaczę dlaczego.

Więc, jak on mnie tak całuje, ja oczy otwieram i nagle się czegoś przestraszyłam. Ale to okropnie. Jakby mnie ktoś chciał zabić. Ale nie krzyczałam, tylko zaczęłam prosić:

— Proszę pana!... proszę pana!...

A *on* miał takie oczy dziwne i białe, i doprawdy, że był szkaradny. I mówi do mnie:

— Czy chcesz być moją? powiedz? chcesz być moją?

Mnie tchu zabrakło, bo się tak o mnie oparł, i strasznie mi było, i ciągle mówię:

— Proszę pana!... proszę pana!...

On oddycha ciężko i znów:

— Chcesz być moja?

A ja odpowiadam:

— Dobrze... chcę, ale pan musi zaczekać.

On się odsunął i patrzy na mnie dziwnie.

— Dlaczego?

— No... bo ja jeszcze bardzo młoda, żeby iść za mąż. Jabym poszła, ale rodzice może nie zechcą.

On jeszcze chwilę patrzył na mnie, a potem zaraz rozplutł ręce, odsunął się i długo nic nie mówił.

A potem nagle się odezwał:

— Tak, masz racyę, moje słodkie dziecko... masz racyę.

I ukląkł przede mną i złożył ręce:

— To ty, cudzie majowy, chciałabyś zostać moją żoną?

A mnie łzy do oczu i potem po twarzy.

— Chcę!—odpowiadam.

A on znów:

— Ty chcesz być żoną takiego starego komedyanta, jak ja?

Ja zaraz pomyślałam, że *on* nie stary, ani nie komedyant tylko artysta, i śliczny, i zgrabny, i dowcipny, i elegancki i *wszystko*, ale bałam się dużo mówić, bo już mi się usta trzęsły. Więc tylko znów powiadam:

— Chcę!...

A *on* zaczął mi całować ręce i nogi, i śmiać się, i cieszyć i wołać:

— Żonuś, żonuś...

A potem porwał mnie, ale delikatnie, i przytulił do piersi, i gładził ręką po włosach, ciągle szeptał:

— Kiciątko!... Kiciątko!...

Podniosłam na niego oczy. Był znowu ładny, piękny i oczy miał dawne błękitne i swoje, a nie takie, jakieś białe, jak przedtem, i oddychał cicho. A mnie przy nim było strasznie dobrze i błogo. I pomyślałam, że tak będzie całe moje życie, a to będzie mój mąż. Krzaki tak jakoś dziwnie lekko szumiały i ptaki krążyły, ale cicho, nie ćwier-

kały. A od zboża płynął zapach i było tak dobrze i cudnie, że już nie wiedziałam, gdzie jestem.

Bo przecież ja tak bardzo chciałam, żeby mnie kto tak przytulił, a mnie już dawno w domu traktowali, jak dorosłą i mamcia mnie nie pieściła ani bracia. A ja już taki mazgaj, że we mnie coś aż się rwie, żeby ktoś mnie zamknął w swoich ramionach. Wtedy to ja już się nie boję. Ja wiem, to źle. Tarnawicz mówił przecież, że Ibsen napisał, iż tylko człowiek sam jest silny. A ja powinnam być silna bo jestem biedna, i mamcia i tato widocznie myślą, że ja już jestem silna i tak ze mną postępują. Więc co dziwnego, że ja *jego* bardzo będę kochała i będę mu wdzięczna, i będę się do niego tuliła, byle mnie tylko nie opuścił i zawsze pozwolił być przy sobie. I tak mi jest źle teraz przez to, że ja zawsze tęsknię za tem, aby mi ktoś dobre słowo powiedział, że poszłabym nietylko za mąż, ale chyba na koniec świata.

8 sierpnia.

Wczoraj przerwałam pisanie, bo mamcia wróciła z Warszawy.

Więc teraz piszę dalej. Jakeśmy tak siedzieli, przytuleni, więc mi przyszło na myśl, że *on* za chwilę odejdzie. I pragnęłam, abym już przy nim miała prawo zostać ciągle. Więc pytam go bardzo grzecznie i bardzo cichutko:

— A kiedy się pan o mnie oświadczy rodzicom?

A *on* się zastanowił i mówi:

— Widzisz, kiciąteczko, sama powiedziałaś, że rodzice twoi będą się sprzeciwiali twemu zamążpójściu, bo jeszcze jesteś młodeńka. Ha? co?

— Tak.

— A więc myszko cudowna, najlepiej jeszcze kilka miesięcy ukryć to, co jest między nami. Ja tymczasem zaangażuję się do teatrów rządowych na doskonałych warunkach i gdy już będę miał gażę zapewnioną, oświadczę się o ciebie.

A ja się go pytam:

— Ale ja już jestem pana narzeczoną?

Porwał mnie znowu w objęcia.

— Jesteś, jesteś. Tyś moja, ja twój!

W tem zaszeleściły liście. Ja się go jeszcze prędko pytam:

— A pana matka będzie z nami mieszkać?

Tak się ucieszył.

— Chcesz tego?

— Ależ tak. Ona taka dobra.

Aż mnie pocałował w rękę.

— Ty słodka, ty...

Kot się przesunął przez krzaki, ale my się spłoszyliśmy. *On* pożegnał się ze mną i przyrzekł, że jutro przyjdzie.

A kiedy poszedł, to ja siedziałam długo i nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Chwilami radość aż mnie rwała ku niebu, a potem, jakby mnie kto przed mój grób otwarty zaprowadził i kazał się nad nim modlić. Strach mnie przejmował, że ludziom w oczy będę patrzała i znów jakaś duma, że ja już prawie żona...

Choć swoją drogą myślałam, że ja się inaczej zaręczę.

10 sierpnia.

Czytam dzieła Hoffmanowej i natrafiłam na pamiętnik Franciszki Krasińskiej. Ona także się zaręczyła tajemnie tak samo, jak ja. Tylko jeszcze gorzej, bo i ślub wzięła ze swoim królewiczem. A ja sobie myślę, że ten jej królewicz Karol, to chyba nie mógł być piękniejszy od mego królewicza. Tak sobie przypominam, jak to było w Zakopanem i tę bombonierkę z czerwoną kokardą i jego wiersze do mnie. *On* czasem mnie traktował, jak smarkatą i ja za to się na niego gniewałam. Pamiętam, jak mnie mamcia i *on* nie chcieli wziąć z sobą do Morskiego Oka rano i sami poszli. A ja byłam taka jakaś wtedy. Nie zła, tylko tak mnie coś rwało w sercu i chciałam krzyczeć,

że dzieje mi się jakaś krzywda. Nie o to właściwie, że mnie nie wzięli z sobą nad brzeg, ale o to, że mnie od siebie odsunęli. Zresztą nie wiem sama o co. Tylko teraz, to już śmieję się z tego wszystkiego. Bo jestem narzeczona! narzeczona! narzeczona!...

11 sierpnia.

Przykro mi, że niemam pierścionka zaręczynowego z szafirem, albo z turkusem. Przecież to przyjemnie mieć takie coś na palcu. Wczoraj to urwałam źdźbło żyta i zawiązałam sobie na palcu, niby pierścionek. A potem chciałam rozplątać węzełek i użyłam szpilki. Ukłółam się i krew jak rubinek zatrzymała się na słomce.

Ja zaraz zrzuciłam ten pierścionek, bo to zły prognostyk i nikt nie daje na zaręczynowy pierścionek rubinów. Perły—łzy. Rubin—wielka rozpacz. A przecież nam chyba będzie tylko dobrze. Modliłam się wczoraj bardzo gorąco, żebym potrafiła być dobrą żoną. Gdy wrócę do Warszawy, poproszę mamci, aby mi pozwoliła zająć się troszkę kuchnią, bo taki aktor, to znów nie Krezus i chciałabym mu ulgę zrobić, a ja troszkę głupio jestem wychowana. Tak się na niczem nie rozumiem. Mamcia zawsze mówi: „Graj," albo — tam co innego, a na gospodarstwo, to będziesz miała dosyć czasu, jak zamąż pójdziesz. Ale ja znów myślę, że to będzie zapóźno i że eksperymenta będę robiła na kieszeni męża, a to przecież źle.

Boże! Boże! piszę o tem mojem za mąż pójściu, jakby nigdy nic, a to jeszcze daleko. Może rodzice się nie zgodzą. *On* się głównie przed mamcią kryje, bo przed tacią, to nawet żartując, niby powiedział na mnie — moja narzeczona! A tacio zaczął się śmiać i mówi: „Także coś!..." Ale mamcia nadeszła i pyta się, co mówili. Tacio chciał powiedzieć, ale *on* zaczął zagadywać, śmiać się i tak się zręcznie wykręcił.

Jak on umie zmieniać ton i tak w jednej chwili być inny. Ja to podziwiam i myślę sobie, że Edek niegdyś

niesłusznie powiedział, że my kobiety jesteśmy specyalistki od kłamstwa. Bo ja nie mogę ukryć swego zmieszania, kiedy kto wejdzie i nie mogę tak twarzy zaraz na inną przerobić. A *on* zmienia się w jednej chwili. Nic go to nie kosztuje. Może dlatego, że on jest aktor.

Może. A może to mężczyźni tak umieją panować nad sobą?

Jeszcze nie wiem, a nie chcę się go pytać, bo to byłoby niedelikatnie.

11 sierpnia.

Czy ten Edek się czego domyśla, czy co! Tak się mnie ciągle czepia. To to, to tamto. I zawsze jakieś aluzye do komedyantów, do konkurentów scenicznych. Wczoraj, gdy *on* przyniósł mi cukierki, to Edek zaczął krzyczeć: „A uważaj dobrze, bo to pewnie z *papier maché* — (on powiedział papiemasze), zęby sobie połamiesz. Szczęściem mamcia nie słyszała, ale słyszał Tarnawicz i... — Tylko nie spojrzał nawet na mnie. On cały zajęty tym „Potemkinem" i tem wszystkiem, co się dzieje. Przynajmniej tak wygląda.

Ja się cieszę z tego, bo przecież nie chciałabym, ażeby przeze mnie cierpiał. I wolę to. Tylko, tylko to przecież dziwne, że jeżeli był we mnie trochę zakochany, to tak prędko sobie wytłumaczył.

Ja wprawdzie teraz bardzo się od niego z daleka trzymam, bo tak powinna robić narzeczona każda, ale zawsze mógłby choć troszkę pocierpieć dłużej.

Ci mężczyźni, to bardzo dziwni. Oni mówią, że to przez dumę, ale to nie prawda. To oni się tak wykręcają tą dumą, a to dlatego, że oni są niestali. Taki Tarnawicz, to przecież kwiatki nosił i tak rozmawiał. A teraz, jakby mnie nie było. Tylko mówi o tem, co się *tam* dzieje.

Ja wiem, że to jest wielkie, ogromne, że to ma duże znaczenie, ale przecież...

11 sierpnia.

Takie dziwne, że miłość to się musi opierać na kłamstwie. I to mi bardzo psuje moje szczęście. Okropnie mi ciężko żyć tak zaręczona i nie módz się do tego głośno przyznać. Mamcia znów coraz więcej mnie traktuje jak dziecko i to zawsze przy *nim*. A mnie to upokarza i coś się we mnie buntuje. I chciałabym wtedy zacząć krzyczyć: „Bardzo proszę, ja jestem już kobieta!“ Ale nie śmiem. Tylko aż mi łzy w oczach stają. A co mnie najwięcej boli, to to, że odkąd *on* się ze mną zaręczył, to się za mną nie ujmuje, jak dawniej, w Zakopanem. Pozwala mamci na to. A ja jestem bezsilna. Prawda, że jak mamcia pójdzie, albo się odwróci, to *on* zaraz mi coś ślicznego szepcze, nazywa kiciątkiem, albo żonusią. A często pocałuje delikatnie we włosy, albo w szyję. Ach! tego to nie lubię. To mnie aż boli wzdłuż krzyża i potem nawet, jak sobie przypomnę, to mam, jak echo tego bólu. Ale mu się nie sprzeciwiam, bo ja myślę, że żona powinna być uległa mężowi. Dziś siedzieliśmy wszyscy razem w altanie i była Władka. Wszyscy rozmawiali razem, a Edek wylazł na dach i ztamtąd „ironizował.“ (On to tak nazywa). I nagle Władka mówi: „Dlaczego się pan Porzycki nie żeni?“ We mnie tchu zabrakło. Myślę — może *on* nie wytrzyma i zdradzi się. Ale *on* zaczął się śmiać. I zaczął mówić długo, jak to *on* się nigdy nie ożeni, bo małżeństwo, to głupi wynalazek i spróchniała instytucya. A potem, że nie znał takiej kobiety w życiu, która byłaby skończonym ideałem, a tylko taki może być dobrą żoną. Tacio siedział cicho i nic nie mówił, a mamcia się uśmiechała. Władka tylko się zaczęła kłócić i mówiła mu nawet niegrzeczności, co było niełądnie, bo zawsze *on*, to on, a ona, to ona. A mnie to było bardzo przykro, że *on* ma takie przekonanie o małżeństwie i już nie wiedziałam co myśleć i aż palce sobie pod stołem powykręcałam.

Nagle Edek spadł z dachu i wszyscy się zerwali z miejsc, więc się ta moja tortura skończyła. Ale co

najdziwniejsze, to to, że gdy szłam razem z innymi do Edka, który darł się okropnie, choć mu nic nie było, to *on* wsunął mi w rękę maleńką karteczkę. A na tej karteczce (bibułka od papierosa) było napisane:

— Mój żonuś malutki, nie wierz temu co mówię, bo ty jesteś mój ideał, mój, mój, mój...

Tak było napisane. I *on* to pisał, a co innego mówił. To już coś bajecznego. I nagle mi się śmiać czegoś zachciało, że ja jedna właściwie znam całą prawdę. I byłam jakaś dumna i chwileczkę było mi dobrze.

13 sierpnia.

Przeczytałam ostatnie kartki i myślę, że ja zanadto się rozgadałam w moim kajeciku. Ale to tak. Odkąd się to stało, to w mojej głowie chaos, strach co się dzieje. Nocami nie śpię. Ciągle *on* i *on*. Chowam ogarki od jego papierosów, staram się pić herbatę tą łyżeczką, którą *on* jadł poziomki. I zawsze sobie w nocy myślę, że *on* jest cudny. A gdy jeszcze sobie wyobrażę, że całe życie będziemy we dwoje, nietylko we dwoje, to doprawdy aż się boję, aż mi do głowy uderza i modlę się, i mówię modlitwę św. Bernarda, ażebym ja przed nim umarła, bo jakżeby to było, gdyby *on*...

Wolę nie pisać. To byłoby okropne. Jezus Marya! Jak mogą wdowy żyć i wychodzić drugi raz za mąż! To muszą być jakieś inne, niż ja kobiety, czy co.

14 sierpnia.

Dziś mi się zdaje, że Tarnawicz długo ukradkiem patrzył na mnie. I bardzo smutne miał oczy tak patrząc. Ja ręczę, że mu Edek, Bóg wie, co powiedział. Ja udawałam, że wieszam papiery na muchy, ale doskonale to widziałam. I może to brzydko, ale byłam kontenta, że mu jest żal i że jeszcze o mnie nie zapomniał. Potem nadszedł *on*, a ja byłam

bardzo wesoła, bo i *on* na mnie ciągle patrzał. A mnie tak było, jakbym szła po kwiecistej łące, a naokoło mnie padały cudne kwiaty i na ramiona moje i pod stopy. Ale to nie były kwiaty, tylko *ich* spojrzenia. Jeszcze teraz jestem jak pijana od wszystkiego.

15 sierpnia.

Dziś przeczytałam to, co wczoraj napisałam i czegoś mi wstyd, czegoś mam niesmak. Raz się upi.... W Zakopanem. Niema co. Byłam pij.... Tyle mi wtedy likierów dali przy kolacyi podczas balu. I na drugi dzień, to mi było tak jakoś, jak dzisiaj. Coś mnie mdli i smutek mi serce ściska. Pamiętam, że Porzycki (t. j. *on*) śmiał się i mówił, że „kupiłam sobie małpę", a potem, że „dałam na piec", i jeszcze inaczej. Dziś mi tak samo, choć nie piłam nic. Tylko mnie upoiło to, że na mnie tak patrzyło ich dwóch, a ja pomiędzy nimi... To było bardzo mile.

A przecież mam taki niesmak.

16 sierpnia.

On ma grać w rządowym teatrze za kilka dni, mimo to przyjeżdża codzień. Mamcia już tak wie napewno, że *on* przyjedzie, że zawsze każe brać więcej o funt mięsa i coś robić po wódce dobrego, co *on* lubi. I tak go mamcia mile wita. Taka jestem z tego rada i czasem to taka mamci wdzięczna, że aż mi słowa się rwą na usta, aby jej przyznać się do wszystkiego. Ale nic nie chcę robić bez jego woli. I gdy sobie przypomnę, jaka byłam głupia w Zakopanem. Przecież ja się czegoś bałam, jak *on* z mamcią sam pozostał i zdawało mi się, że go mamcia więcej lubi niż mnie i byłam, zdaje się, zazdrosna. Ale teraz, jak się zastanawiam, to niewiem czy ja o niego, czy o mamcię byłam zazdrosna. Już nie wiem. Tylko to wiem, że byłam bardzo szczęśliwa, jak *on* się mną zajmował, choć czasem udawałam, że się dąsam. I często myślałam, że byłoby bardzo dobrze, gdyby *on* był zawsze

z nami, bo taki wesoły, tak jakoś miło, gdy *on* jest, jakby ciągle słońce świeciło.

I—ot—Pan Bóg wysłuchał moich życzeń i on będzie ze mną całe życie. A mamcia to już musiała przeczuwać, że to będzie jej zięć, że go tak bardzo polubiła.

17 sierpnia.

Tylko bardzo pragnę, aby mu się te występy udały. W Kuryerku takie dla niego pochwały, ale *on* niekontent, bo mówi, że to zawiele przedwczesnej reklamy. Wczoraj wieczorem siedzieliśmy wszyscy w altanie. Cudny był wieczór. Ciepło i cicho. Czasem leciuchno bardzo się poruszyły gałęzie, ale to pewnie ptaki gnieździły się na sen. I słychać było często, jak ćmy biją o klosze, w których palą się świece. Była i Władka, która przyjechała razem z taciem. Mówili, że się spotkali na kolejce. A na rogu stołu jeszcze coś kończył pisać Edek i Tarnawicz czekał, aby on skończył, bo miał to z sobą zabrać do Warszawy. *On* palił papierosy i siedział trochę w cieniu. Ale ja już tak się nawpatrywałam w jego twarz, że widzę go dokładnie wśród ciemności i wiem, że *on* na mnie patrzy. Tylko wczoraj zaczął mówić o swoim występie i o tem, że się boi. On to nazywa „mieć tremę". Tacio się dziwił. Ale *on* mówił, że wszyscy wielcy artyści, nawet nieboszczyk Królikowski, bardzo się boją, a właśnie Królikowski to nawet maszynistów się pytał, czy umie rolę i czy dobrze będzie grał. Po tem można odróżnić prawdziwy artyzm. Tak *on* mówił. I zaczął bardzo gorąco i ładnie mówić o tem, czem jest sztuka dramatyczna i jakie jest posłannictwo aktora, którego błędnie uważają jedynie za odtwórcę cudzych myśli. Wszyscy go słuchali, tylko Tarnawicz patrzył na niego drwiąco i doprawdy był wtedy brzydki. *On* dostrzegł ten uśmiech i zapytał:

— Czy panowie młodzi wykreślacie ze swego programu Piękno?

Tarnawicz się zachmurzył i odpowiedział bardzo hardo:

— Przedewszystkiem osiągnąć należy to, co konieczne, a potem będziemy *gwarzyli* o Pięknie.

Nie mogę oddać tej ironii, z jaką Tarnawicz powiedział słowo *gwarzyć*.

On aż się cisnął i zapytał znów:

— Co według was jest koniecznością?

A Tarnawicz podniósł oczy, które aż zaświeciły jak dwa ogniki i odparł:

— Przedewszystkiem swobodę, bo bez niej nawet o Pięknie mowy być nie może.

— Pan wierzy jedynie w piękno o narodowym podkładzie?

— Tak!

— Sztuka jest międzynarodowa.

— Dla ludów swobodnych. Dla nas zaś, którzy możemy się tylko wypowiadać, sztuka powinna być narodowa.

Tak to mówił Tarnawicz i mnie zdawało się, że urósł i wypiękniał. Oczy mu płonęły, usta i policzki zaróżowiły się. Nie wyglądał na małego uczniaka, ale na dorosłego i mądrego mężczyznę.

On pomyślał trochę i wyciągnął ku Tarnawiczowi rękę.

— Pan ma racyę—wyrzekł po chwili—racyę.

Wszyscy milczeli. I tak się zdawało, jakby ktoś bardzo piękny snop kwiatków ciemnych i pachnących rzucił pomiędzy nas. A ja byłam bardzo, bardzo jakaś szczęśliwa, że Tarnawicz odniósł zwycięstwo i że mu *on* musiał przyznać racyę. Ale zaraz mnie zdjął wyrzut sumienia, że to źle z mej strony, bo przecież on jest moim narzeczonym, więc raczej powinnam się smucić, że to nie za jego sprawą padł pomiędzy nas ten pęk kwiatów, który zdawało się nam widzieć w przestrzeni. A Tarnawicz jest dla mnie obcym i pozostanie nim.

I gdy to mi stanęło w myśli, że Tarnawicz będzie dla mnie zawsze *obcy*, zdjął mnie nagle straszny żal, aż wysunęłam się z altanki i usiadłam cicho na ławeczce pod lipą.

Bo czułam, że nie mogę patrzeć na nikogo, nawet... na *niego*.

18 sierpnia.

Teraz dopisuję jeszcze tych słów kilka. Kiedy wyszłam z altanki, *on* wydostał z kieszeni masę dzienników, przysunął świecę i zaczął je czytać półgłosem. Były to wiadomości *ztamtąd*, od nich... i aż serce drżało ze strachu. Wszyscy skupili się koło czytającego. Czasem ktoś powiedział słówko. Mamcia objęła za szyję Edka, co nigdy nie robi, o ojca oparł się Tarnawicz. Pochylili się ku sobie, słuchali. A wszyscy mieli w świetle świec jednaki wyraz twarzy. Czasem ktoś westchnął, rzucił słowo. A mnie się zdawało, że ku nam pędzi jakaś olbrzymia lodowa góra z północy i niesie w sobie, we wnętrzu rozpalone krwawe słońce. I zdawało mi się, że pod naporem tej góry lodowej zginiemy wszyscy, chyba, że się tak ściśniemy razem jedno przy drugiem, jak w tej chwili ścisnęli się wszyscy *my* przy stole, w altance, zapomniawszy o tem, co jedno miało do drugiego na sercu.

Czasem *on* głośniej coś przeczytał, ale nikogo nie było dokoła altanki: tylko ptaki, a te przecież nie zadenuncyują, bo one nie wiedzą, że czasem jest tak źle jakimś ludziom, że nie mają prawa powiedzieć tego co myślą i co im serce ściska...

Tu się kończy na zawsze dzienniczek Pity.

Dzień był dżdżysty i chmurny. Chłodno nawet było i szara nuda rozwlokła się w powietrzu. Edek od samego rana grymasił i starał się dokuczać wszystkim. Pita odziana w barchanową matinkę, czesała się w swojej stancyjce, jakaś nieswoja i jakby w przeczuciu jakiejś ciężkiej katastrofy. Rano przebiegł po ścianie pająk.

— *Matin-chagrin* — pomyślała i zaraz zaczęła się troszczyć, czy Porzyckiemu nie stało się co złego. — Gdyby już ten wieczór nadszedł... ale taki długi dzień. Mój Boże! żeby to już wrócić do Warszawy, byłabym bliżej niego.

W sypialni małżeńskiej Tuśka, którą gorączka jakaś zrywała z łóżka teraz rano, już uczesana i umyta, robiła gorzkie wymówki mężowi za to, że paląc papierosa, strzepywał popiół na ziemię. Nagle urwała, wzruszyła ramionami i zaczęła szlifować sobie paznogcie. Wogóle pozornie zajmowała się drobiazgami; było to tylko pozorne, bo cała jej dusza rwała się gdzieindziej. Czepiała się byle czego i rozpoczynała brzydką, małostkową kłótnię. Potem jakby coś innego trąciło ją skrzydłem swojem. Wzruszała ramionami i odwracała się z pogardą. To samo działo się i z Żebrowskim. Stawiał się ostro, hardo. Na wymysł odpowiadał wymysłem. Lecz po chwili i on zdawał się przypominać sobie, że *to* nie jego świat, i że jest coś lepszego, do czego mu się zwrócić należy. Odwracał się z sarkastycznym wyrazem twarzy i śpieszył się z ubraniem, aby uciec z domu. Wogóle uciekał teraz chętnie i często. Tuśka, zajęta Porzyckim, nie zwracała na to zbytniej uwagi, lecz była nawet rada, iż nie miała tej kościanej figurki koło siebie tak, jak na ulicy Wareckiej.

— Gdyby nigdy nie wracać do Warszawy! — myślała teraz — czując jakieś przywiązanie do tego małego domku, do tego sadu, w którym codziennie widziała Porzyckiego.

I obecnie cała ta rodzina była zajęta, nie sobą, ale każde z nich miało jakiś punkt, ku któremu biegły ich myśli, dążenia, pragnienia. Znaleźli te punkta i do nich skierowali swe światy. Gdy dawniej niepewnie błądzili jeszcze i odwracając się od siębie wracali jednak chwilami do tej wspólności rodzinnej, zwyczajem i prawem uświęconem, teraz już śmiało wyrwali się, pozostając jedynie w gnieździe fizycznemi warunkami spętani. I tak jak dawniej usuwali się sobie nawzajem, grzecznie, nie potrącając się

w zbyt ciasnem mieszkaniu, tak samo zbierali teraz szybko rozpostarte skrzydła swych dusz i szybowali każde ku upatrzonemu punktowi.

I przez warunki życiowe, układ społeczny milcząco przyjęty, a niezrozumiały przez to: „tak być musi"—wszyscy kryli przed sobą ten świat uczuć, w który bez własnej woli wstąpili. Ci, którzy złączeni na zawsze, spleceni węzłem najsilniejszym, byli jakby dopełnieniem siebie samych, jakby *jednością*, nie śmieli zwierzyć się sobie wzajemnie z tego, co teraz ogarnęło nimi całymi i stanowiło treść ich życia. Żona nie mogła powiedzieć mężowi: „Ratuj mnie, kocham i cierpię. Przyszło to na mnie jak ból niewywołany. Oto staję u przełomu mego kobiecego rozkwitu i zmora miłosna stanęła przede mną w swej okrutnej sile. Co mam czynić? Dopomóż mi przejść ten kryzys, który wydaje mi się nie do przeniesienia. Dozwól mi nie kłamać przed tobą, ty który jesteś mi przeznaczony na dozgonnego towarzysza doli mej i niedoli. Dozwól mi nie kłamać w każdej chwili i na każdem miejscu. Niech spocznę obok ciebie, jak koło przyjaciela i niech łzy moje spłyną na pełną współczucia i miłosierdzia pierś twoją!.."

Mąż nie śmie powiedzieć żonie:

— Na schyłku dni moich, w zapracowaniu, w katordze mojej nie słyszałem nigdy dobrego, pieszczotliwego słowa. Wlokłem jarzmo moje skostniały i wypełniający swoje obowiązki akuratnie i sumiennie. Oczy me powlekało bielmo przedwczesnej starości i wbiłem je w tarczę zegaru mego życia, licząc, iż godziny na nim znaczone są tylko ciemną, szarą barwą. I oto przez mgłę i bielmo przedarł się ku mnie promień uśmiechu. Walczyłem, aby nie widzieć go. Przebił mi powieki. Płacę za ten uśmiech, za ciepło pieszczoty pieniędzmi i resztą sił swoich. Chwile złudzenia są rzadkie, chwile smutku i zwątpienia ciężkie. Zrozum mnie ty, która miałaś mi być nietylko żoną, lecz i przyjacielem, uznaj swoją winę, odczuj we mnie cierpienie zbyt późno zbudzonego *człowieka*, łaknącego miłości,

nie każ mi w sarkazmie, gniewie i ucieczce kryć kłamstw, które mnie dławią...

Córka nie śmie powiedzieć rodzicom:

— Oto znów miłość stanęła przede mną. Nie wiem, czy jest to ona, ta prawdziwa, ta jedyna, ta największa. Błądzę może znów i biorę miłość miłości, za miłość jednostki. Oświećcie mnie wy, którzy przeszliście już przez pożar młodych uczuć! Czy mam przeczekać spokojnie ten żar, który we mnie roznieciły słowa i spojrzenia mężczyzny, czy uważać go za nigdy niewygasły płomień, który ma stać się tem, co ludzie zwą „ogniskiem domowem". Nie każcie mi kłamać przed sobą, nie każcie kryć rumieńców i drżeń. Badajcie je wraz ze mną. Tu idzie o życie moje!...

. . . . . .

Nie śmie tego powiedzieć nikt. Jakąż wielką ulgę doznaliby wszyscy, gdyby odkryli przed sobą swe nędze, cierpienia, stan swych dusz! Zespoleni w świecie uczuć, rozumiejąc się wzajemnie, dopomagaliby sobie do przeniesienia ciężkich chwil ci *bez winy winni*.

I poznając się najlepiej w cierpieniu zeszliby się najprędzej i najściślej właśnie w tej *prawdzie*, oni, którzy według fałszywych układów życiowych sądzą, że prawdę kryć winni przed sobą, bo prawda ich rozdzielić tylko może. A jest właśnie przeciwnie. Ile łez, hańby, bólu, połamanych istnień ocaliłby można, gdyby właśnie ta *rodzina* potrafiła zrozumieć, że nawet grzech jednego przeciw drugiemu powinni przynieść sobie wzajemnie w ofierze bez osłony i rzucić pod stopy, zamiast okłamywać się wzajemnie.

Lecz tak nie jest. Mąż, żona, którzy dawno przestali kochać się, lękają się przyznać przed sobą, że na progu ich życia stanęło jakieś niespodziewane inne uczucie. Dzieci lękają się powiedzieć rodzicom, że dusze ich wstępują na ołtarz ofiarny miłości. I dręczą się, kłamią, cierpią, kryją łzy, spojrzenia, smutek, tęsknotę, a wszystko w ciasnej przestrzeni jakiegoś mieszkania, i w ciasnym, moralnym kręgu.

Straszne, katorżne, okropne kłamstwo!

. . . . . .

Edek gniewny i nachmurzony, zażądał od Pity, aby mu natychmiast przygotowała drugie śniadanie. Chciał iść gdzieś w pole, pomimo niepogody. Pita delikatnie zwróciła mu uwagę, że lada chwila deszcz padać zacznie.

— Pilnuj swego nosa, aktorzyco jedna! — krzyknął brutalnie.

— Aktorzyco?

— Ano... jakże nazwać narzeczoną aktora?

Pita pobladła.

— Co ty pleciesz?

— Pleciesz? pleciesz — przedrzeźniał ją, krzywiąc się pociesznie—ja wiem, co mówię. Wiem! wiem!

— Cicho! nie krzycz, mamcia posłyszy.

— Niech słyszy. Niech wreszcie się dowie, co jej córeczka wyprawia. Powiem wszystko.

— Nic nie wiesz. A co powiesz to będzie kłamstwo.

— Kłamstwo? Poczekaj! ja ci pokażę, kto kłamie. Ja dowiodę czarno na białem. Panna Józefa pisze memoiry, panna Józefa pisze dziennik.

Pita cofnęła się i patrzyła szeroko otwartemi oczyma na Edka.

— Dziennik!

— Było lepiej chować, a nie na belce pod sufitem i przykładać cegłą. Ja odkryłem kryjówkę.

Pita rzuciła się ku swej stancyjce.

— Ha! ha!—śmiał się Edek—szukaj tatka latka! Figę znajdziesz. Ja mam dziennik twój u siebie i zaraz go mamci pokażę.

Pita złożyła błagalnie ręce.

— Edek!

Lecz on wstał groźny, ledwo odziany z czupryną rozwichrzoną.

— Teraz Edek? Edek? A kto bałamucił Tarnawicza, a po krzakach romansował z aktorem?

— Ja bałamuciłam Tarnawicza?

— Ty nikczemna! O! nituszka. Niby to nic, święte minki robi, jak z obrazka, a szelma do szpiku kości. Ja ciebie przeczuwałem, ale teraz dopiero poznałem, jakem twoje memoiry przeczytał. Cieszy się, że Tarnawicz na nią smutno patrzy, a tu od aktora odbiera kartki. Majtki widać, a taka *kobieta*, że aż nudności porywają... Może nie widzisz, że Tarnawicz aż zczerniał, tak się gryzie. Ale poczekaj! Ja ci jeszcze lepiej zrobię... ja jemu ten dzienniczek przeczytam. Niech wie, kto ty jesteś i czy jesteś warta miłości uczciwego mężczyzny.

Na Pitę uderzyły ponsy.

— Jezus! Marya! Edek... oddaj mi dziennik. Co chcesz? wszystko zrobię. Zwrócę słowo panu Porzyckiemu, pójdę za Tarnawicza. Będę nieszczęśliwa całe życie, tylko ty oddaj mi ten dziennik.

Gorączka ją owładła. Drży cała. Lecz Edek jest nieubłagany. Usiadł na dzienniku z obawy, aby mu Pita go nie zabrała i pośpiesznie kończy się ubierać.

— Pojadę do Warszawy... aby prędzej się dowiedział jak wygląda naprawdę jego ideał—mruczy.

W zacietrzewieniu swojem oboje nie dostrzegli nawet, jak ojciec przeszedł, idąc do biura. I teraz nie widzą, że od kilku minut Tuśka stoi we drzwiach i stara się zrozumieć całą scenę.

— Co to jest? co się tu dzieje?—pyta nareszcie.

Edek porywa się i oddaje matce dzienniczek Pity.

— Proszę mamci. To są pamiętniki Pity, niech mamcia przeczyta, to mamcia się dowie, że panna Józefa już się... zaręczyła!

— Co?

— A tak! tak! napisała to sama. Mamcia zobaczy, ze szczegółami.

Przeszedł koło kredensu, porwał dwie bułki, kotlet wczorajszy i wpakował go do kieszeni.

— To są konsekwencye wpuszczania do domu byle kogo! — dodał z szerokim gestem, otwierając drzwi wejściowe.

I wyszedł z domu, dumny, że pomścił „kolegę“, którego tortur miłosnych nie aprobował, ale odczuwał solidarnością męską.

. . . . . .

W domku cicho.

Tuśka w swoim pokoju czyta pamiętnik. Pita usunęła się do swej izdebki i siedzi jak martwa na łóżeczku. Martwa na pozór, bo wszystko w niej drży.

— Co będzie? — myśli — co będzie? Co mamcia powie, gdy się dowie o wszystkiem! Odmówi pozwolenia na ślub! Odmówi... Matko Boska cudowna!

Aż dławi ją od wzruszenia, ale płakać nie może. Cała zamienia się w słuch.

Jest tak cicho, że słychać jak Tuśka przewraca kartki zeszycika.

— Teraz mamcia czyta o Ketlingu, o... *nim!*... Pewnie! Długo nie słychać, aby przewracała kartki. Wstaje?.. Idzie tu...

Pita skurczyła się na łóżku.

— Nie! Mamcia pije wodę. Znów czyta! Matko Boska! ratuj!

Nagle przychodzi Picie jasna myśl do głowy.

— To może lepiej, że się tak stało. Wykryje się wszystko, dowiedzą się. Pogniewają i pozwolą.

I jedna tylko radość ją opanowuje.

— Nie będę potrzebowała już kłamać!...

Nagle, bez szelestu, jak mara wsuwa się Tuśka, trzymając zeszyt w ręku. Staje przy drzwiach, oparta o fu-

trynę. Stoi i oddycha ciężko. Robi wrażenie, że wraca z bardzo dalekiej, kamienistej drogi. Pita spogląda na matkę i prawie jej nie poznaje. Tuśka pociemniała i ma twarz jakby popiołem posypaną.

Pitę ogarnia lęk.

Wstaje i instynktownie cofa się ku ścianie, do której przywiera plecami.

Ona jest blada jak opłatek i oddechu jej nie słychać.

Zdaje się być trupem, który stężał w tej postawie. Ręce jej opadły wzdłuż ciała. Niema siły oderwać oczu od twarzy matki.

Wielka tragedya kobieca rozgrywa się wśród szarej barwy dżdżystego sierpniowego ranka.

Jakiś motyl ciemny, zbłąkany, porwał się nagle z kąta, zawirował pomiędzy temi milczącemi kobietami i, jakby strwożony, przypadł do belki sufitu, gdzie pozostał drżący, żałobny na białem tle wapna.

Pierwsza przemówiła Tuśka:

— To wszystko prawda, coś tu pisała?

Głos jej jest chrapliwy, zmęczony.

Pita milczy.

— Możeś ty wszystko wymyśliła... może to twoja fantazya... może to kłamstwo! Co?

Milczenie.

Och! jak bolesną nadzieją, prośbą rozbrzmiewa głos Tuśki w tej ciszy!

Jak te oczy, które nagle cofnęły się w głąb, śledzą usta córki, czy nie poruszą się, czy nie zaprzeczą temu, co jej duszę szarpie na strzępy.

— Odpowiedz!—charcze Tuśka.

— Mamciu! — zaczyna Pita i ledwo dosłyszalny jest jej głosik.—Mamciu!... to *prawda*.

I widząc, że matka chwieje się i opiera o futrynę, mimowoli rzuca się ku niej z pomocą.

— Mamusiu!...

Lecz Tuśka błędnym ruchem powstrzymuje ją.

— Precz!... precz!...

Szał ją ogarnia. Patrzy na tę drugą *kobietę*—i przez chwilę nie pamięta, że to jest *jej córka*, iż to ona sama, że to kwiat jej ciała. Patrzy i widzi tylko wroga, który zanurzył szpony w jej serce i druzgoce to, co było wszystkiem w jej życiu.

— Och, ty! — zaczyna — ty...

Lecz Pita składa ręce:

— *Matko!* — woła z rozpaczą.

. . . . . .

To słowo oprzytomnia Tuśkę.

Tak.

Jest... matką. A to jej córka. Nie ona winna, bo przecież Pita nic nie wie. Winien *on*, ten człowiek, który przed kilku laty całował jej włosy, jej oczy, a dziś czyni to samo po za jej plecami z jej córką.

I gorzej, i straszniej! *On* chce Pitę zaślubić!

Na samą tę myśl dreszcz przebiega ciało Tuśki. Wydaje się jej to potworne, straszne; jakiś kazirodczy związek, do którego ona dopuścić nie może.

Prostuje się, zbiera siły.

— Pozostań w domu — mówi do córki — nie wychodź ani na krok, zanim twój ojciec nie wróci.

Pita oddycha.

— Ach! — myśli — wszystko się ułoży. Zawołają mnie, padnę im do nóg, powiem, jak bardzo *go* kocham i *oni* pozwolą. Teraz tylko być uległą i niczem mamci nie drażnić.

. . . . . .

Wolno Tuśka opuszcza stancyjkę Pity i wraca do siebie.

Jak każda kobieta, gdy ją cios jakiś ciężki dotknie, cierpi przedewszystkiem fizycznie. Więc drży od dresz-

czów, więc ślepnie od łez, głuchnie od napływającej do serca krwi. I ręce jej wyciągają się drżące, jak ręce ślepca, i ciche skomlenie opuszczonego i zbitego szczenięcia wydziera się jej na usta.

Dowłóczy się do łóżka i pada na nie, waląc się głową prawie bezwładną w poduszki.

Widzi ciągle *ich* dwoje. Całują się...

Jezus, Marya!

Co zrobi, nie wie. To wie jedno, pierwej umrze, pierwej powie to wszystko mężowi, niż dopuści do tego małżeństwa.

To wie jedno.

XI.

Żebrowski przyjął wiadomość o zaręczynach Pity, o całym jej stosunku do Porzyckiego, nadspodziewanie łagodnie.

— Zapewne... hm... zapewne... trochę młoda — wyrzekł wreszcie przeczytawszy dzienniczek córki, który mu Tuśka drżąc cała wręczyła, ale!..

— Ale co?

— Ale rozważmy tę rzecz dobrze. Pita jest uboga, nic właściwie nie umie. Kto ją weźmie? Dziś tylko panny z posagiem idą za mąż.

Urwał na chwilę, popatrzył błędnym trochę wzrokiem na ścianę i dodał jakby do siebie:

— Teraz już niema takich głupich, którzyby się w taczki wprzęgali na całe życie.

Lecz Tuśka nie podniosła nawet tych słów, lecz jakby podniecona, gotowa do walki rzuciła ostro:

— Więc co? więc co?

Żebrowski swoim zwyczajem stał koło okna, lecz zwrócony ku żonie. Na jego kościanej twarzy nie malowało się żadne wrażenie.

— Więc i sądzę, że nienależałoby z naszej strony wielkiej stawiać opozycyi.

— Pozwolić?

— Skoro ją chce wziąć bez posagu...

Tuśka zacięła wargę, aż kropla krwi wystąpiła jej na usta.

— Ty wiesz jedno tylko... bez posagu! bez posagu!.. o to ci chodzi — zaczęła szukając w zbolałej głowie, w której myśli wirowały z szaloną szybkością, jakichś argumentów, mogących upozorować jej opór—ty wiesz tylko, że wezmą ci córkę bez posagu! A ja nie chcę, aby brano ją z łaski. Tak! nie chcę tego!... — powtórzyła szczęśliwa, że w tej pozornej dumie znajdzie jaki taki preteks, którego się czepić może.

Żebrowski wzruszył ramionami.

— A jednak będziesz musiała! — wyrzekł wolno. — Czy ten czy tamten, jeżeli zechce się ożenić z Pitą, weźmie ją bez posagu, a nawet i bez możliwej wyprawy, bo i na nią nie mamy.

Tuśka wpadła w ton szyderski.

— Ojciec! czuły ojciec!... chciałby dziecko wypchnąć, rzuciłby ją byle komu, aby tylko wyzbyć się z domu. To podłe, to nikczemne...

Żebrowski ciągle był bez wyrazu.

— Biedacy nie mogą być bardzo dumni! — wyrzekł nareszcie.

— Biedacy nie powinni mieć dzieci — krzyknęła Tuśka.

Spojrzeli sobie w oczy, jakby się oboje temi słowami ocknęli.

— Biedacy nie powinni mieć dzieci — brzmiało w powietrzu.

. . . . . .

Pomiędzy ich bliźniaczo zestawionemi łożami płonęła świeca na paczce, z której Tuśka urządziła rodzaj stolika. Ponad łóżkiem Tuśki rozpościerał się „paw'" z ulicy Wareckiej, a na nim krzyż, który długie lata jej małżeńskiego pożycia był godłem sakramentu, w którego imię poprowadzono ją do ołtarza.

Biedni nie powinni mieć dzieci.

Sypialnia tonęła w cieniu, sypialnia ludzi biednych, stokroć biedniejszych od suterynowych nędzarzy, bo sypialnia, w której gnieździł się inteligentny proletaryat. Życie walki ciężkiej, gorzkiej, strasznej koncentrowało się w tem ciasnem wnętrzu. Życie tych ludzi było katorgą fizycznych, moralnych, materyalnych warunków...

A przecież oni nie wahali się przekazywać tej katorgi stokroć może cięższej swym dzieciom, które powoływali do życia z tragiczną lekkomyślnością i bez chwili wnikniecia w to, co wolno, czy nie wolno. Nie zbadali swych ciał, nie zbadali swych dusz, nie zbadali środków, jakiemi mogli życie zapewnić tym, których z mroków mistycznych i strasznych w świat powoływali. Przekazywali im swe choroby, swe wady i namiętności, rzucali ich w nędzę, niepomni, że odejdą sami wtedy, gdy ci stworzeni przez nich męczennicy katorgę swoją rozpoczną.

W sypialni Żebrowskich, pomiędzy dwoma łożami zestawionemi bliźniaczo płonie blado świeca.

. . . . . .

Tuśka nie ustawała w energii i nie chciała ustąpić.

— Zresztą ja córki za komedyanta nie dam.

Żebrowski zaczął się powoli, systematycznie rozbierać.

— Więc za kogo? za urzędnika takiego, jak ja?

— A niech ją Bóg broni!

Żebrowski spojrzał smutno na żonę.

— Więc widzisz sama. Taki aktor ma dobrą pensyę.

— Ty widzisz tylko pieniądze, pieniądze i pieniądze.

— Moja droga. Pieniądze, to grunt; wiesz sama najlepiej.

Wymówił te słowa zgnębionym tonem człowieka, którego życie przeszło w wieczystem liczeniu i walce o grosz na codzienne potrzeby.

Lecz Tuśka nacierała dalej:

— Dla ciebie pieniądze... grunt. Ale dla mnie istnieje jeszcze etyczna strona małżeństwa. Porzycki jest człowiekiem bez zasad! Aktor! Cóż to być może? Dla niego co z brzegu to nieprzyjaciel...

Żebrowski uśmiechnął się blado.

— No pewnie kulisy...

— Nie śmiej się! — krzyknęła Tuśka, a oczy jej iskrzyły się w pół świetle — nie śmiej się. To ważna rzecz. Porzycki jest człowiekiem bez czci i wiary!... Miał stosunki... wiem o jakiejś Sznapsi... miał z nią dziecko.

— Nie gadaj? — zawołał naiwnie Żebrowski.

— Tak! widziałam fotografię tego dziecka. I porzucił tę kobietę tak, jak porzucił inne, gładko, słodko...

— Ale Pity nie porzuci!

— Dlaczego? Cóż to Pita piękniejsza od tamtych?

— Nie! Ale będzie jego *żoną*, więc nie będzie mógł!

Tuśka porwała się i zaczęła chodzić po pokoju, jak zwierz w klatce.

— Żona? żona?... nigdy! Póki ja żyję, Pita nie będzie żoną Porzyckiego!

Stanęła u wezgłowia łóżka, na którem leżał okryty prześcieradłem mąż. Jak szkielet znaczył się pod tą lekką tkaniną.

— Słyszysz? — krzyknęła, bijąc rozpaczliwie po drzewie łóżka.

— Słyszę! — odparł cicho, już zmęczony tą dyskusyą i widocznie odbiegający myślą w dal — słyszę... Zrobisz, jak zechcesz.

. . . . . .

— Jak zechcesz? — myśli Tuśka, padając na swe posłanie — jak zechcesz!.. Tak. Zrobię to. *On* musi przestać u nas bywać. Pita musi zapomnieć. Ja... ja... wolę go nie widzieć zupełnie; niż dopuścić do tego małżeństwa. Przecież to byłby grzech, to byłaby zbrodnia. *On* mnie kochał, mnie, a teraz miałby stać się mężem mojej córki? Wszystkie uściski... pocałunki... szept cichy, który po ciele biegnie, jak mora, tęsknota i czar nieobecności, poryw, rzucający w objęcia i to szukanie gwałtowne ust, marzenie wspólnego pożycia, zamarcie oddechu na samą myśl tej wspólności, to wszystko ma *on* powtórzyć z dzieckiem *jej*.

I na to ona ma pozwolić?

I na to ona ma milczeć, błogosławić, uśmiechać się, rozdzierać świeżo rozranioną bliznę, konać sto razy, porywać się do nowej tortury...

Za straszne, za straszne.

Usiadła na łóżku, jakby zdjęta obłędem. Porzucony na krześle świeżo sprawiony czarny batystowy szlafrok zdawał się konać jak wielki ciemny Jago. Ten drobny szczegół dopełnił jej goryczy.

— Jezu!—szarpnęło w się niej—Jezu... jakże on musiał drwić z moich niezgrabnych usiłowań przypomnienia mu się taką, jaką mnie niegdyś kochał! Byłam śmieszna i wstrętna... obserwował mnie po to, aby porównywać z... *tamtą*.

Aż tchu jej zabrakło.

Tamta... to przecież jej córka!

Wpiła ręce w gąszcz włosów, oczy jej zalewały łzy, od których chwilami czerwone pasma snuły się przed nią.

— Jezu! — jęczała — Jezu!

. . . . . .

Na dworze rozpłakał się deszcz. Cicha, ciepła, letnia noc, prawie parno, snuje się dokoła małego domku. Jakby się czaiły wielkie, aksamitne nietoperze i pełzały z krzaków ku temu wątłemu pudełku, w którem w tej chwili konała z bólu dusza ludzka. Były to nietoperze wieczystej boleści nieuniknionej, koniecznej, które opełznąć miały istotę, zdruzgotaną fatalnym zbiegiem faktów i nie mającą siły do walczenia z przeznaczeniem.

I odtąd wlec się miała, mając je uczepione u swych stóp, u ramion, u serca bez nadziei, że znajdzie choćby na chwilę wytchnienie lub uśmiech, dozwalający jej odpocząć w cierpieniu.

Konała dusza ludzka i sama waliła na siebie kamień grobowy.

Gasiła lampę i rozniecała gromnicę, przy której teraz opuściwszy skrzydła żyć miała.

Konała kobieta, choć trumny nie zamówiono, katafalku nie ustawiają, i ksiądz *Salve Regina* śpiewać nie będzie.

Trup! trup tam jest w małym domku wśród drzew.

Trup jeszcze świeży. Ciało różowe, włosy złote, usta gorące.

A przecież to już tylko—trup...

I już tym razem bez zmartwychwstania.

. . . . . .

W sypialni dogorywa świeca.

Tuśka wciąż siedzi i patrzy na czarny szlafrok, na irys, który padł około jej śmiertelnej pościeli.

Żebrowski się budzi.

Chwilę patrzy szklanemi oczyma na żonę.

— Zgaś świecę — mówi sennym głosem — szkoda, że się pali napróżno.

Odwraca się do ściany, zasypia.

I — chrapie.

XII.

Na drugi dzień Tuśka wstała z jakiemś stałem postanowieniem energicznego działania. W tej energii zaczęła czerpać odporną siłę. Unikała jednak spojrzenia na Pitę, która słodka, cicha i pokorna snuła się po domu, jak myszka i trwożnemi oczyma śledziła ruchy i wyraz twarzy matki.

Przedewszystkiem Tuśka znienawidziła Mokotów, mały domek, altanę i ogródek. Zanadto raniło ją to wszystko, i przypominało „zdradę" Porzyckiego. Zdawało się jej bowiem, że była poprostu zdradzoną. Nie chciała wnikać w uczucie, jakie Porzycki mógł żywić dla niej obecnie, po powtórnem widzeniu, lecz ciągle stała na punkcie swej „sezonowej" zakopiańskiej miłości. Chore jej nerwy identyfikowały tę dawną chwilę z obecną i podniecały jej wyobraźnię.

— Łotr! — myślała — matka i córka! *Jednocześnie!*

To sprawiało jej pewną ulgę, iż mogła go nienawidzieć i mieć do tego taki wielki powód. Przyszło to na nią nagle nad ranem i pozostawiła to już przy sobie. Biorąc pretekst: niewygodę — zawyrokowała natychmiastowe opuszczenie Mokotowa i przeniesienie się na Warecką.

— Ależ tam naftalina, aż oczy gryzie—tłumaczył Żebrowski, nie rad, iż nie może nadal być słomianym wdowcem.

Tuśka wyprostowała się z godnością.

— Tu gorsza naftalina gryzie nasze dobre imię! — rzuciła przez zęby.

Żebrowski spojrzał na nią naiwnie.

— Co ty gadasz?

— Więc co? — wybuchnęła nagle — może chcesz, żeby tu, gdzie w krzakach, twoja córka została metresą komedyanta?

Żebrowski aż podniósł ręce do góry.

— Jezus Marya! co ty mówisz?

— Wiem co mówię. Taka zepsuta dziewczyna, która pod naszym bokiem mogła dopuścić się takiej rzeczy, to wszystko może na nasz dom sprowadzić! Tu ja jej nie upilnuję, na Wareckiej prędzej sobie dam radę.

Żebrowski ramiona ścisnął.

— No... dobrze. To się przenośmy. Tylko raz jeszcze cię ostrzegam, żebyś konkurentów od córki nie odpędzała. Może zostać starą panną.

— Wolę niech będzie starą panną, niż żoną komedyanta.

Żebrowski przeglądał do światła swą alpagową kurtkę, która mu zaczynała odmawiać posłuszeństwa.

— Jesteś niekonsekwentna — mruknął — przedwczoraj jeszcze zachwycałaś się Porzyckim.

— Milcz — krzyknęła w pasyi Tuśka — nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

Wejście Marcysi z ciepłą wodą do golenia przerwało „rozmowę" małżonków. Tuśka wyszła do jadalni i natychmiast zaczęła pakowanie rzeczy. Pita z wielką gorliwością dopomagać jej także zaczęła. Cieszyła się, że jadą do Warszawy.

— Będę bliżej *niego* — myślała — a może to dobry zwrot. Boże mój! Boże!...

Składała sukienki, graciki, usłużna, zwinna, ufająca w przyszłość, nieograniczoną mając wiarę w *niego*, w jego rozum i miłość do niej.

On to przezwycięży, *on* to wszystko ułoży z rodzicami i będziemy jawnie, otwarcie narzeczeni.

Oczekiwała przyjazdu Porzyckiego tego dnia po południu. Dnia wczorajszego miał próbę, wiedziała, że być nie mógł. Ale dziś napewno przyjedzie!

Tymczasem Tuśka wyszła z domku i zawołała do siebie Edka.

— Słuchaj! — wyrzekła przyciszonym głosem — idź po obiedzie przed furtkę, na drogę, i... skoro nadejdzie pan... Porzycki, powiesz mu, że rodzice z siostrą już się wynieśli na Warecką i że ty jesteś sam ze sługą, bo pilnujesz transportu rzeczy. Nie wpuszczaj go do domu pod żadnym pozorem.

Błysk radości rozjaśnił twarz Edka. Tuśka jednak nie patrzyła w oczy synowi.

— Rozumiesz? — zapytała.

— Rozumiem! — odparł uszczęśliwiony Edek. — Niech mamusia się nie boi, już ja go urządzę.

— I powiesz jeszcze... że rodzice dadzą mu znać, kiedy będzie mógł nas odwiedzić.

Edek się zachmurzył.

— Ale mamcia nie pozwoli, żeby się żenił z Pitą?

— Nie.

— To dobrze... to bardzo dobrze. Taki pajac i panna z porządnego domu. To już byłoby za wiele. Zresztą Pita młoda, niech poczeka na kogo innego. Prawda? co?

— Nie wiem.

— Ale tak. Jakiś uczciwy chłopak, co własną *pracą* się wybije, a nie takie coś z jarmarcznej budy.

Widocznie było, iż Edek korzysta, aby wysunąć kandydaturę Tarnawicza. Lecz Tuśka tego nie rozumiała.

— Pakuj swoje książki.

Lecz Edek potrząsnął głową.

— Proszę mi dać dobrą pajdę chleba z masłem i miodem, a ja będę trzymał straż od rana. Taki, jak on, to może nagle wpaść i porozumieć się z nią. Niech mamcia będzie spokojna. Ja już ich porządnie przypilnuję.

Tuśka weszła do domku i spełniła żądanie Edka.

Widząc, że mąż trzyma stronę Pity, postanowiła mieć sprzymierzeńca w Edku. Znała nienawiść syna do aktora i była teraz spokojna, że Pita jest doskonale strzeżona.

Cały dzień przeszedł na pakowaniu. W miarę jak ściemniało się, Pitę ogarniał niepokój. Porzycki się nie pojawiał. Nie wiedziała, co myśleć o jego nieobecności. Nie wiedziała, że był i odprawiony przez Edka, powrócił do Warszawy. Nagle przyszło jej do głowy, że ojciec mógł się z nim widzieć i „wymówić mu dom", lub że mógł do niego napisać. I *on* może uwierzył, że dzieje się to z jej wolą. Mógł zwątpić. Ogarnął ją przestrach i smutek. Za wszelką cenę postanowiła porozumieć się z narzeczonym, lecz jak? Tu, w Mokotowie, było niepodobieństwem. Matka snuła się ciągle dokoła niej. O napisaniu dwóch słów nie było mowy. Kto wrzuci? kto zaniesie? Pomyślała przez sekundę o Edku. Wczoraj wieczorem, widząc, jak jest smutna, zdawał się żałować ją i przyniósł jej trochę owoców. Dziś jednak uśmiechał się znów złośliwie i śledził ją wieczorem nadzwyczaj pilnie.

Nie, to był wróg i należało się go strzedz.

Pozostawała Władka. Rzeczywiście, ściemniało już, gdy Żebrowski przyjechał z Władką. Mówił, że znów ją spotkał na ulicy. Władka wyglądała źle i cera jej pożółkła, co uwidoczniało jeszcze więcej jej dzioby.

Zaraz od progu rzuciła się ku Tuśce:

— Paniusieczka ma zmartwienie? co?

Żebrowski zainterwenjował:

— Uznałem za stosowne wtajemniczyć pannę Władysławę we wszystko!—zwrócił się do żony.

Tuśkę to podrażniło jeszcze więcej. Cały dzień przeżyła sama z tą swoją tragedyą i nadal pragnęła, aby już ją pozostawiono tak samo naprzeciw jej nieszczęścia. Zresztą to była jej sprawa, jej wyłącznie — jej i tego człowieka. Nikt nie miał prawa mieszać się do tego.

— Rzeczywiście... to bardzo nieprzyjemne! — zaczęła Władka.

Tuśka przerwała jej wybuchem ostrego, nerwowego śmiechu.

„Nieprzyjemne". Oto co znalazła, jaką gradacyę daje temu strasznemu bólowi w kategoryi cierpień ta idyotka, która nie wie nic, nie rozumie nic.

— To więcej, niż nieprzyjemne!—odrzuca chrypliwym głosem, pochylając się nad kufrem.

— Paniusia pozwoli... ja pomogę... — próbuje jeszcze Władka.

— Nie trzeba... już skończone... — odpowiada ostro Tuśka, zatrzaskując kufer.

I nagle spoziera na Władkę. Nienawidzi jej i czuje, że i tamta jej nienawidzi. Zresztą w Tuśce jest w tej chwili całe morze bezgranicznej nienawiści. Dławi ją. Chce pozostać sama. Otwiera drzwi i wybiega w sad. Błądzi chwilę pod drzewami, cisnąc złożone ręce do ust. Potem mimowoli kieruje się ku krzakom, gdzie była „altanka Pity" i gdzie według słów jej dzienniczka odbyła się scena zaręczyn.

— To tu — myśli — to tu...

Wicher szumi po gałęziach. Ciemno jest i parno. Niebo tylko wyiskrzyło się gwiazdami. Chmury rozbiegły się w przestrzeń. Krzaki, drzewa stanowią w tej ciemni czarne, bezkształtne bryły.

Tuśka depce kępy macierzanki. Fijołkowe osty czepiają się jej sukni.

— To tu—myśli—to tu!...

Dopadła do krzaków, drżącemi rękami rozgarnia je. Kaleczy sobie ręce o ciernie gałęzi.

— To tu... to tu...

Jest już w środku gniazdka Pity. Potyka się o coś. Stara parasolka, jakieś pudełeczko, książka, wszystko pozostawione. Roztrąca te drobiazgi. Przypadła na kolana, rękoma dotyka ziemi. Gałęzie zasunęły się nad nią, kryjąc ją zupełnie. Serce jej płacze jękiem strasznym. Oczy łez nie mają.

— To tu...—powtarza—to tu!...

Ponad nią wicher jęczy cicho.

Echo—bez słów.

. . . . . .

W domku Władka czuje się dotknięta silnie:

— Pani Żebrowska się gniewa na mnie? — pyta z przekąsem.

Żebrowski usprawiedliwia żonę:

— To nic. Ona taka zdenerwowana.

Ale Władka, z uporem gruboskórnych istot, dodaje:

— Przecie ja jej nic nie zrobiłam i może się na mnie nie rzucać.

— Pani daruje...

— E!...

Wzruszyła ramionami i odwróciła się. Wprędce jednak opamiętała i uśmiechnęła się do Żebrowskiego łagodnie i słodko:

— Ja do pana nie mam pretensyi...

Uśmiech jej odbił się na twarzy Żebrowskiego.

— Ja wiem, ja wiem, pani dobra...

Władka dostrzegła w kącie Pitę, smutną i milczącą.

— Zresztą pani Żebrowska zanadto to bierze do serca — zaczęła — przecie to swoja rzecz, gdzie panna na wydaniu.

— Prawda? — podchwycił Żebrowski. — To samo mówiłem żonie. Zresztą możnaby jakoś:..

Urwał. I on dostrzegł Pitę, która wsunęła się cichutko do pokoju.

— Proszę tatki — powiedziała Pita — ja bym prosiła o tatczyne drobiazgi. Ja spakuję teraz, bo jutro rano o ósmej wóz ma przyjechać.

— Zaraz.

— Ja panu pomogę! — rzuciła się Władka.

— Ależ nie, nie, ja nie pozwolę.

Wyszedł do sypialni. Władka natychmiast sama zwróciła się do Pity:

— No... no... — szepnęła — ale to chryja! To bardzo nieprzyjemne? co?

Picie zabłysły łzy w oczach.

— To straszne, panno Władziu! Ja mało nie umrę!

Wyczerpana słaniała się na nóżkach. Twarzyczka jej przez ten jeden dzień zmalała i pokryła się prawie sinemi rumieńcami. Usta spaliła gorączka.

— No... no... — odezwała się Władka.

Mimowoli wyciągnęła ręce. I Pita upadła jej w ramiona, tak, jak wtedy na Wareckiej po ataku nerwowym, w który wpadła. W tem ciepłem objęciu kobiecem uczuła się nagle jakby bezpieczna i pocieszona.

— Panno Władziu! — szeptała przez łzy — panno Władziu! Mama nie chce... tatko także.

Władka przytuliła ją jeszcze silniej. Zaczęła ocierać jej delikatnie łzy. Wobec obejścia się ostrego Tuśki i tego tulenia się Pity, nie było wyboru. Pita odrazu przeciągnęła Władkę na swoją stronę.

— No... — zaczęła pocieszająco — tatko, zdaje się, nie jest znów tak przeciwny.

Pita na chwilę ucieszyła się. Wprędce jednak potrząsnęła smutnie głową.

— Żeby tacio nie wiem jak chciał — wyszeptała—to mamcia swoje zrobi. Tacio się mamci boi i wszystko chce, co ona zechce.

Wyraz nieokreślonej ironii odbił się na twarzy Władki.

— No... to jeszcze zobaczymy, co tacio zechce! — odpowiedziała jakoś twardo i chełpliwie.

Rola pośredniczki w tej dziwnej sprawie zaczynała jej się ogromnie podobać.

Pita nabrała jakoś otuchy.

— Och, panno Władziu! panno Władziu! to może da się jakoś zrobić.

— Ale da, da, już ja się do tego wezmę.

Przez chwileczkę Pita milczała. Coś, jakby duma zaczęła ją dręczyć. Oddawać się tak w ręce tej dziewczyny!

Ale miłość przemogła.

— Och, moja panno Władziu!...

Władka w tej chwili postanowiła całą siłą pary iść przeciw Tuśce. Otarła łzy Pity i śmiać się zaczęła:

— No... no... proszę się szykować na pannę młodą. Będziemy szyli wyprawę dla pani Porzyckiej.

Pita z trwogą obejrzała się na drzwi.

— No co? no co? — prawie głośno odezwała się Władka. — Ja się nikogo nie boję! Mnie tam nikt nie zaimponuje. A pan Porzycki już wie, że go nie chcą?

— Nie, i to najgorsze. On może pomyśli, że ja go także nie chcę i przestanie o mnie myśleć.

— Niech panna Pita napisze.

— Kiedy? jak?

Władka zastanowiła się.

— Ja pójdę do niego i wszystko mu opowiem, jak i co. Dobrze?

Picie Władka wydała się w tej chwili aniołem z Nieba zesłanym.

— O! moja złota, droga panno Władziu!

— Pójdę i powiem, że panna Pita zawsze trwa dla niego w stałości i że to się wszystko zrobi.

Po ustach Władki przewinął się zły uśmiech.

— Ja się nie dziwię, że pani Żebrowska nie chce pozwolić na to małżeństwo — ciągnęła dalej, — ale ja powiadam pannie Picie, że często się trafiają takie sytuacye na świecie i taki matka musi ustąpić!

W tej chwili do domu wszedł Edek. Jeździł do Warszawy; widocznie nie mógł wytrzymać, aby się nie podzielić z Tarnawiczem wiadomościami.

Tarnawicz tego dnia na lekcyi nie był.

Władka odsunęła się od Pity i z wielką wprawą zaczęła dopomagać w układaniu drobiazgów Żebrowskiego

do kufra. Chodzili tu i owdzie z ogarkami świec w ręku. Cienie ich tańczyły po wybielonych ścianach dziwacznie i fantastycznie. Cały domek zdawał się pełen poruszających się tajemniczo ludzi.

Tuśka nie wracała. Z drzwi otwartych na sad wiało parną nocą. Wreszcie Władka zamknęła kufer i zwróciła się do Żebrowskiego.

— A teraz pójdziemy!

Ubrał się śpiesznie.

— Powiedzcie mamci, że ja na noc nie wrócę i będę spał na Wareckiej. Trzeba wywietrzyć i pozdejmować prześcieradła z mebli.

Wyszli pośpiesznie i w ciemnej alei już się ujęli pod ręce, jak ludzie, którym jest „dobrze z sobą."

Ona natychmiast zaczęła cicho popierać gorąco sprawę Pity, on dreptał wyprostowany, rad, że choć jeszcze tę jedną noc swobodną zdołał wyrwać swojej twardej doli.

XIII.

Smutny powrót na Warecką.

Tuśka krząta się energicznie, cała jak kłębek nerwów, lecz milczy, zaciąwszy usta. Żebrowski wygląda, jakby przestał interesować się wszystkiem, co domu dotyczy. Pita posłuszna, uległa, patrzy w oczy matce, sądząc, że tem ją rozbroi. Edek czuje jakby niezadowolenie z popełnionego czynu.

W tych warunkach zbicie się w ciasnej przestrzeni całej rodziny jest najmniej pożądane. W dodatku zaczęły panować nieznośne, spóźnione upały i duszne, pylne, prawie cuchnące powietrze zalegało pokoiki, z których źle wymieciono rozsypaną po kątach naftalinę.

Wszystko to podniecało jeszcze nerwy Tuśki i czasem dochodziły one do takiego naprężenia, iż zdawać się mogło, że bądź co bądź musi nastąpić ulga w jakimś wybuchu.

Porzycki przycichł i nie dawał znaku życia o sobie. Dwa dni przeszły, a na Wareckiej nazwisko aktora nawet nie było wymówione. Ale *on* żył tam ciągle, tryumfujący i niepokonany, obecnie podwójny w myślach matki i córki, żył silnie i niewzruszenie, wypełniając sobą każdą chwilę, pomimo pozornego zniknięcia z powierzchni. Gdy Tuśka i Pita spotykały się oczyma, obie w głębi swych źrenic odkrywały tę samą postać.

— Mamcia się zastanawia, mamcia się namyśla — pocieszała się Pita.

— Kocha go i myśli o nim ciągle — myślała Tuśka

I ona pierwsza uciekała ze swem spojrzeniem przed wzrokiem córki.

Pita miała jeszcze jedno zmartwienie. Oto Tarnawicz, dowiedziawszy się widocznie od Edka o całem zajściu, uciekał przed nią demonstracyjnie i ona zrozumiała, iż pogardzał nią, jako istotą złą i płochą. Płomienie wstydu biły na nią na myśl, że Edek musiał Tarnawiczowi powtórzyć dokładnie słowa jej dzienniczka. I wstyd i ból jakiś nieokreślony ściskał jej serce, widząc jak Tarnawicz przesuwał się teraz koło niej, nie patrząc, kłaniając się lekko i z widocznem lekceważeniem.

— Myśli o mnie, kokietka, kokietka... nic więcej.

Zaczęła uciekać Tarnawiczowi z drogi. Lecz mimo to śledziła dokładnie godziny, w których miał zjawić się na lekcyi.

I wtedy, zamknięta w innym pokoju, przedzielona drzwiami, przeżywała dziwne a niezrozumiałe dla niej chwile. Gorycz jej zdawała się wzrastać, a mimo to doznawała jakiejś ulgi, że Tarnawicz jest, że znajduje się tak blizko niej.

Do Porzyckiego zwracała się myślą, jak do istoty wyższej, do swego opiekuna, pana i władcy.

Oczekiwała zjawienia się Władki z gorączką i drżeniem. Lękała się, że będzie niazadowolony. Na razie jej tylko o to chodziło.

Wieczorem na drugi dzień przyniesiono Kuryer z recenzyą o występie Porzyckiego. Pita czekała na zjawienie się pisma w kuchni. Lecz Marcysia, widocznie mająca nakaz Tuśki, zabrała jej Kuryer z rąk i zaniosła do pokoju. Pita uczuła wtedy dziwny ból, jaki czuje kochająca kobieta, gdy okoliczności nie dozwalają jej wziąć udziału w jakiejś duchowej czynności ukochanego człowieka.

— Nie wiem nic, co z nim — myślała z goryczą.

Na schodach kuchennych zaszeleściło. To Władka. Picie aż tchu zabrakło. Szwaczka weszła szybko. Brakło jej tchu. Zaraz rzuciła się ku Picie z demonstracyami miłości.

— Widziałam go — zaczęła szeptem — powiedział, żeby panna Pita nic sobie z tego nie robiła i gwizdała na to. Załatwi to wszystko śpiewający.

— Jakto śpiewający?

— Niby tak, lekko. Takie aktorskie wyrażenie. Śmiał się i mówił, że jak się tylko z występami załatwi, to zaraz przyleci na Warecką i ład z tem zrobi. Tymczasem prosił, żeby się panna Pita nie martwiła, że *on* ją zawsze do bzika kocha, że posyła jej ten pierścioneczek i prosi, żeby go nosiła. Odczepił pierścionek od zegarka.

Tu Władka wydostała z po za rękawiczki mały pierścionek z niezapominajką złożoną z turkusików, z rancikiem trochę żółtym pośrodku.

— Powiedział, że ten pierścionek, to jest zaręczynowy jego babki, i żeby go panienka nosiła. Bo — tak mówił—ze wszystkich kobiet na świecie tylko panienka i jego matka są godne nosić ten pierścionek. Jak Bozię kocham! tak powiedział i to na takiego aktora, to bardzo było nadzwyczajnie i ja się tego nie spodziewałam po takim, co to Boże drogi...

Pita wzięła pierścioneczek. Ogarnęło ją wielkie wzruszenie. Ten niebieski kwiateczek zakwitnął ku niej ogromem jakiegoś uczucia, które otuliło ją jakby ciepłem, miękkiem skrzydłem.

— Jakże go nosić? Mamcia zobaczy!

Władka coś chciała dodać, lecz Marcysia powracała. Władka zaczęła znów Pitę ściskać.

— Ja idę.

— Jak to?

— Tak. Nie mam ochoty, aby mnie mamcia znów jakie co zrobiła, jak w Mokotowie.

Wykrzywiła się wzgardliwie w stronę drzwi. Widocznie już czuła się na pewnych nogach i nie czuła potrzeby wślizgiwania się w łaski Tuśki.

— A co do tatki — zaczęła niedbale — to już rzecz prawie zrobiona.

— ?

— No, tak. Pan Żebrowski się zgadza. Wyperswadowałam mu. Jak Bozię kocham! Tylko niech panienka udaje jeszcze, że nic nie wie. Resztę ja jeszcze sama wygładzę.

— A gdzie panna Władzia tacię zobaczy?

Władka uśmiechnęła się dziwnie.

— To już moja rzecz. Ja tam sposób znajdę. A zresztą, czy to ja nie wiem, kiedy panowie z biurów wychodzą.

Roześmiała się cicho.

— Co *mu* mam powiedzieć?

— Że... że...

— No, że go kocha się i że się będzie czekało...

— Tak, tak... i

— No, no...

— I żeby przyszedł prędko.

— Dobrze.

Marcysia otworzyła drzwi od pokoju. Władka w jednej chwili zniknęła za progiem.

— Kto tu był? — spytała służąca.

— Dziewczyna jakaś po klucz od strychu — odpowiedziała prawie natychmiast Pita.

I powoli Pita zaczynała już kłamać bez zająknienia.

. . . . . .

Wieczorem tego dnia Pita zawiesiła na błękitnej włóczce pierścionek z turkusem i ukryła go pod koszulką. Leżąc już na swoim szezlążku, całowała turkusiki delikatnie i gorąco.

— Turkusy... to stałość—pomyślała i uśmiechnęła się lekko.

A potem przez myśl przesunęło się jej pytanie:

— Jak wyglądała jego babka, gdy się zaręczała tym skromniuchnym pierścioneczkiem?

Ogarnął ją sen.

. . . . . .

Do wnętrza małego saloniku, z którego nie ulotnił się jeszcze zapach naftaliny, spływa z oddali jakaś sztywna, a mimo to pełna gracyi postać dziewczęca. Ma szlafroczek z bawetem z indyjskiej organdiny w różnobarwne pasy. Sukienka rozwiewa się z przodu na spódniczce leciuchnej, całej w falbanki, śnieżnej i delikatnej. Jak dwa skrzydełka tęczowe fruwają poły sukienki za każdym ruchem panienki. Staniczek głęboko wycięty, a z niego jak z kielicha ramionka białe i trochę ściśnięte ku górze. I głowa drobna, mała, głowa tych kobiet, które spotyka się czasem po wiejskich dworkach, niespodzianie w obramowaniu dzikiego wina, zdobiącego stary ganeczek. Główka ta zda się za mała na smukłość korpusu, delikatnie zarysowana, ma pozór kwiatu drogocennego i rzadkiego, osadzonego na giętkiej łodydze.

Twarzyczkę drobną ocieniają warkocze-feliksy dwoma półkolami zakręcone koło uszu i ozdobione pękami drobnych różowych wstążeczek. Cały poemat kobiecości zalękłej, nieporadnej, nieuświadomionej smugą się ściele. Nie jest to „lalka," lecz jest to coś pośredniego między lalką a kobietą. Lecz serce bije pod ściśniętą silnie sznurówką głośno i chętnie.

Serce!

Cień panienki w tęczowym szlafroczku planuje jak mglisty obłok wśród białemi pokrowcami pokrytych mebli i uśmiecha się do Pity. Wyciąga rączki dobrze pielęgnowane. Na paluszku „serdecznym" ślad od cienkiego drucika.

— To ty—mówi przez sen Pita—to ty, babciu?

— Ja... Dawniej niezapominajka była tu, na tym palcu.

Pita całą duszą jest przy lekkiej postaci.

— Czy ten pierścioneczek przyniósł ci szczęście? — pyta nieśmiało.

Na twarz ślicznego zjawiska pada cień. Jakby bratek żałobny na grobie zerwany.

— *Nie!*—mówi głucho i zasłoniwszy twarz rączkami odpływa w przestrzeń, nagle zmrożona, owiana jakąś tragiczną rozpaczą.

. . . . . .

Następnego ranka Pita myła się tak, jak zawsze, w kuchni. Marcysia wyszła do miasta, a dziewczynka robiła tam swą tualetę, stawiając przybory do mycia na ławce pod zlewem. Tego dnia zdjęła z szyi pierścioneczek, bojąc się zamoczyć włóczki. Położyła go na stole, koło gąbki i mydła.

— Tak mu będzie dobrze—uśmiechnęła się.

Zwracała się teraz do tej drobnostki jak do istoty żyjącej.

To jej sprawiało wielką pociechę. Chwilę jeszcze chodziła po kuchni śliczna w swej kretonowej w paseczki spódniczce.

Miała bardzo ładne pozy cierpiącej moralnie kobiety. Zaczynał ją owiewać duchowy wdzięk istot, które czegoś

pragną i do czegoś tęsknią. Twarzyczka jej pobladła i oczy zdawały się większe. Zatrzymała się przed lusterkiem Marcysi i chwilę wpatrywała się w siebie.

— Jakbym się zmieniła!—myślała.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do kuchni weszła Tuśka. I ona była nieubrana, w matince. I ona zmieniła się, lecz widoczne było, iż cierpienie jej rwało ją raczej na strzępy i nie układało się jeszcze w szlachetne linie, dające cierpiącemu cechy Dostojności.

Z pod oka spojrzała na Pitę i gniewnie zawołała:

— Dlaczego zbliżasz się do okna w koszuli?

Podeszła do wodociągu, aby nabrać do szklanki wody i wzrok jej padł na leżący na stole pierścionek.

— Co to?—spytała, chwytając włóczkę.

Twarz Pity pokryła się rumieńcem. Chciała natychmiast skłamać, że pierścionek należy do Marcysi, lecz kurcz schwycił ją za gardło.

Nie mogła.

Tuśka brwi zmarszczyła i chwilę się zastanowiła.

Tak, ona zna ten pierścionek. Pamięta go dobrze jeszcze z Zakopanego. Porzycki nosił go przy zegarku stanowczo. Raz nawet, gdy pytała go, co znaczy ten brzydki, ubogi klejnocik, noszony, jako *porte bonheur* — odpowiedział:

— To byłby mój zaręczynowy pierścionek, gdybym się żenił, ale ze wszystkich kobiet, jakie znam, pani jedna i moja matka jesteście godne nosić go. Tylko... że pani już się pośpieszyła i nie czekała na mnie, a więc, i... *c'est fini!*

Byli wtedy w przedwstępnem stadium flirtu i od gór płynął upajający zapach rozpalonej w słońcu kosodrzewiny...

Przypomina to sobie Tuśka, trzymając w ręku pierścionek.

— Ona tylko!... powiedział. Dziś ma ten pierścionek Pita. To jest zasadnicza przyczyna bólu, który jej serce szarpie w kawały. Lecz czepia się jakiejś drobnostki, aby

módz wyładować swój ból, bo czuje, że znieść go nie jest w stanie. W dzienniczku niema wzmianki o pierścionku. A więc Pita musiała dostać go teraz, teraz już, jakąś tajemną drogą!... Ona musi się dowiedzieć zkąd, jak.

Rzuca się ku córce, zapominając o godności, o majestacie macierzyństwa.

— Zkąd? zkąd *to* masz?

Pita milczy.

— Zkąd *to* masz?

Pita czuje, iż odpowiedzieć musi, tyle siły bije ku niej z głosu i wzroku matki.

— Od... niego...—szepce cicho i ręce ciśnie do piersi.

— Jak to dostałaś? Widziałaś się z nim?

— Nie!

— Kłamiesz!...

W Picie budzi się dziwna duma kobieca. Kłamstwo częste i ciągłe niemal, a przecież, gdy raz kobieta prawdę powie, a zarzucą jej kłamstwo, ogarnia ją rozpaczliwy szał, jakby przed nigdy niezasłużoną obelgą.

— Nie kłamię!

— Idź! Nie wierzę ci... Powiedz... jaką drogą doszłaś do tego pierścionka?

Pita nie jest niewdzięczna. Za żadną cenę nie wyda Władki.

— Przysłał mi...

— Przez kogo?

— Przez... pocztę.

Tuśka roześmiała się szyderczo:

— Kłamiesz! kłamiesz!... To nic innego, tylko kogoś ma tu u nas przekupionego. Marcysia...

— Nie, nie...

— To... Władka!

— Nie! nie!

Za pośpiesznie, za gorąco powiedziała to Pita. W tej chwili Tuśka zrozumiała, że wpadła na dobrą drogę.

— Ona... ona... ta nikczemnica, ta gadzina, ta dziobata! O! od razu wiedziałam, że ona przeciw mnie, a za tobą. Podła! gadzina... żmija...

— Mamciu! ona niewinna, to ja.

— Milcz!... Co się z ciebie zrobiło?! Kłamiesz na każdym kroku... Zasługujesz, żeby cię oddać do *moralnie zaniedbanych.*

. . . . . .

Jak ty wielkie słowo powiedziałaś, Tuśko!

Jak wielkie słowo i jak straszną, tragiczną prawdę.

Tak. Ta twoja Pita, tak dobrze ułożona, wytresowana, tak skromna, tak „dobrze" pod każdym względem, nad której gestami, ruchami, sposobem jedzenia, mycia uszu, gimnastyką, lekcyami czuwałaś przecież—ona jest moralnie zaniedbana.

Boś dbała o łupinę, nie o ziarno. Ono rosło samo i rosło fałszywie, rosło na wzór i podobieństwo trochę twoje, trochę pochwytane z powietrza.

Zapomniałaś, że z duszą dziecka ludzi, którzy *potrącili o kulturę*, trzeba rozpoczynać od gam, jak w muzyce. Bo albo wielka, czarowna, pierwotna dusza zasłuchana w hymn natury, i ta nie potrzebuje żadnego kierunku, ta sama rozwinie skrzydła i poszybuje zwyż, albo taka mała, niepewna, chwiejna duszyczka z ulicy Wareckiej, która drży, trwoży się, pada, kłamie.

Moralnie zaniedbana!

Moralne zaniedbanie... to tragedya takich jasnowłosych dzieci, które, nie wiedząc co Prawda, osłaniają się puklerzem kłamstw!...

Takich, biednych, wątłych dzieci...

. . . . . .

Cały dzień Tuśka kręciła się po mieszkaniu i co chwila powracała do sypialnego pokoju.

W szufladkę tualetki wrzuciła pierścionek odebrany Picie, i ten ją ciągnął nieprzepartą ku sobie siłą.

Otwierała szufladkę i nie dotykając, patrzyła na tę obrączkę. Pamiętała dobrze słowa Porzyckiego: „Pani jedna, matka druga, więcej nikt." Wydały się jej wtedy fałszywym sentymentem. Potem, gdy się w nim rozszalała, zachwycały ją. Teraz do nich dwóch przyłączyła się jeszcze... trzecia. I ta była właściwie prawdziwa, bo jej dostał się pierścionek i dostał się jako zadatek ślubnej obrączki.

Pod wieczór rozdrażnienie Tuśki wzrosło. Uczuła, że jest bezsilna. Kilka słów, rzuconych przez Żebrowskiego, w których ten nieśmiało jakby popierał sprawę Pity, dopełniło miary. Zrozumiała, że odtąd będzie otoczona siecią sprzysiężeń i podziemnej roboty. Wszyscy będą dopomagali Picie. Należało działać. Zerwać to wszystko jednem cięciem.

Postanowiła zobaczyć się z Porzyckim.

Gdy wpadła na tę myśl, uczuła jakby ulgę.

Tak, rzeczywiście. To było najprostsze. Właściwie nawet, nie może zrozumieć: dlaczego od razu się na to nie zdecydowała? Powie mu, co myśli o jego postępowaniu, i rozkaże mu, ażeby odjechał, ażeby raz na zawsze trzymał się zdala od niej i od jej całej rodziny.

Powie mu...

Nie wie już, co mu powie. Dość, czuje, że musi iść i widzieć go. U siebie w domu niepodobieństwem jest mieć tego rodzaju rozmowę. Do niego do hotelu iść nie może. Gdzie więc? Wzrok jej pada na *Kuryer*. Widzi wzmiankę o występie Porzyckiego w Prioli, w teatrze Letnim, właśnie na dziś wieczór. Tak, pójdzie tam i postara się z nim widzieć. Zna już cokolwiek sposób dostania się za kulisy. Wie, iż właśnie podczas przedstawienia można się dostać do garderoby artystów prawie niepostrzeżenie. Wszyscy zajęci przedstawieniem. Zresztą nie chce zwlóczyć. Czuje, że noc będzie dla niej straszna i musi za-

kończyć tę sprawę przed nocą. Dłużej nerwy jej tego napięcia nie zniosą.

Ubiera się. Żebrowski wyszedł. Pita ceruje nadjedzoną przez mole serwetę. Edek kręci się koło kredensu.

Tuśka woła syna:

— Edek!—mówi do niego:—ja wychodzę na pół godziny, ty pilnuj Pity.

Lecz Edek stanowczo odmawia. I on wyjść musi. Ma zgromadzenie. Koledzy się zbierają. Muszą się naradzić, powziąć postanowienie. Tak dalej iść nie może.

Tuśka brwi marszczy:

— Cóż to? ty znowu jak Mundek?

Lecz Edek ramionami wzrusza.

— Jak Mundek? po babsku? nigdy! żadne sentymenty. To dobre dla nerwowców.

Od pewnego czasu pozuje na *silnego* duchem i ciałem.

To małe, brzydkie chłopię, pokurczone i łakome, zaczyna się dźwigać pod wpływem zorzy, zaczynającej świecić u wschodu porywającym, gorącym blaskiem.

Zakręcił się i poszedł. Na Tuśce w innej chwili wywarłoby to odejście wrażenie. Dziś jednak nadto była przejęta swoją rozpaczą. Zawahała się co począć. Pomimo wszystko, miała tyle taktu, że słudze nie chciała powierzać opieki nad Pitą.

— Najlepiej nic jej nie powiem. Wyjdę tak!

Ubrała się czarno. Zarzuciła żakiet i boa. Sine plamy, które jej na twarz wystąpiły, zapudrowała. Widać je było jednak silnie.

— Mniejsza o to!—rzuciła z zaciętością.

Zdawało się jej nawet, że chcieć się podobać *teraz* Porzyckiemu, gdy on kochał jej córkę, byłoby rodzajem zbrodni.

Porwała parasolkę i szybko przeszła przez jadalnię, w której siedziała Pita przy stole, pracując zawzięcie.

Gdy Tuśka spojrzała, przechodząc, na córkę, zdawało się jej, że Pita właśnie ocierała oczy z łez i czyniła to pośpiesznie i ukradkiem.

— Mała komedyantka!—pomyślała.—Słyszała, że idę i umyślnie płacze.

. . . . . .

A przecież nie, Tuśko. Córka twoja jeszcze nie doszła do tej perfekcyi kobiecej, w której kobiety podają na zawołanie uśmiech i łzy, jak ogrodnik podaje heliotrop i róże ze swych bogato ukwieconych grzęd.

XIV.

Z drewnianego pudełka bije jakiś szmer i fikcyjne życie. Na okienku kasy tablica, zawiadamiająca, że „wszystko sprzedano.“ Tryumfalnie i krótko. Co chwila ktoś pomyka w stronę budki kasowej. Odchodzi zawiedziony i ginie w alei ogrodowej. Rodzaj zmierzchu zapada wolno i przepływa, jakby z trudnością zakurzone liście drzew. Dokoła teatru letniego ruch, ale jeszcze przyciszony, stonowany. Maszyniści kręcą się, milcząc. Koło ogrodzenia jakiś artysta pali papierosa i czyta gazetę. Służąca, niosąca kosz ubrań, wyrosła nagle z zakrętu, jakby z pod ziemi i kopnąwszy bramkę nogą, weszła ciężko w głąb gmachu. Aktor spojrzał na nią przygasłym wzrokiem i oparłszy się o balustradę, zapalił świeżego papierosa.

Tuśka, dochodząc do teatru, zwolniła kroku.

Biegła jednym pędem, oddychając ciężko, z krwią bijącą silnie do skroni. Teraz, gdy była blizko gniazda, w którem znaleźć miała się oko w oko z Porzyckim, ogarnął ją lęk. Zaczynała czuć pustkę pod czaszką.

— Co mu powiem? Jak zacznę?—myślała.

Turkot wozu ocucił ją na chwilę. Zajechał wóz, naładowany meblami w fałszywym stylu Ludwika XIV, lakie-

rowanemi biało i obciągniętemi *vieux rose* adamaszkiem. Tuśka mimowoli zaczęła śledzić zrzucane brutalnie przez maszynistów z wozu meble.

— Połamią — ozwała się w niej cząsteczka duszy z ulicy Wareckiej.

Lecz nagle ogarnął ją znowu lęk i szał. Jakiś mężczyzna zeszedł szybko z pomostu, prowadzącego do głównych drzwi scenicznych i zbliżył się do aktora, opartego o balustradę. Był ubrany jasno, rosły i kształtny. Tuśce zdawało się przez chwilę, że to Porzycki. Zabrakło jej tchu. Lecz niebawem poznała swą pomyłkę. Myśl jej jednak nie rozpraszała się więcej. Pozostała skoncentrowana w głównym punkcie. Mimo to, Tuśka nie mogła się ośmielić wejść za kulisy.

Cofała się pod cień drzew, nie śmiejąc usiąść na ławce, aby być zawsze gotową do ucieczki. Patrzyła tylko bystro w małe, wązkie okienka, pozasłaniane żaluzyami. Wiedziała, że to są właśnie garderoby aktorów. Lewa strona należała do mężczyzn, bo widziała dawniej panią Trapszo, jak zasłaniała żaluzye z prawej strony gmachu.

Pewną była teraz, że musi, wszedłszy za kulisy, oryentować się ku lewej stronie kurytarzy. Lecz gdzie, za którem okienkiem charakteryzuje się obecnie Porzycki-Priola, o tem nie miała pojęcia.

Czepiła się teraz tych technicznych trudności widzenia się z Porzyckim i usprawiedliwiała przed sobą zwłokę wejścia w głąb gmachu.

— Może go dostrzegę w którem okienku. Nie będę potrzebowała błąkać się niepotrzebnie.

Z wnętrza budynku odezwał się długi, przeciągły dzwonek.

Tuśka drgnęła. Ze swych zakopiańskich teatralnych występów wiedziała, że ten dzwonek daje sygnał, iż niebawem rozpocznie się przedstawienie. I rzeczywiście alejami ciągnęły teraz szeregi osób, a zmierzch sypał na nich szarawe, niepewne tony. Jakieś dwie artystki przeszły, rozmawiając półgłosem. Jedna z nich obejrzała się na Tuśkę. I to ją zdecydowało. Powstała z ławki. Pomyślała, że gdy przedstawienie się rozpocznie, mogą nie wpuścić jej za kulisy. Teraz wejdzie jak krewna, znajoma artystek lub... żona aktora.

Żona!

Pita będzie może tak wchodziła niezadługo, idąc prosto do garderoby męża. Tylko iść będzie śmiało, z czołem podniesionem, uczciwie, bo będzie... *żoną*!...

Z tem wrażeniem wchodzi Tuśka za kulisy. Pusto jest, tylko maszyniści borykają się jeszcze z jakimś ogromnym kredensem i walą w niego pięściami.

— Psia krew... cholera...—słychać wśród ciężkich oddechów i stękań.

Tuśka cofa się w głąb. Przylgnęła do jakiejś ściany z desek. Ponad nią ćmi latarnia „bezpieczeństwa“ i dookoła cuchnie porozlewany olej.

Jeden z maszynistów przechodzi koło niej. Tuśka cicho zaczyna:

— Mój człowieku...

Lecz „człowiek“ przeżuwa jeszcze urazę do ciężkiego bufetu:

— Psia mać, ciężka jak choroba...

I odchodzi.

Tuśka zostaje sama. Drzwiczki garderób szczelnie zamknięte, jak drzwiczki łaziennych kabin. Lecz ona nerwami swemi wyczuwa blizkość Porzyckiego. Jak harfa, tak drga cała, jakby trącały o nią jakieś stalowe szpony niewidzialnej siły. I wszystko koncentruje się teraz w jej mózgu. Tam wibruje cała rozpacz. Chwilami znów czerwone smugi przesuwają się jej przed oczyma.

— Gdzie *on* tu? Gdzie *on* tu? — myśli, wytężając z całej siły wzrok.

Oczy jej dostrzegają w półcieniu korytarza jakąś kartę, na niej szereg nazwisk i numery. Instynktownie odczytuje je. To rozkład garderób z nazwiskami aktorów. Odnaj-

duje nazwisko Porzyckiego i numer drzwi. Spogląda i dziwi się. Wszak stoi od długiej chwili właśnie pod garderobą Porzyckiego. Ma tylko wyciągnąć rękę i zapukać.

Tylko to...

Przeciera oczy, prostuje się. Z sąsiedniej garderoby dobiegać zaczyna szmer rozmowy. Niema czasu do stracenia. Lada chwila ktoś wyjdzie. Płomień krwi przebiega wzdłuż krzyża Tuśki.

Puka.

Milczenie.

Puka ponownie.

Milczenie.

Ogarnia ją nagły gniew. Wraca jej energia, siła gorączkowa. Dlaczego ona stać ma pod jego progiem, jak żebrak? Przyszła upomnieć się o swoje prawa. Przyszła przeszkodzić zbrodni! Po jej stronie słuszność.

A więc.

Pchnęła drzwi i weszła.

Pusto.

Widocznie Porzycki, ubrawszy się, wyszedł. Ale Tuśka poznaje, iż nie myliła się. Tak, tu się ubiera. Od razu wzrok jej pada na szkatułkę z lustrem i szminkami, którą widziała w garderobie, w Zakopanem. Duża, wygodna szkatułka, którą się pysznił. Kazał ją umyślnie zrobić w Krakowie, a wierzch wykonano według wzoru Wyspiańskiego. Nikt nie ma takiej szkatułki. Kazał jej wówczas podziwiać ornamenty, rzeźbione na wzór wystrzyganek chłopskich. Pochylali się oboje nad kunsztownemi gwiazdkami i oddech jego gorący owiewał jej kark obnażony.

Tuśka przywarła się do ściany i stoi nieruchoma.

Na desce, naokoło szkatułki, porozrzucane laski szminek Leichnerowskich złocą się owinięciem.

Trochę ciemno-blond krepy uczepiło się drucianego koszyka, w którym płonie lampa. Z porzuconej serwety, zaplamionej tłuszczem i farbą, wydziela się silna woń szminek i mastyksu. Na krześle rozpięty anglez ciemno-szary

pachnie wodą kolońską i papierosami. Duszna, gorąca atmosfera, mimo uchylonych żaluzyj, panuje dokoła. Tuśka oddycha z ciężkością. Lecz zdaje się jej, że dobiła do jakiegoś portu, że nic jej się tu złego stać nie może po za temi zamkniętemi drzwiami. Zamyka oczy i pragnie tak pozostać bez ruchu i w milczeniu tej garderoby, w której życie rzeczywiste zdaje się ustąpiło miejsca czemuś nieokreślonemu, nieprawdziwemu, a upajającemu jak haszysz.

Nagle drzwi szarpnięto. Jakiś drobny, młody chłopiec wpadł do garderoby. Niósł w ręku gardenię i położył ją ostrożnie na deseczce koło szkatułki. Spojrzał pytająco na Tuśkę. Ona zmieszała się pod wzrokiem ciekawym i jakby niepewnym.

Czuła, że musi coś powiedzieć.

— Pan Porzycki?

— ?

— Czy... mogę go widzieć?

Chłopiec teraz majstrował coś koło angleza i szybko schyliwszy się, podniósł z ziemi parę nowych butów.

— Można, czemu nie!—odparł—pan już ubrany. Poszedł pewnie do kolegów. Czy mam zawołać?

— Proszę.

Chłopak ustawił buty na krześle, skręcił jedną lampkę i wysunął się na kurytarz. Teraz Tuśka znów popadła w rozdrażnienie. Czuła, że rzeczywista chwila widzenia zbliża się teraz stanowczo. Zacięła usta. Głuchy jęk wydarł się jej bezwiednie z głębi piersi. Zanim wszedł Porzycki, ona już widziała go przed sobą dokładnie tak, jak dawniej. I obłuda, jaką ją otaczał, wypełzła ku niej sycząc jak stado zbudzonych żmij.

— Ach! ty psie podły... ty psie...—szalały jej myśli—zobaczysz... zobaczysz... to ja... ze mną będziesz miał do czynienia.

Oparte o deseczkę duże lustro w jakichś obdartych czerwonym zapałem obciągniętych ramach, odbijało jej postać pomiędzy dwiema lampami. Przetarła oczy ruchem,

który zaczynała sobie przyswajać i odzyskała na chwilę całą przejrzystość wzroku. Postać jej, odbita w zwierciadle, wydała się jej mizerną i nędzną. Wyprostowała się, poprawiła kapelusz i boa. Zdawało się jej, że nabrała grozy i siły.

— Niech spojrzy mi w oczy... niech spojrzy mi w oczy...

Gotowała się do samoobrony, zbierając całą moc nienawiści, jaka tkwi na dnie *tego pojedynku bez świadków i warunków*, jakim jest każdy stosunek miłosny kobiety z mężczyzną. Odrzucała precz kwiaty sentymentu. Pozostawały tylko szpony i te ostrzyła na własnem sercu.

— Niech spojrzy mi w oczy...

Czuła się tak nerwowo silna, że odzyskała nadzieję zwycięstwa.

— Nie będzie śmiał... nie będzie śmiał...

Cicho, miękko otwarły się drzwi.

I przed Tuśką stanął ten, który miał *nie śmieć*.

Chwilę patrzyła na niego i ogarnęło ją dziwne, nieokreślone wrażenie.

Tak był różny, tak inny od tego, który nie miał śmieć...

Tak był różny...

. . . . . .

W karawaniarskim swym stroju, z plamą białą gorsu koszuli i kamizelki miał linię bajeczną i giętką, linię mężczyzny-węża, o smukłych biodrach florenckiego śpiewaka. Było w tej postaci coś z renesansowych wdzięcznych figur i z resztek dzielności napoleońskich cacanych lalek, pomieszanych z umiejętnością stawiania nóg w wyższej szkole tresowanych koni. Było tam wszystko—całe wieki niszczonej i kształconej linii człowieczego ciała i jego Piękna, które on sam najlepiej wyczuć potrafi. Tak, pięknym czuł się ten Priola-Porzycki, trochę srebrzyste mający skronie, z wąsami *es ist erreicht*, mimo innej, przystrzyżonej mody. Priola mody nie zmieniał. On miał *swoją*—swoją, dopasowaną do siebie, swoją stronę fizyczną, jak i duchową. Don Juan także musiał mieć jeden system, jedną modę. Kłamstwem bowiem jest, iż mężczyzna, jak kameleon zmienia się wedle potrzeby.

On raczej zmienia i nagina do siebie to, co nagiąć pragnie. A czyni to z taką brawurą, czy ten cichy i miły, czy ten brutalny i silny, że nikt mu się nie opiera i Priola zawsze tryumfuje finalnie, choćby na krótki błysk przelotnego światła.

Z gardenią w butonierce, okryty czernią tajemniczą, jak wenecka gondola, każdy mężczyzna nabiera pewności siebie i zuchwalstwa. Jeżeli jeszcze umie nosić frak, wtedy otacza go, jakby jakaś atmosfera niecodziennej piękności. Staje się *vollblutem* i dyszy tą rasą, pyszniąc się nią. Zmienia mu się wyraz twarzy, gesty rąk. Porzycki obmyślał swego Priolę, siedząc w pokoju, w hotelu, ledwo odziany, w bieliźnie, śmieszny, z narzuconym paltotem na ramionach. I zdawało mu się ciężko wejść w skórę tego Lavedanowskiego pana, jemu, urodzonemu gdzieś na przedmieściu lwowskiem i niemającemu pojęcia, czem jest właściwie szyk takiego Prioli. Lecz razem z włożeniem doskonale skrojonego fraka wniknął on w ten szyk i w tego ducha Prioli.

Linia, gardenia, przysłonione powiekami oczy, świadomość piękna, tryumfu, ta niedostępność wabna i pełna gracyi, to „dziś“ bez „jutra,“ ta chustka sułtańska w zanadrzu, to coś nieuchwytne, jakby obietnice rozkoszy, a zarazem sąd surowy i jakby zgaszona i ledwo tlejąca lampa życia...

W to wszystko jednym skokiem wpadł Porzycki.

I oto przed Tuśką jest ten, który ma *nie śmieć*.

Ale on będzie śmiał wszystko.

Bo umie nosić frak.

Ten Priola-Porzycki.

. . . . . .

Wszedłszy do garderoby, patrzył przez chwilę zdziwiony na stojącą przy ścianie kobietę.

— To... pani?

Nie odpowiedziała nic.

Milczała.

W jednej chwili zrozumiała, że szanse jej są żadne.

Patrzył na nią z pod lekko podczernionych oczu, był piękny, tryumfujący, silny. Przytem to był Priola, już cały, od czubka do pięt, ten aktor, który szczęśliwie uchwycił za kark indywidualność stworzonej przez autora postaci. I ten Priola wykwintny i estetyczny, pełen eleganckiej kultury Zachodu, imponował silnie mieszkance ulicy Wareckiej. Patrzyła na niego, jak na istotę wyższą, obcą, zimną, niedostępną. Było jej tak, jakby Porzycki ukazał się jej nagle wysoko na bloku marmurowym, a ona zapadła w jakąś ciemną jamę.

Milczała.

On przez chwilę zdawał się zmieszany, ale to była sekunda. Podsunął jej krzesło wytwornym gestem.

— Proszę!

Skinęła ręką.

— Pani może po bilety... trudno dostać... prawda? Ale już rano była kasa wyprzedana.

Uśmiechnął się tryumfująco.

— Coś niebywałego... ha?... w lecie. Wszyscy się dziwią.

Znów podsuwał jej krzesło.

— Proszę... pani wygląda zmęczona.

Zaczął sobie czyścić paznogcie.

— Jakże tam u państwa? zdrowi? Nie mogłem być do tej chwili, bo ciągle gram...

To jednak dopełniło miary. Gdy ona konała, on zdołał odnaleźć w głosie tak spokojne, obojętne tony!...

Teraz patrzyła znów na siebie w lustrze, lecz już widziała *ich dwoje*—siebie i jego. I podziwiała jego wytworną wielkość i swoje coraz bardziej kurczące się ramiona.

— Tylko niech tak dalej... tylko niech tak dalej... — drgało w niej spazmatycznie.

On odłożył pilniczek i odsunąwszy rękę, przypatrywał się paznogciom. Migotały różowawym blaskiem, podobne do perły, którą miał na małym palcu.

— A panna Pita?—zapytał nagle ze swobodą zupełną.

Porwała się nagle i wstąpiła w nią znów nerwowa siła.

— Pita?—zawołała chrapliwie—Pita?... Ja co do niej tu przychodzę. Pan nie śmiesz myśleć o niej...

Spojrzał na nią tak, że nie można było nic w jego wzroku wyczytać.

— Ja? dlaczego?

Chwilę szukała słów. Lecz podcięła swoją energię batem musu.

— Potem, co pomiędzy *nami* było—zaczęła, a wstyd ją dławił straszny, że to ona właśnie przypomnieć musi.

Teraz on odwrócił się ku niej i był cały pogrążony w cieniu.

— Cóż takiego?—zapytał.

Jeszcze nie mogła go zrozumieć. Teraz, kiedy już przekroczyła tę granicę wspomnień, porwała ją egzaltacya, właściwa kobietom, które kochały i są poniewierane właśnie w tej dziedzinie, będącej dla nich treścią ich istnienia.

— Po tem, co między nami było, żenić się z moją córką — ciągnęła — niegodne... ohydne... potworne... To grzech... rozumiesz? grzech!... Ja, ty... i ona!... Ja, ty... ona...

Już teraz nie mogła znaleźć więcej słów, tylko te trzy, które właściwie zawierały syntezę całego, jej bólu.

— Ja... ty... ona...

Cofnęła się w puch swego boa. Tylko czoło jej i oczy świeciły z tej czerni. I wciąż powtarzała konwulsyjnie ze łzami i uśmiechem zarazem:

— Ja... ty... ona...

Porzycki wyprostował się tak, że urósł jeszcze w jej

oczach. Lecz „trzymała się.“ Ani na chwilę nie dała się zdemontować sobie samej.

— Ja... ty... ona...

Wzruszył ramionami.

— Cóż? ja... pani... ona?...

Gdyby Tuśka była spokojniejsza i więcej subtelna, uczułaby to „pani,“ pomiędzy nimi dwojgiem. Uczułaby, że on bezwiednie pojmuje, że pomiędzy nim a Pitą niema miejsca na owo *ty* zakopiańskie.

Lecz ona w zaślepieniu swojem tego nie rozumie. Pojmuje natomiast tylko to, a raczej instynktem odczuwa, że zbliża się ku niej ręka, mająca zadać cios śmiertelny istocie duszy jej kobiecej.

— Jakto? jakto?—dyszy Tuśka. — Przecież to niemożebne, przecież to *moja* córka...

— ?...

— Ależ... ależ... po tem, co między nami było?

— Co? Przecież między nami *właściwie nic nie było!*

. . . . . .

Padło tych słów kilka.

Nic nie było.

Tuśka wygięła się wężowo, otworzyła usta, jakby chciała coś odpowiedzieć i nagle odczuła, że wobec *tych* słów nie ma nic już do powiedzenia, że wszystko, co dalej ze swego mózgu i nerwów wysnuje, będzie już tylko niepotrzebnym dźwiękiem.

Bo między nimi *nic* nie było!

Dla niego było to *nic*.

Dla niej było to... wszystko!

Dla niego niczem była ekstaza miłosnych pieszczot, słów, myśli, tęsknot, uniesień. Nie było aktu tryumfalnego, w którym zaznacza się całą potęgą przewaga mężczyzny. Więc tamto było wszystko niczem, bo ciało nie miało pełnego, finalnego zadowolenia. Ona wychyliła kielich cały

i zdawało się jej, że to, co pozostało, jest już dodatkiem, bez którego obejść się potrafi. Uniosła w sobie tragedyę miłosną i miała ją przeżytą całą, pełną, skończoną. Zmysły jej nie zbudzone przez męża, przedstawiały jej chwilę, która była dla Porzyckiego właściwą *miłością* w niepewnej mgle nudnej raczej konieczności. Wibrowała w tych przedwstępnych uniesieniach, w których duch jej i mózg drżał życiem silniej, niż ciało.

I tu zaznaczyła się wielka różnica miłości męskiej i kobiecej. Mężczyzna *wyjątkowo* żyje pełną miłością, nie uważając za punkt kulminacyjny chwili spazmatycznego zapamiętania. Dlatego też miłość w jego życiu jest epizodem, bo chwila taka jest błyskawiczną i trwa jak błyskawica. Dla kobiety miłość składa się z tych drobiazgów, okalających błyskawiczną chwilę wieńcem sentymentów i gracyi uczuciowej.

Ztąd dla Porzyckiego między Tuśką a nim nie było *nic*.

Ztąd dla Tuśki między nią a Porzyckim było *wszystko*.

. . . . . .

Przez chwilę patrzyli na siebie duchowo, nie widząc się oczyma. I Tuśce nagle zdawało się, że ktoś ją za rękę uprowadził tam, gdzie były przed nią dotychczas drzwi szczelnie zamknięte. I zrozumiała także, że jest bezradna i niema nic, nic, czemby mogła się obronić w tej nowej jakiejś krainie, do której się tak późno dostała. Stała martwa i zimna, jak ten w pojedynku, któremu od pierwszego złożenia, brutalnie broń z ręki wytrącono. Czuła, że każde słowo, które, czy on, czy ona teraz wymówią, będzie puste i bez znaczenia. To, co było *główne*, już wypowiedziano.

Lecz on nagle nabrał jakiejś sztucznej werwy i zaczyna *mówić*.

Dużo i prędko.

Tuśka słyszy cały szmer słów, klekoczących przed nią. Jakby ktoś rozsypywał paciorki bez celu, a ona nie

raczy się schylić po to, aby choć jeden z tych okrągłych, oślizgłych drobiazgów podnieść i sobie przyswoić. Jest tam coś o tem, że lepiej przecież oddać dziecko komuś, kogo się zna, że aktorzy teraz mają doskonałe moralne stanowiska, a o materyalnym bycie już się nawet nie mówi... że jego matka będzie z nimi mieszkać... że...

Słowem, i to i tamto.

Mówiąc to, Porzycki zakłada świeżą gardenię w butonierkę. Tuśka śledzi jego gesty i ten biały kwiat na czarnem tle sukna. Coś przesuwa się jej przez umysł. A potem znów nic, nic...

Nawet łzy.

Zadźwięczał gdzieś w oddali przenikliwy dzwonek i przeszył drzwi garderoby.

Jednocześnie zastukał ktoś.

— Czy można?

Porzycki ku drzwiom poskoczył, uchylił je.

— A... pan redaktor! Natychmiast służę.

Ku Tuśce się zwrócił.

— Pani daruje... ale *interwiew*... siła wyższa.

Błysnął rzędami białych zębów w obramowaniu lekko ukarminowanych ust.

I gibkim ruchem, ruchem człowieka, który już czuje się obserwowanym, na korytarz się wysunął.

. . . . . .

Tuśka pozostała sama.

Zdziwiła się, jak łatwo i gładko im poszło to rozstanie. Raz, dwa. Już go niema. Kwestya skończona.

Z korytarza dobiega ją głos Porzyckiego:

— Widzi redaktor... ja inaczej to robię, ja inaczej pojmuję Priolę. Dla mnie ani Le Bargy, ani Kamiński... Najwięcej Sobiesław w Krakowie... Widział go redaktor?

— Nie.

— Wcale, wcale?...

Głos Porzyckiego brzmi swobodnie zupełnie, równo, bez wysiłku.

— Tak—myśli Tuśka — lepiej, kiedy ktoś znany już weźmie dziecko.

I doznaje, jakby zbudzenia ze snu, jakby ją ktoś targnął za serce.

Co ona właściwie robi tu, w tej garderobie aktora? Czego ona chce od tego *obcego* człowieka, który sam przed chwilą zaznaczył dostatecznie, że jest mu obca? Szalona była, przychodząc tu, szaloną i bez cienia własnej godności.

Ma uczucie, że ktoś ją wypoliczkował i wzruszył potem ramionami gestem wspaniałym.

I niczego więcej nie pragnie teraz, jak uciec ztąd, uciec choćby do własnego domu, byle tylko zniknąć z tej klatki, a zwłaszcza nie widzieć więcej tego człowieka.

Nie bacząc na ruch, który zaczyna się na korytarzu, na głośne rozmowy, naciska klamkę i otwiera drzwi.

Jednocześnie na sali zaczyna grać orkiestra, i ta moc dźwięków uderza całą falą w Tuśkę, która jednak nie cofa się i wybiega na wązki korytarz.

Widzi, jak przez mgłę dużo ludzi—aktorów ucharakteryzowanych, we frakach, w liberyi, maszynistów, strażaków.

O ścianę oparty stoi Porzycki z teatralnym *wzmiankarzem* w żarliwej konferencyi.

W pozie, w geście, w głosie aż bije łuną chęć reklamy za jaką bądź cenę.

Zobaczywszy wychodzącą Tuśkę, kurtuazyjnym gestem ku niej się zwraca:

— Pani odchodzi?

Tuśka nie patrzy na niego, idzie dalej.

Porzycki, chwilkę, jakby się wahał, lecz reklama zwycięża. Powraca do swego interwiewera.

Ten z zajęciem śledzi znikającą u wejścia sylwetkę kobiety.

— No... no... aż tu... w garderobie... — mówi, śmiejąc się pod wąsem.

Lecz Porzycki wzrusza ramionami:

— Co znowu! To moja teściowa!

— Pan żonaty?

— Nie, ale się żenię.

Reporter rozjaśnił się cały.

— Czego mi pan o tem odrazu nie mówisz! — zawołał — żenisz się pan? To nadzwyczaj ważne i *clou* mego interwiewu. Opowiadaj mi pan coś o narzeczonej. Co mi pan wiercisz dziurę w brzuchu pojmowaniem Prioli. Szczególiki intimne... szczególiki te... z życia...

Zasunęli się w głąb kulis, obaj rozweseleni, rozgrzani myślą tego przyszłego małżeństwa.

— A więc? panienka młodziutka?...

— Dziecko prawie.

— Ładne?...

— Cukierek...

Notatka bieli się w ręku *wzmiankarza*...

XV.

Tak cicho na Wareckiej w mieszkanku Żebrowskich. Tuśka powróciła do domu blada, milcząca, z zaciśniętemi ustami. Szybko spojrzała na Pitę, siedzącą wciąż nad robotą w jadalni, i przez chwilę, jakby cofnęła się cała w głąb siebie na widok córki. Przesunęła się jednak do swej sypialni i tam powoli, systematycznie rozbierać się zaczęła. Czuła ciągle pustkę w mózgu, pustkę w sercu i pustkę dokoła siebie. A potem ogarniał ją dziwny, szalony wstyd. Lęk ją podrywał, czy córka nie domyśla się czegoś. Nie tego, co było pomiędzy nią a Porzyckim, *bo wszakże nic nie było*, ale tego, że ona chciała gwałtem, aby to *nic* było *czemś*. Gdy odziana w matinkę zwinęła się w kłębek na łóżku, pod pawiem, uczucie to pustki

i wstydu potęgowało się w niej powoli. Zacisnęła oczy, aby nic nie widzieć. Lecz nie była w stanie. Usiadła znów na łóżku i oparła głowę na rękach. Siedziała tak, jak skamieniała, nie czując, jak jej powoli martwieją ręce i nogi.

W jadalni ktoś zaczął rozmawiać. To Władka znów nadeszła, niosąc jakieś drobiazgi. Mówiła o czemś z Pitą. Lecz rozmawiały przyciszonemi głosami. Wreszcie cicho wyszły do saloniku, gdzie nie było światła. Zdawało się Tuśce, że Pita płacze i coś, jakby skarżąc się, opowiada. I nagle, jakby jakiś punkt pod sercem ktoś Tuśce dotknął rozpalonem żelazem. Przebiegło to siatką bolesną cały krzyż i tył głowy. Zawirowało w niej, zakotłowało. Zrozumiała, że *intermediaire* pomiędzy Pitą a Porzyckim jest Władka. Wyczuła to instynktem. I to, co w niej zamarło z wielkiej i tragicznej przyczyny rozbitej na strzępy miłości, porwało się wirem gminnej złośliwej pasyi. Nie mogąc być piękną w swej rozpaczy, bo okoliczności kładły jej pieczęć milczenia na usta, zapragnęła wykrzyczeć swój ból w innym kierunku. Musiała. A zresztą, nie chciała, ażeby tu, w tej chwili wspominano istnienie człowieka, który sam stał się dla niej trupem. Dość o nim! dość! Niech bierze Pitę, niech jej nie bierze, ale na Boga! w tej chwili niech imię jego idzie w dal! w dal!

Porwała się z łóżka i rzuciła do jadalni. Światło olśniło ją. Potknęła się o krzesło. Szarpnęła uchylone do saloniku drzwi. Na środku, w smudze światła, bijącej z jadalni, dostrzegła Władkę w kapeluszu, tulącą do siebie Pitę.

— Czego tu?—krzyknęła chrapliwie Tuśka.

Władka i Pita odskoczyły od siebie i spoglądały na Tuśkę zdumione.

— Czego tu?—powtórzyła Tuśka.

— Ja?—spytała Władka.

— Tak! po co znów?

— Przyniosłam guziki do poszewek.

— Nie potrzeba... Nie będą się szyły poszewki, nie będzie się szyło nic, nic, nic.

Oparta o oddrzwia, Tuśka wpijała palce w kanty drzwi.

— Co pani?—zaczęła Władka.—Niech pani się uspokoi, proszę pani...

Zbliżała się, jak zawsze obleśna, lecz już mająca sporą dozę wstrętu, który promieniuje z dwóch kobiet, mających jednocześnie prawo do tego samego mężczyzny.

Tuśka zasłoniła się rękoma.

— Proszę mi dać spokój! Zkąd taka poufałość? Proszę bardzo...

Władka pozieleniała. Pod wpływem zmiany cery dzioby jej stały się straszne i więcej widoczne.

— Lepiej się mniej troszczyć o nas wogóle — rzucała przez zęby Tuśka.

— Nie rozumiem...

— Nietylko o nasze zdrowie, ale i tak o wszystko, co nas dotyczy. Panna Władka zanadto sobie pozwala.

Pita złożyła błagalnie ręce.

— Mamusiu!

— Cicho! milcz!... Dobrałaś sobie ładną powiernicę, spiskujesz z nią przeciw matce. Winszuję. Trzeba już było lepiej Marcysię.

Z pod Windhorsta strzeliły dwa ognie.

— Proszę pani mi nie ubliżać!...

— Milczeć! Gadzina!... Z miłosnemi posyłkami lata do dziecka! Wstyd!... Odwdzięczyła mi się.

Władka cisnęła się, jakby ją kto nadeptał.

— Za co? za co?

— Za wszystko. Za to, że pozwoliłam w domu bywać nietylko jako szwaczce.

— Wielka historya! Cóż to ja gorszego? O jej! Urzędniczką mogie w każdej chwili zostać i będę taka sama pani Żebrowska. Męża złapać każda potrafi. Ino się chcieć do tego zabrać.

— Milczeć!

Wstrętna scena dłużej trwać nie mogła. Czuły to obie.

To co mówiły, to było poprostu fałszywe i obok kwestyi. Coś więcej nurtowało. Lecz to było w głębi ich duszy.

Tuśka doszła do paroksyzmu wściekłości.

— A ja zakazuję, a ja zakazuję żeby mi tu nie latać! Zakazuję!...—wołała, grożąc. — Jeżeli jeszcze raz zobaczę..

— Proszę się nie bać! Nie przyjdę. Nie żaden cymes taki nadzwyczajny...

Tuśka uczuła, że już nic więcej powiedzieć nie może. Zakazała jej wracać tu kiedykolwiek, spaliła mosty. Należało odejść. Oderwała się z trudem od drzwi i zwróciła się do swej sypialni. Unosiła w oczach wizję szkaradnej twarzy Władki, wyłaniającej się jak zjawisko z ciemni salonu.

— Potwór!—myślała—potwór!

Wbiegła do swego pokoju i wyładowała resztę pasy trzaśnięciem drzwi. Wskoczyła na łóżko i powróciła do dawnej pozycyi. Zmartwiała znów, tylko na dnie, koło serca drżało coś ciągle i delikatnie, jakby ktoś różaniec przesuwał cichutko.

. . . . . .

W salonie Władka drżącemi rękoma zakładała na szyję ogromnego lisa, zesztukowanego z królików. Pita rzuciła się ku niej:

— Moja panno Władziu!—zaczęła—niech panna Władzia nie zważa na to... Mamcia taka rozdrażniona.

— A nie, a nie!...—odparła Władka.—To już zanadto... To już... doprawdy, że to... no! Coś takiego, jakby jaka Potocka. Niby, że mi łaskę... do domu dopuściła... widzicie... Pies z kulawą nogą nie bywa i to szczęście, że choć ja... A to babków śmietankowych mało nanosiłam... A jak tam, w tej pomyjnej jamie w Mokotowie, to Władka była, że no ha... a teraz?... Ale ja trochę więcej warta od niejednej, choć niby to mężatka i ma dzieci.

Pita cicho płakała:

— Moja panno Władziu, proszę mnie nie porzucać, bo co ja zrobię?...

— Oho! już moja noga tu nie postoi. Ale zobaczymy, co to pan Żebrowski na to powie. Czy będzie rad z tego, co się stało.

Błysnęła rzędem zębów. Silnie wywrócone usta dziwny przybrały wyraz. Wzięła rękawiczki. Ciągle jeszcze drżała; urwała palec w rękawiczce, i to ją doprowadziło do wściekłości.

— A to psia krew—cisnęła—przez takie coś, to nowe rękawiczki dyabli wzięli. No... niech panna Pita będzie zdrowa, a niech panna Pita ostro się trzyma, to przecie dostanie swego kawalera. Choć ja bym się tam za nim nie upędzała... Taki, co przedtem z mamcią w Zakopanem, a teraz z córką... to no... ale...

Zmierzała ku przedpokojowi. Pita pobiegła za nią.

— Co panna Władzia powiedziała?

Władka stała już przy drzwiach wejściowych i odkładała zatrzaski i łańcuchy.

— Co powiedziałam? To, co wiem!— sarknęła. — Jak mamcia będzie się bardzo ciskała i nie zechce dać swego „błogosławieństwa," to niech panna Pita powie, że: „Trudno, mamciu, była mamcina kolej, teraz moja. Kochał się w mamci, teraz kocha się we mnie..."

Pita cofnęła się i oparła się o ścianę.

Z ciemni zupełnej, czarnej, dolatuje ją głos Władki. Głos straszny, nieubłagany. Ktoś wali w jej piersi młotem kamiennym. Ona tchu złapać nie może...

— Jak? jak?...

— A no... powiedziałam. Ksiądz dwa razy kazania nie mówi. Proszę sobie przypomnieć, jak to tam było w Zakopanem. To zawsze tak, te *porządne panie*...

Szarpnęła drzwi, światło z klatki schodowej buchnęło chwilę, czarna postać obramowała się złotą linijką i drzwi zatrzasnęły się znowu.

Zadźwięczały łańcuchy, spadły zatrzaski.

Pita pozostała sama, wtulona w ciemność i w ścianę.

— Kochał się w mamci... teraz we mnie...

Taką litanijkę szepcą jej do ucha jakieś potwory, które wpadają na nią z taką mocą, iż wgniatają ją w carstwo cierpienia, a ona bezsilna wpada w grzązką toń strasznej, duszącej kałuży.

— Kochał się w mamci... teraz we mnie...

Chciałaby się przeżegnać, chciałaby krzyknąć, nie może.

Szuka jakiegoś światła, jakiegoś punktu jasnego, chce się o coś zaczepić, czegoś błagać, aby ją ratowało przed tą potworną, nagą prawdą życiową, która pędzi ku niej grzązką, ryczącą falą. I nic, nic.

Tylko ciemnia, ciemnia.

I te kilka słów:

— Kochał się w mamci... teraz we mnie...

XVI.

Te dwie kobiety cierpią, każda z tego samego powodu. Każda przez miłość dla tego samego mężczyzny. Lecz każda cierpi inaczej.

Jakie jest cierpienie Tuśki, zrozumieć łatwo. Lecz bólu Pity odgadnąć trudno. Jest to tak subtelne, taki amalgamat przestrachu, rozpaczy po czemś, co było całe białe, świetlane, a rozwiało się w jednej chwili, w tysiące baniek błotnistych, niezrozumiałych i dziwnych. Powstaje dokoła Pity jakby las kwiatów olbrzymich, trujących wonią, szeleszczących złowrogo liśćmi. Ona pośrodku bezradna, zziębła, drobna, słaba...

Ręce wyciąga, modli się: „Ach, nie! nie!..." a kwiatów moc straszna, przeogromna i szelest, jakby kroci demonów, niosących na skrzydłach leniwą cuchnącą burzę...

— Kochał się w mamci, teraz we mnie!...

Kochał się w mamci...

Kiedy?

W Zakopanem! Tak mówiła Władka. Jak to było? jak?... Wtedy, gdy tak często przychodził? Gdy przynosił kwiaty, cukierki? Ona, Pita, była wtedy mała, bawił się z nią... tak... tak... Ale jak z dzieckiem, z malutką dziewczynką. A właściwie to on do nich przecież przychodził nie dla niej, nie dla tej smarkatej, tylko żeby widzieć... mamusię!

Tak... powoli, powoli! Ach! po co te myśli się tak tłoczą? Zaraz, zaraz, przyjdzie kolej na wszystkie. Tylko nie razem, bo głowa Pity nie wytrzyma takiego naporu brutalnych wspomnień.

I do tej ściany, zimnej, ciemnej tuli się i ciśnie drobne stworzenie. A oczy ma szeroko otwarte i wbite w ciemność. Lecz dla niej to już nie jest ciemnością.

Ten przedpokój aż wiruje cały od pędu faktów, które tu się cisną. Jakże jasno biją teraz chwile, spędzane w Płazowej chałupie we troje. Ona, mamcia i... on. Tryskają, jakby fontanną stubarwną, przed duszą Pity. Każdy uśmiech jego, każde słowo, każde spojrzenie z całą precyzyą powstaje we wspomnieniu Pity. A ona teraz wie, co znaczy takie spojrzenie, taki uśmiech, takie słowo. Ona wie, że w ten sposób on wyraża tajemnie swoje uczucia. Och! jakież to wszystko okrutne! jakież to wszystko straszne!

Lecz jest tu jeszcze coś straszniejszego, coś, od czego niema chyba większej tortury dla serca córki.

Oto Pita w tym wirze faktów, które tam naprzeciw Gewontu działy się z taką nieubłaganą prostotą i ścisłością, zaczyna odróżniać, że nietylko on uśmiechał się, rzucał spojrzenia, słowa, jak kwiaty ze świeżo narwanego bukietu.

Wszakże to wszystko było oddane, a często wywołane.

Wszakże i tu były zawieszenia głosu, pauzy, milczenia, ręce splecione, ramiona przytulone, a czasem niecierpliwe przywoływanie, źle ukrywana tęsknota– nawet... łzy...

Nie on jeden...

Był i ktoś drugi.

I ten ktoś tak samo...

Jezus Marya!...

Matka go kochała!...

Jezus Marya!...

Litości!

Jezus Marya!

Czemu ta ściana taka zwarta? Czemu się nie rozstąpi, nie pochłonie drobnego ciałka dziewczynki, któraby pragnęła w tej chwili nie żyć, nie być, nie istnieć...

Mama go kochała!...

Jakby motyl, wbity na szpilkę, konał w ciemności.

Niby to nic, drobny ból, bo to przecież takie tylko dwa skrzydełka czarowne zastygają w bezmiernem cierpieniu. A przecież to równe śmierciom przeogromnych, tragicznych olbrzymów.

Mama go kochała!...

. . . . . .

Jest w Warszawie Pan Jezus tak piękny, tak tragiczny, tak wielki, jak pochodnia rozpaczliwa zaniecona w ciemności, zwołująca ku sobie tych, którym dusza krwią spływa.

Jest w Warszawie taki cichy, cudowny, rozpięty na drzewie Chrystus, cały ciemny i dziwny.

A tylko z nad czoła tryskają promienie bladej światłości, a u nóg jego cała grzęda płonących świec, jak ofiarne, drżące tulipany, migoce złotem i błękitem swych drobnych płomyków.

Jest w Warszawie taki Chrystus o wyciągniętych dłoniach, do którego gdy przypadnie się na klęczki, to pragnie się mieć jeszcze więcej cierpień, aby mu u stóp złożyć razem z kwiatami, które blado i delikatnie na bieli obrusa pomiędzy srebrem lichtarzy kwitną.

Ten Chrystus u Fary widział już wielkie, straszne bóle. Słyszał potężne błagania, i głowa jego w bolesnej zadumie chłonęła w siebie te głosy.

Eli! Eli! lama sabachtani!...
Zastygło na ciemnej twarzy. Zastygło dokoła niego.
Bolesny ten Chrystus, sam, opuszczony.
Tak sam, jak ci, którzy wieńcem mu do stóp przypadli.
I dla tego drogi, dla tego umiłowany.
Ten ciemny, dziwny Chrystus u Fary.

. . . . . .

W kącik się zaszyła Pita. W ławeczkę po lewej stronie. — Wybiegła wczesnym rankiem sama, ledwo ubrana i zaczesana. Ach! nie pytała o pozwolenie. Biegnie tam, gdzie ją niosą jakieś niewidzialne skrzydła. Na rozstaju jest. Nie wie, co począć. Dokąd iść? Noc całą przesiedziała na posłaniu w gorączce i łzach. Świt targnął jej sercem, jakby jakaś stalowa ręka dobrała się do jej wnętrza. Lecz wie, że coś postanowić musi, że tu coś stać się powinno. To czuje swoim rozumem kobiecym, który nagle zbudził się w niej i domaga się rozwiązania sytuacyi, która dłużej trwać nie może i nie powinna.

Ach! bo teraz tak jasno Pita widzi wszystko, co było i co jest obecnie. Matka i Porzycki kochali się w Zakopanem. Pita wie ze sztuk teatralnych, z przeczytanych tu i owdzie powieści, że kobiety zamężne kochają się czasem w innych mężczyznach. Lecz Pita natychmiast w swej czystej duszyczce znajduje usprawiedliwienie faktu, który mógłby stać się dla niej czemś zabójczem, gdyby właśnie nie ta krysztaliczna, cudna czystość jej duszy. Oto Pita wyobraża sobie, że Porzycki miał zamiar rozwieść Tuśkę i ożenić się z nią.

— Tylko mamcia nie chciała — myśli Pita — przez wzgląd na tatkę, na nas...

I przypomina sobie scenę odjazdu na dworcu w Krakowie. Pamięta, w wagonie, matka zalana łzami nie mówiła nic, a on wziął ją, Pitę, delikatnie za ramionka i złożył Tuśce na piersi. A potem wyszedł cicho z wagonu. I gdy pociąg ruszył, Pita czuła doskonale, jak z oczu matki

spadały wielkie, gorące łzy i spływały przez jej włosy na jej czoło, na jej oczy...

— Och! jak strasznie mama wtedy płakała! Jak musiała być nieszczęśliwa. A przecież... przecież wyrzekła się *jego*. Dla nas, dla tatki...

Straszna, bezmierna litość i wdzięczność ogarnia Pitę. Serce w niej rośnie, dławi ją.

— Mamo! Mamo!—chciałaby wołać. I pod tem wrażeniem wybiega z domu. Coś w niej powstaje, coś dojrzewa. Chce się gdzieś schronić, gdzie mogłaby zrobić rachunek ze swemi siłami, z tem, co jej jeszcze pozostaje z energii życiowej, z tego *Dobra*, z czego czerpać musi. Przebiega myślą życie i zatrzymuje się u Fary, u stóp Chrystusa, u stóp tryskających, jak czarny irys z całej grzędy płomiennego, świetlanego kwiecia.

Tam, gdy była jeszcze małą dziewczynką, a rodzice jej mieszkali w okolicach Zamku, prowadzała ją często służąca-dewotka, ale dewotka dziwna, jakby przez kryształ mająca przepuszczony żar swojej dewocyi.

— To jest Pan Jezus cudowny, dziecinko! — mówiła, sadowiąc Pitę na stopieńku ołtarza, tuż pod balustradą.

— Cudowny! — myślało dziecko, i duże błękitne źrenice patrzyły na schyloną bezradnie głowę, z której srebrem tryskały błyszczące promienie.

— Tam cisza, tam spokój—wionęło przez umysł Picie.

. . . . . .

I oto w ciemnej kaplicy, w której drżą tylko złote światła świec, siedzi Pita w ławeczce na boku, jedna z tych rzadkich dusz, które tu po szept czarowny błądzą:

— *Eli! Eli! lama sabachtani!...*

— Mama go kochała!—myśli Pita.—Kochała, kochała. Tak, tak, Władka nie skłamała. Ale... ja... o Chryste daruj! o Chryste przebacz!... ja czuję, jakby ktoś struną moje serce z sercem mamy związał. *Mama go jeszcze kocha...*

Złota głowa Pity ciężko opada na pulpit ławki.

To z duszy jej wydarło się jękiem.

I potem zaraz anielskie i litości pełne:

— Och! biedna mama!...

Nad sobą Pita nie płacze. Teraz cała jej dusza stopniała w litości nad matką. Prosto i szczerze czując, nie zna Pita słów potępienia. Ona sama odczuła, że miłość nalatuje bez woli i winy, i że nie da się zwalczyć mimo wszelkich wysiłków. O cudzołóstwie, o żądzy połączeń zmysłowych Pita jeszcze nie wie, wiedzieć nie może. A więc dla niej tylko ta duchowa prawie jeszcze część miłości istnieje i wie, że z tą walka daremna. Nie potępia matki. Przeciwnie, użala się jej krwawej nędzy i podziwia to, co nazywa w swej nieświadomości jej poświęceniem.

— Bo... widzisz, Jezu, mogła się mamcia rozwieść, iść za niego, nie chciała, żeby tatki nie martwić i nas. Nie chciała, ale przecież go nie zapomniała...

Uśmiech bolesny przewija się w kąciku ust Pity.

— Bo... jego zapomnieć nie można...

Prawie jęk ciśnie się do gardła, taki ból...

— *A przecież będzie trzeba.*

. . . . . .

Łzy Pity osychają.

Twarzyczka jej powoli jakby przybrała maskę starości. Jasne smugi padają na jej usta, ścinające się w coraz bardziej zarysowaną zmarszczkę.

Dziewczynka przeżywa chwile najczystsze, najbardziej stałe, najgorętsze swego życia. Lecz zarazem chwile te palą, jak ogień, zamknięty w głębi przepaści. Pita wychodzi z tej próby zwycięska. Lecz duszę, całą swą istotę ma spaloną. Skrzydła jej ciężko obwisły żałobnym welonem. Pita zatraca gorączkę radości życiowej, lecz odkrywa w sobie i nagle rozwija ofiarność i ogrom dozy tej ofiarności, jaka jej jako kobiecie przez los jest wymierzona.

— Nie chcę *go*—myśli—nie pójdę za niego!

Rozświetliła się przed nią ciemnia kapliczna. Jest jej jasno. Nie widzi już nawet Chrystusa. Znalazła ścieżkę, na którą wejść musi.

Gdyby ją kto chciał zatrzymać, błagałaby z jękiem, aby nie zadawano jej tego bólu.

— Nie chcę go...

I zaraz dodaje:

— Tak, jak mamcia!

Nawet nie wie, czy ta myśl sprawia jej ból. Nie czuje nic. Jest jakby zahypnotyzowana i wpatrzona w jeden punkt. Ogarnęło nią pragnienie poświęcenia swej miłości, która często w sferze uczuć kieruje postępkami pewnej liczby kobiet. I pragnie postanowienie swoje wprowadzić natychmiast w czyn. Jest w tem jakby trwoga przed ostygnięciem, przed powrotem do równowagi.

Wychodzi z ławki sztywna, wyprostowana, z twarzyczką bladą jak opłatek. Przesuwa się widmowo przez kościół drobny, szary cień.

Wydostaje się na ulicę. Ma całą świadomość, jaką zachowują czasem ludzie podczas pożaru. Wie, że powinna przedewszystkiem napisać do Porzyckiego i zabezpieczyć się przed widzeniem z tym człowiekiem.

— Zacznie mnie prosić, tłumaczyć, całować...

Oblewa ją żar. Zadrgały w niej boleśnie wszystkie nerwy.

— Mamcię... musiał... także...

Aż stanęła na środku placu, zalanego słońcem.

— Jezus, Marya!...

To jest jedna chwilka, jakby zazdrości. I jest to straszne, potworne, nie do zniesienia. Ktoś z idących popchnął ją, poszedł. Porwała się i zaczęła szukać składu papieru. Znalazła. Weszła i kupiła arkusik papieru i kopertę.

— Proszę mi pozwolić... — wyrzekła zdławionym głosem—ja coś napiszę!

— Proszę...—wyrzekł obojętnie sprzedający.

Sklep był wązki i ciemny. Mały chłopak zamiatał

podłogę. Pita pochyliła się nad ladą sklepową i pisać zaczęła do Porzyckiego. Ręka jej drętwiała, pióro trzymała nerwowym wysiłkiem.

— „Szanowny panie!—pisała.—Piszę do pana ostatni raz i proszę mi nie odpisywać. Ja się namyśliłam i postanowiłam za pana nie iść. Ja uczułam, że to wszystko, co mi się zdawało do pana przywiązaniem, to mi się zdawało i ja nie mogłabym być dla pana dobrą żoną, a pan byłby bardzo nieszczęśliwy. Więc ja wolę, żeby pan nigdy, niegdy mnie już nie widział i ja pana bardzo o to błagam, a nawet do pana *honoru* się odwołuję, żeby pan nie starał się ze mną widzieć, bo ja panu przysięgam na wszystko święte, że ja postanowienia swego nie zmienię. A pan jest dobry i pan nie zechce mi robić przykrości. I pan się nie będzie na mnie gniewał i nie będzie o mnie źle myślał. Ale ja jestem taka roztrzepana i tak się jakoś nie obliczyłam i teraz wszystkim tyle zrobiłam przykrości."

Urwała, potarła ręką czoło. Jedną tylko miała troskę, pisząc ten list, jedną. Żeby Porzycki zrozumiał to, iż widzieć jej więcej nie powinien. Nie wiedziała, jakich wyrazów dobrać, aby mu to wytłumaczyć. Lecz oczy jej, błądząc, spotkały się z szarym obojętnym wzrokiem kupczyka, który tuż przed nią stał i patrzył jakby trochę ironicznie na tę pensyonarkę, mozolącą się pewnie nad jakimś miłosnym listem...

Ten wzrok był dla niej jakby uderzeniem szpicruty. Szybko dodała do listu:

— „Ja wierzę, że pan zrozumiał, iż ja pana błagam, aby pan więcej na Warecką nie przychodził. Od tego spokój i szczęście nas wszystkich zależy. Proszę bardzo, zaklinam! Żegnam pana! Niech pan będzie szczęśliwy. Proszę darować i nie przychodzić. To nic nie pomoże. Nie. I proszę przyjąć wyrazy szacunku i życzliwości, z jakiemi zostaję,

Józefa Żebrowska."

Ten krzyk ofiarny poszedł wczesnym rankiem w zwykłej białej kopercie, opatrzony marką, jak biały, smutny ptak. Padł w głąb skrzynki, zaszeleścial. Pita opuściła głowę i zwolna poszła do domu.

. . . . . .

Wszedłszy przez kuchnię do mieszkania, w kuchni spotkała się z Edkiem. Szedł do szkoły. Był bardzo podniecony i zdenerwowany. Widoczne było, iż zapada coraz głębiej w społeczne sprawy, i te pochłaniały go całego. Wczoraj przebył prawie cały wieczór u Tarnawicza, gdzie schodzili się teraz i inni koledzy na tajne i ciche narady. Pita słyszała ich szybkie kroki po schodach i zawsze wsłuchywała się w nie, jakby niepewna i drżąca. Teraz spotkawszy Edka, chciała uprzedzić go o swem postanowieniu, lecz przeszedł mimo niej, pogrążony cały w swych myślach, nie widząc jej prawie. Weszła więc do pokoju jadalnego i tu odrazu znalazła się wobec matki, stojącej przy kredensie w ledwo narzuconym szlafroku.

Spojrzały obie na siebie.

Pita zatrzymała się koło stołu i zacisnęła na piersiach ręce. W jednej chwili ogarnęła i odczuła, jak wielką była nędza i cierpienie tej drugiej kobiety. Twarz zmieniona, zżółkła, pobladła. Rysy wykrzywione, włosy jakby zesiwiały tak straciły blask, i to piętno ciągłego cierpienia, które żre nieustannie, cisnęło się w oczy, w serce, w duszę Pity niezaprzeczalną grozą.

A Tuśka milczała także. Powinna była zapytać córkę, gdzie była sama w tak wczesnej godzinie, jak śmiała z domu wyjść, nie zapytawszy o pozwolenie, lecz i ona instynktem odczuła, że to dziecko przynosi w bladości swojej coś bardzo wielkiego, coś, jakby wiązankę kwiecia, zebranego z grobu, kwiecia bólu i ofiary. I że tu, pomiędzy niemi dwiema stanie się za chwilę coś bardzo silnego, jakaś minuta świetlana, szeroka, szlachetna, wybije godzina

pięknego Czynu, przy którym drobiazgi życiowych konwenansów skryją się w szarzyznę zupełną.

I dzieje się już ta chwila.

Oto Pita mówi drżącym głosikiem:

— Mamciu! proszę mamci... ja chcę powiedzieć... *ja postanowiłam nie iść za pana Porzyckiego.*

Milczenie.

. . . . . .

To są bardzo proste słowa. A przecież stała się tu rzecz wspaniała i prawdziwie piękna. To złożenie w geście przelitosnym serca jednej kobiety u stóp drugiej stało się tak skromnie, tak prosto, tak delikatnie. Pita weszła odrazu jednym niemal krokiem w krainę największego dobra i wżyła się w jej atmosferę z niepojętą łatwością. Dlatego ofiara, z którą stanęła wobec matki była jak ta wstęga złocista, z której aniołowie na bareliefach Della Robij śpiewają swój hymn, pełen wiekuistej słodyczy.

Z rąk wyciągniętych dziewczęcia, ta druga kobieta, zgnębiona i spalona cierpieniem, przejęła tę wstęgę i choć ona nie mogła już złączyć głosu swej duszy w akord harmonijny z głosem dziecka, stojącego u stóp własnego całopalenia, przecież odczuła to wionięcie nietylko istoty ofiary, lecz idealnego spokoju, w jaki jej ta ofiara do stóp i do serca spłynęła.

I była chwila, w której Tuśka chciała porwać w objęcia Pitę za to ogromne Miłosierdzie, które w jednej chwili pozwalało jej zażegnać najcięższą burzę, walącą się na nią z łomotem piorunu.

To wszystko szło precz z jej życia! Lecz coś przecież wstrzymało jej ręce. Może to, że w głębi Pity aż jęczał jakiś głos błagający, aby matka nie uczyniła jednego gestu i dozwoliła jej w spokoju odejść, pozostać samej.

A potem i to mignęło przed oczyma Tuśki.

Córka wiedziała!

Ta druga, która miała litość nad nią, to była... jej córka.

Podwójną litość.

Nad kobietą, która cierpi i nad tą, która grzeszy, kochając zakazaną drogą.

I nie zostało wyrzeczone więcej ani jedno słowo. Obie rozeszły się i szły cicho, jak te, które w kirach wracają z cmentarza.

Tuśka weszła do swej sypialni i podeszła do okna. Przytuliła czoło do szyby i patrzyła na dziedziniec, jak przez mgłę.

Były jak te dwie z „Wnętrza" Maeterlincka, które patrzą przez szyby w ciemną noc i starają się dojrzeć coś, co może rozjaśnić tę ciemnię.

One także patrzyły w ciemnię i w noc, choć na dziedzińcu szare jesienne światło opełzało mury.

XVII.

— Chcę ci powiedzieć, Edku... że ja już nie idę za Porzyckiego. Pragnę, ażebyś o tem wiedział. A pragnę dlatego, ażebyś tej kwestyi już nie poruszał, ani wobec mamci, ani wogóle. Dobrze?

Edek z pod brwi ściągniętych na Pitę spojrzał.

— Możesz być pewna, że nie będę się zajmował twojemi romansami i głupstwami. Teraz nie czas na to. Jest coś ważniejszego w powietrzu...

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Pita zaczęła spokojnie układać w szafie bieliznę, przywiezioną z Mokotowa. Cztery dni nie wychodziła z domu, lękając się spotkać z Porzyckim. Przypuszczała bowiem, że krąży gdzieś koło domu. Tuśka nie wychodziła także. Żyły tak zamknięte, jakby w trwodze przed tym mężczyzną, o którym myśl przecież ciągle wypełniała każdą ich minutę. Zajęły się drobiazgami domowemi i prześcigały się

wzajemnie w staranności, z jaką urządzać zaczęły gniazdo na zimę. Zdawać się mogło, że czynią przygotowania na przyjęcie jakiegoś wielkiego szczęścia. Lecz w oczach ich była nie nadzieja, ale melancholia, a gesty ich były takich, które się nie śpieszą, a raczej starają się powiększyć czas trwania drobnych, mechanicznych zajęć.

Słońce skryło się za ciężkie, żółte chmury. Deszcz powolny, jesienny, smutny, padał na pożółkłe i drżące akacye dziedzińca. Z ulic miasta dolatywał niepokój i drżał w powietrzu tysiącem przyśpieszonych oddechów. Zdawało się, że jakiś prąd ukryty przeciąga wzdłuż domów i łopoce o szyby zamkniętych okien. Nic napozór nie poruszało się. Koronki stor rysowały się nieruchome. A przecież tchy gorące i lękliwe przebijały się przez kryształ szyb.

— Coś jest... coś jest...

W oczach dzieci zwłaszcza — takich Edków, Tarnawiczów, ten prąd tajemny zdawał się więznąć nagle i przedostawać się do wnętrz domów. Wielkie, cygańskie źrenice Edka zdawały się rozszerzać jeszcze, tak były teraz przepełnione czemś tajemniczem, a silnem, jak dwie czary onyksowe, wypełnione po brzegi płomieniem. Stał się małomówny, tajemniczy. Coś wiało od niego konspiracyą. Coś z tajnych, a gorących narad szeptanych wnosił w fałdach swej mundurowej bluzki.

Z niedbałością wzgardliwą obchodził się z tornistrem wiedzy, który nowy rok szkolny prezentował przed nim tej jesieni. Nigdy jeszcze nie troszczył się tak mało o książki, o podręczniki, o rozkłady, jak teraz. Miał, mówiąc o zaczętej nauce, jakiś nieznany wyraz i zmrużenie powiek niechętne i dziwne. Widoczne było, iż stał już w progu świątyni, w której życie bije w wielkie, nieustraszone skrzydła.

Coś z Mundka zaczynało znów wiać po mieszkanku na Wareckiej, jakiś dech chętny do walki, pragnący zaznaczyć, że się jest, mimo wszystko. Tylko tu nie było sentymentu ofiarnego Cheruba, lecz karność jakichś szeregów,

ściśle spojonych i rozumiejących, że tylko ławą iść należy tam, gdzie zajść pragną.

W zwiększonym stopniu miał to w sobie Tarnawicz. On silniejszy—pochylał swą głowę, zahartowaną w borykaniu się z losem, wydzierał się z szeregu i szedł pierwszy, jak taran, rozbijając zda się nigdy nieprzebite mury. Nie robił to sentymentem, nie uczucie go niosło. Rozsadzało mu serce poczucie krzywdy, gniew, groza, rozpacz.

Nie siebie chciał ciskać w ofierze, lecz chciał żyć i mieć jaknajwięcej sił, aby walczyć i robić wyłomy, przez które parliby naprzód drudzy. Edek miał brwi ściągnięte, Tarnawicz pioruny w oczach. Wysechł, wychudł. Dźwigał swe czoło wielkie, uparte, chłopskie, a w niem myśl tak wielką, że ogarniała całe horyzonty i przerażała śmiałością.

Pita odczuwała instynktownie, że to, co się dzieje w tej chwili, to, co pędzi, jak lawina, ku jakiejś ogromnej, dziejowej, przełomowej chwili, pochłania tych dwóch w zupełności. Jakiś wielki szacunek, tak, jak wtedy wobec Mundka, ogarniał ją całą. Jej zmartwienia, bóle, smutki miłosne malały i zdawały się jej zbyt drobne naprzeciw promienistego celu, do którego tamci dążyli.

Nie pytała o nic, lecz śledziła wzrokiem brata i Tarnawicza, gdy szeptali z sobą długo i gorąco. Podziwiała ich, jak dziwnie stali się *dorosłymi*, jak szybko dojrzał na ich twarzach ten wyraz właściwy tym, którzy działają. Nie myślała nigdy tak, jak wtedy przy Mundku, że i ona potrafiłaby wznieść się do ich wyżyn. Czuła, że tu coś więcej mieć trzeba, niż serce pełne miłości i chęci poświęcenia dla drugich. Czuła, że trzeba mieć... *siłę*.

Czwartego dnia nad wieczorem Edek powrócił z miasta trochę wcześniej. Usiadł przy stole, oparł się i zamyślił głęboko. Pita składała bieliznę do szafy i starała się robić jak najmniej hałasu, aby nie przerywać bratu toku myśli. Lecz on spojrzał na nią i ocknął się nagle, jakby sobie coś przypomniał:

— Aha!... — wyrzekł swoim nizkim, już prawie ustalonym głosem — spotkałem tego... komedyanta. Zaczepił mnie i powiedział, żeby ci powiedzieć, że po tobie nie spodziewał się nic podobnego, żebyś cofała swoje słowo. Tak powiedział.

Pita milczała. Nawet serce jej nie zabiło zbyt silnie, i to ją prawie zdziwiło.

— I jeszcze powiedział, że to my cię pewnie przerobili. Ale że to lepiej, żeś się namyśliła, bo gdybyś mu miała później zawód zrobić, to byłoby gorzej. I kazał się nam wszystkim kłaniać i przeprosić, że nie przychodzi się żegnać, ale że jedzie, czy coś... niby, że ma *engagement* gdzieindziej i że tu w Warszawie niema dla niego interesu.

Pita ciągle milczy.

Edek wyciągnął scyzoryk i okrawa z zapałem resztki paznogci.

— Ale... jeszcze ci co powiem! — ciągnie dalej. — To tak wyglądało, jak on to mówił, że on to mówi wszystko dla niepoznaki, a że on całkiem co innego myśli. Doprawdy! Nawet, kiedy odchodził, to pogwizdywał to obrzydliwstwo: „*La donna e mobile*“, czy coś jakoś. Ale jemu się tak gwizdać chciało, jak mnie w tej chwili tańczyć. On byłby do nas wlazł, tylko się czegoś bał. Coś mu drogę zagrodziło...

Schował scyzoryk, wstał i dodał:

— Dzięki Bogu!

Gotował się znów do wyjścia.

— Idę na chwilę. Jakby Tarnawicz przyszedł, to poproś go, żeby szedł do siebie, bo dziś nie będzie korepety. Nie mam czasu. Ja do niego zajrzę wieczorem.

Wyszedł krokiem pewnym i śmiałym.

Pita stała wciąż przy szafie, udając, że jest zajęta.

Gdy drzwi się za Edkiem zamknęły, oparła się o szafę, a ręce opadły jej wzdłuż ciała.

— Coś mu drogę zagrodziło... — myślała. — Wiem co. Zrozumiał; że ja wiem wszystko. Nie uwierzył w mój list. Czuję to ze słów, które mówił do Edka, ale uwierzył w to, że ja wiem i przez to samo jego żoną być nie mogę...

Zamknęła oczy, aby nie widzieć, jak powoli nadchodził brzydki, szary wieczór, jak tam ciemniał skrawek nieba za oknem, pomiędzy murami kamienic.

— Jak dobrze, że nie przyszedł... jak dobrze, że wyjeżdża... — snuło się jej sennemi myślami — jakie to byłoby straszne, gdyby tu się zjawił znów pomiędzy mną a mamą i zawołał po dawnemu: „Kukuryku!...“

Na to wspomnienie ścisnęło się w niej serce. Aż się coś porwało ku niemu, coś w oddali terkotało wesoło:

„Pod Ulm, pod Kulm, pod Austerlitz,
Wzięli w coś tam niemcy...“

Odjeżdża... Nigdy już...

Ale nie była to rozpacz; nie, to jakby tęskne wołanie małego dziecka za kimś, kto je pieścił, rozweselał i tulił. Było to uczucie bardzo silne, bardzo bolesne, a co najgorzej beznadziejne.

— Nigdy już... i nikt nie będzie taki, jak był on...

Obejrzała się. Szare światło zalało kąciki, wydobywając niektóre szczegóły ubogich mebli. I Picie przyszło na myśl, iż ona właśnie jest skazana, aby resztę życia spędzić nieodwołalnie wśród tych skurczonych przedmiotów, bladych i dziwnie w tej chwili ziejących melancholją nicości.

Nie ubóstwo ich jednak przeniknęło duszę Piły rozpaczliwym skurczem. Nie to, tylko to przeświadczenie, to zrozumienie, że ona jest w tej chwili inną zupełnie, jakby przetworzoną, nie taką, która potrafiła z miłością klęknąć przed ubożuchną serwantką i Jezuskiem śpiącym na swym

glinianym krzyżyku. Ta Pita, która wchodziła obecnie w ten świat, w którym już pozostać miała, ani śladu zapamiętania dziecięcej tkliwej nadziei nie niosła w sobie.

Nie miała żółci, ni goryczy. Lecz jakąś rozśpiewaną litanję mniszek, które słyszą ciągle zatrzaskującą się po za niemi kratę w dniu ich obłóczyn. Nie mają skrzętności i chęci dusz, budujących ze swej przeszłości i teraźniejszości kaplic, przed któremi spędzą swe istnienie.

Dozwalają, aby te kaplice nie wznosiły się wcale, lub aby już z samego początku były jedną masą gruzu. One wciąż pozostają wsłuchane w trzask drzwi, opadających po za niemi...

A przytem Pita więcej teraz odkrywa dokoła siebie tych dziwów, o których sądziła jak ci, którzy mówią o jakiejś zarazie z sąsiedniej ulicy. Ten i ten zachorował, umarło tylu... Ale do nich zaraza nie dojdzie nigdy! Tak Pita sądziła, że oni, tu na Wareckiej przeżyją swoje życie w sprawach uczuciowych. I oto jej matka, ona, uległy wichurze, która niemi szarpała. Lecz Pita widzi coś więcej. Pita rozumie teraz zaostrzonym instynktem, że i ojciec jej ulega jakiejś komplikacyi sentymentalnej. Nie łudzi się więcej. Fakty stają przed nią teraz jawne i niezaprzeczalne. Żebrowski kocha się we Władce. Tak, Pita to rozumie. Ona tylko wprawdzie zrozumieć może, że ojciec kocha się, bo brutalny fakt zmysłowego połączenia się Władki i ojca jest dla niej jeszcze niedoścignionym. Ale odczuwa, że ojciec przylgnął tam, gdzie go nie odtrącano, a raczej ciągniono dobrem słowem i dobrem spojrzeniem.

— Jak pies... przecież nie pójdzie tam, gdzie go biją, ale gdzie go głaszczą—tłumaczy—a tatko rzeczywiście nie miał nigdy dobrego słowa.

Usprawiedliwia jednak i matkę:

— Tylko że mamcia była kim innym zajęta, nie mogła być przecież fałszywa...

— I jakie to wszystko straszne... jakie dziwne...

Przychodzą jej na myśl słowa, które słyszała tu dawniej, zamienione przez Władkę i służącą w turkocie maszyny, gdy leżała chora o pewnej szarej godzinie.

— Nie może to panna naciągnąć jakiego starego na maszynę?

A Władka odpowiedziała:

— To niełatwo.

Tak coś, może nie dosłownie, ale w każdym razie sens był taki.

Na maszynę!...

I te świstki, zgubione przez ojca pod parkanem w Mokotowie, które ona podniosła i ma jeszcze u siebie. „Maszyna do sprzedania"... i znów: „Maszyna do sprzedania"... A Władka mówiła niedawno, że ma nową prawie maszynę Singera...

Władka *naciągnęła* ojca na maszynę...

A więc udawała tą dobroć, tę łagodność, aby tylko „stary" kupił jej maszynę.

To straszne. To takie, jakby wielkie bagno zaczęło nagle zwartym wałem posuwać się ku Picie i zalewać przestrzeń jej horyzontów życiowych.

Jaki smutek! jaki straszny smutek!...

Jedno przecież dobrze, że ojciec nic nie wie.

Wydaje się zadowolony i ożywiony. Niech przynajmniej on jeden.

Ale Pita nie pragnie już budować sobie kaplicy, przed którą miałaby spędzać resztę życia. Czuje, że nie z drogich kamieni, ani marmuru byłyby jej ściany, lecz z brył błota, a tego ona nie chce... nie chce...

. . . . . .

Już ciemno prawie.

Ktoś wszedł przez kuchnię. Pita poznała chód Tarnawicza. Otworzył drzwi i zbliżył się powoli, jakby ocie-

mniały, do stołu. Na dworze było jeszcze widnawo. W ciemnych klatkach już prawie czerń zupełna.

Ale i on przeczuł dziewczynę, stojącą nieruchomo o kilka kroków od niego.

— Edka niema?

— Nie.

— Pani sama?

— Mama śpi.

— Drzwi zamknięte?

— Tak!

— Chcę pani coś powiedzieć.

Padają te słowa w ciemni urywanemi, przyciszonemi głosami.

— Słucham pana.

— Wiem, że pani nie idzie za mąż... ale to nie jest rzecz główna... Główne to, że dziś, jutro, może się stać coś takiego, że ja... że my... ja i pani nie zobaczymy się więcej.

— Pan wyjeżdża?

Głos Pity drży.

— Nie... nie jadę. Ale może się coś stać, co nas rozdzieli. Coś silniejszego od nas. Niech pani przypomina sobie to wszystko, co ja pani mówiłem. I proszę zastosować w życiu. Dobrze?

— Tak, tak, ale niech mi pan wytłumaczy...

— Nie, nie. Nie wiem jeszcze: co i jak. Może nie, może się nic nie zmieni. W każdym razie pani taką ze szklanego pudełka nie może być dłużej. To sobie proszę zapamiętać. A teraz idę...

Zwrócił się szybko ku drzwiom, zatrzymał się, jakby chciał dodać coś jeszcze. Pita dyszała ciężko. Ta chwila ważyła się w powietrzu, jakby przed burzą ciężkie, straszne minuty.

— I... przepraszam!... — zacharczał prawie Tarnawicz. Otworzył drzwi i wyszedł.

Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, Pita wyciągnęła za nim ręce.

. . . . . .

Po jakiejś godzinie Edek powrócił, a Tuśka wyszła ze swego pokoju i weszła do kuchni, gdzie Pita sama czyściła lampy i nalewała naftę. Marcysi nie było. Wyszła do sklepiku. Na kominie palił się ogarek świecy w kuchennym lichtarzu. Edek zatrzymał się koło wodociągu i puszczał wodę, pragnąc zaczerpnąć świeżej i chłodniejszej. Był zdenerwowany i niespokojny. Zapytał siostrę, czy był Tarnawicz. Tuśka stała obok komina i mechanicznie przewieszała przerzucone przez sztaby ścierki.

Nagle rozległ się łopot nóg po schodach i drzwi od sieni szarpnięte otworzyły się. Wpadła Marcysia.

— Rewizya! — krzyknęła przyciszonym głosem. — Idą, z komisarzem i stróża wzięli. O!.. słychać ich... idą... Jezus Marya!...

Wszyscy zmartwieli, wsłuchani w odgłos ciężkich kroków, pod któremi zdawały się uginać schody...

— Idą... tu..

. . . . . .

Po twarzy Tuśki przebiegły płomienie.

— Po... ciebie?... — wyrzuciła ze ściśniętej krtani, patrząc na syna.

— Nie wiem!..

Kroki żandarmów były już pode drzwiami. Och, ilu ich, jakże ciężko idą... jakby dźwigali jakieś kłody na pochylonych i odzianych w sieraki barach.

Jednym ruchem Tuśka przypada do syna. Porywa go w ramiona wspaniałym gestem. Tuli do siebie, zapominając o sercowych bólach, o wszystkiem. Wytężyła wzrok, wytężyła słuch, wytężyła muskuły. Siła ku niej spływa, moc matki broniącej swego płodu. Jest piękna i wielka. Pita spogląda na nią i w duszy jej wzbiera wiel-

ka miłość. Do matki, do brata... Podbiega do nich. Tuli się do ramienia matki. I tak stoją nieruchomi, złączeni najsilniejszym, nierozerwalnym węzłem.

Silniejszym niż wszelka moc.

Moc groźna i nieugięta.

W purpurze i w blasku złota.

Z lasem bagnetów i kluczy więziennych.

Moc serc.

Moc dusz!

Ta wielka, mocarna moc!

. . . . . .

— Nie tu! nie tu!

— Idą wyżej.

— Gdzie? gdzie?

— Jezus, Marya! — mówi Pita — Jezus, Marya!... oni idą po... *niego.*

. . . . . .

Powiedziała *on.*

I to wydarło się z jej duszy. To wydarła się prawda z jej serca.

To był ten prawdziwy *on*, który w tej chwili blady, lecz z wielką godnością nie dziecięcą, lecz męską, wstawał od swej lampy, przy której uczył się, na przyjęcie szeregu tych, którzy po niego, jak po swoją własność przyszli.

To był jej... *on.*

XVIII.

Przez zamknięte okna, przez okitowane, opatrzone okna, od miasta, od całego kraju wieje strach, wieje groza. Nic nie pomogą zamknięte drzwi, łańcuchy, zamki. Nic nie pomoże mech, otulający podwójne szyby.

Od miast, od całego kraju idzie wielka groza.

Wieje, jakby ten wicher, co na Zaduszki podrywa znieruchomiałe gałęzie płaczących brzóz, które już zdały się zastygać nad marmurami grobowców.

Tylko ten wicher szeleszcze, kołacze, nastukuje do tych, którzy spali w odrętwieniu na ofiarnym stosie, co się już powoli zapadał w mogiłę.

Szeleszcze, kołacze, nastukuje.

— Żyjecie?

— Tak! tak!

I grozą, strachem, widmami, krwią, pożogą...

Ciasne, małe mieszkanka pełne widm... Dziś zabili, dziś zrabowali... Słuchajcie! słuchajcie!... Idzie krew, idzie śmierć, jakiś śpiew z oddali, jakby tych, którzy z lasów widmami dążą.

Od miast, od całego kraju idzie wielka groza.

. . . . . .

Na ulicach Wareckich, na dziedzińcach, za szybami na tle schnących w zapomnieniu palm widać twarze blade, niespokojne, z oczyma otwartemi tak bardzo szeroko.

Z takich mieszkanek wychodzą codziennie jedni i pozostają w nich inni. Ci, którzy pozostali, czekają przy szybach i patrzą. A często i łza po twarzy ścieka. Łza niepokoju. Kto wie? Kto wie?

U Żebrowskich tak, jak u innych, wszystko drży niepokojem serca: ludzie, atmosfera, niemal ciche sprzęty. Jakieś dziwne wieści padają dokoła stołu, pod światło domowej lampy.

Edek co chwila biegnie na ulicę. Nie pomogą prośby i błagania matki, w której zbudziła się potęga macierzyństwa z całą siłą. Jakby skrzydła wytrysły jej z ramion i pragną ogarnąć wyrywającego się w krwawy wir i ciemnię syna.

Na wszystko Edek odpowiada: — *Muszę* — i biegnie z szynelem ledwo narzuconym w ten grudzień szary i błot-

ny, biegnie rozgorączkowany, rwąc się tam, gdzie już strzały słychać.

Żebrowski wpada do domu, wołając, że przyniósł wieść wielką. I wszyscy skupiają się dokoła niego.

— Reforma... będzie reforma szkół, spolszczenie całego szkolnictwa.

Odwraca się do syna:

— Słyszysz, Edek?... to dla ciebie jeszcze, dla ciebie...

Lecz blada twarz Edka ani drgnie.

— Och! nie nas brać na kawał!—odrzuca hardo.

I dziw, i dziw.

Ten stary żyje nadzieją... ten stary wierzy, iż to, co głoszą, będzie.

Lecz ten młody nie ma nadziei.

— Nie, nie—woła—nie nas brać na kawał...

W tych trywialnych słowach cała tragedya zwątpienia, cała tragedya przeżytych szalonem tempem utraty złudzeń i wiary. Jak dumnie, jak hardo.

Jak czysto!

. . . . . .

Noc, ciemno, dni przedwigilijne.

Wpada Marcysia.

— Przyszli jacyś, pogasili światła. Jezus, Marya! zabiją!...

Wybiegła do kuchni.

Żebrowscy siedzą dookoła stołu.

— Dziś zdjęli szyldy rosyjskie!—mówi Żebrowski.— Ale słyszałem, że to już koniec.

— Och! gdyby!...—jęczy cicho Tuśka.

Przy końcu stołu siedzi Pita. Światło lampy oblewa jej złotą głowę. Pochyliła się na stół. Bolą ją zęby szalenie. Cierpi już tak od kilku dni. Z oczu płyną łzy. Pita zmieniła się bardzo. Jest blada jak opłatek. A w oczach ma wyraz dziwny.

Wyraz tych, którzy tęsknią bardzo, lub którzy są nie z tego świata.

— Przecież mnie tylko boli ząb! — myśli, nie jestem właściwie chora.

W bezsenne noce chodzi po saloniku. Sprawia jej to ulgę. Chodzi i jęcząc cicho, myśli:—Jak dziwnie plotą się jej myśli. Błyskawicą przeżywa całe swoje życie. I w tej chwili przedstawia się jej, że przecież to jej *życie* to jest nic w porównaniu z tem *wielkiem*, przez które przeżywa teraz zbiorowa dusza.

— A Tarnawicz ciągle, ciągle tam...

Przycisnęła ręce do piersi.

— Ciągle tam...

Jakaś droga, biedna, samotna postać... w głuchej ciszy...

Nie, Pita nie śmie powiedzieć sobie, że czuje, iż kocha Tarnawicza. Zużyła to słowo na swe dziecinne uczucie dla rządcy „Ketlinga“, na przykre i niepokojące dreszcze, wiążące ją z Porzyckim.

Nie śmie powiedzieć tego słowa. Nie śmie.

A przecież właściwie Pita kocha tylko Tarnawicza.

. . . . . .

Przez pryzmat czystości nieskalanej zajrzała w głąb swego serca.

I gołębiem białem krążyć zaczęła dokoła rozkwitłego klombu prawdziwej miłości.

Po rozesłanym całunie żałobnej ofiary młodego życia wstąpiła w świątynię doskonałego uczucia.

I gdy on schodził w ciemnię więzienną, która rozjaśniała się dla niego płomieniem ofiary, ona od płomieni tych zapalała swe serce i teraz kochała — bez skazy, cała dążąc ku tym wyżynom, na których wypełniają się najszlachetniejsze godziny życia, które mogą być zarazem i najboleśniejszemi.

Lecz szlachetność ich jest tak łagodnie dźwięczna, tak majestatycznie piękna, iż ból nie boli.

Te chwile przeżywała teraz Pita. Te i inne jeszcze. Jakąś dziwnie nieokreśloną słodycz, jakby zakończonego istnienia. Chwilami zdawało się jej, że to, co jej teraz przeznaczone—jest cudem, lecz nie jest już dobrem z tego świata...

Tak się zdawało Picie, gdy chodziła cicho, obuta ledwo i owinięta szalem, po saloniku.

Świeca dogorywa, palma rzuca dziwne cienie.

— Nie z tego świata...—myśli Pita.

. . . . . .

— Mamciu, pozwól! pozwól mi iść z tatką! Już dłużej nie wytrzymam!... Mamciu!...

Pita ręce składa przed matką, tak bardzo zbolała, zdręczona cierpieniem.

Tuśka, niespokojna, patrzy na córkę wzrokiem niepewnym.

— Pozwól!—mówi Żebrowski—pozwól! Dziewczyna się męczy dwa tygodnie. Wygląda jak stwór. Przejdziemy szybko, zaledwie dwie ulice. Zresztą od wczoraj posterunki policyantów zajęli konni artylerzyści. Jest ich po dwóch na każdym rogu. Będzie spokój.

— Nie! nie!—powtarza Tuśka.

Pita łamie ręce.

— Zresztą, niech dentysta tu przyjdzie!

— Nie chcę!

— Mamciu! zlituj się!

Do rąk przypadła matce, oślepiona bólem. Zęby jej drżą ze zdenerwowania. Łzy zalewają oczy.

— Idźcie!—mówi wreszcie Tuśka—idźcie.

Lecz gdy już na progu stanęła Pita w swej bobrowej czapeczce, w jasności swych włosów, w całej swej delikatnej piękności, w Tuśce szarpnęło się nagle ku niej serce.

Przeżyła taką jedną chwilę.

A było to majowym ranem, gdy rodziła się Pita.

Nie widziała jej jeszcze Tuśka, ale posłyszała jej głos.

I wszystko targnęło się w niej ku temu dziecku. Targnęło się tem specyalnem uczuciem, jakiego doznają tylko matki, *pierwszy krzyk* dziecka.

A teraz, teraz ku tej stojącej na progu dziewczynce, smukłej, rosłej, cudnej, targa się tak samo serce Tuśki, jak w on pierwszy majowy dzionek.

Wyciągnęła ręce. Pita szybko do piersi matki przypadła. Nie dziwi się. Zdaje się jej, że to naturalne, że *tak* właśnie powinna była się dziś pożegnać z matką, tak, a nie inaczej.

— Idźcie!

Poszli.

. . . . . .

I ta Warszawa taka wymarła, jakby się nad nią otwarły płomienie wulkanów, zasypały — i potem przyszedł ogromny wicher, i skrzydłem olbrzyma popioły te zmiótł.

A ona, martwa i cicha, przyległa i milczy.

Gdzieniegdzie, pod domami przemyka się jakaś ciemna postać. Sklepy zamknięte. Bramy także.

Żebrowski idzie szybko, trzymając pod rękę Pitę. Biały śnieg chrupie im pod nogami. Słońce zapala iskry w kawałkach niezrąbanego lodu.

I cisza, dziwna w mieście cisza. Jakby zastygło wszystko w mroźnem powietrzu — ten jęk potężny, zbiorowy duszy miasta, skarżący się wieczyście i nieustannie.

— Jak dziwnie—mówi Żebrowski.

Pita nie odpowiada nic. Od chwili, gdy wyszła z domu, doznaje wrażenia, że nie stąpa po ziemi. Niosą ją jakieś skrzydła, ona sama idzie w dal, w biel zapatrzona, rozmodlona.

Słowa ojca upadły obok niej. Dlaczego ojciec mówi, że „dziwnie?“—myśli.—Przeciwnie, tak cudnie, tak cicho, ciszej niż na cmentarzu!...

I zaraz wiążą się jej myśli:

— Na cmentarzu i w więzieniu. Tam najciszej. Tam można żyć w ciągłem milczeniu i myśląc... myśląc. Na to, aby się dostać do więzienia, trzeba być albo wielkim zbrodniarzem, albo wielkim. *Wielkim*. Nie potrafię być taką. Tarnawicz potrafił...

Wyszli na Nowy Świat, Żebrowski idzie coraz szybciej.

— Jak dziwnie!—powtarza znowu.

Lecz do umysłu Pity przywarł się dalej łańcuch myśli.

— Pozostaje mi więc cmentarz... na to trzeba umrzeć.

I zaraz uśmiecha się i dodaje:

— Jak słodko!...

Nagle ojciec zatrzymuje się przed jakąś zamkniętą bramą.

— Chwileczkę poczekaj, Pito — mówi—zapytam się o coś stróża.

Dzwoni.

Po chwili, ciężko, ostrożnie uchyla się brama.

— A kto? i czego?

Pita spogląda na kamienicę. Przypomina sobie, iż była tu, w jej wnętrzu niegdyś, w lecie. I zaraz przed je oczyma przewija się postać Władki.

— Ach! tak, tu mieszka Władka!

Instynktownie odsuwa się na brzeg chodnika. Ojcie ispojrzał ku niej i widząc, że jest trochę dalej, mówi coś do stróża. Mówi po cichu, lecz ten widocznie zna Żebrowskiego, bo pozwala mu wsunąć się do połowy w bramę i coś mu równie cicho odpowiada.

Pita patrzy przed siebie. Biel i zamknięte szczelne okna kamienic. Prawie wszędzie zapuszczone story.

W powietrzu opar białawy. W oddali dziwnie odbijają przy dziennem świetle zapalone latarnie.

— Trzeba umrzeć—myśli Pita.

Nagle jakieś postacie wypadły z bocznej ulicy i biegną pędem w jej stronę. Wydają się jej jak widma w tej śnieżnej mgle i pędzące po śniegu.

Pita patrzy ciągle. Jakby przykuta. Uciec nie chce, nie może. Ona czuje, że stać musi i czekać, aby się wypełniło wielkie, tragiczne jej przeznaczenie.

I tak jest na to, co się stanie, gotowa, że oto otworzyła swe cudne ramiona i poddała pierś dziewczęcą, jakby na przyjęcie oczekiwanego gościa.

— Trzeba umrzeć...

Zagrzmiała salwa...

Padła Pita trafiona w samą pierś.

Coś się przesunęło przed jej oczyma, gdy tak leciała na śnieg. Jakby żal, jakby ktoś załkał...

Nie ona, nie ona.

Wbiła swe błękitne oczy w lazur nieba i leży tak w złocie swych włosów z otwartemi ustami, na bieli śniegowej.

Jak szalony rzuca się Żebrowski.

Zawahał się. Pochylił. Serce ojca mówi mu, że z jego dziewczynki tylko już trup.

I szerokim, tragicznym gestem podnosi to wątłe, bezwładne, złotowłose cudo o szeroko otwartych błękitnych oczach.

Podnosi je, bierze na ręce, i powoli z głową opuszczoną, idzie w pustą, cichą, białą od śniegu ulicę Warecką.

Z głowy przechylonej trupa Pity spadła czapeczka i rozleciały się włosy.

I to złoto włosów snuje się po śniegu, i te ręce dziecka zwisły ku ziemi, i ona cała jest jeden, umarły kwiat!...

. . . . . .

Nie płaczcie po niej. Ta śmierć jej, choć zda się nie była Czynem, a przecież nim była w zbiorowym czynie ludu.

Nie płaczcie po niej.

Śmierć miała przecudną, czystą, białą, żądaną.

Nie płaczcie po niej!

Była za słodka, za dobra, za piękna, za czysta, aby *żyć* mogła.

KONIEC.







268946